



Roberto Costantini

Žoua
doskounata



Roberto Costantini

*Żona
doskonała*

Przełożył z włoskiego
Tomasz Kwiecień



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: LA MOGLIE PERFETTA

Copyright © 2016 by Marsilio Editori S.p.A. in Venezia
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki:
Zdjęcie autora: © Giliola Chisté

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Maria Zając, Marta Chmarzyńska
ISBN: 978-83-8110-416-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadruga.pl
www.soniadruga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Z notatek Giovanniego Annibaldiego, psychoterapeuty, przez bliskich nazywanego Nanni

CZĘŚĆ PIERWSZA

Niedziela, 29 kwietnia 2001

Poniedziałek, 30 kwietnia 2001

Środa, 1 maja 2001

Środa, 2 maja 2001

Czwartek, 3 maja 2001

Piątek, 4 maja 2001

Sobota, 5 maja 2001

Niedziela, 6 maja 2001

Poniedziałek, 7 maja 2001

Piątek, 11 maja 2001

Sobota, 12 maja 2001

Niedziela 13 maja 2001

Poniedziałek, 14 maja 2001

Wtorek, 15 maja 2001

Środa, 16 maja 2001

Czwartek, 17 maja 2001

Piątek, 18 maja 2001

Piątek, 18 maja 2001

Sobota, 19 maja 2001

Niedziela, 20 maja 2001

Poniedziałek, 21 maja 2001

Noc z poniedziałku na wtorek, 21/22 maja 2001

Wtorek, 22 maja 2001

Środa, 23 maja 2001

Czwartek, 24 maja 2001

Piątek, 25 maja 2001

Sobota, 26 maja 2001

Niedziela, 27 maja 2001

Wtorek, 29 maja 2001

Środa, 30 maja 2001

Interludium

CZĘŚĆ DRUGA

Niedziela, 27 listopada 2011

Poniedziałek, 28 listopada 2011

Wtorek, 29 listopada 2011

Środa, 30 listopada 2011

Czwartek, 1 grudnia 2011

Niedziela, 25 grudnia 2011

Poniedziałek, 26 grudnia 2011

Podziękowania

Przypisy

Dla Mileny, Caroliny i Fabrizia

Z NOTATEK GIOVANNIEGO ANNIBALDIEGO, PSYCHOTERAPEUTY, PRZEZ
BLISKICH NAZYWANEGO NANNI

Nie istnieje małżeństwo doskonałe. Co najwyżej – w najlepszym razie – związek może zbliżyć się do doskonałości. Tego właśnie moi pacjenci nie chcą zaakceptować. Logika i statystyka nie pozostawiają złudzeń: jest wykluczone, by osoba, którą mamy przy boku na całe życie, była tą najwłaściwszą, zdolną darować nam pełnię życia, by była dla nas partnerem najlepszym z możliwych. Albowiem ludzie żenią się i wychodzą za mąż albo zbyt wcześnie, albo z niewłaściwych pobudek. Jedni biorą ślub w bardzo młodym wieku, kiedy nie znają nawet samych siebie. Inni wiążą się w wieku dojrzałszym, ale robią to na zgłiszczach swoich życiowych porażek, dlatego szukają kogoś, kto nie będzie przypominał ludzi, którzy przysporzyli im cierpienie w przeszłości. Są tacy, co zawierają małżeństwo, *bo czas najwyższy to zrobić*, a nie dlatego, że znaleźli właściwego partnera. Jest więc oczywiste, że maksimum tego, co da się osiągnąć z czasem, to przywiązanie i wzajemny szacunek. Nic więcej nie jest możliwe.

A miłość?

Staram się wytłumaczyć swoim pacjentom, że miłość jest właśnie tym: długotrwałym przywiązaniem i wzajemnym szacunkiem.

A inna miłość, panie doktorze? Ta prawdziwa? Ta, która sprawia, że szybciej bije serce?

Co mam powiedzieć? Że istnieje, że *jest gdzieś na świecie osoba dla ciebie idealna*, ale lepiej, żebyś nigdy jej nie spotkał. Ponieważ nasze wychowanie, reguły, więzy, którymi spętaliśmy się wraz z upływem czasu, są niczym złota klatka. Wyjście z niej jest możliwe jedynie za cenę ogromnego cierpienia, które trzeba będzie zadać albo znieść, i nie jesteśmy ani na tyle silni, ani wystarczająco słabi, by wyrwać się z niej i zapomnieć. Będziemy zmuszeni do wyrzeczeń, lepiej więc takiego doświadczenia sobie oszczędzić.

Mąż doskonały i żona doskonała są gotowi na wszystko, by ochronić tę ich niedoskonałą, a jednak bezcenną jedność.

Są gotowi nawet zabić.

Bo Nietzsche nie miał racji: nie miłość jest poza dobrem i złem, lecz związek.

Głuchoniemy

W tym szambie musisz się urodzić. Tak jak ja pół wieku temu. Musisz się tu urodzić i żyć. Przymierać głodem w podłej dzielnicy albo żyć jak księżę na piazza di Spagna, Awentynie czy wzgórzach Parioli. A najlepiej jedno i drugie, bo wiadomo, że granica jest nieszczelna. Że w Rzymie między plebem a książętami zachodzi, jak to się mówi, nieustanna osmoza, ciągły ruch ludzi, projektów i narkotyków. I naturalnie płynie szmal, rzeka szmalu, ale tak jakoś płynie, że do większości trafia go mało, a my, nieliczni, zgarniamy go całe mnóstwo.

Musisz znać wszystkie miejsca, od szulerni na Tor Bella Monaca i San Basilio po ekskluzywne kluby nad Tybrem i restauracje blisko parlamentu. Musisz znać wszystkich w tym szambie. Polityków, urzędników państwowych, sztywnych adwokatów i rozlazłych doradców biznesowych. Masz ich w Rzymie, ilu tylko zechcesz. I musisz jeszcze poznać tych, co strzelają bez zastanowienia i z zimną krwią, którzy gdy trzeba, potrafią sprawić, że wyżej wymienieni srają w gacie, a jakby co, walą z broni prosto w pysk zdrajcom albo tym, co stanęli im na drodze.

Musisz być jak to miasto, pierdolić wszystko i wszystkich, być hojnym z konieczności i gotowym sprzedać własną matkę, jeśli trzeba. Tu mamy jedyny w swoim rodzaju kontekst, najlepszy na świecie. Tu nikt naprawdę nie umiera z głodu, jak w Meksyku czy Kolumbii, za to każdy chce więcej. Dlatego łatwo jednego zastraszyć, a drugiego przekupić. Nie ma tu lwich serc i gladiatorów, jest za to codzienna głucha walka, którą toczą ze sobą szacowni na pozór ludzie. Wielu z nich, zwłaszcza tych najpotężniejszych, kradnie codziennie i już nawet przestało to zauważać.

Odłóżmy na bok narkotyki, dziwki, hazard. Tym się zajmują ci naprawdę wielcy, mafia, 'ndrangheta, camorra. Kokę to ja tylko wciągam, zupełnie tak samo jak porządni obywatele. My jedynie spokojnie żyjemy z pieniędzy, co nikomu nie szkodzą. No bo w końcu te pieniądze, co je kradniemy, to czyje są? Państwa? Miasta? A czym jest to całe państwo i miasto? Ludźmi? Nikim jest. Nie kradniemy przecież biedakom, te pieniądze są, jak to się mówi, publiczne. Czyli są wszystkich i niczyje. Lepiej jak my je sobie weźmiemy. Potem, jakby co, pożyczymy je biedakom, tym wszystkim sklepikarzom i właścicielom barów, pożyczymy na dobry procent. Dobry dla nas, ma się rozumieć.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Niedziela, 29 kwietnia 2001

Głuchoniemy

Architekt Aimone jest trochę zdenerwowany.

– Dochodzenie prowadzi ta pieprzona prokurator Benigni. Musimy się jej pozbyć.

Greppi, adwokat, kwituje to śmiechem.

– Mnie ona wygląda na komunistkę, a do tego jest fanką Juventus, kibicuje drużynie, która chce nam ukraść puchar. Ale przecież nie możemy jej zabić!

Przez przeszkloną ścianę salonu patrzę w stronę pełnowymiarowego olimpijskiego basenu mojej willi przy via Appia Antica. Jest niedzielny poranek przewiany przez scirocco¹, zbyt upalny jak na koniec kwietnia. Mój trzyletni syn pedałuje na trójkołowym rowerku dokoła basenu, a starszy, ośmioletni, pod czujnym okiem filipińskiej opiekunki hula na składaku między zaparkowanymi na trawie ferrari i land roverem. Potem robi wiraż wokół braciszka na trójkołowcu i śmiga przy samej krawędzi basenu. Chłopak jest odważny i trochę bez wyobraźni, taki jak ja, kiedy byłem mały. Nie odpowiadam architektowi i adwokatowi, jakbym nic nie słyszał. To dlatego nazywają mnie Głuchoniemym. I niezbyt mi się oni podobają, ani architekt z lewicy, ani adwokat z prawicy.

Zresztą te wszystkie podziały to tylko pieprzenie, nie ma już ani lewicy, ani prawicy. Dawno temu przestałem w to wierzyć. Dziś są tylko ci, co się znają na rzeczy, i ci, co dostają w dupę.

Aimone zapala fajkę. Udaje intelektualistę, pana architekta, bo ma dyplom, który sobie załatwił, szantażując dziekana uzależnionego od kokainy. Od mojej kokainy. Ubiera się wyszukanie, szkoda tylko, że został mu akcent robola. Ale dzięki dyplomowi zasiada w wielu komisjach przetargowych.

– Ależ mecenasie drogi – mówi architekt – ja tylko tak mówię, żarty sobie stroję. Nikt nikogo nie zabije, a zwłaszcza pani prokurator. Ale ten konkurs musimy wygrać. Opinią techniczną sam się zajmę. Tyle że z ofertą

trzeba się zgłosić w ciągu tygodnia. A ten Caruso naprawdę zapierdala. Nie sądzicie?

Mecenas Vito Greppi kiwa głową.

– Firma Carusa oferuje bardzo niskie ceny. Ten gnojek bierze Murzynów, którzy mało kosztują, i nikomu nie płaci łapówek. Żeby z nim wygrać, trzeba się pożegnać z zyskiem.

Aimone naciska.

– Musimy go załatwić. Nasz przyjaciel tego oczekuje i bynajmniej nie prosił o to jak o grzeczność. A w ten sposób załatwimy dwa problemy naraz. Pomożemy jemu, pomożemy sobie.

Nie podoba mi się ta cała historia. A szczególnie teraz, kiedy tak stoję i patrzę na moje dzieci. Podłożyć bombę do kosza na placu albo w pociągu to jedno, kto by, kurwa, znał tych, co tam zginęli. Ale kazać zabić konkretną osobę, nawet nie wroga, do tego niewinną? Córkę kogoś, kogo znam od lat, z kim prowadziłem wspólne interesy? To zupełnie co innego. Tylko że Caruso zawsze był uparty, do przesady uparty. A prosi nas o to Amerykanin, on ma na Sycylii i w Ameryce przyjaciół, z którymi nie powinniśmy się kłócić.

Odwracam się, patrzę na Greppiego.

– Zleć to dziś wieczorem, Vito. Tylko weź takich ludzi, co nie mają z nami nic wspólnego.

– Już o tym rozmawiałem z Dziurkaczem. Zna dziewczynę z widzenia i ma właściwych przyjaciół.

Gianni Tozzi, chłopak wygolony na łyso, z tymi pierdolonymi tatuażami. Nazwali go Dziurkacz w północnym zakolu Stadio Olimpico², bo nie stroni od noża i poza stadionem niezłe dziurawi ultrasów z przeciwnych klubów. Wziąłem go do pracy na moich budowach tylko dlatego, że jest siostrzeńcem dyrektora banku, który nie robi mi problemów z obrotem gotówką. Przez te dwa lata Dziurkacz się wyrobił. Z chuligana zdolnego wypruć komuś flaki w dyskotecce albo przed stadionem za jedno spojrzenie więcej niż trzeba stał się skutecznym egzekutorem rat lichwiarskich pożyczek i opłat reketierskich od sklepikarzy.

– Zgoda, ale Dziurkacz jest od nas. Powiedz mu, że sam ma tego nie robić, tylko nająć jakiegoś kumpla.

– Oczywiście, bez obaw.

– A teraz was pożegnam, idę z żoną i dziećmi na mszę.

Poniedziałek, 30 kwietnia 2001

Balistreri

Za pierwszym razem, w lipcu 1982, to był brzeg Tybru. Później, przez niemal dwadzieścia lat w policji, przeróżne miejsca: od wysypisk śmieci do luksusowych willi. To chyba napisał Chandler: *Ale jakie to ma znaczenie, skoro już nie żyjesz?*

Przez te lata nauczyłem się jednego.

Znaczenie ma to, co przedtem, nie to, co potem.

Widziałem pogodę w oczach ludzi zabitych niespodziewanym strzałem w głowę albo otrutych we śnie. Widziałem strach u ofiar, które nieoczekiwanie zobaczyły przed sobą lufę pistoletu albo nóż i zrozumiały, że już za chwilę ich nie będzie. I widziałem tę nieznośną spokojną rezygnację, nieomal ulgę tych, którzy zanim rozstali się z życiem, przeszli przez piekło.

Patrzę w oczy Donatelli Caruso, która zginęła na tej plaży, mając dwadzieścia jeden lat, i wiem, że umierając, była szczęśliwa, że to już koniec.

– Proszę sfotografować jej oczy – mówię technikowi z kryminalistyki. Potem zwracam się do dyżurnego lekarza sądowego. – A potem niech pan jej zamknie powieki.

Ostia znajduje się jakieś pół godziny drogi z Rzymu. Ludna w zimie, przepełniona w lecie z powodu licznych plaż, kąpielisk i dyskotek pod gołym niebem.

Donatella Caruso przyjechała tu wczoraj wieczorem, żeby skorzystać z pierwszego ciepłego weekendu tego roku i wraz z setkami rówieśników potańczyć na piasku w klubie Beach Dance. Tyle wiemy na pewno od koleżanki, z którą przyszła i która około trzeciej nad ranem zaczęła jej szukać, żeby razem wróciły do domu. Nie znalazła jej w dyskotece, komórka Donatelli była wyłączona, w końcu więc dziewczyna zebrała się na odwagę, zadzwoniła do jej rodziców, a ojciec powiadomił policję w Ostii. Ciało znaleziono o świcie w szatni zakładu kąpielowego Dwa Wiosła, pięćset metrów od dyskoteki, z której zniknęła młoda Caruso. Policja w Ostii natychmiast powiadomiła moją jednostkę, czyli sekcję zabójstw.

– Który prokurator ma dyżur?

Inspektor Antonio Coppola, czterdziestoletni z okładem neapolitańczyk o ciętej ironii, typowej dla południowca wyrosłego w poczuciu dyskryminacji ze strony rodaków z północy, pracował już w sekcji zabójstw, kiedy objąłem jej kierownictwo. Koledzy przewali go Krasnałem, ale niski wzrost ani trochę nie powstrzymuje go przed okazywaniem paniom niezwyklej uwagi, która kosztowała go już dwa rozwody, a mnie zmusza, by trzymać go z dala od przesłuchiwania pięknych kobiet. I to nawet teraz, kiedy żyje w szczęśliwym małżeństwie i ma syna.

– Ezio Conti, już go powiadomiłem. Ma dyżur, ale nie przyjedzie. Powiedział, że ma do pana zaufanie, i prosi, by dać mu znać po powrocie do Rzymu. Leń śmierdzący...

Na szczęście taka jest większość prokuratorów. Nie pojawiają się na miejscu zbrodni, czekają na raporty, dają ogólne instrukcje, które mogą nagiąć do mojego sposobu prowadzenia śledztwa. Ezio Conti jest doskonałym przykładem. Ale nie podoba mi się, że Krasnał wypowiada się w ten sposób o przedstawicielu wymiaru sprawiedliwości.

– Nie twój interes, Coppola. Wolisz zostać tutaj z kryminalistyką i lekarzem sądowym, żeby zebrać pierwsze informacje, czy chcesz jechać do Rzymu i powiadomić rodziców, zanim się dowiedzą z radia?

Wyraźnie zbladł.

– Wolę zostać tutaj, *dottore*. Jeśli pan chce, pójde przepytac personel dyskoteki i zakladu kapielowego, juz ich kazalem wezwac.

– Dobrze. Porozmawiaj jeszcze z tą koleżanką, która była z nią na dyskotecce. Zobaczymy się potem u mnie.

Puszcza do mnie oko.

– W każdym razie ten gość to naprawdę straszny nierób...

No przecież nie przywałę kurduplowi. Zwłaszcza tak sympatycznemu.

Nanni

Kobieta płacze. Szepcze coś pod nosem.

– To moja wina, że mnie zdradziłeś, kochanie. Za często zostawiałam cię samego.

Mąż kiwa głową.

Patrzę na nich, siedzących naprzeciwko mnie, ale już nie słucham tego, co mówią. Jest dopiero pięć po dziewiątej, to spotkanie z pierwszymi pacjentami tego dnia, a ja już mam dosyć.

Wysłuchiwanie par to moja praca. Codziennie, z wyjątkiem sobotniego popołudnia i niedzieli, przyjmuję pacjentów w gabinecie mieszczącym się w dzielnicy EUR, na południowym krańcu Rzymu, w wolnostojącej willi z ogrodem i parkingiem dla samochodów na tyłach. Gabinet wybrała Bianca, tak samo jak meble i niemal wszystko w moim życiu.

Zamiast być psychoterapeutą, mógłbym zostać sprzedawcą albo politykiem, w sumie wyszłoby na to samo. Miałbym talent i do tego, ale zarabianie pieniędzy na słuchaniu jest znacznie prostsze. Pary siedzą przede mną i opowiadają *te same* warianty *tych samych* problemów. Złudzenia miłosne, które stały się jak klatki. Tym bardziej to dla nich frustrujące, że sami zamknęli się w środku i wyrzucili klucze. Jednak nie poddają się codziennemu smutkowi, niekiedy nawet sami przed sobą zaprzeczają jego istnieniu. Wiedzą, że jest za późno na wyjście z klatki, że lepiej zostać w środku razem z tym, kogo już znają. Nawet jeśli dawna miłość straciła blask, a seks, jeśli w ogóle go uprawiają, pozostał czystą rutyną, przyszłość jawi im się jako ratunek przed przeszłością, a zgoda na to, co jest, wydaje się sposobem, by mniej cierpieć w oczekiwaniu na dzień, kiedy życie się skończy. Przychodzą do mnie, by odnaleźć utraconą miłość, mimo że w głębi serca doskonale wiedzą, że choć ona istnieje, to nie ma co jej szukać między nimi. Przychodzą do mnie, bo boją się zrobić jedyną rzecz, która pomogłaby im znowu znaleźć miłość, to znaczy *zaryzykować, rzucić wszystko i szukać jej gdzie indziej*.

Wiem, że istnieje tylko jeden sposób, by naprawdę im pomóc: sprawić, by uwierzyli, że dadzą radę wytrwać i że świat *na zewnątrz* jest zbyt okrutny.

Słucham ich i za każdym razem myślę o swoim małżeństwie, które po dwunastu latach wciąż się dobrze trzyma, niczym silnik samochodu wyprodukowanego w starych dobrych czasach. Oczywiście, że zdarzają się nam z Biancą różnice poglądów, ale nigdy nie kończą się prawdziwymi kłótniami. W najgorszym wypadku robimy tak, jak ona chce, i nie mam nic przeciwko temu, bo w zamian ona daje mi wszystko. Dobrą atmosferę, wsparcie, nawet seks uprawiany bardziej z czułością niż z namiętnością.

Ale czy my się jeszcze kochamy?

Pytanie okrutne, bezmyślne, prowadzące do samookaleczenia. Pytanie

dręczące marzycieli i romantyków: moich pacjentów.

Pytanie niepotrzebne.

Życie nie może wyglądać jak rollercoaster. Bianca jest właśnie osobą, która obniża pagórki i podnosi doliny.

Balistreri

Rzym Rzymowi nierówny. Jest Rzym luksusowych kamienic przy via della Camilluccia, pięknych starych pałaców na Parioli i Prati, willi i błyszczących wieżowców na EUR. Jeśli coś znaczysz, bo pochodzisz z bogatej rodziny, masz dobrą pracę albo umiesz kraść, mieszkasz w takim lub podobnym miejscu. Zaś inni mieszkają w takich miejscach jak Carusowie. W Rzymie estetycznie mniej pociągającym, ale znacznie prawdziwszym.

Niewielka willa w dzielnicy Ottavia, położona między linią kolejową a zakładem blacharskim, już jest oznaką jeśli nie emancypacji społecznej, to na pewno sukcesu ekonomicznego. Zadbany ogródek, pomalowane framugi, pastelowe kolory, meble wykonane przez zaprzyjaźnionego stolarza.

Dzwonię, drzwi otwiera mi dziewczyna na oko osiemnastoletnia, doskonała kopia Donatelli Caruso, o twarzy ściśniętej niepokojem. Pokazuje jej legitymację policyjną, tę ogólną, nie identyfikator sekcji zabójstw.

– Nazywam się Michele Balistreri, zastałem rodziców?

– Tak. Ja jestem Alessandra, siostra Donatelli.

Prowadzi mnie przez korytarz, słyszę głosy i telewizor gadający w tle. Muszę się pospieszyć, zanim wiadomości telewizyjne powiadomią całą zgromadzoną wspólnotę, że ich córka, siostra, wnuczka, siostrzenica, bratanica, przyjaciółka została pobita, zgwałcona i uduszona.

Za pierwszym razem, niemal dwadzieścia lat temu, kiedy spotkałem rodziców Elisy Sordi przed moim gabinetem, ograniczyłem się do „Przykro mi” i zamknięcia im drzwi przed nosem, by nie patrzeć na wykrzywione cierpieniem twarze. Postarzałem się od tamtego czasu. Wtedy miałem nieco po trzydziestce, teraz jestem po pięćdziesiątce. Ale upływ czasu mnie nie zmienił. Papierosy, whisky, kobiety, których ciała wykorzystałem, nie troszcząc się o to, co miały w duszy, nie pomogły mi pogrzebać przeszłości

ani nie sprawiły, że zapragnąłem jakiejś przyszłości dla siebie. Nie jesteśmy ani trochę twórcami własnego losu, odgrywamy nieistotną rolę w czymś, czego nie rozumiemy, a nasze wielkie indywidualne tragedie nie znaczą więcej niż życie mrówki, którą rozdeptałem przed chwilą, idąc przez ogródek.

Wykonuję jedynie swoją pracę. Szukam morderców, dopóki ich nie znajdę. Nie potrafię pocieszać, nie umiem zrozumieć bólu ojca i matki. Dlatego dziś łatwiej jest mi patrzeć im w oczy, kiedy mówię te same słowa, które wypowiedziałem w 1982 roku do rodziców Elisy.

– Przykro mi.

Nanni

Wyszła ostatnia para pacjentów, jest dziewiętnasta, po tej godzinie już nie przyjmuję. Przeznaczam na spotkania z pacjentami siedem godzin dziennie od poniedziałku do piątku i cztery w sobotnie przedpołudnia. Ta praca od dawna jest czystą rutyną i tłamsi mój talent, ale to się już niedługo skończy. Nagrania z tysięcy terapii przetworzę w bestseller i zamknę ten przeklęty gabinet.

Wstaję od biurka, zamykam notatnik, odsuwam na bok okienną zasłonę. Stary ford fiesta Bianki już tam stoi. Jak zawsze punktualna. Od dnia, w którym ją poznałem.

Wtedy najpierw zobaczyłem ramiona i kark, dopiero potem twarz. Siedziałem w tej bibliotece od trzech godzin i nie potrafiłem skoncentrować się na książkach. Nic w tym dziwnego, zawsze taki byłem. Woląłem słuchać, niż czytać. Rozmawiać bardziej, niż studiować. Jak to wszyscy mówili: otwarty charakter. Słuchałem muzyki przez słuchawki, poszpanowałem trochę przed jakąś studentką nowiuśkimi butami marki Nike Air Max 1, które ściągnąłem sobie ze Stanów, trochę pobujałem w obłokach. Ale podczas gdy niemal wszyscy od czasu do czasu wstawali, odwracali się, przeciągali, wychodzili do toalety albo szli pod dystrybutor z napojami, te ramiona i kark, od kiedy przyszedłem, wciąż znajdowały się w tym samym miejscu, nieruchomo pochylone nad książkami. Zobaczyłem dwie koleżanki, uściskałem je, a kiedy powiedziały mi, że chciałyby się podpiąć pod moje nowe lewisy 501, roześmiałem się. Dopiero wtedy po raz pierwszy odwróciła

głową i przez krótką chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyła nie tyle z irytacją, ile z niedowierzaniem. Nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś może się śmiać w bibliotece. Odruchowo uśmiechnąłem się do niej. A przecież nie uśmiechałem się nigdy do dziewczyny, zanim do niej nie podszedłem. I nigdy nie przejawiałem inicjatywy. Ot, luksus bycia przystojnym. I technika opanowana dzięki przedwcześnie zdobytym doświadczeniom. A jednak uśmiechnąłem się do niej. Jej kark był znów pochylony nad książkami. Podszedłem do dziewczyny, dotknąłem jej ramienia.

To był rok 1987. Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat, ona dwadzieścia pięć. Wciąż męczyłem się na psychologii, podczas gdy ona w przedterminie i z najwyższą notą zdążyła się obronić na prawie, a wówczas kończyła aplikację i właśnie przygotowywała się do konkursu prokuratorskiego, który oczywiście wygrała. W 1989 skończyłem wreszcie studia i się pobraliśmy. Jeśli chodzi o dzieci, to Bianca chciała, żebym zrobił wcześniej podyplomówkę i staż. Dopiero wtedy odstawiła pigułki antykoncepcyjne i w 1990 urodził się Luca. Nic nie zostało pozostawione przypadkowi.

Słońce jeszcze nie zaszło, dni robią się coraz dłuższe i w powietrzu czuć już nadchodzące lato. Wsiadam do samochodu, całuję Biancę w policzek. Jedzie z prokuratury, z pewnością miała stresujący dzień. A jednak wygląda nienagannie. W biurowej toalecie poprawiła makijaż i nałożyła szminkę, by być doskonałą dla świata, a w pierwszej kolejności dla mnie.

Jest jednak bledsza niż zwykle.

– Coś nie tak, Bianca?

Kręci głową.

– Dziś rano znaleziono zwłoki dwudziestojednoletniej dziewczyny. Jakiś zboczeniec wyciągnął ją z dyskoteki w Ostii, skatował, zgwałcił i udusił. Nanni, jak w ogóle mogą istnieć tacy ludzie?

Moja żona zajmuje się przede wszystkim korupcją i przestępstwami gospodarczymi, zna tylko ten rodzaj zła. Nie najmroczniejszą część ludzkiej duszy. Tę, wolno mi powiedzieć, znam lepiej ja.

– I ty masz się zajmować tą sprawą?

– Nie, na szczęście nie. Dyżur miał ten idiota Ezio Conti. Ale znam ojca tej dziewczyny z powodu innego śledztwa, które prowadzę. Porządny gość.

Postanawiam zmienić temat, jej praca nigdy mnie nie interesowała.

– Jutro jest święto. Gdzie pójdziemy na kolację?

Takie jest nasze życie, uregulowane w każdym szczególe. Praca, szkoła

Luki, wszystkie wieczory w domu z wyjątkiem wigilii świąt, kiedy wychodzimy sami albo w towarzystwie zawsze tych samych przyjaciół. A potem uprawiamy seks, jako że następnego dnia można się wyspać.

Pokazuje mi kartonik, zaproszenie do auli uniwersyteckiej.

– Szef prokuratury dostał je z uniwersytetu i przekazał nam. Dyskusja panelowa, a potem poczęstunek. Może być?

Dyskusja nosi tytuł *Etyka i badania naukowe*, wystąpić ma jakiś kardynał i niejaki Victor Bonocore, *naukowiec*, o którym nigdy jeszcze nie słyszałem. Temat zupełnie mnie nie interesuje, ale nauczyłem się nie sprzeciwiać Biance, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

– Dobra, jedziemy.

Dojeżdżamy do audytorium uniwersyteckiego odrobinę spóźnieni, dyskusja już się rozpoczęła i sala jest prawie pełna. Siadamy z żoną w ostatnim rzędzie. Pięćdziesiąt metrów przed nami, na katedrze, stoją trzy fotele. Po lewej siedzi kardynał w purpurowej sutannie. W środku Anselmo Guidi, zastępca redaktora naczelnego „Il Domani”. Po prawej z pewnością ten naukowiec, Victor Bonocore.

Z tej odległości wygląda mi na mężczyznę pod pięćdziesiątkę, wysokiego i barczystego, o czarnych gładkich i nieco zbyt długich włosach lekko przyprószonych siwizną, ze szpakowatą brodą i w okularach z grubymi szklami. Ma na sobie dzinsy, czarny golf i szarą tweedową marynarkę. Wicenaczelnym „Il Domani” ciepło go przedstawia:

– Profesor Bonocore urodził się w Stanach Zjednoczonych, gdzie ukończył studia i założył prężnie działające przedsiębiorstwo. Po jakimś czasie zbył swoje udziały w firmie i od kilku lat wykłada na Uniwersytecie Nowojorskim oraz prowadzi badania z zakresu nowych technologii stosowanych w medycynie. Od czerwca zeszłego roku przebywa w Rzymie na rocznym urlopie naukowym. Victor jest człowiekiem dyskretnym, nie znajdziecie jego nazwiska w gazetach czy w telewizji. Przez te kilka miesięcy zdążyliśmy się zaprzyjaźnić i miałem przyjemność wielokrotnie z nim rozmawiać. Nie o matematyce i technologii, ale o etyce. Dziś po raz pierwszy zgodził się wystąpić publicznie, za co mu bardzo dziękuję.

Oczekiwałem ze strony Bonocorego uśmiechu, skinienia głową, jakiejś grzecznościowej frazy. Ale nic nie mówi, wydaje się wręcz mało

zainteresowany tym, co się wokół niego dzieje.

Anselmo Guidi oddaje mu głos.

– Victor, opowiesz nam o walce ze złem?

Bonocore nie uśmiecha się, nie dziękuje, nie wita publiczności. Bez żadnych wstępów zaczyna mówić. Przyzwoitą włoszczyzną z amerykańskim akcentem. Nie korzysta z mikrofonu. Nie patrzy na salę, wpatruje się we własne dłonie splecione na brzuchu. Mówi cicho, toteż z głębi sali podnosi się szmer niezadowolenia, ale Bonocore tym się nie przejmuje. Kontynuuje wpatrzony w czubki swoich butów.

– Matematyka i fizyka wykorzystane w medycynie... bombardowanie komórek mające na celu zatrzymanie rozwoju raka... defekty genetyczne. To jest walka o dobro... Złem jest ten, kto w jakikolwiek sposób stawia nauce przeszkody. Niestety, w tej walce nie wszyscy... Kościół... Natura jest chaotyczną, nielogiczną siłą. Nauka stara się nadać jej porządek, którego na początku nie ma. Gdyby istniał dobry Bóg stwórcy, nie potrzebowalibyśmy nauki. To czyni jeszcze bardziej absurdalnym fakt, że przeszkody stawiają przed nami właśnie wierzący.

Kardynał uśmiecha się z niewzruszonym pobłażliwym wyrazem twarzy. Nie dziwi mnie jego spokój. Księża przeszli z ambon do telewizyjnych studiów. Pewnie chodzą też na kursy wystąpień publicznych. Czeka, aż Guidi odda mu głos, potem uśmiecha się do publiczności, dziękuje Guidiemu i wszystkim obecnym i zwraca się grzecznie do naukowca:

– Jeśli dobrze zrozumiałem, profesor Bonocore uważa, że samo istnienie zła, wojen i chorób automatycznie przeczy istnieniu Boga. Że wyrażanie zastrzeżeń wobec niektórych form badań naukowych jest opowiedzeniem się po stronie zła. Co do reszty, relatywizm nie uznaje za pewnik niczego, nie tylko Boga. Dla nas, katolików, to jedynie dekadencja rozumu. Absolutyzm.

Bonocore nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Nie czekając, aż Guidi odda mu głos, wtrąca:

– To w religiach monoteistycznych panuje absolutyzm. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną” nie jest bynajmniej zasadą liberalną. A tego dobrego wszechmocnego Boga nie da się pogodzić z miliardami złośliwych komórek pożerających ciało dziecka.

Widzę, że kardynał zaczyna nieznacznie kręcić się w fotelu. Nie jest przyzwyczajony do takiej szorstkości ze strony adwersarza. W przesłodzonych debatach z włoskimi intelektualistami, bardzo uważającymi,

by nie obrazić katolików, takie zachowania nie miałyby miejsca. Stara się kontrolować ton i mówić grzecznie:

– Istnieją takie rodzaje zła, które służą wyższemu dobru, profesorze.

– Wyższemu i niewidocznemu dla nas, zwykłych śmiertelników, kardynale?

– Istnieje również osąd serca. Znacznie starszy niż studia nad cząsteczkami i Internet.

Na twarzy Bonocorego pojawia się grymas. Wydaje się zadowolony, że wyprowadził kardynała z równowagi. Jego głos brzmi jak szydery syk:

– Drogi kardynale, pewność jest czymś bardziej obiektywnym od nadziei. Dam przykład. Mężowie przynoszący do domu pieniądze są pewnością, a mężowie wierni żonom tylko nadzieją.

Szmer na sali, kilka nerwowych śmiechów, żadnego aplauzu. Ręce Bianki są nieruchome, blade, splecione na podołku. Boję się, że ma zamiar zapytać mnie o to, co przed chwilą powiedział Bonocore, więc wstaję z miejsca.

– Kochanie, przepraszam, duszno mi, potrzebuję zaczerpnąć powietrza.

Mógłbym być bardziej dyplomatyczny, powiedzieć: „Muszę iść do toalety” albo: „Muszę zatelefonować do pacjenta”. Ale jestem mądry. Małe kłamstwa są niepotrzebnym wystawianiem się na niebezpieczeństwo, trzeba się do nich uciekać tylko wtedy, gdy to naprawdę konieczne, inaczej człowiek się przyzwyczaja i zaczyna ryzykować. A moja żona jest prawdziwą ekspertką w wychwytywaniu kłamstw, to jej zawód.

Wychodzę z auli. W sali obok są już przygotowane stoły z poczęstunkiem. Wchodzę i proszę kelnera o kieliszek prosecco, a potem przez drzwi balkonowe wychodzę na taras.

Słońce już zaszło i na tarasie palą się słabe światełka. Jest tam tylko jedna dziewczyna, pewnie ma jakieś dwadzieścia lat, stoi tyłem do mnie oparta o balustradę, pali papierosa i sączy coś, co wygląda na białe wino. Blondynka, cieniowane włosy opadają jej swobodnie na ramiona. Ma na sobie czarny top z cieniutkimi ramiączkami i obcisłe džinsy. Niezwykle zmysłowa sylwetka, choć dziewczyna ma nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Musiała wyczuć moją milczącą obecność, bo odwraca się błyskawicznie i patrzy na mnie rozbawionym wzrokiem.

– Oglądasz mi tyłek?

Mówi po włosku z silnym amerykańskim akcentem. Moje skrzywienie

zawodowe sprawia, że jestem przyzwyczajony do kontrolowania własnych reakcji. Spokojna obojętność w odpowiedzi na agresywność. I zachowanie zimnej krwi nawet wobec wyjątkowo pięknych kobiet. Moja specjalność. Najlepszy sposób, by je zaintrygować.

– Nie interesuje pani konferencja?

Wzrusza ramionami, odgarnia jasne włosy, przygląda mi się. Wiem, co widzi. Mężczyznę około czterdziestki, ale młodzieńczego, w dobrej formie fizycznej, o wciąż ciemnych, dobrze przyciętych i ułożonych włosach, przystrzyżonych wąsikach, w szytym na miarę szarym garniturze, błękitnej koszuli i krawacie drogiej marki. Zastanawiam się, czy zauważyła obrączkę na palcu serdecznym.

– Książ rozmawiający z największym materialistą, jakiego świat nosił? Ależ to nuda! Chcesz pociągnąć?

Wyciąga w moją stronę zapalonego skręta. Ma małe subtelne dłonie, pozostające w harmonii z resztą delikatnego, lecz wspaniale uformowanego ciała. Paznokcie pomalowała na różowo, tak samo jak usta. Doskonale jej pasuje ten kolor. Czuję słodki zapach jej perfum i krem nawilżający na ramionach muśniętych promieniami pierwszego w tym roku gorącego słońca.

– Dziękuję pani, ale nie palę.

– Powinieneś. To znacznie bardziej lepsze niż słuchanie tamtych dwóch.

Pomimo właśnie popełnionego błędu jej włoski jest naprawdę dobry jak na Amerykankę. Podobnie jak włoski tego antypatycznego naukowca. Uśmiecham się do niej grzecznie, ale bez poufałości. Nie mam nic przeciwko małemu flirtowi. Karmi moje ego, a nie powoduje szkód, jeśli tylko Bianca tego nie widzi.

– Mimo to dziękuję.

Patrzy z lekko przechyloną głową, jakby taksowała mnie wzrokiem. Trzyma skręta w pięknie zarysowanych ustach, zaciąga się i wypuszcza dym w taki sposób, że obłoczek przechodzi między nami. Przypomina mi bitą śmietaną na lodach, na które co niedziela zabierała mnie babcia, gdy byłem dzieckiem.

– To nie jest sam tytoń. Według mnie posmakowałyby ci.

Zbyt osobiste komentarze. Narcyzm, brak pewności siebie. Uśmiecham się z powodu swojej odruchowej diagnozy i grzecznie kręcę głową. W starych dobrych czasach próbowałem trawki, Bianca jednak nic o tym nie wiedziała. Jak wspominałem, niedopowiedzenia tak, kłamstwa nigdy.

– Niemniej dziękuję, nie. A teraz muszę wrócić do środka. Do żony.

Pokazuję obrączkę. Robię tak zawsze w pewnych sytuacjach. I tak wiem, że to ich bynajmniej nie odstręcza, a raczej pociąga.

Dziewczyna się odwraca, niedokładnie gasi skręta na balustradzie i wyrzuca jeszcze tłący się niedopałek na plac poniżej tarasu. Odwraca się, żeby na mnie popatrzeć.

– Jak się nazywasz?

Wyciągam rękę.

– Giovanni Annibaldi.

Ignoruje moją dłoń, po raz kolejny spogląda na mnie ironicznie.

– No dobrze, Johnny. Ja jestem Scarlett.

Odwraca się do balustrady. Jakbym właśnie znikł albo nigdy wcześniej się nie pojawił. Z audytorium dobiegają oklaski i dźwięk poruszających się ciał oznajmia, że dyskusja się zakończyła. Wracam do sali z przekąskami w tej samej chwili, gdy pojawia się w niej Bianca wraz z kolegami z prokuratury. Arcynudne towarzystwo. Skręcam i kieruję się do baru.

Poczęstunki po dyskusjach panelowych zazwyczaj są nudne. Rozmowy z nie zawsze trzeźwymi nieznanymi ograniczone do tematyki spotkania. Po pewnym czasie zaczynasz powtarzać własny punkt widzenia z lekkimi wariantami dostosowanymi do rozmówców, którzy ze swej strony robią to samo. Jeśli będziesz nieuważny, ryzykujesz, że przedstawiś się dwa razy tej samej osobie albo powtórzysz to samo komuś, z kim już rozmawiałeś. Musisz więc być skoncentrowany z błahych powodów. Głupia i bezużyteczna fatyga, dlatego kręcę się w kółko z martini w rękę i unikam rozmów.

W głębi sali dostrzegam Victora Bonocorego stojącego z pełnym kieliszkiem obok wicenaczelnego z „Il Domani”. Wysoki brodaty profesor wygląda jak Mefistofeles. Otacza go wianuszek pań wpatrzonych w niego z mieszaniną podziwu i lęku, może dlatego, że nie rozumieją, co mówi. Pan naukowiec bez wątplenia ma swój urok. Urok, który nazwałbym mrocznym albo złowieszczym. Ale wiem, że kobietom podobają się takie typy. Zwłaszcza gdy są intelektualistami i mają kupę forsy. Z przyjemnością zbliżyłbym się i posłuchał, co mówi, bardziej z zawodowej ciekawości niż innych powodów. Biance jednak to by się nie podobało, więc trzymam się na

dystans.

W innym kółku widzę moją żonę rozmawiającą z kardynałem i kilkoma innymi osobami, między innymi jest tam Ezio Conti, prokurator na tym samym co ona szczeblu kariery, mizogin, który widzi w Biance zagrożenie, choć jednocześnie uważa ją za nieco zbyt rozwiniętą sekretarkę.

– Johnny!

Odwracam się, Scarlett uśmiecha się do mnie, wciąż ma w ręku kieliszek z winem. Obok niej stoi szczupła wysoka kobieta w eleganckim płaszczyku, nieco nieodpowiednim do pogody. Ma piękne zielone oczy, spokojne jak morze w słoneczny bezwietrzny dzień, i rude włosy upięte w kok przytrzymywany srebrną spinką. Z pewnością nie skończyła jeszcze trzydziestu lat, ale ma ubranie, fryzurę i spojrzenie prawdziwej damy.

– Przedstawiam ci Nicole – mówi Scarlett.

Kobieta wyciąga rękę. Ma długie zimne palce. Krótkie paznokcie bez lakieru.

– Giovanni Annibaldi, bardzo mi miło.

Uśmiecha się grzecznie.

– Nicole Bonocore, mnie również.

Przez chwilę stoję zaskoczony.

– Pani jest córką...

Jej uśmiech mówi mi, że nie muszę czuć się zakłopotany pomyłką.

– Żoną.

Jednak jestem poirytowany. Powiedziałem coś, nie pomyślawszy wcześniej. Takie rzeczy czasem robił młody Nanni. Ale nie doktor Giovanni Annibaldi. Również Nicole mówi całkiem poprawnie po włosku, tyle że z bardzo silnym amerykańskim akcentem. Scarlett wykonuje lekki ukłon, bezczelnie eksponując dekolt.

– A ja jestem jej młodszą siostrą. Scarlett Steele, bardzo mi przyjemnie.

Czuję na sobie oczy Bianki. Staram się być grzeczny, a jednocześnie szybko się uwolnić.

– Bardzo mi miło, pani Bonocore, panno Steele. Teraz...

Nicole już ma mnie pożegnać, lecz wtrąca się Scarlett:

– Nicole, dlaczego nie przedstawisz pana Annibaldiemu swojemu bossowi?

Używa dokładnie tego określenia, „boss”. Nicole nie wydaje się zbita z tropu.

– Nie sędę, by pan Annibaldi był zainteresowany. Poza tym chcieliśmy już wrócić do domu. Victor nie lubi przebywać wśród wielu ludzi. Może innym razem, panie Annibaldi?

Czuję, że robi to z grzeczności, by wybawić mnie z kłopotu. Wyczuła, że nie zależy mi na tej prezentacji.

Scarlett rzuca mi ironiczne spojrzenie.

– Powinnaś ich poznać, Nicole. Johnny słuchał Victora z wielkim zainteresowaniem!

Odwraca się i zostawia nas samych. Patrzymy na siebie.

– Naprawdę chce pan poznać mojego męża?

Teraz to moja kolej, by wybawić ją z kłopotu. Odpowiadam płynną angielszczyzną:

– Byłoby mi miło, pani Bonocore. Pani mąż rozumuje i przedstawia swoje przekonania w sposób bardzo ciekawy z perspektywy mojej pracy. Ale rozumiem, że to nie jest dobry moment.

Patrzy na mnie z wdzięcznym uśmiechem.

– Jest pan teologiem czy filozofem, panie Annibaldi?

– Ani jednym, ani drugim. Jestem psychoterapeutą i specjalizuję się w terapii par.

W milczeniu kiwa głową przez dłuższą chwilę, jakby pomyślała sobie coś przykrego.

– A więc może naprawdę powinnam poznać pana z moim mężem. Ale jak pan już powiedział, nie tutaj.

Przez chwilę stoję zbity z tropu, już mam zadać pytanie, Bianca jednak wciąż nas obserwuje. Zbieram się do grzecznego pożegnania, lecz Nicole Bonocore mnie uprzedza:

– Do widzenia, *dottor* Annibaldi.

Na szczęście Bianca nie pyta mnie o nic. Rosa, nasza gospodyni, kucharka, opiekunka do dziecka i moja sekretarka na odległość, czeka na nas w domu.

– Luca śpi od jakiegoś czasu. Po kolacji przez dwie godziny rysował, potem przeczytałam mu trochę *Harry’ego Pottera* i zasnął.

Dziękujemy jej, żegna się z nami. Czyścimy zęby, Bianca zmywa makijaż i wkłada jedną ze swoich świątecznych koszul nocnych. Tę na wieczory, kiedy uprawiamy seks. Zbliżenia z Biancą są od dawna mało

satysfakcjonujące. Ona się stara. Zdecydowanie pragnie, by coś, co podtrzymuje działanie związku, było przyjemne, a *jej* małżeństwo nie może być niedoskonałe z *jej winy*. Tymczasem to nie jest ani jej, ani moja wina, to po prostu naturalny skutek upływu lat, stresu związanego z wychowaniem Luki i zmęczenia pracą.

Z początku seks był czymś fundamentalnym dla naszej relacji. W pewnym sensie był jedynym momentem, kiedy dawałem Biance więcej, niż dostawałem. Teraz także w tym aspekcie powoli odpuszczam, a Bianca zamienia się w gejszą, pielęgniarkę czuwającą przy wezglowiu męża, który często nie daje rady. Ale nawet *moją* porażkę Bianca traktuje jako swoją. Zmienia więc nocne koszule, wypróbowuje masaż i fantazje. Gdyby nie moralne ograniczenia wynikające z wychowania wypożyczyłaby film pornograficzny.

Zawsze była uważna na moje oczekiwania, wspierająca i pocieszająca, gdy trzeba. Ale Pasja, ta przez duże P, z wolna odeszła. A ja nie jestem jednym z moich pacjentów, włączę ją do szukającym utraconych emocji. Mam już kobietę swojego życia i pozostałem jej *materialnie* wierny. Nałożyłem sobie bardzo jasne zasady: flirt i nic więcej, czekać tak, gryźć nie. I nigdy z kobietami, z którymi Bianca miała albo mogłaby mieć jakikolwiek kontakt. Granica między myślą a uczynkiem może i etycznie nie istnieje, ale jest konkretna i jasno wyznaczona.

Środa, 1 maja 2001

Balistreri

Ilekroć o siódmej rano w dzień świąteczny idę pieszo przez centrum Rzymu, myślę o tragicznej i niewymownej konieczności wojen. Nie tylko dlatego, że redukują liczbę ludzkości, ale także dlatego, że mogą poprawić jej jakość, czyniąc z ocalałych osoby bardziej świadome i szanujące innych.

Zamykam się w swoim starym gabinecie na trzecim piętrze. Zatrzaśnięte jak zawsze okiennice odgradzają mnie od najpiękniejszego widoku na świecie. Otwieram okna jedynie wcześniej rano i w nocy, a w ciągu dnia tylko na krótko, gdy powietrze tak bardzo przesiąka dymem z moich gitane'ów, że goście nie mają czym oddychać. Tam na zewnątrz nic mi się nie podoba.

Coppola wchodzi bez pukania. Nie jest punktualny i nie podoba mu się, że musi przyjść do kwestury w dzień świąteczny. Siada, nie pytając o pozwolenie.

– Widział pan, *dottore*, ilu włóczęgów na ulicy?

Wiem, że to kolor skóry tych biedaków sprawia mi problem. Wbił sobie do głowy tę gadkę, że zniszczą naszą cywilizację.

– W Afryce umierają z głodu, Coppola.

– I przyjeżdżają tutaj jeść nasz chleb? Zabierać pracę naszym dzieciom?

Zmieniam temat.

– Przesłuchałeś wszystkich świadków?

– Świadkowie nic nie wniesli. Dzieciaki nawalone piwem i innym świństwem, ni chuja nie wiedzą.

– Coppola, już ci mówiłem...

– Przepraszam, wymusnęło mi się.

– A co znalazł lekarz sądowy?

Krasnal kręci głową.

– Według medyka, który był na miejscu, dziewczyna została pobita, zgwałcona i uduszona. Ale to nawet głupi by wiedział. Na szczęście dodał, że śmierć nastąpiła między pierwszą a drugą w nocy.

– Ślady?

– Kryminalistyka zabezpieczyła całkiem dużo, także DNA, i w kabinie, i na piasku obok. Ale musimy poczekać, żeby dowiedzieć się więcej.

Wstaje, idzie otworzyć okno. Do środka wdziera się hałas ulicznego ruchu.

– Słuchaj, Coppola, to mój pokój. Zamknij okno.

– Ale *dottore*, tu tak cuchnie papierosami, że nie da się oddychać. A w ogóle to zabronione...

– Wiesz, Coppola, jest mnóstwo wolnych miejsc na komisariatach w górskich pipidówkach. Doskonałe powietrze. Mam poprosić, żeby cię tam przenieśli?

Zamyka okno i siada.

– Rozmawiałeś z koleżanką Donatelli, z którą poszła na dyskotekę?

Nie patrzy na mnie, jest obrażony.

– Jakiś czas były razem, tańczyły i piły, ale po pierwszej już jej nie widziała. Były tam setki osób, bramkarz w lokalu też nie pamięta Donatelli, za dużo dzieciaków wchodziło i wychodziło.

– Dziewczyny brały jakieś narkotyki?

Coppola się krzywi.

– Koleżanka Donatelli mówi, że nie. Że Donatella była przeciwna narkotykom, zero skrętów, żadnej ecstazy. Ale zobaczymy, co powie autopsja.

– Zakład kąpielowy?

– Jest jeszcze zamknięty, otwierają za trzy tygodnie. Drzwi do szatni nie miały nawet kłódki.

– Znalazłeś coś jeszcze?

– W bazie danych mamy mnóstwo przypadków dziewczyn pobitych i zgwałconych w pobliżu dyskoteki. Ale znacznie mniej zabójstw. No i złapaliśmy winnych, wszyscy siedzą. Myślę, że ten z wczoraj to ktoś taki, co może już wcześniej bił i gwałcił, ale po raz pierwszy zabił. Tylko że jak tacy zaczynają...

Cały Coppola. Ogląda zbyt wiele amerykańskich filmów i lubi dreszczowce.

– Dobra, Coppola. Zanim zbudujemy teorię o nowym seryjnym zabójcy, rozważmy inne hipotezy.

– Typu przypadkowy zboczeniec, który przeciągnął strunę?

– Porozmawiamy po sekcji zwłok. A ty przez ten czas przygotuj raport

dla prokuratora.

– Dziś święto, Contiego nie ma w prokuraturze, będzie jutro.

– A więc masz więcej czasu. Wracaj do domu do Lucii i Cira i odpocznij jak wszyscy inni Włosi. Donatelli Caruso to nie zrobi różnicy.

Uśmiecha się.

– Dziś Ciro kończy dwanaście lat. Chce pan zobaczyć, jaki już jest duży?

Z dumą pokazuje mi fotografię dzieciaka stojącego pomiędzy obojgiem rodziców. Ma oczy Coppoli i jest bardzo wysoki, jak matka.

– Gratulacje, Coppola, wracaj do nich.

Spogląda na mnie przez chwilę.

– Wieczorem przychodzą do nas krewni i znajomi na imprezę. Proszę do nas wpaść, co pan tu będzie robił, *dottore*?

Przyjmuje za oczywiste, że nie mam nikogo, z kim mógłbym spędzić świąteczny dzień – i ma rację. Nie mam nikogo, z kim miałbym ochotę go spędzić.

– Dzięki, Coppola. Mam umówioną kolację, pożycz Cirowi wszystkiego najlepszego ode mnie.

Nanni

Kiedy wstaję z łóżka, jest po dziesiątej. Jeśli tylko mogę, śpię do późna. Oczywiście Bianca jest już na nogach, kto wie, od jak dawna. Dobiega czterdziestki i wciąż jest szczupła, codziennie rano od szóstej do siódmej zakłada na uszy słuchawki i ćwiczy na elektrycznej bieżni. Nie słucha muzyki, ma nagrania z przesłuchań i podsłuchów. Jestem od niej tylko rok starszy i wszyscy mówią, że wyglądam na trzydzieści lat z tą moją aurą intelektualisty, włosami wciąż nietkniętymi siwizną, gładką skórą, opalenizną nabytą na żaglówkach, zadbanym zarostem i eleganckim ubraniem. *Twój mąż wygląda jak nastolatek*. Bianca uśmiecha się, kiedy jej to mówią znajomi. A jednak czterdzieste urodziny koszmarne mi ciążyły i wielką imprezę, przygotowaną na moją cześć przez Biancę i przyjaciół, przeżyłem prawie jak pogrzeb.

Zastaję ją w pełnym słońca salonie. Włosy ma mokre po prysznicu.

Skończyła swoją godzinę na bieżni, przygotowała śniadanie dla Luki, dopilnowała, żeby umył zęby, na pewno mu powiedziała, by odrobił lekcje. Teraz siedzi w fotelu i studiuje dokumenty przyniesione z pracy, zwyczaj, którego nie aprobuję. W kuchni stół jest nakryty do śniadania także dla mnie.

Gdy tylko mnie widzi, uśmiecha się, odkłada papiery, wstaje i daje mi całusa. Potem zapala gaz pod przygotowaną wcześniej kawiarką. Wie, że mocne gorące espresso razem z lekturą „Il Domani”, po które już zdążyła zejść do kiosku, to mój ulubiony początek dnia.

Bianca jest kobietą, którą każdy chciałby mieć u boku. Ale czasem myślę, że nikt poza mną nie chciałby jej mieć u boku *na zawsze*. Niezależnie od tego, jak bardzo stymulujące to doświadczenie, nie jest proste żyć z kimś, kogo przez cały czas postrzegasz jako osobę lepszą od siebie. Z kimś, kto jest przy każdej okazji gotowy wziąć na siebie problemy. Swoje i cudze. Taka już jest. Kiedy miała dwanaście lat, straciła ojca policjanta, którego zastrzeliła camorra, a w liceum do samego końca opiekowała się chorą na raka matką.

Dlaczego związała się ze mną? Dlaczego mnie wybrała do swojego projektu rodziny doskonałej?

Jestem pewien, że z początku główną rolę odegrał mój wygląd i seks. No i to, że kiedy ją poznałem, ja też zaczynałem pragnąć stabilizacji.

Ale później, z upływem czasu? Dziś, kiedy znamy się od czternastu lat, a małżeństwem jesteśmy od dwunastu?

Bianca wraca na fotel i z powrotem zagłębia się w swoich papierach. Ja przebiegam wzrokiem po tytułach w „Il Domani”, popijając kawę. Na pierwszej stronie artykuł o tragicznej śmierci dziewczyny, Donatelli Caruso. Nie mam najmniejszej ochoty czytać tego tekstu, pod którym podpisany jest niejaki Franco Romero.

Gdzieś w rogu na stronie doniesień lokalnych umieszczono krótką notatkę o wczorajszej debacie w auli uniwersytetu. Nie wiedząc dobrze czemu – albo udając przed samym sobą, że nie wiem – idę do komputera i wpisuję w Google hasło *victor bonocore*. Wyświetla się parę starych odnośników do publikacji w amerykańskich czasopismach naukowych. Na jakiejś stronie znajduję szcątkową biografię. Syn włoskich imigrantów, urodzony w Nowym Jorku, pięćdziesiąt cztery lata. Po ukończeniu liceum został przyjęty do Princeton. W krótkim czasie ukończył fizykę, a następnie matematykę, po czym udał się do Kalifornii, gdzie na Uniwersytecie Stanforda obronił doktorat. Był jednym z pionierów rewolucji

technologicznej w Dolinie Krzemowej. Jego założona w 1985 roku firma była jedną z pierwszych, które umiały połączyć komputery w sieć. Dziesięć lat później Bonocore sprzedał swoje udziały w firmie i powrócił do swoich ukochanych sal uniwersyteckich. Znowu przeprowadził się na wschód i wybrał Uniwersytet Nowojorski. Tam wykładał i prowadził badania.

Bianca odkłada na chwilę dokumenty. Ściąga okulary, patrzy na mnie, nie wstając z fotela.

– Nanni, mam mnóstwo zaległych dokumentów, a po obiedzie muszę wpaść do prokuratury. Możesz zająć się Lucą? Musi odrobić lekcje, nie chciałabym, żeby spędził cały czas na robieniu zdjęć na balkonie.

Czuję irytację, z pewnością nie to miałem w planach na dzisiaj. Wszechobecność pracy mojej żony denerwuje mnie, zajmuje nienależne miejsce. A pilnowanie Luki to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Nasz syn to najnormalniej wyglądający jedenastolatek, jednak bardzo małomówny i słabo wchodzący w relacje z innymi. W szkole się obija, jego jedynymi pasjami są rysunek i fotografia, co zawdzięcza aparatowi, który mu kupiliśmy. Ja uważam, że problem przekracza nasze możliwości i że należałoby zaprowadzić go do specjalisty, ale Bianca się nie zgadza. Jest zdania, że to zależy tylko od nas, od naszej miłości i obecności przy nim. Przy czym to ja jestem tym nieobecny, a ona tą wszechobecną. To walna bitwa, w której ona jest generałem, a ja zwykłym żołnierzem, jak zresztą we wszystkim, co robi. Ale może właśnie jej głosu Luca słuchał za wiele od samego urodzenia. A teraz instynktownie zbliża się do mnie, a oddala od niej. Woli mnie od nieustannie stojącej nad nim matki. Tylko że ja mam już swoich pacjentów i potrzebuję własnej przestrzeni do życia. Wchodzenie w relację z tym dzieckiem, moim synem, stanowi dla mnie niesłychany wysiłek. Nie chcę jednak dyskutować z Biancą.

– Spokojnie, zajmę się nim.

– Dziękuję, Nanni. Co robisz?

– Bonocore, kiedy był młody, naprawdę był biznesmenem i odniósł sukces. Na pierwszy rzut oka bym nie powiedział.

– Mnie wydał się bardziej aferzystą niż naukowcem. I to dość mrocznym aferzystą...

Znam osady mojej żony i jej uprzedzenia wobec ateizmu, relatywizmu i mężczyzn robiących seksistowskie żarty.

– Nie ma wyglądu i zachowań dżentelmena, fakt. Ale skoro dzięki

pierwszym patentem mógł sprzedać udziały we własnej firmie za ogromne pieniądze, to musi być naprawdę zdolny.

– Istnieją naprawdę zdolni ludzie, którzy nie robią ogromnych pieniędzy. Skąd to wszystko o nim wiesz?

Otóż i moja kochana pani prokurator.

– Rzuciłem okiem na Wikipedię.

– Powiedziałabym, że to było długie rzucenie okiem. Takie wrażenie zrobiły na tobie jego przemyślenia czy jego piękne córki?

Jej irytacja z powodu mojej rozmowy z Nicole i Scarlett nie bierze się z podejrzliwości. Nigdy nie wątpiłaby w moją wierność. To bardziej instynktowna antypatia do tego rodzaju dziewczyn jak Scarlett. Do ciała używanego jako broń.

– To nie jego córki. Ta wyższa to żona. A druga to siostra żony.

Bianca krzywi się lekko.

– Przynajmniej żona nie zachowuje się jak durna wobec mężczyzn starszych od niej o dwadzieścia lat.

– Bianca, takie jak Scarlett lubią prowokować i się bawić. To jeszcze dziewczynka.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Scarlett? Przedstawiliście się sobie?

Jak zawsze jestem roztargniony. Muszę bardziej uważać przy Biance.

– Ona się przedstawiła. Ja tylko odpowiedziałem.

Aż dotąd wszystkie fakty są zgodne z prawdą. A niewypowiedziane pragnienie to nie grzech. Co najwyżej przemilczenie. Bianca z powrotem zagłębia się w papiery, a ja w swoje myśli.

Bianca szybko sprząta po obiedzie, potem wchodzimy do pokoju naszego syna. Luca rysuje swój ulubiony temat: dwa ogromne smoki, a pomiędzy nimi niewielka postać księcia, który broni się przed nimi z mieczem w ręku.

Bianca gładzi go po głowie.

– Synku, mama musi iść do pracy. Tato z tobą zostanie. Będziesz odrabiał lekcje?

Luca nie odrywa się od rysowania i nie odpowiada. Bianca całuje go, potem mnie i wychodzi do prokuratury.

Luca patrzy na mnie.

– Nie lubię arytmetyki.
– Zrobimy tak: weź zeszyt, ja ci podam właściwe odpowiedzi, napiszesz je, a potem wrócisz do rysowania.
Szeroko otwiera oczy.
– A mama?
– Mama ma dużo zmartwień, nie dodawajmy do tego jeszcze twoich zadań domowych.
Wygląda na zadowolonego.
– Czyli to tajemnica?
Wiem, że to nie kłamstwo, a kolejne niedopowiedzenie. Bianca przejrzy zeszyt syna, zobaczy zrobione zadania i będzie spokojna.
– Tak, Luca. No to bierzmy się do tego i zaraz znów będziesz mógł rysować.
Zajmuje nam to piętnaście minut. Potem dzwonię do Rosy.
– Bianca musiała jechać do biura, a mnie coś wypadło. Mogłabyś przyjechać i przypilnować Lucę?
Jak zwykle Rosa jest dyspozycyjna i już pół godziny później dociera do nas do domu. Zostawiam jej syna i wychodzę.

Pogoda jest cudowna i do centrum idę pieszo. Aleje wzdłuż Tybru pełne są turystów, młodzieży i par, często z dziećmi. Przyszli klienci i materiał do mojej książki.

Oglądam witryny sklepów pozamykanych z racji święta. Mój nowy obiekt pożądania nazywa się Nokia Communicator 9210 i będzie w sprzedaży za miesiąc. Pewnie, że kosztuje koszmarnie dużo, ponad dwa miliony lirów. Ale przynosimy do domu dwie wypłaty, Bianca nieco więcej ode mnie, a dom dostaliśmy od moich rodziców, więc nie mamy na głowie ani czynszu, ani kredytu do spłacenia. I chcę być wśród pierwszych posiadaczy tego telefonu. Zatrzymuję się przed witryną sklepu firmowego Gucciego. Wracają do mody spodnie z kantem i zaszewką, krój, który bardzo dobrze na mnie leży. Oczywiście kosztują paręset tysięcy lirów, ale wiem, że bardzo dobrze będą w nich wyglądała. Nagle słyszę, że ktoś mnie woła.

– Johnny!

Scarlett Steele stoi w grupie swoich rówieśników. Obcisłe dzinsy odkrywają opalony pępek. Zajada się lodem. Uśmiecha się i podchodzi do

mnie.

– Johnny! Taki przystojniak jak ty nie ma nic lepszego do roboty jak samotny spacer?

Powstrzymuję uśmiech. Pochlebstwo robi na mnie wrażenie, ale ona nie może się o tym dowiedzieć.

– Lubię samotne spacery.

– Co za głupota!

– Pracuję, panno Steele.

Patrzy na mnie, jakbym był szalony.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

Cierpliwie się uśmiecham.

– Piszę książkę. Kiedy spaceruję, obserwuję ludzi.

Przez chwilę obawiam się, że byłem trochę zbyt pompatyczny i że dziewczyna mnie wyśmieje. Ale nie, wydaje się pod wrażeniem.

– Jesteś pisarzem?

Ciekawe, dlaczego na kobietach takie wrażenie robią mężczyźni, którzy mogą o sobie powiedzieć, że są pisarzami. Może wyobrażają sobie, że są bardzo inteligentni i wyjątkowo wrażliwi.

– Jestem psychoterapeutą i pracuję z parami. I piszę książkę na ten temat.

Dziewczyna chichocze.

– W takim razie powinieneś przeprowadzić ze mną wywiad, Johnny! Jestem ekspertką od nieszczęśliwych mężów i narzeczonych! Jeśli mnie odwiedzisz, wszystko ci wyjaśnię.

Podaje mi bilecik. Przez moment myślę, że to wizytówka, potem się orientuję, że to reklama lokalu Food and Drink.

– Wieczorami pracuję jako kelnerka w tym pubie na Zatybrzu. Jeśli wpadniesz, opowiem ci coś o twoich parach, Johnny...

Biorę bilecik, wsadzam do kieszeni, podaję jej rękę i żegnam się formalnie. Kiedy odchodzi, patrzę na jej tyłek.

Jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem. Ciekawe, jaka ona jest...

Zaskakuje mnie ta druga część mojej myśli. Mówię sobie, że to normalne u czterdziestolatka. Nieco odważniejsze myśli. Ale tylko myśli. Wracam do oglądania spodni w witrynie sklepu Gucciego.

Środa, 2 maja 2001

Balistreri

Wygląda na to, że Ezio Conti wypoczął. Opalenizna na twarzy wskazuje, że spędził wolny dzień na świeżym powietrzu, wyciągnięty na leżaku. Znamy się od dawna, pracowaliśmy razem przy innych sprawach. Wszystkie rozwiązane. Siedzi za swoim pięknym biurkiem i patrzy na mnie i Antonia Coppolę niezadowolonym wzrokiem.

– Nie wydaje mi się, żebyście zrobili wielkie postępy.

Coppola kręci się niespokojnie obok mnie. Nie znosi Contiego. Straszny snob i do tego wysoki. Ale tym razem prokurator ma rację. Wiele nie mamy. Może nawet nic.

Conti patrzy na mnie.

– No więc? Mamy w mieście seryjnego zabójcę? Nie jesteśmy przecież w Ameryce. I jak się zdaje, nie mamy nierozwiązanych spraw podobnych do tej.

– Rzeczywiście. To nie seryjny zabójca.

Spogląda na mnie pytająco.

– A z czego to wnioskujesz, Balistreri?

Coppola chrząka. Lubi wprawiać Contiego w zakłopotanie.

– Przepraszam, panie prokuratorze. Jeśli znajdzie pan czas na lekturę wstępnego raportu kryminalistycznego...

Podaje mu egzemplarz, choć raport wysłałem mu wczoraj e-mailem. Tylko że Conti był nad morzem i z pewnością nie miał jak go zobaczyć.

Czyta teraz, podnosząc brew już po pierwszych zdaniach.

– Brak spermy w pochwie?

Coppola uprzedza moją odpowiedź:

– Użył prezerwatywy, panie prokuratorze. Ewidentnie sądzi, że jego DNA jest w naszej bazie danych, czy to z powodu gwałtu, czy innego przestępstwa. W międzynarodowych bazach danych mamy niewielu gwałcicieli i seryjnych zabójców, którzy używają prezerwatywy.

Conti odkłada kartki.

- Przypadkowy zboczeniec z prezerwatywą w kieszeni?
- Widziałeś wstępny raport z sekcji zwłok? – pytam.
Patrzy na mnie z irytacją. Pewnie, że nie widział.
- Czytałem go, Balistreri. I nie znalazłem tam nic użytecznego.
- Donatella Caruso nie była pijana, poziom alkoholu we krwi jest taki, że mogłaby prowadzić samochód. I nie brała żadnych prochów.
Prokurator traci cierpliwość.
- No i co z tego?
- Dziewczyna była w doskonałej formie fizycznej. Wiesz, jaki sport uprawiała? Karate. Trenowała codziennie.
- Rozumiem. Ale jeśli tamten był uzbrojony, na pustej plaży mogła mieć nawet czarny pas i nic...
- To nie była pusta plaża, panie prokuratorze. Donatella poszła z koleżanką potańczyć do tłocznej dyskoteki. Gdyby ktoś chciał ją wyciągnąć siłą, stawiałaby opór, skoro była trzeźwa. A bramkarz w lokalu z pewnością by coś zauważył.
- Może poszła zapalić papierosa na plaży przed dyskoteką i tam ją dopadła ta bestia.
- Nie paliła. Co więcej, plaża przed dyskoteką jest oświetlona i bramkarz widziałby ją albo słyszał krzyki.
- Conti patrzy na mnie z rosnącą irytacją, a Coppola doskonale się bawi.
- Pewnie wyszła z dyskoteki na spacer w stronę kąpieliska, gdzie ją napadnięto.
- Pół kilometra, sama, po ciemnej plaży, panie prokuratorze? Może i tak, ja jednak sądzę, że było inaczej.
- Teraz Conti przestaje ukrywać złość.
- Słuchaj, Balistreri. Już od lat w prokuraturze znosimy cierpliwie twoje grubiaństwo, a wiesz dlaczego? Bo masz szczęście i dobrych ludzi w wydziale, którzy za ciebie znajdują morderców. Ale jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, porozmawiam z moim szefem, prokuratorem Abbiatim, a on porozmawia z twoim szefem, kwestorem...
- Wstaję, a Coppola razem ze mną.
- Znał ją, panie prokuratorze. Podszedł do niej w dyskotece i pod jakimś pozorem przekonał ją do spaceru po plaży, aż do kąpieliska. Tymczasem do usłyszenia.
- Kiedy wychodzimy, Coppola chichocze.

– Wie pan, co o panu mówią w kryminalnym i prokuraturze, *dottor* Balistreri?

– Nic mnie to nie obchodzi, Coppola.

– Właśnie. Zimny facet bez serca, tak mówią. Ale pan ma łeb, a to jest tysiąc razy więcej warte.

– Słuchaj, Coppola, nic mnie to nie...

– Wiem. Ale mogę przynajmniej powiedzieć, dlaczego wolę pracować u pana mimo tych pańskich manier i cuchnącego gabinetu?

Patrzę na tego półtorametrowego człowieczka. Też go lubię, może z powodu jego wzrostu, a może przez jego wady.

– No dobrze, Coppola. Powiedz i więcej już o tym nie rozmawiajmy.

Puszczaj do mnie oko.

– Miesiąc temu był u nas kurs dla wszystkich naczelników sekcji, pamięta pan? O tym, jak motywować podwładnych.

– Nie pamiętam i...

– Nie pamięta pan, ponieważ był pan jedynym naczelnikiem, który tam nie był. Wykręcił się pan chorobą.

– Miałem atak nadkwasoty.

– Nadkwasoty, akurat! Tamtego dnia widziałem pana na kolacji z zajebistą cipą.

– Coppola!

– Przepraszam. W każdym razie nie jest pan typem, który chodziłby na kursy, gdzie uczą, jak posuwać podwładnych od tyłu i bez mydła.

Odpuszczam. Na Krasnala nie ma sposobu.

Czwartek, 3 maja 2001

Nanni

Rosa jest pomocą domową doskonałą. Numer stacjonarny mojego gabinetu został przekierowany na jej komórkę i w ten sposób może wykonywać dla mnie pracę sekretarki. Dzwoni do mnie między jedną a drugą parą pacjentów:

– Właśnie telefonowała dziewczyna z amerykańskim akcentem. Miss Steele. Zostawiła mi numer.

– Teraz nie mogę. Przypomnij mi o tym kiedy indziej – odpowiadam instynktownie.

Nie mam zamiaru rozmawiać ze Scarlett Steele. Nie za pośrednictwem Rosy, to by była wielka nieostrożność. Tym bardziej że Bianca widziała ją ze mną i wiem, co sądzi o dziewczynach typu Scarlett.

Ale po południu Rosa telefonuje ponownie:

– Znowu dzwoniła Miss Steele.

Postanawiam zmierzyć się z sytuacją. Inaczej Scarlett będzie dalej do mnie wydzwaniać, a nie chcę, by Rosa zapamiętała to nazwisko. Każę sobie przedyktować numer i dzwonię.

– Panno Scarlett – zaczynam bardzo formalnym tonem.

Słyszę lekki śmiech. Ale to nie jest bezczelny śmiech Scarlett. To śmiech zażenowania.

– Nie jestem Scarlett, *dottor Annibaldi*. Jestem Nicole Steele.

Już drugi raz popełniam gafę wobec tej kobiety, ale ona zdaje się tym nie przejmować.

– Przepraszam, *dottore*. Powinna była podać swoje nazwisko po mężu, a teraz pomyślał pan, że to moja siostra próbuje się z panem skontaktować.

Nie mam nic przeciwko temu, że Nicole uważa, iż nie miałem ochoty oddzwaniać do jej siostry. Odpowiadam po angielsku:

– Tak, to prawda. Jak mogę pani pomóc?

Ona też kontynuuje po angielsku:

– Po naszym spotkaniu przedwczoraj na uniwersytecie przemyślałam różne rzeczy. Chciałabym, żebyśmy z Victorem rozpoczęli terapię u pana.

– Pani Bonocore, są dwa podstawowe założenia, które trzeba spełnić, by podjąć terapię: trzeba być przekonanym, że to może pomóc, i należy osobiście wybrać terapeutę.

– Sądzę, że oba są spełnione.

– Za pozwoleniem, pani Bonocore, z tego, co słyszałem tamtego wieczoru, wnioskuję, że pani mąż nie jest typem chętnym do poddania się psychoanalizie. Poza tym on mnie nie wybrał.

Kobieta wzdycha.

– W pewnym sensie ma pan rację. Victor nikogo by nie poprosił o pomoc. Ale wierzę, że byłby skłonny podjąć terapię, gdybym mu ją zasugerowała, skoro mówi, że mnie kocha i nie chce mnie stracić.

– A dlaczego właśnie ja?

– Ponieważ trudno jest mi mówić o pewnych sprawach, a tym bardziej po włosku. A pan świetnie mówi po angielsku.

– No dobrze, ale pozostaje jeszcze to, że pani mąż mnie nie zna. W porządku, skoro tak pani uważa, proszę mu to zaproponować, a potem zobaczymy.

– Chciałabym lepiej wiedzieć, jak mu to przedstawić. Czy możemy się spotkać i porozmawiać o tym osobiście?

– Przyjmuję pacjentów do siódmej, a o ósmej jem kolację z żoną i synem.

– Mogę być w pana gabinecie kwadrans po siódmej. Zabiorę panu tylko kilka minut.

Doświadczam jednocześnie dwóch emocji. Nie powinienem mieć nic wspólnego z siostrami Steele. Ale nie chcę odmówić.

– Dobrze. Czekam na panią kwadrans po siódmej, ale będę miał tylko parę minut.

Balistreri

Pamela Neri ma zaledwie dwadzieścia lat. Drży, nie potrafi powstrzymać łez. Niezwykle trudno wydobyć coś użytecznego od przerażonego świadka, na dodatek kompletnie rozbitego po śmierci najbliższej przyjaciółki.

Jesteśmy u niej w domu. Siedzi na kanapie pomiędzy swoimi rodzicami, naprzeciwko Coppoli i mnie.

– Donatella była nadzwyczajną dziewczyną. Dobrą i koleżeńską.

Wysportowaną. Przyjaźniłyśmy się jeszcze w liceum, przed zrobieniem dyplomu z księgowości. Potem ja poszłam na studia, a ona do pracy w firmie ojca.

– Miała chłopaka?

Ociera łzę.

– Już nie. Od kiedy rok temu zerwała z Paolem...

- Długo byli razem?

Pamela próbuje się uśmiechnąć.

– Sześć lat. Od kiedy skończyła czternaście. Jej pierwsza i jedyna miłość.

– I dlaczego zerwali?

– Bo dziewczyny często dojrzewają szybciej od chłopaków. Donatella była bardzo dojrzała, skończyła szkołę, zdobyła zawód, pracowała, a Paolo parę razy oblał egzaminy, był zafiksowany na piłce nożnej i tam tracił czas, należał do ultrasów Lazio, chodził na wszystkie mecze w Rzymie i na wyjeździe. W końcu Donatella musiała go rzucić...

– Dla innego? – pyta Coppola.

Zdecydowanie kręci głową.

– Nie, choć wymyśliła sobie, że kogoś ma, by przekonać Paola, że ma się od niej odczepić. Wie pan, czasem to jedyny sposób.

– Pamięta pani nazwisko Paola? – pytam.

– Oczywiście, Paolo Maestri, mieszka w tej samej dzielnicy co Carusowie, niedaleko ich domu.

– Czy ostatnio kręcili się wokół Donatelli jacyś chłopcy?

– Jacyś tak, ale nikt, na kim by jej zależało.

– Przychodzi pani na myśl ktoś szczególnie? Może jakiś bardziej natrętny chłopak?

Zastanawia się chwilę.

– Nie wiem o nikim takim. A Donatella by mi powiedziała.

Teraz przychodzi najgorsza część.

– Tamtego wieczoru w dyskotecę... Pojechałyście tam same autem Donatelli, tak?

– Tak, oczywiście. Tylko my dwie.

– Byłyście z kimś umówione na miejscu?

– Nie, często jeździłyśmy same się pobawić.

– Tańczyłyście tam same?

– Tak, przez dłuższy czas. Później wie pan, jak to jest, ludzie się gubią w

tłoku na parkiecie, potem odnajdują i znów tracą z oczu. Tylko że w pewnym momencie Donatella całkiem znikła...

Znów zaczyna płakać i spojrzenie ojca daje mi do zrozumienia, że czas kończyć.

– Jest pani pewna, że nie widziała jej byłego chłopaka w lokalu?

Kręci głową.

– Nie było go.

Coś w tej zdecydowanej odpowiedzi mnie zastanawia.

– Skąd ma pani tę pewność? Tam były setki osób...

– Ma pan rację. Chodziło mi o to, że go nie widziałam, a Donatella mi powiedziała, że Paola tam nie ma.

– Donatella powiedziała, że Paola tam nie ma? A skąd jej taka myśl przyszła do głowy?

– W pewnej chwili podczas tańca znalazłyśmy się blisko chłopaka, który miał na ramieniu taki sam tatuaż jak Paolo, orła z herbu Lazio. I wtedy Donatella powiedziała coś takiego: *Wiesz, że wciąż tęsknię za Paolem? I wolałabym, żeby on tu był obok zamiast tego bandziora.*

– Bandziora? Napastował was?

Dziewczyna kręci głową.

– Nie, ani trochę. Tyle że ten facet obok orła miał wytatuowany dwusieczny topór. A Donatella zawsze udzielała się w lewicowych środowiskach, chodziła do centrów społecznych.

Na moment milknę. Dwusieczny topór, symbol Ordine Nuovo, skrajnie prawicowej organizacji, do której sam należałem w początkach lat siedemdziesiątych.

– Czy ten facet z wami rozmawiał? – pytam.

– Nie, przy muzyce na pełen regulator nie da się rozmawiać.

– Może go nam pani opisać? – pyta Coppola.

– W tłumie i przy tych psychodelicznych światłach niewiele widać. Ale był wysoki i potężnie zbudowany. Łysa głowa, zdaje się, że miał taki mały śmieszny zarost na podbródku.

Pamela znów zaczyna płakać. Żegnamy się. Gdy jesteśmy w samochodzie, Coppola dzwoni, by znaleźli adres Paola Maestriego. Potem spogląda na mnie.

– Pan wie, co oznacza dwusieczny topór, *dottore*?

– Wiem, Coppola. Ale nie wszyscy w Ordine Nuovo byli mordercami.

Jedni tak, inni nie.

- Ale ten gość z łysą pałą, tatuażami, bródką...
- Coppola, jesteśmy policjantami. Osądzamy fakty, nie osoby.
- Naprawdę? Czy jeśli weźmiemy dziesięciu takich jak on i dziesięciu normalnych, co nie należą do ultrasów, bez tatuaży, to według pana mamy takie samo prawdopodobieństwo, że będzie wśród nich przestępca?

Zapalam gitane'a, a on otwiera okienko.

- Nie, Coppola, nie takie samo. Ale jeśli do przestępców zaliczysz też oszustów podatkowych, łapówkarzy i łapowników, to bardziej prawdopodobne jest, że będzie nim ktoś z tych, których ty nazywasz normalnymi.

Nanni

Punktualnie o siódmej piętnaście słyszę dźwięk dzwonka. Otwieram drzwi, za którymi stoi Nicole Steele w długiej szarej narzutce na szmaragdowozielonym żakiecie, w białej bluzce i czarnej spódnicy za kolano. Rude włosy okrywa jej szara apaszka, oczy chowają się za dużymi ciemnymi okularami. Nie potrafię ocenić, ile może mieć lat. Niewiele, oceniając po skórze, znacznie więcej, sądząc po zachowaniu. Piękna, lecz seksualnie obojętna kobieta. Zbyt chłodna, zbyt grzeczna, zbyt małżeńska. Całkowite przeciwieństwo siostry.

- Proszę, pani Bonocore.

Uznałem, że taka forma będzie najwłaściwsza.

Przez przedpokój wchodzimy do mojego gabinetu z biurkiem, fotelem, skórzaną kanapą i jeszcze jednym fotelem. Wszystkie meble wybrała i kupiła Bianca. Jak zawsze okiennice są przymknięte, a w rogu pomieszczenia, naprzeciwko fotela i kanapy, pali się lampa z abażurem. Nadmiar światła odbiera poczucie zaufania, ciemność napawa strachem. Ale rozproszone światło uwalnia duszę.

Nicole Steele nie zdejmuje narzutki ani apaszki, ja też jej tego nie sugeruję. Gestem wskazuję jej fotel, a sam przesuwam swój w taki sposób, żeby usiąść naprzeciwko. Nicole niepewnie patrzy na kanapę.

- Używam jej do terapii par.

Sprawia wrażenie zaniepokojonej.

- To znaczy, że para siada na kanapie?
- Albo jedno na kanapie, a drugie na fotelu. Pozwalam im wybrać, nie decyduję za nich.
- Bo to już jest pierwsza wskazówka?
- Niekiedy tak. Chcę tylko, by pacjenci czuli się tu dobrze.
- Siada na skraju fotela, nie opierając się. Wygląda, jakby była w gotowości, by natychmiast wstać i wyjść. Nie zamierzam jej niczego ułatwiać, to ona prosiła o spotkanie.
- Przepraszam bardzo, że zajmuję panu czas, *dottor Annibaldi*. Ale mam problem, z którym nie potrafię sobie poradzić, i pomyślałam, że mógłby mi pan pomóc.
- Jak już pani powiedziałem przez telefon, zanim rozpocznę serię spotkań z pacjentami...
- Ja i mój mąż się kochamy. Ale może pobraliśmy się za szybko i pojawiły się spięcia.
- Jak już mówiłem, potrzebna jest wola obojga pacjentów, by można podjąć terapię.
- Victor nie chce mnie stracić. Zgodzi się, jeśli go o to poproszę. Jak często będziemy się musieli spotykać?
- Proszę porozmawiać z mężem, potem zobaczymy. Chcę się nad tym zastanowić, pani Bonocore.
- Jest już siódma trzydzieści i najpóźniej za kwadrans muszę wyjść, jeśli mam się nie spóźnić na kolację. Nicole musi czytać mi w myślach, bo wstaje.
- Musi pan wrócić do domu, *dottore*.
- Kiwam głową i też się podnoszę. Koniec rozmowy. Wychodzimy tylną bramą, od strony ogrodu. Czerwone bmw Z3 parkuje obok mojego mercedesa. Nicole otwiera drzwi, już zamierza wsiąść, ale zatrzymuje się na chwilę. Słońce zaczęło zachodzić, ściąga ciemne okulary. Prawie czarny siniec pod lewym okiem jest odpowiedzią na pytanie, którego nie chciałem jej zadawać.
- Jaki ma pani problem z mężem?*
- Grzecznie podaje mi rękę. Potem wsiada do samochodu.
- Tak czy inaczej dziękuję, *dottor Annibaldi*.

Piątek, 4 maja 2001

Balistreri

Paolo Maestri pojawia się w naszym biurze wcześniej rano w towarzystwie adwokata. Trudno się dziwić, kto by zrobił inaczej, kiedy wzywa go sekcja zabójstw? To nie jest przyjemne doświadczenie, a chłopak ma zaledwie dwadzieścia lat i co najwyżej brał udział w jakiejś kibolskiej ustawce przed stadionem. Widzę w jego oczach strach normalnego obywatela zmuszonego stawić się na policji, a nie winowajcy.

– Panie Maestri, jest pan tu jedynie w charakterze osoby posiadającej pewną wiedzę. Przynajmniej na razie.

– Co znaczy: przynajmniej na razie? – pyta natychmiast adwokat.

– To znaczy, że zadamy pańskiemu klientowi pytania. I jeśli nie ma nic wspólnego ze śmiercią Donatelli Caruso oraz udzieli nam wyczerpujących informacji, za godzinę wróci do domu. Inaczej...

Adwokat patrzy na mnie z widocznym zdziwieniem. Jest młody, pewnie przyjaciel rodziny, i chyba jeszcze nigdy nie miał do czynienia z morderstwem, nie mówiąc już o moich metodach.

– Mój klient nie był karany i nie ma nic do ukrycia, *dottor* Balistreri. Nie widzę powodu, by używać grózb.

– Słowo „inaczej” nie stanowi groźby dla kogoś niewinnego, mecenasie. A żeby wyzbyć się wątpliwości, chcielibyśmy, by pański klient powiedział nam, gdzie się znajdował w nocy z niedzieli dwudziestego dziewiątego na poniedziałek trzydziestego kwietnia, kiedy zginęła Donatella Caruso.

Paolo Maestri zdaje się czuć ulgę, słysząc to pytanie.

– W niedzielę były derby, *dottore*. Tamci już wygrywali dwa zero, aleśmy w ostatniej chwili wyrównali. Po wyjściu ponaparzaliśmy się trochę, a potem poszliśmy z przyjaciółmi świętować. Całą noc.

– Pojechaliście do Ostii? – pyta Coppola.

– A co byśmy tam mieli robić? Chodziliśmy po Rzymie, a potem byliśmy w naszym klubie. Byli tam zresztą pańscy koledzy z policji, którzy kibicują Lazio tak samo jak my. Przysięgam, Donatelli bym nie zrobił nic złego.

Coppola notuje nazwiska kolegów chłopaka i ludzi z klubu fanów Lazio. Sprawdzimy wszystko, ale jestem raczej przekonany, że Paolo Mestri mówi prawdę. Bardzo łatwo byłoby zakwestionować takie alibi.

– Dobrze, na razie to zostawmy. Teraz zapytam o coś innego. Czy wśród pańskich kolegów z trybun ktoś ma tatuaż z orłem na ramieniu?

Patrzy na mnie zdziwiony, podwija rękaw i pokazuje mi tatuaż.

– Wszyscy mamy orła, *dotto*.

– Tak, ale tamten oprócz orła ma jeszcze dwusieczny topór. Przychodzi panu na myśl ktoś taki?

Chłopak się krzywi.

– Topór Ordine Nuovo mają tylko ci z grupy Zawsze Wierni, tak o sobie mówią. Oni są chorzy na głowę, *dotto*. Chorzy na głowę i niebezpieczni. Ja i moi koledzy nie mamy z nimi nic wspólnego.

– Ale zna ich pan, prawda? Chodzi mi o gościa z wygoloną głową i małą bródką.

Zastanawia się przez chwilę.

– Nie umiem powiedzieć. Tam niemal wszyscy tak samo wyglądają, bródka i łysa pała. Pozują na twardzieli, ale to nie są kibice jak my, to zwykłe bandziory.

– Donatella chodziła z panem na stadion? Mogła tam kogoś poznać?

Smutno się uśmiecha.

– W starych dobrych czasach, kiedy byliśmy ze sobą, na początku zawsze chodziła. Później, dwa lata temu, powiedziała mi, że to durne, i nie chciała więcej przychodzić. A potem mnie rzuciła.

Zwracam się do adwokata:

– Chwilowo pański klient pozostanie naszym gościem. W ciągu dnia zweryfikujemy jego alibi i całą resztę.

– To znaczy, że mnie pan aresztuje? – pyta chłopak ze strachem w głosie.

– Nie, to znaczy, że może pan wybrać. Albo zostanie pan tu na parę godzin, poczyta sobie z dziesięć razy dzisiejsze wydanie „Corriere dello Sport” i poczeka, aż wszystko sprawdzimy, albo zażądam aresztowania i poczeka pan w celi. Pan, mecenasie, co by doradził swojemu klientowi?

Adwokat krzywi się z niesmakiem.

– To tak pan traktuje porządných obywateli, *dottor* Balistreri?

Coppola odpowiada, zanim zdążam otworzyć usta:

– Porządni obywatele nie uczestniczą w bójkach przy wyjściu ze

stadionu. Powinno się was wszystkich zabrać na jakąś bezludną wyspę i poczekać, aż się pozabijacie między sobą.

Oczywiście postanawiają poczekać u nas. Ale już dwie godziny później jest jasne, że Paolo Mestri jest tylko małym chuliganem, który nie ma nic wspólnego ze śmiercią Donatelli Caruso, i pozwalamy mu wyjść.

– Jak znajdziemy tego z dwusiecznym toporem, który tańczył koło Donatelli? – pyta mnie Coppola.

– Są dwa sposoby. Ty standardowymi kanałami poszukaj informacji o tej całej grupie Zawsze Wierni i o wszystkich, których w ostatnich trzech latach złapała policja poza stadionem.

– Jasne, *dottor* Balistreri. A drugi sposób?

– Czy Lazio gra w najbliższą niedzielę u siebie?

– Mnie interesuje koszykówka, *dottore*. Piłka nożna mnie brzydzi.

– To zapytaj kolegów w biurze.

Coppola wychodzi i wraca już po chwili.

– Tak, pojutrze mają mecz z Bari.

– Dobrze. Załatw mi dwa bilety. Na północnym zakolu.

Zaraz potem dzwonię na komórkę do Ezia Contiego.

– Coś nowego, Balistreri?

– Może. Chłopak z wytatuowanym orłem Lazio i dwusiecznym toporem.

– Ktoś jeszcze tatuuje sobie takie pierdoły?

– Zdaje się, że tak. Tak samo jak inni kolekcjonują markowe krawaty.

– A co to ma wspólnego?

– W każdym razie przyjaciółka Donatelli Caruso powiedziała, że gość z takim tatuażem tańczył blisko nich w dyskotecie.

– To mi nie wygląda na jakąś obiecującą poszlakę, Balistreri. Nie masz nic więcej? Bo muszę zreferować sprawę szefowi i nie wydaje mi się, żeby...

– Dam ci znać, panie prokuratorze.

Rozłączam się.

Sobota, 5 maja 2001

Nanni

Pochłania mnie sprawa książki. Na początku wyobrażałem sobie swoją fotografię w witrynach księgarni, wywiady w telewizji ze mną, autorem bestsellera, tłum czytelniczek chcących poznać człowieka, który pomógł im marzyć. Tyle tylko że robienie notatek i zbieranie nagrań z sesji terapeutycznych to jedno, a przekształcenie tego wszystkiego w książkę to całkiem co innego. Od dwóch lat szamocę się między różnymi pomysłami, co rusz zmieniając zdanie. Bianca nie przestaje dodawać mi otuchy: „Spokojnie, Nanni, dasz radę”. Niekiedy przychodzi mi do głowy, że gdyby ona chciała napisać książkę o jednej z prowadzonych przez siebie spraw, zajęłoby jej to tydzień i książka od razu pojawiłaby się na listach bestsellerów. Ale ja nie jestem Biancą, więc parę miesięcy temu poprosiłem o pomoc młodszego kolegę, który pracuje jako redaktor w jednym ze znaczących wydawnictw. Mario robi to dla mnie z wdzięczności, nie dla pieniędzy. Uważa, że uratowałem małżeństwo jego rodziców. W rzeczywistości udało mi się tylko ich przekonać, by poddali się nieuniknionemu kresowi miłości. Mario mieszka w Mediolanie, ale od czasu do czasu wpada do Rzymu i próbuje pomóc mi w uporządkowaniu treści. Przyjeżdża dzisiaj po południu, by zobaczyć moje postępy.

Skończyłem na dziś z pacjentami, jest sobota. Jadę odebrać Lucę, który czeka za szkolną bramą. Dostrzega mnie, wsiada do mercedesa, sprawia wrażenie zmęczonego.

– Wszystko dobrze, Luca?

– Pomożesz mi dziś z arytmetyką, tato?

Kompletnie zapomniałem, a jestem już zajęty z Mariem.

– Dziś nie mogę, Luca. Muszę pracować.

– Tak jak mama?

– Bardziej niż mama.

Kręci głową.

– Niemożliwe.

Ma rację i nie mówimy już nic w drodze do domu. Stół nakryty, obiad gotowy, ale Bianca jest zagoniona.

– Mam masę pracy do nadrobienia, Nanni. Możesz zabrać Lucę do kina?

Tak, to kolejny stały element. We wszystkie sobotnie popołudnia Bianca chodzi z Lucą do kina. Raz czy drugi prosiła mnie, bym ją w tym zastąpił. Jeden wielki koszmar, filmy dla dzieci są najnudniejszą rzeczą, jaka istnieje.

– Nie mogę, Bianca. Przychodzi Mario w związku z książką. Mogłabyś zostawić ten jeden raz Lucę w domu...

– Nie, Nanni, filmy inspirują i Luca ich potrzebuje, jak wszystkie dzieci. Zabiorę go razem z Rosą, a potem pojedę do prokuratury.

– Myślałem o zaproszeniu Maria do nas na kolację.

Rozkłada ręce.

– Rosa musi się zająć Lucą, a ja nie wrócę na czas, żeby coś ugotować. Musicie zjeść na mieście. Wybacz, Nanni, to nie powinno się zdarzyć, ale...

Niemożliwość spełnienia tego, co uważa za swoje rodzinne obowiązki, jest czymś tak niezwykłym, że przez moment się niepokoję.

– Co się dzieje w twojej pracy, Bianca?

Zastanawia się chwilę. Jej śledztwa są sprawą tak samo poufną jak nazwiska moich pacjentów.

– Sprawa z przetargami publicznymi. Nie martw się, Nanni, nic poważnego. Tyle że mam dużo roboty, a w prokuraturze są tacy, którzy mi nie pomagają.

Balistreri

Widziałem już wiele cierpienia, prawdziwego cierpienia, takiego, o którym normalni ludzie nie mają nawet mglistego wyobrażenia, a żaden reżyser ani pisarz nie potrafi go choćby w przybliżeniu opisać. Utrata ukochanej osoby jest sama w sobie tragedią, ale utracenie jej w sposób nagły to coś znacznie gorszego. Jednak utracenie jej, bo ktoś ją zamordował, a wcześniej się nad nią pastwił, jest po prostu nie do zniesienia. To, co widzę, patrząc na ojca Donatelli, wychodzi poza wszelkie znane mi cierpienie. W ciągu pięciu dni Pasquale Caruso postarzał się o dziesięć lat. Nie pamiętałem kompletnie siwych włosów, nie pamiętałem głębokich poziomych bruzd na czole i pionowych na policzkach. Widzę, jak nieszczęśliwe są jego żona Sofia i

córka Alessandra siedzące obok niego na kanapie, ale ten mężczyzna jest kompletnie zniszczony, on po prostu już nie istnieje.

Coppola siedzi obok mnie. Czuję, że oddycha zbyt mocno, jabłko Adama skacze mu w górę i w dół. Nie powinienem był go zabierać. On ma syna, zbyt trudno przychodzi mu koncentracja na faktach. Próbuję zadać pytanie jak najbardziej neutralnie:

– Chłopak z orłem Lazio i dwusiecznym toporem wytatuowanymi na ramieniu. Widzieliście kogoś takiego z Donatellą? Może wam o kimś takim mówiła?

Obie kobiety kręcą głowami. Pasquale Caruso patrzy mi w oczy, niemal przewierca mnie spojrzeniem, a na moje pytanie odpowiada pytaniem:

– Potrafi pan zwrócić mi córkę, *dottor* Balistreri?

Żona i córka trzymają go po obu stronach za ręce, jakby był zagubionym dzieckiem.

Chciałbym powiedzieć mu coś, w co nie wierzę, ale w czym dobrze byłoby pokładać nadzieję.

Pewnego dnia, w innym życiu, pan odnajdzie Donatellę, a ja moją matkę.

Ale nie potrafię. I nie wiem, o co jeszcze mógłbym zapytać. Wstaję i żona odprowadza mnie do drzwi, w tym samym czasie córka obejmuje na kanapie tego mężczyznę, który już nie istnieje. Ściskam dłoń Sofii Caruso. Kobieta patrzy mi w oczy.

– Musi pan wybaczyć mężowi, *dottor* Balistreri. Nie chodzi o to, że nie chce współpracować, ale nie potrafi rozmawiać o Donatelli. Ten chłopak z tatuażem to on?

– Jeszcze nie wiemy, proszę pani. Ale ktokolwiek to był, znajdziemy go.

– A potem?

Właśnie, co potem? Co mam jej powiedzieć?

– A potem zostanie ukarany zgodnie z prawem.

Kobieta kiwa głową.

– Dziękuję, *dottor* Balistreri.

Wychodzimy, wsiadamy do samochodu. Coppola jest ponury. Coś burczy pod nosem.

– Zostanie ukarany zgodnie z prawem. Co za chujowe pocieszenie!

Pracowaliśmy nad tekstem mojej książki, która jeszcze nie jest książką, przez niemal cztery godziny.

– No i co powiesz, Mario?

Uśmiecha się.

– Nie zadawaj sobie w kółko tego pytania, Nanni. Wyluzuj. A poza tym jestem głodny. Chodźmy na kolację i tam porozmawiamy.

Mario jest przystojnym trzydziestolatkiem, sympatycznym singlem. Na kolację trzeba wybrać jakieś wesołe miejsce. Coś z nocnego życia na Zatybrzu albo na Testaccio, w gęstej konstelacji lokali, gdzie możesz zjeść, wypić, posłuchać muzyki, zapalić coś mniej czy bardziej legalnego i nawiązać nowe znajomości.

Ale ja znam tylko te miejsca, w których bywam z Biancą i naszymi nielicznymi starymi znajomymi, spokojne lokale, gdzie nie przychodzi się po nowe znajomości, ale po to, by mówić o tych samych rzeczach z tymi samymi ludźmi. Do innych, od kiedy poznałem Biancę, przestałem chodzić.

Gdy tak się zastanawiam, moja ręka szpera po kieszeni kurtki. Reklamówka Food and Drink wciąż tam jest, od dnia, kiedy na ulicy spotkałem Scarlett. Nie wykorzystałem jej, ale też nie wyrzuciłem, tak samo się robi z numerami zapisanymi w telefonie komórkowym. Nie wykorzystujemy ich, nie powinno ich tam być, ale jednak są.

Parkujemy samochód po drugiej stronie Tybru, przechodzimy przez most Garibaldiiego i zanurzamy się w labirynt uliczek między piazza Trilussa a piazza Santa Maria in Trastevere. Właśnie minęła pierwsza w nocy, dzielnica pełna jest młodzieży pijącej na ulicach piwo i palącej raczej marihuanę niż tytoń. Czuję się tak, jakby w jednej chwili życie stało się lżejsze. Dwadzieścia lat temu kręciłem się tu tak samo jak oni, z dłuższymi baczkami i w spodniach ówczasie modnych. To było przed Biancą.

Żal, Nanni? Może troszkę, ale nie cofnąłbym się w czasie. Bianca nadała sens mojemu życiu.

Przebijamy się przez tłum i wchodzimy do Food and Drink. Roześmiana młodzież, muzyka i – wykorzystując pretekst w postaci na oścież pootwieranych okien – kłęby papierosowego dymu. W tym lokalu, gdzie wszyscy mają poniżej trzydziestki, jestem jedynym czterdziestolatkiem. Nawet moje ubranie, choć nie mam krawata, jest deklaracją daty urodzenia.

Scarlett ma na sobie żółtą sukienkę do pół uda z cienkimi ramiączkami i szczodrym dekoltem. Jej skóra świeci się od potu, jasne włosy opadają swobodnie na ramiona, z uszu zwisają żółte kolczyki typu łezki, na nogach ma tenisówki. Też żółte.

Od razu mnie dostrzega i patrzy takim wzrokiem, jakby zawsze wiedziała, że tu przyjdę. Wita mnie szerokim uśmiechem i okrzykiem „Johnny!”, na który się wzdrygam. Wychodzi nam naprzeciw, jakby była panią domu, a my codziennymi gośćmi.

Przedstawiam ich sobie, Scarlett, Mario. Uśmiecha się w ten swój prowokujący sposób.

– Zaraz zwolnię twój stolik, Johnny!

Kiedy idzie namówić jakąś parę Niemców czy Szwedów, by zwolnili miejsce, skoro już zapłacili rachunek, Mario patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Często tu przychodzisz?

Kręcę głową.

– Scarlett zawsze żartuje.

Natychmiast uświadamiam sobie, że nazwałem ją po imieniu i źle dobrałem przysłówkę. Dopiero trzeci raz widzę Scarlett Steele, ale Mario zawodowo zajmuje się słowami i pod tym *zawsze* rozumie coś całkiem innego. Siadamy, Scarlett pochyla się nad nami, podając nam menu. Mario wydaje się mało zainteresowany kartą, za to bardzo jej dekoltem. Scarlett przynosi nam dwa piwa oraz deskę wędlin i serów, potem idzie zająć się innymi stolikami. Mario patrzy na mnie odrobinę niepewnie.

– Wybacz, Nanni, ale czy to jedna z twoich...

Przerywam mu, zanim powie coś więcej.

– Ledwie ją znam.

Uśmiecha się z wyraźną ulgą.

– Całe szczęście. Bo to naprawdę jest zaje...

Podnoszę dłoń i milknie. Nie chcę słuchać ani pochwał, ani wulgarności, a jeszcze mniej patrzeć, jak iskrzy między nimi dwojgiem.

– No więc co sądzisz o książce?

Nie da rady. Rozmowa o moim przyszłym dziele rwie się, płacze się w dygresjach i traci spójność. I to nie z winy mojej czy piwa. Oczywicie Maria błędzą w poszukiwaniu żółtej sylwetki obsługującej stoły. Nie powinno mnie to irytować, ja przecież też wpatrywałem się w ten tyłek, podobnie jak wcześniej w wiele innych. Otwarcie, zanim poznałem Biancę, później z

wielką ostrożnością. Ale nie pozwalałem sobie na nic, co wykroczyłoby poza sferę myśli. Teraz jednak czuję, jak w moim wnętrzu toruje sobie drogę uczucie podobne do zazdrości wobec Maria. Zazdrość i ukłucie złości.

Dlaczego? Dlaczego ja nie mogę? Kto tak powiedział?

Słyszę śmiech Scarlett i jej wesoły głos wypowiadający imiona kolejnych wchodzących, Vito, Ricky, Sven, Wasilij, sami mężczyźni. Potem wraca do naszego stolika, by sprawdzić, czy nie chcemy jeszcze piwa. Patrzy na nasze puste kufle i zwraca się do mnie, z wolna wydmuchując dym z marlboro:

– Johnny, twój syn jest bardzo pełny pragnienia, przyniosę wam jeszcze dwa.

Potem jej dłoń z paznokciami pomalowanymi – a jakże – na żółto spoczywa na ramieniu Maria i chłopak musi czuć coś w rodzaju wyładowania elektrycznego. Scarlett nachyla się do niego i szepce mu coś do ucha. On najpierw się czerwieni, potem wybucha śmiechem, a ona już idzie po kolejne piwa dla nas. Próbuję kontrolować to, co teraz bardzo wyraźnie czuję.

Zazdrość z powodu jego swobody. Złość na osobę, która ogranicza moją.

Choć minęła już druga, wciąż przychodzą nowi ludzie. Lokal zamykają o trzeciej i mam już dość patrzenia, jak Mario ślini się do Scarlett Steele. Biorę rachunek. W sumie dwadzieścia osiem tysięcy lirów. Kładę na stoliku trzydzieści i wstaję.

– Idziemy spać?

Mario spogląda na mnie zza swoich okularków.

– Ja bym się chętnie jeszcze napił piwa. Ale skoro jesteś zmęczony...

Uśmiecham się do niego, wyciągam rękę na pożegnanie.

– Jasne, zostań. Ale ja już idę.

Puszcza do mnie oko. Robi przecież to samo, co ja robiłem, kiedy byłem wolny. Dlaczego miałby się hamować? Jest singlem, jest młody, jest przystojny. A Scarlett jest nadzwyczajna.

– Dzięki, Mario, i wracaj bezpiecznie. Dobranoc.

Dobranoc, cholera jasna!

Pożera mnie nieopanowana ciekawość. Taka, jakiej nie powinienem przejawiać, bo rzecz ani trochę mnie nie dotyczy. Wiem, że Scarlett musi pracować aż do zamknięcia pubu, do trzeciej. Mam więc mnóstwo czasu, by wszystko przemyśleć i podjąć racjonalną decyzję.

Jak robię, odkąd poznałem Biancę.

Pozwalam sobie na krótki spacer do piazza Santa Maria in Trastevere wśród tłumu młodzieży z butelkami piwa w ręku i papierosami o słodkawym zapachu. Ta cała młodzież, ta cała beztroska wesołość zaczynają mi ciążyć. Wracają te przekłete myśli pojawiające się niekiedy, odkąd skończyłem czterdziestkę.

Starość zaczyna się wtedy, gdy rezygnujesz z wolności w imię bezpieczeństwa.

Wlewam w siebie jeszcze dwa piwa i czuję przemożną ochotę zapalenia trawki. Z łatwością mógłbym kupić haszysz, ale nie mam odwagi. Za pięć trzecia wracam do Food and Drink. Zostaję na zewnątrz, patrzę na rój roześmianej głośniejszej młodzieży wysypujący się z lokalu. Jestem lekko wstawiony, co sprawia, że czuję się mniej winny.

To nie jesteś naprawdę ty.

Scarlett i Mario wychodzą jako ostatni razem z ciemnoskórym chłopakiem, który opuszcza roletę lokalu i zamyka go na klucz. Pewnie właściciel. Scarlett nazywa go Pierre, żegna się z nim i rusza wraz z Mariem w moją stronę. Przechodzą mi niemal przed nosem. Scarlett ma w palcach skręta, poznaję zapach trawki, Mario w ręku trzyma puszkę z piwem. Śmieją się i żartują, a ja kryję się w cieniu bramy.

Mam jednak wrażenie, że Scarlett i tak zauważyła moją obecność, bo wolną ręką chwyta dłoń Maria i kładzie ją sobie na tyłku. Idę za nimi w bezpiecznej odległości, czując coraz większą frustrację. Po kilku minutach wchodzi do kamienicy, w której zapewne ona mieszka. Teraz jestem wściekły. Na siebie, że jestem tu i śledzę ich. Na Maria, bo oczekiwałem, że będzie poważniejszy. Na Scarlett, bo jest małą kurewką. Na Biancę...

Na Biancę? Dlaczego na nią?

Nie chcę nawet zadawać sobie tego przekłętego pytania. Na piazza Santa Maria kupuję trochę trawki od jakiegoś Maghrebczyka. Całe lata nie paliłem dzointa, ale tej nocy nie chcę sobie odmawiać niczego więcej. Zwijam haszysz razem z tytoniem w bibułce z papierosa, którego wyżebrałem od chłopaków na placu. Zaciągam się łapczywie. Choć minęło tyle czasu, zapach, smak i efekt są mi tak dobrze znane, jakbym nigdy nie przestał tego palić. Zaciągam się po raz drugi, potem trzeci. Idę w kierunku Tybru w tłumie młodzieży. Śmiechy, piwo, lekkie narkotyki.

To było twoje życie, Nanni. Sam wybrałeś dla siebie inne.

Kiedy otwieram drzwi, dom spowija mrok i cisza. Rozbieram się w łazience, trzy razy myję zęby specjalną szczoteczką z funkcją czyszczenia przestrzeni międzyzębowej, prezentem od Bianki. Potem płuczę dokładnie usta płynem, aby mieć pewność, że pozbyłem się resztek zapachu i smaku haszyszu.

Wchodzę do ciemnego pokoju Luki. Małe ciało, odziane jedynie w krótkie spodenki, leży zwinięte w pozycji płodowej, bez przykrycia. Jest mu gorąco, tak samo jak mnie. Siedzę chwilę na brzegu łóżka i patrzę na jego małą twarz, kciuk w buzi, wsłuchuję się w płytki oddech. Jak zawsze Bianca czytała mu coś do snu. Fatalny zwyczaj, który nie pozwala mu dorosnąć. Ściany pokoju zapełniają rysunki i fotografie. Rysunki książąt i smoków, fotografie pejzaży zrobionych z naszego balkonu albo z domu moich rodziców w Ostii.

Fotografie, na których nie ma ludzi.

Wchodzę do naszej sypialni. Słyszę oddech mojej żony w ciemnościach rozjaśnianych jedynie wieczną lampką pod krucyfiksem wiszącym nad łóżkiem. Jedynym światłem, które może się palić podczas seksu.

Leży pod prześcieradłem, w koszuli nocnej. Jej zawsze jest zimno w przeciwieństwie do mnie i Luki. Kładę się na plecach obok niej, starając się robić jak najmniej hałasu.

– Jak poszło z Mariem?

Przez chwilę nie odpowiadam, potem czuję, jak jej zimna dłoń dotyka mojej, gorącej.

– Całkiem dobrze. Dlaczego nie śpisz?

– Nie jestem przyzwyczajona chodzić spać bez ciebie. A jutro jest niedziela.

Wiem, co ma na myśli. Gwałtownie przyciskam ją do siebie. Ściągam jej majtki, podnoszę koszulę nocną i obracam ją. Nie wiem, czy to z powodu piwa, haszyszu czy Scarlett. Ale tym razem mam natychmiastową erekcję i od razu w nią wchodzę. Pcham gwałtownie i myślę, że jej też jest dobrze, ale w pewnym momencie szepce: „Proszę cię” i wiem, że to znaczy: „Dojdz, skończ, boli mnie”. Żar gaśnie, erekcję biorą diabli. Odsuwam się, Bianca natychmiast wkłada majtki i obejmuje mnie.

– Jesteś dziś w formie, Nanni. Przepraszam, jeśli...

– To ja przepraszam, czułem się taki...

Głaszczcie mnie lekko.

– Podobasz mi się *taki*. Następnym razem będę bardziej gotowa.

Przed zaśnięciem myślę o Mariu i o Scarlett, o tym, co teraz może robią. Ona na brzuchu, on bierze ją od tyłu... Chore myśli, które próbuję odrzucić, bez rezultatu.

Niedziela, 6 maja 2001

Głuchoniemy

Mecenas Greppi chodzi nerwowo po ogromnym salonie mojego domu. Patrzy na zielony park otaczający willę, na basen, starożytną rzymską świątynię, która nie jest żadną rekonstrukcją, tylko autentycznymi kawałkami z Forum Romanum. Kazałem wykraść nawet kompletne dwie kolumny, w końcu dość ich tam mają.

Greppi jest poruszony.

– Niedziela po mszy jest dla żony i dzieci, mecenasie.

Patrzy na mnie, jest naprawdę niespokojny.

– Wybacz, Sergio, ale to nagła sytuacja. Dostaliśmy z prokuratury cynk, że szukają kogoś z tatuażem orła i dwusiecznego topora.

Patrzę na niego i nic nie mówię. Tak długo, by dreszcz przeszedł mu po plecach. Teraz już nie jest niespokojny. Teraz już sra w gacie.

– Sergio, przysięgam na moje dzieci, powiedziałem temu pojebanemu Dziurkaczowi, żeby zlecił to kumplom, a nie szedł sam. Tylko że on widział Donatellę Caruso parę razy na stadionie i zawsze chciał ją przelecieć...

Podchodzę do barku i nalewam sobie pół szklanki johnny'ego walkera, resztę dopełniając coca-colą. Jak w dawnych czasach, jak w Ordine Nuovo, kiedy coś mnie zdenerwowało. Potem odwracam się do Greppiego.

– Ty dzwoń do Carusa. Powiedz mu, że chcę się spotkać dziś o jedenastej w nocy na jego budowie na Tor Pignatella. I powiedz Dziurkaczowi, że ma mi robić za kierowcę.

Nanni

Budzę się w południe. Kiedy wstaję, Bianca ma już za sobą wszystkie poranne zajęcia – trening na bieżni elektrycznej, śniadanie dla Luki, odrabianie z nim zadań domowych, pranie – a teraz stoi przy desce do prasowania.

– Czy Rosa nie może tego wyprasować? – pytam, kiedy przerywa, by

zaparzyć mi kawę.

– Wczoraj daliśmy jej dodatkową pracę w związku z Lucą, pamiętasz?

– Ale chyba może to zrobić jutro, prawda?

Bianca się uśmiecha.

– Muszę tylko wyprasować rzeczy dla Luki do szkoły i jedną twoją koszulę. A teraz wypij kawę i idź się przygotować, wiesz, że twoi rodzice lubią punktualność.

Niedzielny obiad z moją rodziną to rytuał, na którym Biance zależy chyba bardziej niż mnie. Moi rodzice, babcia Margherita ze strony ojca, moja siostra Paola i mój szwagier Piero. Wszyscy mieszkają w Ostii, morskiej bramie Rzymu. W wielkiej willi nad morzem, wszyscy razem. Moja rodzina uważa, że my też powinniśmy tam z nimi zamieszkać. Ale Bianca nigdy nie chciała o tym słyszeć. Coniedzielne spotkania? Proszę bardzo, ale potem każdy do swojego domu.

Moja babka i matka gotują dla mnie, odkąd się urodziłem. W tym przypominam ojca: gotować nie umiem, ale jestem smakoszem. Po obiedzie podają kawę. Ja, ojciec i szwagier siadamy z cygarem w salonie przed telewizorem, by popatrzeć na piłkę nożną. Bianca i moja siostra sprzątaję ze stołu i zmywają naczynia, a matka i babka idą uciąć sobie poobiednią drzemkę. Dzisiaj wszystkie te zwyczaje, przy których normalnie odpoczywałem, dziwnie mi ciążyą. Postanawiam odpuścić sobie program sportowy i siadam w cieniu na werandzie z widokiem na morze. Luca pracuje nad jednym ze swoich rysunków. Kończy bardzo realistycznie wyglądającego smoka. Przychodzi Bianca, która właśnie skończyła zmywać naczynia.

– Chodź, Luca, przejdziemy się na plażę, porobisz trochę zdjęć.

Chłopak patrzy na mnie.

– Tato, ty też pójdziesz?

Bianca oszczędza mi wyszukiwania wymówki:

– Tato myśli o swojej książce. Pójdziemy sami, zbieraj się.

Wychodzą, a ja zostaję sam na werandzie. Zamykam oczy, czuję dotyk słońca na skórze i zapach morza. Przypomina mi się smak wypalonego wczoraj skręta, wciąż mam w głowie obraz Maria i Scarlett uprawiających seks. Może nadal leżą razem w łóżku, kiedy ja tutaj obzeram się z rodziną i

oglądam piłkę w telewizji. To samo od dwunastu lat. Miałem wtedy tylko dwadzieścia osiem. Teraz jestem w drugiej połowie życia. A może już po dwóch trzecich? Nie wiem.

Nieważne, kiedy umierasz. Ważne, jak żyłeś wcześniej.

„Pierdolenie”, powiedziałyby Bianca. Może nie użyłaby tego słowa, ona nie przeklina. Powiedziałyby, że szczęście zależy od tego, co trwa, nie od tego, co się zdarza.

Balistreri

Ostatni raz byłem na stadionie podczas mundialu w 1982 roku, na meczu Włochy–Brazylia w Barcelonie, kiedy trzy gole Paola Rossiego pogrążyły w żałobie całą Brazylię. Później, już w telewizji, patrzyłem, jak Włochy wygrywają z Niemcami w finale. Oglądałem tamten mecz razem z Angelem Dioguardim i paczką znajomych, zamiast pójść szukać osiemnastoletniej dziewczyny, która nie wróciła do domu po pracy. Kilka dni później odnaleźliśmy jej zmasakrowane ciało. I nigdy nie wpadliśmy na trop mordercy.

Kiedy w towarzystwie Pameli Neri, przyjaciółki Donatelli, zbliżam się do Stadio Olimpico, wszędzie widzę policyjne furgonetki. Na trybunach najgorliwszych kibiców Lazio wrze namiętność bardzo odmienna od tamtego kibicowania, które zapamiętałem. Żadnego dziecka, nieliczne kobiety – jeśli już, to młodziutkie dziewczyny – trochę dorosłych o wyglądzie dużych chłopców, ludzka fala, która jest tu nie z powodu meczu, ale dla walki gladiatorów.

Jednak to nie derby Rzymu, więc spotkanie powinno być w miarę spokojne.

Z trudem się przeciskamy przez tłum wykrzykujący obelgi przeciwko Romie i Juventusowi, choć nie z nimi dzisiaj gra Lazio. Docieramy niemal pod samo pole gry. Nikt stąd nie zobaczy boiska zakrytego ogromnymi transparentami różnych grup kibiców. Strefa Zawsze Wiernych znajduje się niżej, wyraźnie odróżnia się od reszty. Zajmuje ją około pięćdziesięciu wyrostków. Wszyscy mają na głowach kominiarki, a niektórzy nawet kaski

motocyklowe.

Parę minut po pierwszym gwizdku sędziego jakiś potężnie zbudowany typ z twarzą ukrytą pod kaskiem i z megafonem w ręku staje plecami do boiska i dyryguje przerażającym chórem swoich ziomali.

– Żydzi...

– ...do gazu!

Patrzę dokoła, ochroniarze i policjanci słuchają tych obrzydliwych słów, nie reagując, nikt nie wydaje się nimi przejęty. Domyślam się, że takie musiały być rozkazy kwestora.

Odpuścić, interweniować wyłącznie w przypadku przemocy fizycznej.

Ale ta przemoc jest gorsza od uderzeń. Ponieważ jest narzucona przeważającej większości zmuszonej udawać, że nic się dzieje. I ponieważ te kominiarki i motocyklowe kaski zakrywające twarze są jednoznaczną deklaracją otwartego wyzwania rzuconego wszystkim. Patrzę na odkryte ramiona, na tatuaże orła i dwusiecznego topora Ordine Nuovo. Prawdopodobnie żaden z tych chłopaków nie ma najmniejszego pojęcia, czym była ta organizacja trzydzieści lat temu. Może Coppola ma rację, że to zwykli przestępcy. I nic więcej.

Lazio strzeliło właśnie gola, cały stadion wiwatuje, tymczasem gostek z megafonem intonuje nowy slogan:

– Będziecie sikać ze strachu jak Donatella na piachu.

Przez sekundę myślę, że się przesłyszałem, ale wszyscy podejmują slogan i Pamela Neri chwytła mnie za ramię.

– Wydaje mi się, że to on, jest tak samo zbudowany jak tamten, który tańczył koło nas.

Idę z Pamelą do wyjścia. Podchodzę do jednego ze strażników miejskich nadzorujących zakole ultrasów i się legitymuję. Staje na baczność.

– Na rozkaz, *dottor* Balistreri.

Wskazuję na grupę Zawsze Wiernych.

– Widzi pan typka z megafonem? Zgarnijcie go po meczu.

Policjant błędnie.

– Muszę porozmawiać z przełożonym, porucznikiem Boccim. Zadzwoń do niego na komórkę.

Dzwoni, tłumaczy szefowi, kim jestem i czego chcę, po czym przekazuje

mi telefon.

– To niewykonalne, *dottor* Balistreri.

Żeby pracować tu, na stadionie, Bocci musi być twardzielem i ekspertem w swoim fachu.

– Dlaczego, poruczniku?

– Dlatego, że jeśli go aresztujemy, wybuchnie piekło, a mamy wyraźne polecenie od kwestora i prefekta, by nie interweniować, chyba że dojdzie do starć między kibicami.

Mógłbym prosić, by zatrzymał go tylko do identyfikacji. Ale jeśli Pamela miała rację, to by go tylko ostrzegło i być może zachęciło do ucieczki. Jest tylko jedno rozwiązanie.

– Poruczniku, w takim razie jedna prośba. Mam tu ze sobą dziewczynę, trzeba ją zabrać do domu. Mógłby się pan o nią zatroszczyć?

– Oczywiście, proszę ją zostawić ze strażnikiem, zajmiemy się tym.

Ściskam dłoń Pameli.

– Ktoś ze straży miejskiej odwiezie panią do domu. Później będę potrzebował pani pomocy przy identyfikacji.

Pamela kiwa głową. Zuch dziewczyna. A ja wracam na trybunę ultrasów pilnować typa z megafonem.

Trudno jest śledzić kogoś przy wyjściu ze stadionu i nie stracić go z oczu. Zwłaszcza gdy ma zakrytą twarz i idzie razem z pięćdziesięcioma podobnymi do siebie, którzy też mają zakryte twarze. Ale ten, którego mam na oku, jest o piędź wyższy od pozostałych i udaje mi się deptać mu po piętach, dopóki nie wsiądzie na motocykl Kawasaki z jeszcze jednym chłopakiem na miejscu pasażera, też w kasku na głowie.

Zapisuję numer rejestracyjny motocykla. Resztą zajmie się Coppola.

Nanni

Jest wieczór, siedzimy z powrotem w naszym rzymskim mieszkaniu. Wszystko odbywa się zgodnie z wieloletnią rutyną. Po przygotowaniu kolacji i położeniu Luki do łóżka Bianca wyciąga się na kanapie w salonie ze swoimi dokumentami.

– Bianca, muszę się przejść.

Kiwa głową. Czasem po kolacji wychodzę na samotny spacer po okolicy, co ona aprobuje, bo uważa, że to pomaga w trawieniu. Zwłaszcza po niedzielnym obiedzie u moich rodziców.

– Kiedy wrócisz?

– Przejdę się nad Tyber i z powrotem, będę przed jedenastą.

Nie pyta o nic więcej. Zaczęła wiać tramontana, zimny północny wiatr, i zrobiło się chłodniej, maj lubi płać takie figle. Wkładam sportową bluzę, dzinsy, czapkę bejsbolówkę z logo New York Giants, pamiątkę przywiezioną z podróży poślubnej, i wychodzę. Ale żeby zaoszczędzić na czasie, nie idę pieszo. Samochodem dojeżdżam nad rzekę w parę minut. Parkuję i zagłębam się w zatybrzańskie zaułki. Panuje znacznie mniejszy chaos niż wczoraj, dla młodzieży to za wczesna pora, jest dopiero kwadrans po dziesiątej. Znalazłem we własnych oczach usprawiedliwienie do powrotu w to miejsce. W Food and Drink połowa stolików jest pusta, Scarlett stoi za barem razem z dwoma innymi kelnerami. Ma na sobie sukienkę bliźniaczo podobną w kroju do wczorajszej, tylko że zieloną. Cienkie ramiączka, długość do pół uda, dekolt, zielone kolczyki łezki, tenisówki – wszystko zielone. Ciemnoskóry menedżer lokalu przygląda mi się z ironicznym wyrazem twarzy, pewnie z powodu mojego młodzieżowego stroju.

Scarlett dostrzega mnie od razu, wychodzi zza baru i idzie mi naprzeciw.

– Johnny, przystojniaku, wróciłeś! W dzinsach i bejsbolówce wyglądasz naprawdę jak chłopiec. A gdzie twój przyjaciel?

– Mario już wyjechał. Coś mi się wydaje, że ci się spodobał.

Nie wierzę, że to powiedziałem. Ale ona ani się nie dziwi, ani nie obraża. Patrzy na mnie z rozbawieniem przez obłok papierosowego dymu.

– Przyszedłeś mi prawić kazania, Johnny?

Uciekam się do oficjalnej wymówki:

– Nie. Nie jestem tu z twojego powodu. Możesz poprosić siostrę, żeby się ze mną skontaktowała?

Przechyliła głowę na bok i wydmuchuje mi dym prosto w twarz.

– Chcesz być donosicielem, Johnny? Chcesz jej powiedzieć, że poderwałam twój przyjaciel?

– Nie będę z nią rozmawiał o tobie, Scarlett. Nie jesteś pępkiem świata. Twoja siostra skontaktowała się ze mną w pewnej sprawie, muszę jej dać odpowiedź.

Chciałem, żeby to zabrzmiało chłodno i profesjonalnie, ale czuję, że jestem zupełnie nieprzekonujący.

– Rozumiem. Podoba ci się porządna siostra, ta poważna! No cóż, w porównaniu ze mną Nicole jest starszą, ja mam dwadzieścia lat, ona sześć więcej. Ale rozumiem cię, i tak jest młodsza od twojej żony...

– Daj spokój z moją żoną. Twoja siostra ma numer do mojego gabinetu. Powiedz jej tylko, żeby zadzwoniła.

Znów dmucha mi dymem w twarz.

– Twoja żona wie, że tu jesteś?

Nie udaje mi się ukryć odruchowego niepokoju. Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Nie przejmuj się, Johnny. Nie peniaj. Nie jestem typem donosicielki.

Próbuję wymazać ze swojego głosu najmniejsze ślady lęku.

– Nie wiem, jakim typem jesteś, Scarlett. I nie interesuje mnie to, nawet jeśli tobie wydaje się to dziwne. Powiedz tylko siostrze, żeby do mnie zadzwoniła.

Znów się uśmiecha. Tym razem jednak to nie jest wesoły uśmiech. Raczej zamyślony.

– Dobrze, powiem jej. Ale ty nie jesteś księciem na białym koniu, który może ją uratować.

– Uratować przed czym?

Scarlett poważnieje.

– Nicole nigdy nie rozumiała mężczyzn, była już taka od dziecka. Faceci tacy jak Victor nigdy się nie zmieniają.

Niezwykle nagromadzenie treści w niewielu słowach. Tysiąc pytań, które pojawiają się w mojej głowie, lecz nawet jednego nie mogę zadać Scarlett.

– Powiedz, żeby zadzwoniła.

Odwracam się i wychodzę. Szybkim krokiem idę przez piazza Santa Maria in Trastevere, unikając patrzenia w stronę, gdzie wczoraj kupiłem narkotyki.

Kiedy wchodzę do naszej sypialni, jest za minutę jedenasta, Bianca uśmiecha się do mnie.

– Wszystko dobrze, Nanni?

– Oczywiście, skarbie.

Gasi światło, podciąga nakrycie pod samą brodę i odwraca się w drugą stronę. Dziś nie ma seksu, jutro jest poniedziałek. Przez tyle lat z łatwością

zasypiałem. Ale ostatnio stało się to nieco trudniejsze.

Głuchoniemy

W niedzielę wieczorem plac budowy jest pusty i ciemny. Podnosi się tramontana. Podjeżdżamy do bramy, prowadzi Gianni Tozzi, Dziurkacz. Patrę na nieruchomy dźwig i szkielet budowanej kamienicy.

Ciekawe, kto ją dokończy i kiedy. Bo nie Caruso.

– Dziurkacz, zaparkuj przed bramą, na asfalcie.

Wychodzę z samochodu i patrę na Carusa, postarzałego o całe dziesięć lat w ciągu tygodnia, zniszczonego po pogrzebie córki. Ale nie współczuję mu ani trochę. Wiele razy uprzedzaliśmy go, żeby grzecznie płacił długi i nie wpierdalał się nam w przetargi z tą swoją firmą z czarnuchami. Greppi wprost mu powiedział, masz piękną żonę, dwie piękne córki, zachowuj się. Ale Caruso to jeden z tych chujków zafiksowanych na pierdolonym koncepcie uczciwości, jakby to był jaki heroizm. Ja tam nigdy bym nie wymienił dziecka na uczciwość. Dopiero co zjadłem kolację z żoną i moimi dwoma chłopakami, położyłem ich do łóżka, pocałowałem na dobranoc. Tak żyje mężczyzna.

Caruso patrzy na mnie, mówi półgłosem, jakby cały świat nas podsłuchiwał:

– Moja firma nie przedstawi jutro oferty, Sergio. Ani żadnej innej. Sprzedaję ją. Ale tego miliarda, który przegrałem w pokera, nie mam. Musicie mi dać czas, aż sprzedam firmę i mieszkania.

– O tym miliardzie pogadamy potem, Pasquale. Ty wiesz, kto to zrobił, nie?

Caruso wskazuje na Dziurkacza. Na tatuaże na ramieniu, które ten chuj Gianni Tozzi trzyma na widoku nawet w taki chłodny wieczór.

– Szef sekcji zabójstw Balistreri szuka chłopaka z tatuażem orła i dwusiecznego topora. Widzieli go, jak tańczył blisko mojej córki, zanim znikła.

Dziurkacz cofa się w taki sposób, jakby dostał pięścią w podbródek. Zwraca się do mnie i bełkoce:

– Sergio, przysięgam na mojego ojca, to nie byłem ja.

Z kieszeni kurtki wyciągam toporek. Cios jest błyskawiczny i silny.

Przecina wszystko, skórę, mięsień, kość. Prawa ręka Gianniego Tozziego odpada od ramienia i chujek wali się na kolana, wyjąc z bólu, a krew tryska strumieniami.

– No i już nie masz tego chujowego tatuażu.

Potem wyciągam glocka i podaję go Carusowi.

– Jak go zabiorą do szpitala, to może wyżyje. Zrób mi tę przysługę, Pasquale. I sobie też.

Caruso bierze pistolet do ręki. Jeszcze nikogo w życiu nie zabił. Ani nie myślał, że kiedykolwiek to zrobi. Ale to było wcześniej, przed Donatellą. Teraz podchodzi, patrzy prosto w oczy temu, który skatował, zgwałcił i udusił jego córkę. Przykłada lufę glocka do czoła Dziurkacza i strzela.

Potem odwraca się do mnie.

– Nie boisz się, że ciebie też zastrzelę, Sergio?

Wzruszam ramionami.

– Nie. Masz w domu żonę i jeszcze jedną córkę.

Oddaje mi pistolet, a ja się uśmiecham do niego.

– Ten miliard, co go straciłeś w karty, oddam ja. Inaczej wdowie i sierocie nic nie zostanie.

– Czego jeszcze chcesz, Sergio?

– Weź ten toporek, zostaw na nim trochę odcisków.

Caruso bierze toporek, porządnie obmacuje i rzuca na ziemię.

– Świetnie, Pasquale. A teraz pomyśl. Ty stanowisz dla mnie ryzyko. Jeśli ten chuj Balistreri jeszcze raz cię przesłucha, będzie trzeba ci zabić drugą córkę.

Kiwa głową.

– Ja się zgadzam, ty decyduj. Wierzę ci na słowo.

– Spokojnie. Sofii i Alessandry nikt palcem nie tknie. – Wskazuję dźwig. – Umiesz wejść na szczyt, prawda, Pasquale?

– Nie możesz mnie po prostu zastrzelić?

Wszystko mu muszę wytłumaczyć.

– Dziurkacza ty załatwiłeś, nie? A potem sam siebie. Po tym nieszczęściu, co cię spotkało, samobójstwo jest jak znalazł.

Pasquale Caruso odchodzi w milczeniu. Myślę, że podoba mu się wchodzenie po tej długiej żelaznej drabinie. Ma czas wspominać szczęśliwe chwile, pożegnać się z Sofią i Alessandrą, odmówić modlitwę. Kiedy już jest na szczycie, myśli, że za chwilę będzie razem z Donatellą, i czuje się

szczęśliwy. Potem robi znak krzyża i skacze.

Wsiadam do samochodu. Kiedy jadę, przypomina mi się to nazwisko.

Michele Balistreri. Ten, co to najpierw był z nami, a potem odszedł, może nawet zdradził. A teraz jest policjantem. Hańba.

Poniedziałek, 7 maja 2001

Balistreri

Ezio Conti wygląda na wypoczętego, pewnie spędził weekend na żaglach albo na plaży, nie ukrywa satysfakcji, że pozbył się niewdzięcznego zadania i na dodatek może zwalić winę na kogoś innego.

– Ładny numer wyciąłeś, Balistreri. Rozmawiałem z żoną Carusa w kostnicy. Powiedziała mi, jaki byłeś nieostrożny: wyjawiałeś jej mężowi, że szukamy chłopaka z tymi konkretnymi tatuażami. Tylko że Caruso już widział, że gość kręcił się koło jego córki, i wiedział, kim jest.

– Mnie nie powiedział, że go zna.

– No jasne, Balistreri. Chciał go zabić, a nie pozwolić aresztować. Sam bym zrobił to samo, gdyby chodziło o moją córkę.

Ale potem nie wszedłbyś na dźwig, żeby z niego skoczyć, cholerny dupku. Caruso był ulepiony z innej gliny.

– Sądzę, że masz rację, panie prokuratorze.

Conti uśmiecha się z zadowoleniem.

– Zresztą wszystko pasuje, Balistreri. Opis Pameli Neri, hasło skandowane na stadionie, tablica rejestracyjna tego całego Gianniego Tozziego, ksywa Dziurkacz. DNA też z pewnością będzie jego.

– Z pewnością, panie prokuratorze.

– Dobrze, Balistreri. W takim razie sprawa jest zamknięta, morderca nie żyje, Donatella i Pasquale Caruso mogą spoczywać w pokoju.

Nie wiem, czy to niefortunny żart, czy życzenie. Nieważne, żegnam się i wychodzę.

Nanni

O pierwszej żegnam się z ostatnimi porannymi pacjentami i wychodzę z gabinetu, żeby odebrać Lucę ze szkoły. Obok mojego mercedesa stoi czerwone bmw z3. Wieje tramontana i jest dość chłodno. Nicole Bonocore stoi pomiędzy dwoma samochodami. Szara narzutka, rude włosy przykryte

apaszka, jak zwykle ciemne okulary. Wydaje się zbyt wysoka, zbyt chuda, niczym bezbronna gałązka targana wiatrem. Zwraca się do mnie po angielsku:

– Przepraszam, *dottor Annibaldi*. Scarlett powiedziała mi, żeby do pana zadzwonić, ale nie chciałam, by pańska sekretarka znów słyszała mój głos, skoro nie jestem pana pacjentką.

Dokładne przeciwieństwo jej bezczelnej niewychowanej siostry. I ma tego sińca pod okiem.

– Dobrze pani zrobiła, pani Bonocore. Ale teraz muszę odebrać syna ze szkoły.

Przez chwilę wygląda na zagubioną, potem kiwa głową.

– Rozumiem, niech się pan nie przejmuj. Jeśli pan chce, wrócę kiedy indziej.

Uśmiecham się do niej.

– Zawiozę syna do domu i o drugiej jestem wolny.

Jest widocznie zadowolona.

– Dziękuję, *dottore*. Zapraszam pana na kawę do Capanniny. Wie pan, gdzie to jest?

Widzi, że przez chwilę się waham.

– To spokojne miejsce, niedaleko stąd. Nikt pana ze mną nie zobaczy.

Ma rację. Capannina jest w połowie drogi między plażami Ostii a moim gabinetem i w sam raz nadaje się na dyskretne spotkanie.

– Zgoda. Będę za godzinę.

Obiad z Biancą i Lucą jem w stanie lekkiej euforii, którą staram się od siebie oddalić. Luca jak zawsze kończy jeść pierwszy.

– Mogę iść do pokoju?

Bianca uśmiecha się do niego.

– Dobrze, skarbie. Pół godziny rysowania, a potem weź się za odrabianie lekcji, zgoda?

Po jego wyjściu Bianca zbiera swoje papiery.

– Muszę zaraz wracać do prokuratury, Nanni. Jest dziś Rosa, ale lepiej, żebyś rzucił okiem na lekcje Luki przed wyjściem.

Nieuważnie kiwam głową.

– Co chcesz na kolację? Jeśli masz ochotę na befsztyk, po drodze z

prokuratury wpadnę do mięsnego.

– Zgoda, rybę jedliśmy wczoraj u moich rodziców.

Gdy tylko Bianca wychodzi, idę do syna. Pochłoniętego rysowaniem.

– Luca, wychodzę. Zostajesz z Rosą. Potem odrobisz lekcje, prawda?

– Najpierw muszę dokończyć czarnego smoka. Odbierzesz moje zdjęcia z wywołania?

– Jeśli zdążę, odbiorę przed pracą.

Zaczęło padać. Szybko dopijam kawę i przed wyjściem biorę stadionowy żółty płaszcz przeciwdeszczowy i bejsbolówkę.

Gdy jadę w stronę morza, pada coraz mocniej. Na placu przed lokalem parkuje niewiele samochodów. To miejsce raczej na kolację niż obiad i z pewnością nie nadaje się na deszczowe poniedziałki. I bardzo dobrze.

Nie widzę czerwonego bmw Nicole. Wychodzę z auta, okrywam się płaszczem, nakładam czapkę i szybko idę do lokalu. Słabo oświetlona sala świeci pustkami. Na szczęście wśród nielicznych gości nie widzę żadnej znajomej twarzy. Nicole siedzi przy stoliku w rogu.

– Dziękuję, *dottor Annibaldi*.

Siadam, zamawiam kawę, ona prosi o herbatę. Zdjęła ciemne okulary. Siniec trochę zakryła podkładem kosmetycznym, ale wciąż jest widoczny. Jej rude włosy spina z tyłu szmaragdowa spinka, w kolorze jej oczu. Ma na sobie zieloną bluzkę i zwykły biały pulower z wycięciem w serek. Spodnie są zdecydowanie mniej obcisłe i prowokacyjne od tych, które nosi jej siostra. Patrzy na mnie niepewnym wzrokiem.

– Dostałam wiadomość od Scarlett. Czy to znaczy, że pan się zgadza?

Wiem, że robię błąd. Wiem, że jeśli przyjmę Nicole Steele i jej męża na terapię, to tylko ze względu na to, by utrzymać kontakt ze Scarlett. I wiem, że Bianca może to odkryć. Choć w lokalu nie ma prawie nikogo, zwracam się do niej po angielsku:

– Rozmawiała pani z mężem?

– Tak. Przyjdzie. Niechętnie, ale przyjdzie, bo na swój skomplikowany sposób mnie kocha.

Dla profesjonalnego obserwatora to zdanie brzmi bardziej patetycznie niż absurdalnie. Miłość, ta prawdziwa, nie wymierza ciosów.

Patrzę jej w oczy i na siniec. Wygląd królowej i duch Kopciuszka. Nicole Bonocore z domu Steele należy do kobiet skazanych na to, by cierpieć. Zbyt uczciwych, by wierzyć, że są zdradzane, i zbyt bezbronnych, by sobie z tym

poradzić i iść dalej. A Victor Bonocore nie jest typem mężczyzny, który postanawia udać się do psychoterapeuty, by leczyć się z czegoś, co uważa za swoje prawo. Nie jest też typem mężczyzny, który zmieni myślenie pod wpływem terapii. To samo powiedziała mi Scarlett, a ona zna się na mężczyznach.

Ale profesor nie chce stracić swojej pięknej królowej.

– To, że się już znamy, pociąga za sobą ryzyko stroniczości. Ewentualnie zarekomenduję pani odpowiedniego kolegę.

Kiwa głową i widać, że jest zawiedziona. Zakłada okulary. Jestem niemal pewny, że ma łzy w oczach. Jej głos jest słaby.

– Zostawiłam auto pod domem, przyjechałam tu taksówką.

– I słusznie. Ma pani rzucający się w oczy samochód i na pewno zostałyby tu zapamiętany. Wraca pani do domu?

– Nie, na uniwersytet, do męża.

Mam jeszcze dużo czasu przed pierwszą sesją o czwartej. I przykro mi, że tak źle to przyjęła. Nicole Steele, inaczej niż jej siostra, wzbudza we mnie rycerską opiekuńczość. Tę samą, której dawno temu Nanni potrafił używać w stosunku do dziewczyn.

– Jadę w tamtą stronę, podrzucę panią.

Płacę rachunek i wychodzimy. Wciąż leje jak z cebra, a mój mercedes stoi jakieś trzydzieści metrów dalej. Podaję jej bejsbolówkę i żółty płaszcz przeciwdeszczowy.

– Proszę to włożyć, pani Bonocore.

Jedziemy do centrum, deszcz bębni po karoserii, Nicole siedzi obok i nic nie mówi. Zagajam rozmowę bardziej po to, by pozbyć się krępującego milczenia.

– Jesteście w Rzymie od niecałego roku, prawda?

– Tak, od zeszłego lata. Victor postanowił wykorzystać roczny urlop, który mu przysługiwał na Uniwersytecie Nowojorskim. Prowadzi badania na tutejszym wydziale matematyki. Od czasu do czasu ma jakiś wykład albo konferencję naukową. Rzadko, on nie przepada za przebywaniem z ludźmi.

Mógłbym odpowiedzieć, że już to zauważyłem i że tym bardziej nie będzie przepadał za rozmową z psychologiem. Ale to nic by nie dało.

– A pani jak spędza czas?

Uśmiecha się.

– Skończyłam matematykę w Brooklyn College. A potem dzięki stypendium zrobiłam doktorat na Uniwersytecie Nowojorskim. To tam poznałam Victora. Pracowałam w zespole badawczym, którym on kierował. To samo robię tutaj.

Jestem zaskoczony. Przypisałbym Nicole Steele raczej do dziedzin sztuki niż nauk ścisłych. Poetka, aktorka teatralna, ale nie wielka matematyczka. Tyle że mnie interesuje jej siostra.

– A Scarlett?

Wzdycha.

– Martwię się o nią. Urodziłyśmy się i wychowały w Brooklynie i osiem lat temu zostałyśmy sierotami, oboje rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Scarlett miała wtedy dwanaście lat, ja osiemnaście. Nie mamy innej rodziny z wyjątkiem dalekich wujów. Próbowałam zastąpić jej matkę, ale bez sukcesów.

– Wciąż jej pani matkuje, nawet po ślubie?

– Scarlett mnie potrzebuje. Nigdy nie przykładała się do nauki. W Brooklynie skończyła liceum, ale nie poszła od razu na studia. Dopiero kiedy ja zdobyłam stypendium doktoranckie, ona zapisała się na filologię włoską.

– A później?

– Później spotkałam Victora i pobraliśmy się rok temu. Nie mogłam zostawić jej samej w Nowym Jorku. A tutaj Scarlett może kontynuować studia.

I podrywać chłopaków, tak jak ostatnio Maria.

Szkoda mi Nicole Steele. Ma porywczego męża, który myśli, że jest bogiem, i śliczną bezczelną siostrę, która myśli, że jest boginią. I próbuje troszczyć się o oboje. Niemożliwe.

– Scarlett mieszka razem z państwem?

– Nie, my mieszkamy w połowie drogi między pańskim gabinetem na EUR a Ostią, niedaleko Capanniny. A Scarlett w kawalerce w centrum, na Zatybrzu.

Nie mówi: „Płacę za wynajem”, bo jest królową. Ale nie mam wątpliwości, że tak właśnie jest.

– Nie powinna się pani zbyt o nią martwić, pani Bonocore. Scarlett chce się rozerwać. Może nieco bardziej niż jej rówieśnice, ale tu istotną rolę odgrywa jej uroda.

– Wiem. Ale jestem zamężna, a Scarlett za chwilę będzie miała dwadzieścia jeden lat. Nie mogę się o nią troszczyć tak jak wtedy, kiedy była dzieckiem. Widzę, jak się marnuje, i boli mnie serce.

Patrzę na mokrą od deszczu nawierzchnię.

Zbyt wiele problemów jak na jedną Nicole Steele. Zbyt wiele roztrwonionej miłości. Miłości, która przynosi cierpienie.

Nicole nie mówi nic więcej. Krótco przed trzecią parkuję przed wejściem na wydział matematyki rzymskiego uniwersytetu La Sapienza. Ona patrzy na zegarek. Potem na mnie. Z nadzieją.

– Victor zaraz skończy wykład. Nie mógłby pan z nim chwilę porozmawiać?

Mam jeszcze czas, lecz ani trochę ochoty na rozmowę z Victorem Bonocore. Widzi moje niezdecydowanie.

– Bardzo proszę, *dottor* Annibaldi. Potem pan zdecyduje.

– No dobrze. Tylko się przywitam.

Wysiadamy z mercedesa, wchodzimy do budynku i idę za Nicole najpierw po schodach, a potem jakimś korytarzem. Otwiera drzwi na tyłach amfiteatralnej auli pełnej studentów, którzy zbierają się do wyjścia. Wykład właśnie musiał się skończyć.

Profesor Bonocore stoi na samym dole koło katedry otoczony przez asystentów i grupę studentów zadających pytania. Ubrany jest w dżinsy i koszulę, poprawia włosy, gładzi brodę. Przypomina bardziej gwiazdora filmowego niż profesora. Nicole daje mi znak, wychodzimy razem ze studentami.

– Poczekajmy na niego w jego pokoju, zawsze tam idzie pracować po wykładzie. Tam da się spokojnie porozmawiać. Napiszę mu esemes.

Rusza naprzód, stukając w klawiaturę telefonu, a ja idę za nią. Wchodzimy na najwyższe piętro, idziemy do końca długiego korytarza. Obok wejścia do toalety są tam tylko jedne drzwi – opatrzone tabliczką: *Professor V. Bonocore*. Nie są zamknięte na klucz, wchodzimy do małego pomieszczenia pozbawionego okien.

Oczekiwałem prestiżowego, luksusowego obszernego gabinetu, tablic z wypisanymi wzorami, modelami atomów i gąszczu komputerów. Niczego takiego tu nie ma. Tylko setki papierzyk na biurku, wszystkie z równaniami

i komentarzami pisanymi ręcznie, pełnymi skreśleń i poprawek. W rogu stoi opróżniona do połowy butelka chivasa i emaliowany talerzyk z napisem *Best Prof.*

Prezent od studentki?

Jeszcze o tym myślę, kiedy wchodzi Victor Bonocore. Po raz pierwszy widzę go z bliska. Długie gęste czarne włosy z siwymi pasemkami, pewnie farbowane. Gęsta broda zasłaniająca policzki i szyję, jasne oczy wyglądające zza grubych szkieł w szarych oprawkach, sprane dżinsy i sportowe buty. Zwraca się do mnie po angielsku, Nicole musiała go uprzedzić, że dobrze znam ten język, i teraz chce mnie sprawdzić.

– A więc, doktorze, co pan powie? Warto zafundować sobie u pana pranie mózgu, żeby zachować taką żonę?

Jest bezpośredni i pewny siebie. Ale to już wiedziałem. Zaskakuje mnie co innego: to, jak oni patrzą sobie w oczy.

Ci dwoje wciąż się kochają. Bez względu na wszystko, co między nimi zaszło.

Dlaczego nie miałbym pomóc Victorowi i Nicole Bonocorom? Wiem dlaczego. Bo robię to tylko po to, by mieć kontakt ze Scarlett.

– Niech pan powie, czy to naprawdę konieczne, żebym i ja do pana przychodził? Przecież to moja żona jest chora, nie?

Patrzę na Nicole, a ona się czerwieni. Jej zielone oczy wyrażają niemą prośbę. Jest w tym jakaś nieoparta siła. Odpowiadam po angielsku, chcę być pewny, że Nicole wszystko zrozumie:

– Moja metoda zakłada jednoczesną pracę z obojgiem małżonków.

On sarka, a potem jego spojrzenie spotyka się ze wzrokiem Nicole. I znów widzę to co przed chwilą: *miłość*. Tę, którą uważają za wieczną, ale to tylko dlatego, że są małżeństwem od niedawna. Pewnego dnia ta faza się zakończy. A wtedy przeważą niedopasowanie, brak komplementarności, nieobecność wspólnego projektu na życie.

Dokładnie to, co my mamy z Biancą.

Bonocore uśmiecha się do mnie.

– No dobrze. Dla Nicole mogę stracić godzinę w tygodniu.

Patrzę mu prosto w oczy. Mam gdzieś, jak bardzo jest inteligentny, męski czy bogaty. Chcę, żeby od razu wiedział, kto tu rządzi.

– Dwie sesje terapeutyczne w tygodniu. Rozmawiamy po angielsku i nagrywamy spotkania.

Nicole patrzy na mnie zaskoczona.

– Pomysł z nagrywaniem mi się nie podoba, doktorze. To mnie będzie hamowało.

– Rejestratora nawet pani nie zobaczy i szybko o nim zapomni. Za to będziemy mogli odsłuchać poprzednie rozmowy, jeśli uznamy to za użyteczne. Taką metodą się posługuję, i to ze wszystkimi.

Bonocore znów sarka, ale kiwa głową. On ma głęboko gdzieś nagrywanie.

– Dobrze, panie doktorze, dobrze. Ale znajdziemy jakieś odpowiednie godziny, mam pracę badawczą, wykłady, konferencje...

W tym momencie dzwoni komórka profesora. Odbiera.

– Halo? – Słucha przez chwilę, potem się odzywa: - Miliard to mnóstwo pieniędzy.

Nicole jest wyraźnie niezadowolona.

– Victor, rozmawiamy o rzeczach ważniejszych od twoich inwestycji na giełdzie.

Uśmiecha się i kończy rozmowę. Potem umawiamy się na poniedziałki i piątki, od siódmej trzydzieści do ósmej trzydzieści wieczorem, po innych pacjentach. Muszę wyjaśnić Biance, że przez dwa dni w tygodniu będziemy jedli kolację nieco później. Małe odstępstwo od zasad.

Ale przecież to nie grzech.

Balistreri

Szczegółowy raport w sprawie Donatelli Caruso zostawiłem do napisania Coppoli, znacznie lepszemu ode mnie w te klocki. Potem podpisałem go i wysłałem do Ezia Contiego, który wyda postanowienie o zamknięciu śledztwa.

Coppola patrzy na mnie z niezdecydowaniem.

– Nie jest pan przekonany, *dottore*?

– A jak myślisz, w jaki sposób Pasquale Caruso odnalazł Giannię Tozzię i ściągnął go na swoją budowę?

Coppola spuszcza wzrok, nie chce mnie obrazić.

– Może Conti ma rację, ale tylko w tej jednej sprawie. Nie powinienem był mówić przy Carusach, że szukamy chłopaka z tatuażami.

Tak, lubię tego kurdupła. Mimo jego sprośnych żartów, przekleństw i natarczywości.

– To ja powiedziałem, nie ty, Coppola.

Wzrusza ramionami, jakby ten szczegół nie miał żadnego znaczenia.

– Idę popatrzeć, jak Ciro trenuje koszykówkę. A potem w jedno miejsce, gdzie robią fantastyczną pizzę.

– Dzięki, Coppola. Ale jestem już umówiony na kolację.

Puszczą do mnie oko.

– Kobieta? Na górze czy na dole?

Kiedyś wyjaśnił mi z obfitością szczegółów swoją teorię opartą, jak twierdzi, na rozległym doświadczeniu. Otóż Coppola dzieli kobiety na dwie kategorie zgodnie z ich upodobaniami łóżkowymi: na te, które lubią być aktywne, *kobiety na górze*, i na te, które wolą oddać inicjatywę, *kobiety na dole*.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji, Coppola. A ty co byś wolał?

Uśmiecha się rozradowany. Tak jest zawsze, kiedy podejmuję jego koszarowe tematy.

– Po tak stresującym śledztwie, *dottore*? Oczywiście, że taką, która woli być na górze i wie, co zrobić z paznokciami, językiem, cyckami...

– Dobrze już, Coppola, myślę, że zrozumiałem. A teraz idź do syna.

Coppola wychodzi, ja zostaję. Wieczorem miałbym ochotę na kobietę, ale nie na bzykanie, tylko żeby porozmawiać. Jednak mój spis telefonów pełen jest nazwisk kobiet odpowiadających jedynie pierwszej kategorii. Lepiej już wziąć książkę, posłuchać Cohena, łyknąć pigułki na sen.

Piątek, 11 maja 2001

Nanni

To był tydzień inny niż zwykle. Biancę praca pochłania jeszcze bardziej niż zazwyczaj i to już zaczyna mi przeszkadzać. Jest też dziwnie podenerwowana.

Ostatnie dni spędziłem, starając się trzymać siostry Steele i Victora Bonocorego z daleka od moich myśli. Ale dziś mam pierwszą sesję terapeutyczną i jestem nieco poruszony, czuję mieszaninę poczucia winy i strachu przed możliwymi konsekwencjami. W gruncie rzeczy nie robię nic złego, po prostu przyjmuję nową parę na terapię, to w końcu mój zawód. Ale wiem, że to nie jest do końca prawda. I że Bianca byłaby temu przeciwna.

Dwadzieścia po siódmej zaczynam wyglądać przez uchylone okiennice. Dni są już zdecydowanie dłuższe, słońce wciąż stoi wysoko. Czerwone bmw z3 podjeżdża o siódmej dwadzieścia pięć, prowadzi Nicole.

Przyglądam się im przez okno. Wychodzą, ona ubrana z elegancką powściągliwością, jak na koktajl, on w znoszonej kurtce, T-shircie i džinsach. Otacza ją ramieniem, ona obejmuje go w pasie. Zatrzymują się w pół drogi między samochodem a drzwiami mojego gabinetu. Patrzą sobie w oczy, a potem Victor przygarnia ją i całuje w usta. Ich ciała pozostają przyklejone do siebie przez paręnaście sekund. Później on, równie nagle, odsuwa ją od siebie i mówi coś, co mogłoby brzmieć jak: „Chodźmy do tego szarlatana”. Nicole – bez ciemnych okularów, już bez sińców pod wielkimi szmaragdowymi oczami – uśmiecha się do niego z zadowoleniem.

Wchodzą, witamy się uściskiem dłoni i Nicole siada na dwuosobowej kanapie, nie czekając na moje wskazówki. On rzuca okiem na wolny fotel.

– Mogę usiąść tutaj?

– Albo obok żony. Jak pan woli.

Bonocore waha się przez chwilę, w końcu siada obok niej na kanapie. Opiera się i wyciąga nogi. Jasne oczy za grubymi szklami wyglądają, jakby się dobrze bawił, jak dziecko przed jakąś wciągającą grą. Patrzy na mnie, a potem bierze w swoją wielką opaloną garść bladą wątlą dłoń Nicole.

– Jesteśmy gotowi.

Włączam przycisk nagrywania i zwracam się do obojga po angielsku:

– Dobrze. Możecie teraz opowiedzieć, co chcecie.

– O nas dwojgu razem? – pyta natychmiast Bonocore.

Odnoszę wrażenie, że trochę wcześniej poczytał i przygotował się do tego spotkania, jakby to była debata naukowa.

– Albo o sobie, zanim jeszcze się poznaliście. Jak wolicie.

Ale on naciska:

– O czasach, kiedy robiłem siusiu do łóżka też?

Wiedziałem, że nie będzie łatwo, więc nie daję się zbić z tropu.

– Jeśli pan chce.

– Wolę opowiedzieć o moim pierwszym spotkaniu z Nicole. Zrozumie pan wtedy, dlaczego się kochamy i nic nas nie może rozdzielić.

Nie odpowiadam, a on kontynuuje:

– Był kwiecień, nieco ponad rok temu. Często chodzę z kolegą do lokalu w Village, gdzie podają najlepsze befsztyki w Nowym Jorku. Kolega głowił się nad jednym z tych układów matematycznych, które mają o jedną niewiadomą za dużo. Kiedy bazgroliłem równania na kartce, przyszedł befsztyk. A z befsztykiem przyszła Nicole.

Ona nie komentuje i Bonocore opowiada dalej:

– Wygrała konkurs na stypendium uniwersyteckie, ale pracowała jako kelnerka w tym barze, żeby opłacić mieszkanie Scarlett. Taka jest moja żona. – Obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie. – Los decyduje za nas, panie doktorze. Nicole pracowała tam od paru dni. Gdyby znalazła inną pracę, nigdy bym jej spotkał. Rzuciła okiem na kartkę z równaniami, kiedy nalewała wino, i odeszła do innych stolików. Wtedy przypomniałem sobie, że widziałem ją wśród moich studentów.

Bonocore robi przerwę, patrzy na Nicole.

Czy w tych oczach jest miłość? Miłość albo coś bardziej gwałtownego. Zaborczość.

– I co dalej? – pytam.

– Następnego wieczoru wróciłem do tego lokalu już sam i zatrzymałem się do godziny zamknięcia. Poprosiłem Nicole, by usiadła ze mną. Tamtej nocy wyeliminowaliśmy niepotrzebną niewiadomą z układu. Wyeliminowaliśmy ją wspólnie.

Nicole Steele jest wyraźnie zażenowana, może nawet poirytowana.

Tamtej nocy. Dwa słowa oznaczające w gruncie rzeczy banalną rzeczywistość, studentkę, która już na pierwszej randce idzie do łóżka ze swoim profesorem. Tyle że to w żaden sposób nie współgra z jej obrazem, jaki miałem w głowie.

Bonocore nawet nie zauważa zakłopotania żony i kontynuuje:

– Byłem zaprzysięgłym kawalerem, ale Nicole rzuciła na mnie urok. Niecałe dwa miesiące później, w czerwcu, zerwała ze swoimi licznymi miłościami i wyszła za mnie.

Wybuchają śmiechem, a Nicole czerwieni się i kręci głową.

– Mój mąż żartuje. Nie miałam żadnej miłości.

Bonocore się wyszczerza.

– Co tam, pierwsza, druga czy trzecia miłość niewiele zmienia. Ważne, żeby być ostatnią, prawda, panie doktorze?

Komediant uważający się za boga. Siniak pod okiem Nicole nie znalazł się tam przypadkowo. A to ostatnie zdanie dopełnia obrazu. Victor Bonocore uważa się za pana wszystkiego. Nicole jest najcenniejszym klejnotem w jego życiu. Ale tylko klejnotem. *Jego*, jak cała reszta.

– Co tak pana uderzyło w żonie, profesorze?

Uśmiecha się złośliwie.

– Widzi ją pan, nie? Miałem wiele kobiet, ale nigdy takiej jak lady Diana. Nicole jest po prostu księżniczką. Może nawet za bardzo.

Teraz Nicole się wtrąca:

– Po to tu jesteśmy, Victor. Porozmawiajmy także o tym, w czym nie jestem taka, jak chcesz.

Nicole ma zaczerwienione policzki i unika mojego wzroku, ale jest zdecydowana to ciągnąć. On przeczesuje palcami włosy, gładzi brodę, spogląda na nią, a potem robi jeden ze swoich grymasów.

– Nicole chodzi o kajdanki.

Jestem tak zaskoczony, że wyrywa mi się pytanie:

– Kajdanki?

Bonocore wygląda, jakby się świetnie bawił.

– Tak. I pejcze, więzy i wibrator. Stare przyzwyczajenia, których nabyłem, zanim ją poznałem. Niewinne zabawki. Tylko że mojej żonie się nie podobają. Bo ona jest prawdziwą księżniczką, nie tylko publicznie, ale i prywatnie.

Policzki Nicole płoną, lecz nie przestaje wpatrywać się w męża. On

kładzie jej rękę na kolanie, a ja odbieram ten gest jako ostentacyjny, irytujący, niemal obsceniczny. Nagle do mojej listy przymiotników określających tego mężczyznę dochodzi jeszcze jeden: *niebezpieczny*.

– Złe przyzwyczajenia, panie doktorze, wiem. I przy Nicole będę się musiał obyć bez nich.

Odsłucham jeszcze nagrania, nie mam jednak wątpliwości. Bonocore powiedział: „przy Nicole”, a nie „dla Nicole będę się musiał obyć bez nich”. Jak nauczyły mnie lata pracy w tym zawodzie, prawda kryje się w takich niuansach.

Wibracja telefonu komórkowego w mojej kieszeni sygnalizuje, że zostało pięć minut, a nie chcę przedłużać, zwłaszcza że to pierwsza sesja.

– W takim razie w poniedziałek zaczniemy od pańskich złych przyzwyczajień, profesorze.

Wyłączam rejestrator i odprowadzam ich do drzwi. Bonocore ściska mi serdecznie dłoń, z nich dwojga to on wydaje się bardziej zadowolony. Prawdopodobnie jest przekonany, że wprowadził mnie w potężne zakłopotanie. Powie do Nicole: „Widziałaś minę tego świrowa, kiedy mu powiedziałem o kajdankach?”

Natomiast Nicole jest nieco spięta, jakby nie była zbyt zadowolona z sesji. Znow przyglądam się im zza uchylonych okiennic, jak idą do czerwonego bmw. Ona coś do niego mówi, wydaje się poirytowana. On kręci głową, śmieje się. Wyglądają na szczęśliwych. Zakochanych. Jak ja z Biancą na początku. Tylko że małżeństwo to nie sprint na sto metrów, tylko maraton. Bianca i ja dobiegniemy do mety, oni nie.

Wracam do domu o dziewiątej. Bianca wolała przełożyć kolację o godzinę, żebyśmy tylko mogli zjeść razem, jak mamy w zwyczaju. Luca bez powodzenia stara się pokroić widelcem cielęcinę. Bianca tysiąc razy pokazywała mu, jak się używa noża. Gdybym spróbował mu pomóc, pewnie by mnie posłuchał, ale ona byłaby na mnie zła. Jednak dziś wieczorem jest zbyt spięta, żeby się tym zajmować. Nie wiem, czy to napięcie mam położyć na karb mojego nowego planu dnia, czy jej problemów w prokuraturze. Rozmowa między nami się nie klei.

– Nie chcę iść od razu do łóżka – mówi Luca, kiedy kończymy kolację.

Jest dziewiąta trzydzieści i powinien już pójść spać. Ale zjedliśmy później przeze mnie. Już chcę się odezwać, lecz Bianca bierze Lucę za rękę.

– Nie, kochanie, pora spać, jutro idziesz do szkoły. Pidzama, zęby i do łóżka. Pójdę z tobą.

Kiedy wraca, siadamy blisko siebie na kanapie.

– Ten dziennikarz z „Il Domani”, Franco Romero... mam z nim duży problem. Pomyliły mu się role, zamiast reporterem próbuje być śledczym. Kazałam go zatrzymać. Teraz muszę zdecydować, czy prosić sędziego śledczego o nakaz aresztowania za utrudnianie śledztwa. Będę musiała pracować przez weekend, Nanni.

Jestem niezadowolony, kompletnie mi się nie podoba to napięcie. Ale nie chcę dyskutować, zresztą z Biancą to nie ma sensu. Dobrze wiem, kim jest moja żona poza ścianami tego domu. Kobieta o żelaznej woli, zdolną do robienia kariery w prokuraturze takiego kraju, w którym koledzy bez przerwy ją pytają: „Dobrze się czujesz? Dasz radę?”, a oskarżeni gapią się na jej cycki albo na nogi. Ale Bianca owija ich sobie wokół palca z tym swoim ujmującym uśmiechem i niewzruszoną samokontrolą.

– Dobrze, skarbie. Jutro po szkole zawiozę Lucę do moich rodziców, będziemy mieli więcej spokoju.

– Wolałabym, żebyś został z Lucą u nich. I po południu zabrał go do kina. Będę mogła spokojnie pracować.

Wiem, co przez to rozumie. I *nie będę musiała się o was troszczyć*. Prosi mnie o to po raz pierwszy w życiu. Ale zawsze musi być ten pierwszy raz.

– Dobrze. Przeniesiemy się z Lucą do rodziców. Pracuj spokojnie.

Uśmiecha się do mnie, lecz wydaje się smutna. Jej też ciąży ta krótka rozłąka.

– Dziękuję, Nanni.

Zawsze musi być ten pierwszy raz. Zresztą bez pierwszych razów nie byłoby życia. I nagle czuję się wolny, nie opuszczony. W tym pierwszym, odkąd się znamy, weekendzie bez Bianki widzę nieoczekiwane możliwości. Albo znak od losu.

Los decyduje za nas, panie doktorze.

Sobota, 12 maja 2001

Nanni

Spędzam przedpołudnie z pacjentami, starając się nie myśleć o Scarlett Steele i wolnym wieczorze, który mnie czeka.

Potem zabieram Lucę ze szkoły i jedziemy do moich rodziców nad morze. Bianca chce, żebym w samochodzie zawsze coś do niego mówił, ale ja wolę, by to Luca mówił, jeśli ma chęć. Tym razem chłopak milczy niemal całą drogę, odzywa się dopiero nad samym morzem:

– Odebrałeś moje zdjęcia, tato?

Kompletnie o tym zapomniałem, lecz nie mam ochoty go okłamywać. Próbuję skierować go na inny temat.

– Morze jest pełne żaglówek.

– Zabierzesz mnie?

Z wielu powodów nie zabrałem go dotąd na żagle. Zaczynają się od tego, że to dla mnie jeden z nielicznych momentów totalnego odprężenia, a kończą na koszmarnym lęku Bianki, że Luca wpadnie do wody. I ten ostatni jest powodem oficjalnym.

– Mama się nie zgadza, Luca. Musisz być trochę większy.

– Ile większy?

Tak, to bardzo dobre pytanie.

Kiedy Luca będzie mógł coś zrobić bez pozwolenia Bianki? A ja?

Po przyjeździe do rodziców jemy obiad, a potem Luca zabiera się do rysowania. Powinienem mu powiedzieć, żeby zaczął odrabiać lekcje, ale nie chcę go denerwować, więc zostawiam go z dziadkami, a sam idę ze szwagrem na żagle.

Popołudnie jest niemal letnie, morze gładkie jak stół i bardzo słaby wiatr. Postanawiamy ze szwagrem rzucić żagle, zakotwiczyć i powędkować. Ale to nie jest dzień na ryby, jest zbyt gorąco i niedaleko nas ciągle przepływają motorówki. Nic nie bierze. Więc rozmawiamy, a raczej on mówi, a ja

słucham, jestem zawodowo przyzwyczajony. Problemy w pracy, piłka nożna, relacje z moją siostrą Paolą. Później Piero rzuca takie zdanie:

– Nanni, czytałeś gazety?

Wiem, o czym mówi. O zatrzymaniu tego cholernego dziennikarza, Franca Romera. Z tego właśnie powodu nie czytałem gazet ani nie oglądałem wiadomości.

– Są wściekli na Biancę?

– Nie wiedzą, co sądzić, także dlatego, że prokuratura odgrodziła się murem milczenia, nie podając żadnych powodów. Jedynym zdecydowanie krytycznym dziennikiem jest „Il Domani”.

– To naturalne, w tej gazecie pisze Romero. Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zmienimy temat?

Uśmiecha się.

– Moja koleżanka z pracy mówi, że widziała cię na obiedzie w Capanninie. Poznała cię na moim przyjęciu urodzinowym.

Zastanawiam się tylko przez sekundę i dwie rzeczy są dla mnie jasne: nie mam ochoty się tłumaczyć, a jego koleżanka nie może być absolutnie pewna, że to ja.

– Nie jadam w Capanninie. Pewnie ktoś był do mnie podobny.

Pietro kiwa głową.

– Tak też myślałem, powiedziała, że byłeś z piękną dziewczyną o zielonych oczach i rudych włosach. – Kładzie mi dłoń na ramieniu i uśmiecha się pod nosem. – Wybacz, Nanni, ale byłem pewien, że to nie ty, to naprawdę do ciebie niepodobne. Poza tym bałbyś się Bianki jak cholera.

O dziwo, te dwa zdania, zamiast mnie uspokoić, boleśnie ranią.

To naprawdę do ciebie niepodobne. Poza tym bałbyś się Bianki.

Po kolacji Luca kładzie się na podłodze ze swoim rysunkiem, moja matka z babcią idą do kuchni posprzątać, ojciec siada przed telewizorem i ogląda program sportowy.

Nagle czuję, że robi mi się duszno. Jest sobotni wieczór, pary spędzają go razem. Ja i Bianca od wieków nie spędzaliśmy soboty oddzielnie. Dzwonię do niej na komórkę. Odbiera po kilku sygnałach. W tle cisza, jakby była gdzieś na pustyni.

– Wszystko dobrze z Lucą? – pyta natychmiast z niepokojem.

Przez głowę przebiega mi myśl, że gdyby nie niepokój o syna, w ogóle by nie odebrała.

– Pewnie. Chcesz, żebym wrócił na noc do domu?

Sprawia wrażenie, jakbym ją wziął z zaskoczenia.

– Nie, jutro jest niedziela, musiałbyś jechać z Rzymu do Ostii z wszystkimi plażowiczami. Zostań u rodziców.

– Jesteś jeszcze w prokuraturze?

– Tak. Tu jest dużo dokumentów, których nie mogę zabrać do domu. Ale nie martw się o mnie, Nanni. Dobranoc.

W moim starym pokoju, który zajmowałem jako dziecko, okno jest szeroko otwarte. Jest zbyt gorąco, by spać. A może zbyt wiele myśli tłoczy mi się w głowie. Już pierwsza, a ja wciąż nie mogę zasnąć. Moje myśli błakają się samopas.

To wina Bianki, ja nawet zaproponowałem jej, że wrócę do domu. Będzie miała żółtą czy zieloną sukienkę?

Ubieram się po cichu i wychodzę na palcach, jak złodziej z rodzinnymi srebrami w worku. Mój mercedes jest zaparkowany za rogiem. Włączam silnik i ruszam ostro do Rzymu.

Parkuję nad Tybrem i wchodzę w gęstwinę zatybrzańskich uliczek. Jest dziesięć po drugiej, setki młodych ludzi siedzą na balustradzie wzdłuż rzeki, na chodnikach albo w ogródkach barowych, piją piwo, palą, żartują.

Wchodzę do Food and Drink, jest jeszcze większy ścisk i hałas niż poprzedniej soboty, kiedy byłem tu z Mariem.

Scarlett ma żółtą sukienkę. Tym razem nie dostrzega mnie od razu, więc chowam się w tłoczonym rogu po przeciwnej stronie baru. Patrzą, jak lekko przemyka między stolikami, żartuje z chłopakami, prowokuje i ściąga na siebie uwagę. Ciemnoskóry młodzieniec, właściciel lokalu, patrzy na mnie z dezaprobatą, a na Scarlett z troską. Świetnie wie, że męskiej części klienteli dziewczyna podoba się bardzo, części żeńskiej – wprost przeciwnie. A to dla jego interesów nie jest rzecz najbardziej pożądana. Scarlett podchodzi do stolika i podaje piwo, przesadnie nachylając się do przodu. Jej dekolt znajduje się niemal na wprost twarzy siedzącego chłopaka. Oczy wychodzą mu z orbit, czego Scarlett jest doskonale świadoma. Składa puste kufle na tacę i kiedy przechodzi obok niego, lekko trąca go biodrem.

Wychodzę i staję w tej samej bramie co tydzień temu. Ludzie zaczynają się wysypywać z zamykanego lokalu i niedługo później pojawia się Scarlett

wraz z resztą kelnerów i właścicielem. Oddalam się szybko, a po chwili wracam, jakbym dopiero co wyszedł z za rogu, i idę w ich stronę z komórką przy uchu, udając, że rozmawiam przez telefon. Scarlett mnie dostrzega, chowam telefon do kieszeni. Wychodzi mi naprzeciw z miną jeszcze bardziej sarkastyczną niż dotąd.

– To nowy zwyczaj tak tu wpadać po nocach, co, Johnny?

– Mieszkam niedaleko.

Scarlett przygląda mi się przez moment, potem się uśmiecha.

– Ja też mieszkam niedaleko, Johnny. I lepiej będzie, jak pójdziemy do mnie niż do ciebie, prawda?

Bianca pewnie śpi już od paru godzin. Mógłbym wrócić do domu i wślizgnąć się do własnego łóżka, w którym leży moja żona. Ale powiedziała, żebym został nad morzem, i gdybym wrócił, pytałaby, co robiłem aż do tej pory. Wokół mnie pulsuje życie: młodzież, piwo, skręty. I niewyobrażalnie seksowna Scarlett Steele.

Dlaczego zawsze musisz sobie odmawiać? Zresztą z nią niczym nie zaryzykujesz. Tylko niezłe bzykanko, o którym nikt nigdy się nie dowie. Dobrze ci to robi, potrzebujesz tego.

Scarlett bierze mnie za rękę.

– Idziemy do mnie, Johnny.

W drodze nie mogę przestać myśleć o Biance śpiącej w naszym łóżku.

Przychodzimy do kawalerki i wkraczamy w kompletnie nieznaną mi przestrzeń. Scarlett odwraca się do mnie plecami.

– Chciałbyś pociągnąć w dół zamek tej sukienki, która tak ci się podoba, Johnny?

Pewnie, że bym chciał, i to jeszcze jak. Ale wiem, że nie mogę. Wyobrażam sobie, że Bianca mnie widzi.

Utrata Bianki to zbyt wielkie ryzyko.

– Nie mogę.

Scarlett patrzy na mnie z osłupieniem.

– Jesteś impotentem?

Właśnie, nie pomyślałem o tym. Doskonałe rozwiązanie.

– Tak, Scarlett. Muszę zostać sam, przepraszam.

Uciekam od niej, uciekam z tego mieszkania, z Zatybrza. Uciekam do mojego prawdziwego życia. Potrzebuję Bianki. Spieszę do swojego domu, wchodzę pod górę. Drzwi pancerne są zamknięte, alarm włączony.

Bianca jest jeszcze w prokuraturze. Nie ma jej tu dla mnie.
Wsiadam do mercedesa i jadę do Ostii. Czuję się stary i samotny.

Niedziela 13 maja 2001

Nanni

Dzień u moich rodziców był długi i wyczerpujący. Myśli błąkały mi się między Scarlett a Biancą. Rezygnacja ze spędzenia nocy z tą dziewczyną w jakiś sposób sprawia, że wina żony, która zostawiła mnie samego, staje się w moich oczach jeszcze większa.

Przyjeżdżamy z Lucą do domu o ósmej wieczorem, a jej wciąż nie ma. Ale kolacja – frittata, szynka i sery – jest gotowa, a stół nakryty dla dwóch osób. A więc Bianca musiała wpaść na chwilę do domu.

– Gdzie mama? – pyta mnie Luca przy stole.

– Jeszcze pracuje. Musi rozwiązać taki jeden problem.

Odpowiadam z pogodą i spokojem, których kompletnie nie doświadczam.

– Przykro ci, tato?

Wiem, że Luca ma niezwykłą wrażliwość, wykalibrowaną na zmianach mojego humoru, nie Bianki, zdolną wychwycić najdrobniejsze wahanie nastroju. Staram się odpowiedzieć mu szczerze, lecz nie wzbudzać niepokoju.

– W sumie obaj wolimy jeść z mamą, prawda? Idź rysować swoje smoki.

Luca uśmiecha się do mnie i biegnie do swojego pokoju.

Pół godziny później idę do niego. Głaszczę go po głowie.

– Już czas iść spać.

Bierze mnie za rękę.

– Poczytasz mi coś, tato?

Zaczynam wymyślać jakąś wymówkę, kiedy słyszę, że drzwi do domu się otwierają. Po chwili Bianca wchodzi do pokoju Luki.

– Zdążę jeszcze coś ci poczytać, skarbie?

Mówi tym samym tonem co zwykle: troskliwym, czułym, spokojnym. Ale ma ciemne obwódki pod oczami i głębsze niż zwykle zmarszczki w kącikach. Wychodzę bez słowa, zostawiając ich samych. Dziesięć minut później Bianca pojawia się w salonie.

– Mam nadzieję, że kolacja wam smakowała.

W jednej chwili cała wrogość wyparowuje. Bianca jest tą jedyną kobietą, której nie mogę stracić.

– A ty coś jadłaś? – pytam i obejmuję ją.

Łagodnie odsuwa się ode mnie, kręci głową.

– Nie miałam czasu. Złożyłam wniosek o tymczasowe aresztowanie Romera. Sędzia śledczy ma czterdzieści osiem godzin na podpisanie go albo odrzucenie.

Moja pierwsza reakcja to niezadowolenie. Już sobie wyobrażam, jakie reakcje w mediach wywoła aresztowanie dziennikarza. Zacznie się piekło.

– Możesz powiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?

– Nie, Nanni. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, ile sam przeczytasz w gazetach. Reszta objęta jest tajemnicą śledztwa.

Tajemnicą niedostępną także dla mnie.

– A co przeczytam?

– Chodzi o śledztwo, które prowadzę. Ten biedak Pasquale Caruso, ten, co rzucił się w dół z dźwigu po tym, jak zabił mordercę swojej córki... Czytałeś o tym, nie?

– Mówiłaś, że tą sprawą zajmował się Ezio Conti.

– I to prawda. Ja z nią nie miałam nic wspólnego. Tyle że Caruso był marginalnie połączony z innym śledztwem, którym zajmowałam się wcześniej.

– A co z tym ma wspólnego Romero?

– Jest oczywiste, że Caruso popełnił samobójstwo wyłącznie z powodu cierpienia po stracie córki. Tymczasem Romero w swoich artykułach sugeruje również inny motyw, związany z przetargami.

– I za to każesz go aresztować?

– Nie, Nanni. Każę go aresztować, bo nie ma nic na poparcie swojej teorii i szkodzi mojemu śledztwu w sprawie przetargów, a także rzuca cień na reputację porządnej osoby. Nie mogę powiedzieć więcej. Nie rozmawiajmy już o tym.

Kiedy kładziemy się do łóżka, Bianca odwraca się na drugi bok i gasi światło. Wraca ukłucie wrogości, które odczuwałam w ostatnich dniach.

Ja nie przeleciałam Scarlett, a Bianca zaniedbuje mnie i Lucę.

Przez jakiś czas leżę bezsennie obok żony. Odwróciła się do mnie plecami. Nie wiem, czy śpi, czy jeszcze nad czymś myśli. Przez wszystkie lata małżeństwa ani razu dotąd nie czułem takiego dystansu z jej strony. A

może to ja się przyzwyczałem do tego, że zawsze jest obok mnie, zawsze pomocna, zrównoważona, doskonała?

Poniedziałek, 14 maja 2001

Nanni

Dzisiejszego ranka przed wyjściem atmosfera jest wyjątkowo gęsta. Obce uczucie, które niespodziewanie zagnieździło się w samym sercu naszej rodziny. Bianca jest bardzo spięta, choć robi, co może, by to ukryć, przynajmniej przed Lucą. Mówi mi, że musimy wyjść tylnym wyjściem. Kiedy wychodzimy, już tam na nią czeka radiowóz. Całuje Lucę, potem mnie. Wsiada do auta i znika.

Przed naszą bramą stoją wozy transmisyjne różnych telewizji i chmara reporterów. Luca im się przygląda, nie wiem, czy jest przestraszony, czy tylko zaciekawiony.

– Czekają na mamę?

Nie odpowiadam mu, tylko poganiam go, by wsiadł szybciej do samochodu. Ale jeden z pismaków mnie poznaje i wszyscy biegną w naszą stronę. Włączam silnik i z piskiem opon odjeżdżam na wstecznym.

Kilka minut później przystaję pod bramą szkoły. Zamiast wyjść od razu, Luca przygląda mi się przez chwilę.

– Tato, gniewasz się z powodu mamy?

– Nie, Luca, nie martw się.

Głaszczę go po głowie, wysiada. Nie okłamałem go. Nie gniewam się. Jestem zmartwiony. Martwię się o Biancę, o siebie, o niego. Na ogromnej lodowej tafli naszego ustabilizowanego życia po raz pierwszy widzę niewielkie pęknięcie. Staram się przypisać je wyłącznie jej, ale wiem, że tak nie jest. Wiem, że w tym pęknięciu i ja mam swój udział. Ja i tamten wypalony skręt, i Scarlett, i niektóre myśli na temat mojej wolności.

Jadę do pracy w porannym korku. Wiadomość o aresztowaniu Romera jest pierwszą, jaką podaje radiowy dziennik o ósmej trzydzieści. Szef rzymskiej prokuratury Abbiati zasłania się tajemnicą śledztwa i każe czekać na decyzję sędziego śledczego. Tymczasem z drugiej strony, z ust

przewodniczącego związku zawodowego, do którego należy Romero, oraz prezesa Izby Dziennikarskiej w wywiadach padają takie słowa jak oszołomienie, niepokój, konsternacja. Idę do kiosku, w którym mnie nie znają. Kupuję „Il Domani” i inne ważne krajowe dzienniki. W większości tytułów informacja pojawia się w notce na pierwszej stronie, a jej krótkie rozwinięcie trafia do działu doniesień krajowych. Tylko w „Il Domani” nagłówek ze zdjęciem zajmuje połowę pierwszej strony: *Nasz dziennikarz aresztowany*. Fotografia przedstawia Franka Romera, mężczyznę około czterdziestoletniego, pogodnego i uśmiechniętego, w towarzystwie żony i syna. Obok fotografia Bianki, ujęcie specjalnie przedstawiające ją z twardym spojrzeniem i większą liczbą zmarszczek, niż ma w rzeczywistości. Artykuł w środku numeru podpisany jest przez niejaką Lindę Nardi i tytuł nie obiecuje nic dobrego: *Jastrzębie w prokuraturze*. Postanawiam go nie czytać.

Przed południem staram się skoncentrować na pacjentach, choć przychodzi mi to z wielką trudnością. W południe Bianca pisze do mnie esemes, że nie wróci na obiad i że Rosa przygotowała już wszystko dla mnie i dla Luki.

O pierwszej trzydziści jadę do szkoły po Lucę. Przed bramą widzę woźnego, który otwiera mi przejazd i daje znak, bym wjechał samochodem do środka. Dyrektor szkoły chce ze mną rozmawiać. Natychmiast czuję ukłucie niepokoju. Nie znam się z nim, bo Luca jest w pierwszej klasie gimnazjum, a na comiesięcznych wywiadówkach bywa Bianca. Dyrektor wychodzi mi naprzeciw z uśmiechem, tak że od razu czuję się spokojniejszy. O cokolwiek idzie, rzecz nie wydaje się poważna. Dyrektor wskazuje mi fotel naprzeciwko swojego biurka.

– Z Lucą wszystko dobrze – mówi od razu. – Niedawno była niewielka sprzeczka podczas zajęć z wuefu, kiedy wszystkie klasy schodzą się na dziedzińcu i grają w siatkówkę.

– Luca gra w siatkówkę?

Dostrzega moje zaskoczenie.

– Wszystkie dzieci są *zobowiązane* do uprawiania ruchu i do gier w mieszanych wiekowo i płciowo drużynach. To ma im pomóc w socjalizacji. Każde może wybrać jeden z czterech sportów. Pańska żona poprosiła, żebyśmy zapisali Lucę na siatkówkę.

Miałbym do tego wiele zastrzeżeń, ale z pewnością nie jestem tu, by dawać wykład z psychologii wychowania. Teraz dyrektor jest wyraźnie

zmieszany. Mówi apologetycznym tonem:

– W trzeciej klasie gimnazjum jest także syn pana Romera, dziennikarza. – Podnosi rękę, by powstrzymać moją reakcję. – Nauczycielka wuefu jest u nas na tymczasowym zastępstwie i nie zna uczniów.

Staram się pozbyć gniewu w głosie.

– Co się stało?

– Syn pana Romera wziął na cel Lucę. Najpierw były słowa, a potem wepchnął go do sadzawki.

– I nauczycielka go nie powstrzymała?

Dyrektor kręci głową.

– Niestety, na dziedzińcu była setka dzieci i nie zdążyła zareagować na czas.

– Coś mu się stało?

– Nie, nic. Problem w czym innym. Luca wyszedł z sadzawki, chwycił za szpadel ogrodnika i uderzył młodego Romera w nogi. Efekt: osiem szwów i zastrzyk przeciwțęcowy.

Próbuję nie pokazać po sobie, jaką ulgę czuję.

– I co teraz?

– Przez telefon wyjaśniłem pani Romero, jak miały się sprawy. I bardzo wyraźnie podkreśliłem, że zaczął jej syn, najpierw obelgami, potem przepychanką, a jest dwa razy większy od Luki. Wyjaśniłem, że sankcja dyscyplinarna przewidziana w takich wypadkach to relegowanie ucznia. Chyba że epizod nie zostanie zgłoszony na policję.

Ten subtelny szantaż dyrektora wobec pani Romero jest oznaką nie tylko bezstronności, ale i oportunisty. Gdyby sprawa się rozniosła, ucierpiałaby reputacja szkoły. A choć wejście w konflikt z dziennikarzem stanowi poważny problem, to zrobienie sobie wroga z prokuratora Republiki mogłoby się okazać czymś jeszcze gorszym.

Dyrektor uśmiecha się do mnie.

– Pani Romero się zgodziła. Prawdopodobnie uważa, że ten epizod mógłby mieć wpływ na niełatwą pozycję prawną jej męża.

Robi przerwę. Pewnie oczekuje mojej reakcji, ale nie odpowiadam. Mówi więc dalej:

– W związku z tym dla szkoły sprawa wygląda tak: młody Romero przeprosza Lucę, a Luca przeprosza młodego Romera. Co pan o tym sądzi, *dottor Annibaldi*?

Bianka by się na to zgodziła, ona jest zawsze za polubownymi rozwiązaniami. We mnie jednak coś się burzy.

– Nie można by tego zamknąć bez publicznych przeprosin?

– To szkoła katolicka, *dottor* Annibaldi. Wszystkie dzieci widziały, co się wydarzyło. Skrucha i przebaczenie są przydatne we współżyciu z innymi.

– Pańska szkoła ponosi więcej winy niż ci dwaj chłopcy. Również pan zamierza publicznie przeproszać?

Nie wiem, co mnie naszło. Ten pewny siebie ton pochodzi z czasów przed Biancą. Dyrektor przez moment patrzy na mnie i wyraźnie nie wie, co powiedzieć. Rozważa wszystkie za i przeciw. Wie, że szkoła ponosi odpowiedzialność za niedostateczną kontrolę. Poradzenie sobie ze zgłoszeniem tego przez matkę pracującą w prokuraturze nie byłoby proste. Tym bardziej gdy tą matką jest prokurator Bianca Benigni.

Wstaje, podaje mi rękę, którą ignoruję.

– Zgoda, *dottor* Annibaldi. Zamykamy ten temat.

Wstaję i wychodzę bardzo zadowolony z siebie. Odwaga, jaką się wykazałem z dyrektorem, jest etapem nowej drogi, która rozpoczęła się wraz z wypaleniem tamtego skrzyżowania na Zatybrzu i zmierza ku Scarlett Steele.

Luca unika mojego wzroku i nie odzywamy się do siebie przez całą drogę w samochodzie. Chciałbym powiedzieć mu coś pocieszającego. Jednak to, co przychodzi mi bez trudu wobec pacjentów, nie udaje mi się nigdy wobec własnego syna.

Pewnie dlatego, że jemu nie mógłbyś wciskać kitu.

Przez chwilę zaskakuje mnie bezwzględność tej myśli na własny temat. Czuję się tak, jakby wydarzenia ostatnich dni zniszczyły matową patynę przesłaniającą mi wzrok.

– Powiesz mamie?

Wszyscy się jej boimy. Nie pozwala nam dojrzeć.

– Mama teraz ma problemy w pracy. Może powiemy jej za parę dni?

To nie będzie kłamstwo, tylko bardzo roztropne niedopowiedzenie. Luca jest już spokojniejszy.

– Co mama zrobiła ojcu tamtego chłopaka?

– Ojciec tego chłopca, który cię zaczepił, jest dziennikarzem i zrobił coś, czego nie powinien. Mama musiała zażądać dla niego aresztu.

Luca z namysłem kiwa głową.

– Ale mama ma rację? Czy była złośliwa?

– Mama nie jest złośliwa, to jej praca i wykonuje ją dobrze. Teraz zjedźmy coś, potem będziesz mógł iść porysować. Prace domowe później, zgoda?

Luca nie patrzy na mnie, kręci głową.

– Nie pójdę więcej do szkoły. Chcę do babci.

Myślę, że niekiedy dziecięcy upór podpowiada najlepsze rozwiązania w danej chwili. I chcę, by Luca już się rozpogodził.

– Dobrze – mówię. – Ale tylko na parę dni.

Bez słowa rzuca mi się na szyję. Będę musiał później wytłumaczyć wszystko Biance. Dzwonię do mojej matki, opowiadam, co się stało, ona w lot pojmuje sytuację.

– Przywieź go do nas, Nanni. Przynajmniej póki nie skończy się ta sprawa Bianki z dziennikarzem.

W pół godziny dojeżdżam z nim do Ostii. Drugie pół godziny zajmuje mi dotarcie do gabinetu, w sam raz na pierwszą popołudniową sesję. Czuję się nieco euforycznie. Ustawiłem do pionu dyrektora szkoły. Nie pozwoliłem zrzucić na Lucę winy za to, co się stało. Pozwoliłem mu nie wracać do szkoły i zostać u dziadków.

Nie pytając o zdanie Bianki. Bez strachu.

Przyjeżdżają o siódmej dwadzieścia pięć czerwonym bmw z Nicole za kierownicą. Zastanawiam się, czy wiedzą, że sprawa, która jest dziś na ustach wszystkich, dotyczy mojej żony. Dzienniki mówią o prokurator Biance Benigni, bez podawania jej nazwiska po mężu. Kiedy Nicole i Victor wchodzi, nie mówią o tym ani nie pokazują nic po sobie. Prawdopodobnie nie wiedzą nawet, kim z zawodu jest moja żona.

Tak samo jak za pierwszym razem siadają obok siebie na kanapie. Nicole wygląda na nieco spiętą, pod zielonymi oczami nie ma sińców, ale jest czujna, jakby w każdej chwili oczekiwała wybuchu szaleństwa ze strony męża. On jest całkowicie rozluźniony. Uprzedzam ich, że rozpoczynam nagrywanie.

– A więc tak, profesorze. W piątek stanęliśmy na pana złych przyzwyczajeniach. Możemy kontynuować ten wątek?

Bonocore wykrzywia się w typowy dla siebie sposób.

– Oddawałem się im przez cały weekend.

Jak zwykle mam odczucie, że on gra. Nicole nie wydaje się ani trochę zadowolona z tego początku. Widzę, jak nagle puszcza jego rękę. On sprawia wrażenie, jakby kompletnie nie zauważał jej reakcji.

– Nie martwcie się. Żadnych kobiet, tylko wino. W sobotę i niedzielę zostawiłem Nicole w spokoju i odwiedzałem region winiarski Chianti.

Bez troski o upływający czas ze szczegółami opowiada mi o swojej wycieczce. O szczepach winorośli, traktierniach, winnicach. Teraz, gdy już wiadomo, że mowa o Bachusie, a nie o Wenus, Nicole znów bierze męża za rękę. Czas sesji upływa na banialukach i czuję, że Bonocore robi to, by wystawić na próbę moją cierpliwość. Ale nie przerywam mu ani razu. A kiedy zbliżamy się niemal do końca, postanawia włączyć żonę do swojego przedstawienia:

– Nicole zaś została w Rzymie. Wie pan, ona nie pije, nie pali, nie...

Ona przerywa mu, zanim wypowie do końca zwyczajową wyliczankę przywar, których nie posiada:

– Niemniej chętnie bym z tobą pojechała, gdybyś tylko wykazał chęć.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ty masz mnóstwo cnót i brakuje ci przywar, moja droga. W gruncie rzeczy dlatego jesteśmy u pana doktora, nieprawdaż? Bo ja jestem twoim przeciwieństwem! Prawdziwy dramat!

Nicole kręci głową.

– Pani Bonocore, nie zgadza się z tym pani?

Nieco zagubiona patrzy teraz na mnie tymi swoimi szmaragdowymi oczami. Poważnie się zastanawia.

– Victor jest genialny, zabawny, wielkoduszny, otwarty na wszystko. Dla niego życie jest nieustannym odkrywaniem, nigdy nie ma dość. Trudno dotrzymać mu kroku. Czasem wręcz się go boję.

– A pan, profesorze? Czego pan się boi?

Nie odpowiada od razu. Patrzy na mnie tak, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu.

– Tylko jednej rzeczy się boję. Że Nicole będzie mnie miała dość. Że zakocha się w kimś, kto będzie ją kochał mniej, ale bardziej będzie do niej pasował.

– Naprawdę pan sądzi, że to możliwe?

Pytanie jest nieco zbyt bezpośrednio jak na drugie spotkanie i wiem to,

ale Bonocore jest człowiekiem bezpośrednim i się nie obraża. Patrzy na mnie w skupieniu. Rzuca okiem na rejestrator.

– Nie. Ale niekiedy nawet człowiek nauki traci głowę.

I w takim wypadku pojawia się cios i wielki siniec.

Automatycznie spoglądamy po sobie z Nicole, która natychmiast interweniuje:

– Victor nie ma powodów do zazdrości, doktorze. Jeśli już, to mam je ja. Bonocore się śmieje.

– To prawda, Nicole miała przede mną tylko jedną miłość, podczas gdy ja, zanim ją poznałem, byłem bardzo *konsumpcyjny*.

Fascynujący skurwysyn. Potrafi dobierać interesujące słowa.

– *Konsumpcyjny*, profesorze?

Wygląda, jakby naprawdę świetnie się bawił.

– Wie pan, byłem kawalerem, podziwiano mnie, miałem pieniądze dzięki patentom i firmie, którą stworzyłem, a potem sprzedałem. No i byłem przystojny, nieprawdaż? Złatywały się do mnie jak pszczoły do miodu i...

Nicole uśmiecha się z wysiłkiem. Próbuje oddramatyzować:

– Wystarczy, żeby już teraz się nie złatywały.

Czuję wibrację komórki w kieszeni, za pięć minut koniec.

– Dobrze, profesorze. Więc na dziś nie ma rzeczywistych powodów do zazdrości ani z jednej, ani z drugiej strony.

– Jeszcze za wcześnie, by to orzec. To dopiero nasze drugie spotkanie. Następnym razem opowiemy o tym florenckim malarzu, który jest wielką pasją Nicole.

Bonocore wstaje. Jest przyzwyczajony grać pierwsze skrzypce. Zawsze chce mieć ostatnie słowo. Doskonale wie, że czas minął i nie możemy zgłębić tematu.

Nicole patrzy na mnie i kręci głową. Teraz wydaje się pogodna, niemal rozbawiona, trzyma Victora za rękę. Wyłączam rejestrator. Czuję się skonfundowany, wręcz poirytowany. Zazwyczaj w lot pojmuję, z kim mam do czynienia. Tym razem nie. Może tych dwoje świetnie udaje.

Albo ty jesteś mało lotny, Nanni.

Wracając do domu, dzwonię do Bianki do prokuratury.

– Zawiozłem Lucę do dziadków, miał mały problem w szkole. Już dałem

znać Rosie, żeby się nie martwiła.

– Co się stało?

– Nic takiego. Głupoty. Jutro odpocznie i za parę dni z powrotem zacznie chodzić do szkoły.

Milczenie. Jestem na nią zły za tę historię z Romerem, ale nic nie mówię. Przecież i ja miałbym się za co skarcić.

– Dobrze, porozmawiamy potem. Teraz muszę jeszcze coś zrobić, Nanni. Zjem kanapkę w prokuraturze. Rosa przygotowuje ci kolację.

– Dziś też będziesz późno?

Wiem, że w tym zdaniu zawarłem subtelne oskarżenie, lecz ona tego nie wychwytuje.

– Nie mam pojęcia. Nie czekaj na mnie ze spaniem.

W jej głosie wyczuwam pośpiech. Teraz już jestem zyskuję całkowitą pewność, że sprawa Franca Romera jest naprawdę poważna. I że definitywnie znalazłem się na trzecim miejscu zainteresowań Bianki, zaraz po Luce i tej jej cholernej pracy.

Bianca pojawia się w domu po północy. Jest spięta i zmęczona, obwódki wokół oczu i zmarszczki ma jeszcze wyraźniejsze niż wczoraj. Nie wydaje się zadowolona, że nie poszedłem spać, tylko czekałem na nią. Idzie od razu do łazienki i zaraz potem wślizguje się do łóżka w nocnej koszuli. W ręku ma skoroszyt z jakimś maszynopisem. Siadam na brzegu łóżka, próbuję pogłaskać ją po włosach, ale odsuwa moją rękę.

– Okłamałeś mnie, Nanni.

Natychmiast myślę o Scarlett Steele i o swoich eskapadach do Food and Drink i kamienieję z przerażenia.

– Dzwoniłam do szkoły – dodaje.

Próbuję nie wydać z siebie głośnego westchnienia ulgi.

– Syn Romera ma trzynaście lat, Bianca. To jeszcze dziecko. Takie rzeczy się zdarzają.

Patrzy na mnie. Jej wzrok jest lodowaty.

– Kiedy miałam trzynaście lat, byłam wolontariuszką w jadłodajni Caritasu, a w weekendy prowadziłam zastęp skautowy. W każdym razie nie chodzi o syna Romera, tylko o to, że mnie okłamałeś.

No i dobrze. Przemilczałem przed nią minibójkę i źle zrobiłem. Ale ta jej

niespodziewana cierpkość jest absolutną nowością, oznaką poważnego stresu.
I nie chcę zaognić sytuacji.

– Przepraszam, Bianca. Powiedziałbym ci.

Potrząsa głową.

– Niczego przede mną nie ukrywaj, Nanni. Nie lubię tego.

Wtorek, 15 maja 2001

Nanni

Przedpołudnie spędzam w gabinecie, starając się skoncentrować na pacjentach. Ale to jest naprawdę trudne. Nie patrzyłem na nagłówki gazet, nie słuchałem radia i nie włączyłem telewizora. Na zewnątrz wraz z ostatnim wiosennym deszczem z pewnością szaleje medialna burza.

Kiedy wieczorem wracam do domu, Bianca już jest. Nie przygotowała kolacji i stół nie jest zastawiony.

No przecież, Nanni, w środku tego piekła nie miała czasu zająć się twoją kolacją.

Podaje mi kartonowe pudełko z zimną pizzą, ale udaję, że wszystko w porządku, kiedy dzielimy ją i zjadamy razem, jak zawsze w kuchni.

– Ufasz mi, Nanni?

Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, by zadawała podobne pytania. Nigdy też dotąd nie było po temu powodów.

– Zawsze ci ufam.

Jest poważna, skoncentrowana. Nie uśmiecha się.

– W dzienniku podadzą informację, że sędzia śledczy postanowił uwolnić Romera.

Instynktownie wstaję i przytulam ją. A może to ja przytulam się do niej.

Będę z tobą w dobrej i złej doli, w zdrowiu i chorobie.

– Wybuchnie piekło, Nanni. A ja będę potrzebowała dużo spokoju, by zrobić to, co do mnie należy.

Słyszę w tym zdaniu coś nieubłaganego, z czym nie mogę walczyć. A tym bardziej nie mogę tego powstrzymać. Ale nie chcę tego robić.

Nie możesz tego rzucić, kochanie? Opuścić?

– I nie ma mowy, żeby Luca wrócił do szkoły, dopóki prasa się nie uspokoi.

– Dobrze.

– Wolałabym, żebyś od jutra nocował u swoich rodziców.

Postanowiłaś wyruszyć na wojnę i nie chcesz nas w to mieszać.

Nie wiem, czy ona już śpi, kiedy w końcu zapadam w niespokojny sen. Śni mi się, że kocham się z nią, ale nie tak jak teraz, tylko jak na początku, kiedy to była ekscytująca gra, która tak się jej podobała. Pytam: „Podoba ci się?”, choć nawet we śnie doskonale pamiętam, że nigdy nie ośmieliłem się zadać Biance tego pytania. Kiedy głos odpowiada: „Jeszcze jak!” i patrzę nad siebie, jej twarz jest zakryta bandażem, a nadgarstki skute kajdankami.

Budzę się gwałtownie. Panuje cisza, miasto jeszcze śpi, widzę czerwone cyferki budzika. Świta. Chwila, w której marzenia senne stają się rzeczywistością. Słyszę jedynie bicie własnego serca w ciemności i czuję, jak drżą mi ręce. Ten mrok chronił nas przed światem, oddzielał od wszystkiego i wszystkich, by zjednoczyć tylko nas dwoje. Choć może wyłącznie w tym mroku, w ścianach tego pokoju byliśmy z Biancą zjednoczeni.

Środa, 16 maja 2001

Nanni

Bianca budzi się o świcie. Ja zostaję w łóżku, udając, że jeszcze śpię, i czekam, aż ona wyjdzie. Potem wstaję, szykuję się i też wychodzę.

Kupuję egzemplarz „Il Domani” i zatrzymuję mercedesa w spokojnym ogrodzie pod moim gabinetem. Tytuł na całą szerokość strony: *Sprawiedliwości stało się zadość*. Na kolejnej stronie tekst tej Lindy Nardi: *Kto ma zapłacić, niech płaci*.

Pacjenci stają się moją ucieczką aż do pierwszej, kiedy wychodzę z gabinetu i jadę do Ostii.

Ojciec przyjmuje mnie z grobową miną. Nie śmie się odezwać, bo jest z nimi także jego matka Margherita. Ona, tak samo jak moja matka, z kobiecej solidarności zawsze stawiała po stronie Bianki. Luca siedzi na ziemi nad rysunkiem pełnym smoków. Za wiele napięć jak na jedenastoletniego chłopca, który i bez tego ma swoje problemy.

Moja matka wypowiada sakramentalne: „Do stołu”. Wszyscy siadają z wyjątkiem Luki, który zostaje przy swoim rysunku. W takich wypadkach Bianca zmusza go, by dołączył do pozostałych. Ale Bianki tu nie ma. Nakładam mu spaghetti na talerz i stawiam przed nim na podłodze.

Po obiedzie, nim wrócę do gabinetu, siadam koło niego. Niemal nigdy tego nie robię, ale niemota Luki, nawet wobec mnie, jest tak wyraźna, jakby i on wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Czyja kolej na wybór filmu w sobotę? Twoja czy mamy?

– Nie będę już chodził z mamą do kina.

Mówi to, nie odrywając wzroku od rysunku. Jest zły nie tylko na Biancę, ale i na mnie. Tego nie mogę znieść.

– Chcesz, żebym cię wziął na żaglówkę w piątek? Mogę zrobić sobie wolne popołudnie i spędzimy je razem.

Powiedziałem to bez zastanowienia. Luca odwraca się, patrzy na mnie z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę zabierzesz mnie ze sobą na morze?

A co na to powie mama?

Uśmiecham się do niego.

– Pewnie, nie martw się. Jeśli w piątek będzie ładna pogoda, zabiorę cię.

– Obiecujesz?

Czochram mu lekko włosy.

– Obiecuję.

Wraca do rysowania, ale już się nie buntuje, kiedy chwytam go za rękę. A ja ją przytrzymuję i czuję się spokojniejszy o siebie i o niego. Zostaję tak przez chwilę jak kretyn, nic nie robiąc, z jego maleńką dłonią schowaną w mojej. Chwytam się jej jak rozbitek deski unoszącej się na wodzie. Coś się dzieje w moim wnętrzu. Coś jak małe tąpnięcie, jak pierwsza szczelina na zaporze wodnej.

Może wszystko zrobiliśmy nie tak, moja kochana?

Dzwonię do Rosy i proszę, by odwołała wszystkie moje spotkania w piątek po południu. Pozostaje tylko sesja z państwem Bonocore o siódmej trzydzięci, ale o niej Rosa nic nie wie. Zdążę popływać z Lucą i wrócić na czas. Czuję się silny i odważny.

Wolność decydowania. Wolność wyboru.

W dzienniku telewizyjnym minister sprawiedliwości ogłasza, że zostanie otwarte śledztwo w sprawie postępowania prokuratury wobec Franca Romera. Na zewnątrz słyszę grzmoty nadchodzącej burzy. I słyszę je też w swoim wnętrzu.

Pokaż jej, co potrafisz, Nanni. Co możesz zrobić sam, własnym pomysłem i odwagą.

Idę na werandę popatrzeć na piętrzące się morskie fale. Nie będę bezradnie patrzył na tę burzę, która niszczy nasz spokój i wciąga nawet niewinnego jedenastolatka. W głowie świta mi pomysł. Pomysł czy szaleństwo? Tydzień temu nie miałbym wątpliwości, że szaleństwo. Ale coś się zmieniło. Może to pierwsza prawdziwa okazja, by pokazać Biance, że wyszła za mężczyznę zdolnego stawić czoło przeciwnościom.

Potrzebny mi numer telefonu profesora Bonocorego. I wiem, gdzie go mogę dostać. Muszę tam wrócić.

Tym razem to dla nas, dla Bianki, dla Luki, dla mnie.

Po kolacji zostawiam mercedesa przy granicy strefy pieszej na Zatybrzu i ruszam dalej, chroniąc się przed deszczem żółtą nieprzemakalną kurtką i czapką Giantsów. Mieszam się w zwykły wieczorny tłum studentów i turystów, niebacznych na ten ciepły wiosenny deszcz. Dopiero co minęła dziesiąta, w Food and Drink jest niemal pusto. Scarlett ma na sobie zieloną sukienkę. Jak zawsze wygląda oszałamiająco, ale dziś mnie to nie obchodzi.

Ciemnoskóry właściciel rzuca mi spojrzenie, w którym miesza się dezaprobata i niesmak. Scarlett wita mnie z szyderczym uśmiechem.

– Johnny, skarbie! Co cię sprowadza? Żal po tamtym wieczorze?

– Możemy chwilę porozmawiać na zewnątrz?

Ściąga mi czapkę, wkłada sobie na głowę i wychodzi, ja idę za nią.

– W czapce nie będą mi się kręciły włosy od deszczu. Chcesz papierosa, Johnny?

Przećczo kręcę głową. Chcę zostać tu jak najkrócej.

– Już ci mówiłem, że nie palę. I nie jestem tu z twojego powodu. Muszę pilnie skontaktować się z Victorem. Z profesorem Bonocorem.

– Po co?

Nie wiem, czy Nicole powiedziała jej, że są moimi pacjentami, ale ode mnie z pewnością tego nie usłyszy. Przekrzywia głowę i przygląda mi się przez zasłonę dymu. To tylko dwudziestoletnia dziewczynka, egocentryczna, wręcz naiwna. Muszę być cierpliwy.

– Scarlett, to pilne, proszę cię.

– Według mnie to wszystko zwykła wymówka, Johnny. Chcesz po prostu zadzwonić do Nicole i przelecieć ją.

Tak właśnie mówi: „Przelecieć ją”.

– To sprawa zawodowa. Ważna. Wystarczy mi numer komórki Bonocorego, nie potrzebuję rozmawiać z jego żoną.

– Victor nigdy nie odbiera. A wiesz dlaczego, Johnny? Bo ciągle napastują go studentki potrzebujące korepetycji!

Potem wzrusza ramionami i dyktuje mi numer stacjonarny w mieszkaniu państwa Bonocore, zapisuję go w swoim telefonie. Patrzy na mnie w ten swój drwiący sposób.

– Na pewno nie chcesz numeru komórki Nicole?

– Nie, dziękuję. To mi wystarczy.

Raz jeszcze spogląda mi prosto w oczy.

– Naprawdę szkoda, wiesz? Bo jeśli chcesz przelecieć moją siostrę, to

teraz jest najlepszy czas. Z wielu powodów...

– Daj spokój, Scarlett...

– Ale Nicole nie jest taka jak ja, ona nigdy nie wykonuje pierwszego kroku. A ty nie masz ani sylwetki amerykańskiego futbolisty, ani uroku aktora, ani pieniędzy Victora. Musisz się mocno postarać, jeśli chcesz ją zerznąć.

Nie wytrzymuję.

– Zamknij się, jesteś infantylna i niesprawiedliwa dla siostry.

Patrzy na mnie z mieszaniną szyderstwa i obrzydzenia.

– Spójrz na siebie, Johnny! Nie pijesz, nie palisz, a teraz już wiem, że nie ruchasz. Jesteś dokładnie takim dupkiem, który może się zakochać w Nicole!

– Oddaj mi czapkę.

Podaje mi ją i wydmuchuje mi w twarz ostatni obłok dymu. Potem przywołuje gestem przystojnego bruneta koło trzydziestki z piwem w ręku. Brunet podchodzi i obejmuje ją. Scarlett uśmiecha się do niego, a potem zwraca się do mnie z chichotem:

– Przedstawiam ci: to mój *boyfriend* Pino.

Chłopak wyciąga dłoń. Wygląda na wiecznego studenta, synalka bogatego tatusia, który zajmuje się wszystkim, tylko nie książkami. I pożera Scarlett wzrokiem.

– Pino Ingrassia. Scarlett mówiła mi o panu. Nicole także.

– Zna pan także panią Bonocore?

– Kończę doktorat z matematyki, pracuję w grupie badawczej profesora Bonocorego razem z Nicole.

– Która była tak miła, że nas poznała ze sobą.

Ona przytula się do niego, wsadza mu język do ucha i się śmieje. On patrzy na mnie dumny ze swojej zdobyczy.

Odwracam się na pięcie i wracam nad Tyber.

Postanawiam natychmiast zadzwonić z komórki do mieszkania Bonocorego. Serce bije mi mocno. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć sygnałów. Już mam się rozłączyć, kiedy słyszę głos Nicole Steele:

– Halo?

– Mówi Giovanni Annibaldi.

Wasz terapeuta. Który pod żadnym pozorem nie powinien dzwonić do

swoich pacjentów.

– *Dottor Annibaldi?*

Nicole jąka się, jakby usłyszała nie nazwisko swojego terapeuty, tylko sekretnego kochanka, który niespodziewanie dzwoni do jej domu.

– Proszę mi wybaczyć, pani Bonocore. Za sam telefon i za porę, o której dzwonię. Muszę chwilę porozmawiać z pani mężem. To oczywiście nie ma nic wspólnego z terapią.

– Mój mąż jest we Florencji, *dottore*. Dałabym panu numer jego komórki, ale on nigdy nie odbiera...

Teraz Nicole znów mówi tą swoją spokojną włoską kantyleną z amerykańskim tłem. Jakby wszystko wróciło do normy. Może na początku bała się, że dzwonię do niej.

– Mogę go jakoś zastać jutro?

– Tak, wraca z Florencji przed porą obiadową, ma wykład na uniwersytecie od pierwszej do drugiej. Chciałby pan wpaść w to samo miejsce co wtedy?

– Tak, dziękuję. Proszę mu przekazać, że będę o drugiej.

Żegnam się z przesadną formalnością i jadę w stronę domu. Kiedy wchodzę na górę, wszędzie jest pusto i cicho, Luca u dziadków, Bianca nie wiadomo gdzie. Dzwonię do niej.

Przepraszamy, wybrany abonent jest w tym momencie nieosiągalny, prosimy spróbować później.

To zdanie, które słyszałem wielokrotnie i nad którym nigdy się nie zastanawiałem, dzisiaj brzmi złowieszczo. Jakby „w tym momencie” miało się zmienić w „już nigdy więcej”.

Czwartek, 17 maja 2001

Przestało padać, prognoza pogody zapowiada na piątek wysokie ciśnienie i gorąco. Będę mógł spełnić obietnicę daną Luce i zabrać go na żagle.

W gabinecie, czekając na pierwszych pacjentów, czytam „Il Domani”. Wstępniak Anselma Guidiego jest surowy, ale wyważony, jednak artykuł Lindy Nardi to prawdziwy frontalny atak na decyzje prokurator Benigni. Naprawdę dziwne jest to, że nie ma ani jednego tekstu samego Romera.

Czuję potrzebę porozmawiania z Biancą, dodania otuchy jej i sobie. Instynktownie wybieram jej numer bez wielkich nadziei, że odbierze. Tymczasem już po jednym sygnale słyszę jej głos:

– Co tam, Nanni?

– Bianca, możemy się zobaczyć i porozmawiać?

Westchnienie. Złość, rezygnacja, zmęczenie.

– O czym, Nanni? O tym, że jutro zabierasz Luce na żagle, jak mi powiedział twój ojciec?

– Morze jest płaskie jak stół, nie martw się.

– Dobrze, że go zabierasz. Ale nie chodzi o morze, Nanni.

Ufasz mi, Nanni? Nie okłamujesz mnie nigdy?

Nie wiem, kiedy i jak to się stało, ale nasz stary niepisany i niewypowiedziany pakt przestał istnieć. Doznaję sprzecznych uczuć: rozdzierającego pragnienia, by nie słyszeć jej tak niezadowolonej, ale także w pełni słusznego pragnienia, by mieć prawo do podejmowania samodzielnych decyzji. Obiecałem żagle naszemu synowi, którego Bianca zaniedbuje z powodu swej pracy. I strasznie mi jej brakuje.

– Mogę wpaść do ciebie do prokuratury w porze obiadowej?

– Nie, Nanni. Mam mnóstwo pracy. Porozmawiamy w weekend. Muszę już iść.

Karze mnie za kłamstwa. Za te małe, za te, które odkryła.

Przedpołudnie z pacjentami mija mi prędko. Mam jeszcze godzinę czasu do spotkania z Victorem Bonocorem. Prokuratura znajduje się niedaleko

uniwersytetu, a ja chcę porozmawiać z Biancą. Nie wytrzymuję myśli, że coś między nami nie gra. To się nigdy dotąd nie zdarzyło. Nie wiem, czy to miłość, strach czy jedno i drugie. Postanawiam więc iść do niej, nawet jeśli sobie tego nie życzyła. Kiedy pojawia się w okolicy, stoły w barach i restauracjach są już obleżone przez adwokatów, asystentów i innych prawników. Jestem już niemal przy samej prokuraturze, gdy słyszę, że ktoś mnie woła:

– Nanni!

To Ezio Conti, kolega mojej żony. Podajemy sobie ręce.

– Myślałem, że wyjechaliście z Biancą z Rzymu.

Zaskoczenie niemal mnie paraliżuje, ale udaje mi się to dość dobrze zamaskować. Lata zawodowego treningu.

– Nie, Ezio. Mam pacjentów.

Ezio kiwa głową.

– Bianca dobrze zrobiła, że wzięła dwa dni wolnego. Mam nadzieję, że w domu odpocznie od tego całego hałasu.

Uśmiecham się wymuszenie, żegnam Ezia i mieszam się z tłumem przechodniów, których nie znam. Szczęśliwy, że ich nie znam.

Ufasz mi?

Takie było jej pytanie. A moja odpowiedź brzmiała: *Zawsze ci ufam.*

Po raz pierwszy nakrywam żonę na kłamstwie. Ale nie potrafię przekonać sam siebie, że to naprawdę kłamstwo. Przebiegając w myślach nasze rozmowy, zdaję sobie sprawę, że faktycznie nigdy nie powiedziała, że zostaje w prokuraturze. Powiedziała tylko, że musi skoncentrować się na pracy. A więc to co najwyżej niedopowiedzenie, rzecz, w której sam jestem ekspertem. Niemniej to niedopowiedzenie Bianki napełnia mnie niepokojem.

Nie wiem, gdzie jest ani z kim.

Z kim? Sądzisz, że Bianca jest taka jak ty, Nanni?

Myśl, że Bianca mnie oszukuje, że jest gdzieś z kochankiem, nigdy dotąd nie przemknęła mi nawet przez głowę, nawet jako odległa możliwość. Próbuję ukonkretnić tę myśl w głowie, wyobrazić sobie swoją żonę w łóżku z innym mężczyzną.

Związaną, z opaską na oczach, z nim w sobie.

Ale ta myśl nie zamienia się w obraz, nie widzę ani jej twarzy, ani twarzy

mężczyzny.

Niemżliwe. To niemożliwe. Nie potrafiłaby. I nie ze strachu przede mną, tylko dlatego, że jest żoną doskonałą.

Ale pozostaje to przekłete pytanie.

Ufasz mi?

Znam siłę wątpliwości, pierwszej wątpliwości. To kropla, która drąży skałę. Jest jedna, potem następna i kolejna, i jeszcze jedna, i tak już zawsze.

Idę w kierunku uniwersytetu.

Mam jeszcze czas, więc postanawiam odebrać fotografie Luki. Dziś wieczorem mu je wreszcie dam. Odbieram je, płacę i wpadam do fryzjera, żeby przystrzygł mi włosy i wąsy. Staram się nie myśleć o Biance. Nieuważnie przeglądam zdjęcia. Wszystkie zrobione z góry, z balkonu w jego pokoju. Za każdym razem musiał cierpliwie czekać, by w kadrze nie było przechodniów.

Fotografie bez ludzi. Jak w świecie zmarłych.

Spoglądam w lustro. Fryzjer uśmiecha się do mnie.

– Zaczynają się panu pojawiać siwe włosy, *dottore*.

Nicole Steele czeka na mnie przed wejściem na wydział matematyki. Wydaje się zadowolona, że mnie widzi, i nie pyta o powód mojej wizyty u męża.

– Victor kończy wykład. Dziś ma na nim gościa, amerykańskiego matematyka. Teraz odpowiadają na pytania studentów.

Ruszamy. Aula jest ta sama co za pierwszym razem. Wchodzimy od góry. Półokrąg szczelnie wypełniają studenci.

Na dole profesor Bonocore przy tablicy kończy wypisywanie długiej formuły, nie rozumiem nawet symboli, których w niej używa. Stojący obok niego amerykański kolega kiwa głową.

Wychodzimy, gdy wykład kończą gorące oklaski. Nicole prowadzi mnie piętro wyżej, do klaustrofobicznego pomieszczenia z wywieszką *Professor V. Bonocore* na drzwiach.

Na biurku wciąż leżą kartki z odręcznie wypisanymi równaniami, pełne skreśleń i poprawek. Oczekiwanie się przedłuża i Nicole przeprasza.

– Victor zapewne odprowadza kolegę do wyjścia.

Czuję się zakłopotany, nie wiem, co powiedzieć. Spotkanie z pacjentką poza miejscem terapii nie powinno w ogóle się odbyć. Ale nie jestem tu z

powodów zawodowych, tylko po to, by pomóc Biance. I pokazać jej, do czego jestem zdolny.

Wydaje mi się, że minęła wieczność, zanim wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Bonocore.

– Panie doktorze, mam nadzieję, że nie przyszedł tu pan na dodatkową sesję terapeutyczną poza gabinetem.

To pełen obraz człowieka, który uważa się za boga. Dżinsy, koszula i sportowe buty z dziurkami, wysoki i silnie zbudowany, z gęstymi włosami, które wyglądają na farbowane, z długą zmierzwioną brodą i ironicznym spojrzeniem jasnych oczu zza grubych szkielek.

Wskazuje mi jedno z dwóch wolnych krzeseł, sam siada na drugim. Wydaje mi się to niegrzeczne wobec Nicole, ale po chwili rozumiem, że tak się umówili, by nie wprawiać mnie w zakłopotanie. Nicole uśmiecha się do mnie przed wyjściem.

– Poczekam na pana na dole.

Zastanawiam się, dlaczego nie zegna się ze mną od razu, ale teraz muszę porozmawiać z jej mężem. Nie będzie mi łatwo powiedzieć, czego od niego chcę.

– Jestem tu z powodów osobistych, profesorze. Chciałbym prosić o przysługę, jeśli pan zechce i może.

Zamyka oczy. Nic nie mówi. Ręce trzyma w kieszeni dżinsów, nogi ma wyciągnięte do przodu.

– Moja żona nazywa się Bianca Benigni.

– Zdaje mi się, że już słyszałem to nazwisko.

– Ostatnimi dniami mógł się pan na nie natknąć w gazetach albo w telewizji. Moja żona jest tą prokuratorką, która zażądała aresztowania dziennikarza Franca Romera.

Powoli kiwa głową.

– Tego, który później został zwolniony.

Ja także potwierdzam skinieniem głowy i czekam.

Jeśli naprawdę jesteś takim geniuszem, sam zrozumiesz, jakiej przysługi potrzebuję.

Ale profesor Bonocore albo nie jest geniuszem, albo nie zamierza mi ułatwiać zadania. Więc kontynuuję:

– „Il Domani” atakuje moją żonę w sposób wręcz niepoczytalny.

Bonocore patrzy na mnie bez jakiegokolwiek reakcji. Teraz już nie może

nie wiedzieć, z czym przychodzę, lecz ewidentnie chce, żebym go wprost poprosił.

– Podczas tamtej dyskusji z kardynałem na uniwersytecie Anselmo Guidi powiedział, że jesteście ze sobą zaprzyjaźnieni.

Otóż i się upokorzyłem. Próbuję powstrzymać poczucie wrogości, szkodliwe i w żaden sposób nieumotywowane. Ten człowiek nie jest mi winien żadnej przysługi i na dodatek to mój pacjent. Moja prośba wykracza daleko poza etyczne granice profesji. Wiem, że antypatia wobec Victora Bonocorego wynika z tamtego sińca pod okiem jego żony i z jego osobowości, teraz jednak to nie ma nic do rzeczy. I opłaca mi się ją powstrzymać.

Bonocore jest lodowato chłodny. Jego jasne oczy spotykają się z moimi. Widzę w nich rozbawienie.

– To Guidi twierdzi, że jest moim przyjacielem. Ja nie mam przyjaciół, jedynie licznych znajomych.

– Rozumiem, profesorze. Ale on pana podziwia, jest dumny z waszej znajomości, usłuchałby pana, gdyby...

– Panie Annibaldi, pańska żona jest prokuratorem, Guidi jest zastępcą redaktora naczelnego ważnego dziennika, ani pan, ani ja nie wiemy nawet, kto w tym sporze ma rację. Nie lepiej, żeby rozwiązali to sami?

Co za kawał gnoja, prawdziwy szczerzy skurwysyn. Dałbym mu w mordę.

Muszę trzymać na wodzy frustrację i agresję. Jestem tu, żeby uzyskać coś ważnego, a nie żeby oceniać i dyskutować. Muszę być spokojny i grzeczny.

– W rzeczy samej uprzedzałem, że chodzi o osobistą przysługę. Ta historia poważnie szkodzi mojemu synowi, który nie ma jeszcze dwunastu lat.

Wzrusza ramionami.

– Tym powinna się przejmować pańska żona.

Czuję, jak się w sobie zapadam. On mówi to samo, co w gruncie rzeczy sam myślę, i nie mam więcej argumentów. Bonocore wstaje, ale pokazuje mi gestem, bym jeszcze został.

– Muszę pilnie zadzwonić. Poczekaj pan chwilę?

Czuję, jak policzki mi płoną ze wstydu. Bonocore wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Wstaję, zbliżam się do nich i słyszę po drugiej stronie jego wesoły niski głos.

– A więc widzimy się dziś wieczorem w... pamiętaj... central...

Zawstydzony odsuwam się od drzwi, a głos przechodzi w niezrozumiały pomruk. Pięć minut później Bonocore wraca do gabinetu. Wydaje się bardziej otwarty.

– Panie Annibaldi, bardziej niż akademikiem jestem biznesmenem i również mam do pana prośbę o przysługę. Może się dogadamy.

Zakłada nogę na nogę i patrzy mi prosto w oczy.

– Przychodzenie do pana jest dla mnie prawdziwym marnowaniem cennego czasu. Pan to wie, prawda?

Patrzę na niego bez słowa.

– A więc, panie Annibaldi, oto, co zrobimy. Jutro jest piątek. O siódmej trzydzieści będę u pana z Nicole na terapii. Ale pan tak wszystko przeprowadzi, żeby to było nasze ostatnie spotkanie.

– W jaki sposób?

– Zada mi pan parę zbyt intymnych pytań, a ja się wścieknę. Po zakończeniu sesji powiem Nicole, że to koniec z naszymi spotkaniami.

– I załatwi pan z Anselmem Guidim, że zablokuje artykuły Lindy Nardi o mojej żonie?

– Pewnie. Obaj będziemy zadowoleni.

W gruncie rzeczy Bonocore ma rację. Terapię tak czy inaczej trzeba by przerwać, przyjąłem ich na nią, by mieć kontakt ze Scarlett, a na dodatek nie powinienem był teraz tutaj przychodzić. A on odda mi ważną przysługę.

– Zgoda. Zrobimy tak, jak pan mówi.

Profesor wstaje do pożegnania.

– Dziś jeszcze muszę wrócić do Florencji. Jutro mam wykład na tamtejszym uniwersytecie. Wrócę wczesnym popołudniem i o siódmej trzydzieści będę u pana na ostatniej sesji.

Wyciągam dłoń, on ją ignoruje, trzyma ręce w kieszeniach dzinsów. Uważa mnie za zero i chce, żebym to wiedział.

– Moja żona czeka na pana przy wyjściu. Ani słowa o naszej umowie albo może pan zapomnieć o mojej pomocy.

Idę w dół po schodach jak w transie. Nicole czeka na zewnątrz. Jest zamyślona i mniej spokojna niż zwykle. Zakłopotana. Musi być jakiś powód, że tu na mnie czeka.

– Potrzebuję pańskiej pomocy, doktorze.

Wiem, co powinienem i czego nie powinienem robić. Jest moją pacjentką, znajdujemy się poza moim gabinetem i właśnie uzgodniłem z jej

mężem, że ta terapia się zakończy. Tylko że Nicole Steele jest królową bez tronu, ujął mnie ten kontrast między jej władczym wyglądem a bezbronnością w oczach. I nie chcę problemów przed dniem jutrzejszym.

– O co chodzi, pani Bonocore?

– Jutro zrobię coś, czego nie powinnam robić.

Wiem, że idę po niebezpiecznej ścieżce. Ale skądś wiem też, że ta ścieżka zawsze tam była, od kiedy jako młody chłopak kolekcjonowałem piękne dziewczyny. Potem pojawiła się Bianca i zablokowała dostęp do tej ścieżki.

– Co takiego chce pani zrobić?

– Victor za chwilę pójdzie na pociąg do Florencji. Jutro ma tam wykład.

– Wiem, pani Bonocore. Powiedział mi o tym.

Głębokie westchnienie, zaczerwienione policzki.

– Sądzę, że będzie tam z kobietą.

Patrzę w te zielone zagubione oczy. Przypominam sobie głos Bonocorego przez telefon.

Dziś wieczorem w...

Czuję, jak rośnie we mnie awersja do tego człowieka. Muszę się jednak pilnować. Zawarłem z nim umowę. Umowę, która mi się opłaca.

– Skąd pani wie?

Potrząsa głową.

– My, kobiety, pewne rzeczy po prostu czujemy. Sercem.

– I co zamierza pani zrobić?

Patrzy na mnie, tym razem zdecydowanie.

– Jutro wcześniej rano pojadę do Florencji i pojawię się w jego hotelu. I dowiem się, czy spał sam, czy w towarzystwie.

Widzę, jak mój wspaniały plan, dopiero co uzgodniony z Bonocorem, rozpada się na kawałki.

– Naprawdę musi pani jechać do Florencji?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Mogę się zgodzić na sińce. Ale nie na wątpliwości.

Nicole Steele zachowuje się nielogicznie, jak wszystkie żony, dla których wierność męża, a nie jego codzienna miłość stanowi miarę ich kobiecej wartości. Kompletna nedorzecznosc, co próbowałem pomóc zrozumieć dziesiątkom pacjentek wychowanych w ten sposób od dziecka. Tylko że teraz i ja doświadczyłem cierpkiego smaku wątpliwości i nie wolno mi pozwolić,

by doszło do jakiegoś incydentu między państwem Bonocore. Jeśli nie odbędzie się jutrzejsza sesja, nici z umowy. I Victor Bonocore nie wpłynie na Anselma Guidiego w sprawie Bianki.

– Co mogę dla pani zrobić?

Oczekuję, że poprosi mnie, bym udzielił jej wsparcia. Przekonał, żeby nie jechała. To byłoby proste. Ale ta młoda kobieta ewidentnie nie mieści się w moich standardach.

– Jest pan moim terapeutą. Proszę ze mną jutro jechać do Florencji. I pomóc mi, żebym nie zrobiła czegoś szalonego, cokolwiek odkryję.

Moja pierwsza myśl jest taka, że prawdziwym szaleństwem byłoby tam z nią jechać. Ale pozwolić jej jechać samej... to by oznaczało zniweczenie całego planu. Choć może moja obecność pomogłaby uniknąć kłótni małżeńskiej. Przynajmniej do czasu ostatniej sesji terapeutycznej i rozmowy tej świni Victora z wicenaczelnym „Il Domani”. Potem państwo Bonocore mogą się nawet poobdzierać ze skóry.

Myśli kłębią mi się w głowie. Mogę powiedzieć Rosie, by odmówiła wszystkie poranne spotkania, jutro rano pojechać z Nicole do Florencji i wrócić z nią na tyle wcześnie, by wypłynąć z Lucą w morze, a potem zakończyć wszystko wieczorną sesją z nią i Victorem o siódmej trzydzieści.

– Zgoda, pani Bonocore. Pojadę z panią.

Uzgadniamy, że wyjedziemy o szóstej spod mojego gabinetu. Zostawimy tam mój samochód i pojedziemy jej. Nie pociągiem, by uniknąć niepożądanych spotkań. W centrum Florencji będziemy o ósmej trzydzieści, zanim jej mąż opuści hotel i uda się na uniwersytet. A ja zdążę popływać z Lucą na żaglach.

Pożegnawszy się z Nicole, dzwonię do Rosy. Tłumaczę jej, że coś mi wypadło i oprócz popołudniowych spotkań, które już odwołałem, muszę jeszcze odwołać poranne. Słyszę, że Rosa jest zakłopotana i przejęta. Przez wszystkie te lata nigdy nie odwołałem terapii z mniejszym niż trzydniowe wyprzedzeniem, nawet gdy złamałem sobie rękę na nartach. Nie prosi jednak o wyjaśnienia. A ja ich nie udzielam.

Przyjeżdżam do rodziców o siódmej trzydzieści. Słońce już zachodzi, ostatnie żagłówki wpływają do portu. Luca siedzi na podłodze nad swoim blokiem rysunkowym. Zgarbione plecki, szyja bez twarzy. Babka i matka

biorą mnie do kuchni. Pytam, czy dzwoniła Bianca.

– Tak, w czasie obiadu, myślała, że tu jesteś. Rozmawiała z nami. Luca nie chciał z nią gadać – mówi moja matka.

Idę do salonu, siadam obok syna. Podaję mu kopertę.

– Odebrałem twoje zdjęcia, Luca.

Odwraca się.

– Podobają ci się?

– Dobry w tym jesteś. A dlaczego nie fotografujesz ludzi?

– Ludzie nie są potrzebni.

Czuję skurcz w żołądku.

Biorę go za rękę.

– Luca, jutro o drugiej przyjadę po ciebie i idziemy na żagle.

Nie dowierza.

– Ale na pewno?

– Na pewno.

W końcu się uśmiecha.

– Dziękuję, tato.

Wieczór jest ciepły, z okna widzę spokojne morze. Nagle czuję przemożną potrzebę porozmawiania z żoną, usłyszenia jej uspokajającego głosu. Znów dzwonię do niej na komórkę.

Przepraszamy, wybrany abonent jest w tym momencie nieosiągalny, prosimy spróbować później.

Wracają mi na myśl słowa, które wypowiedział Ezio Conti.

Dobrze zrobiła, że wzięła dwa dni wolnego.

Piątek, 18 maja 2001

Nanni

Nie zmrużyłem oka. Przynajmniej raz w życiu zdarza się taka noc. O świcie dojeżdżam do mojego gabinetu. Parkuję mercedesa i w głębi serca wciąż żywię nadzieję, że ona nie przyjedzie. Ale czerwone bmw pojawia się punktualnie co do minuty. Nicole jest jeszcze elegantsza niż zwykle w tym swoim pełnym prostoty stylu: biała bluzka, szary żakiet, czarne spodnie, cieniutki sznur pereł na szyi, żadnego makijażu, zielona jak jej oczy spinka podtrzymująca zebrane w kok rude włosy. Wydaje się zmęczona tak samo jak ja, lecz zdeterminowana znacznie bardziej ode mnie.

– Panie doktorze, wiem, że nadużywam pańskiej dobroci.

– Nie w tym rzecz, pani Bonocore. Chodzi o to, że popełnia pani wielki błąd, obawiam się.

– Proszę mi wierzyć, nie potrafię skonfrontować się z tą sytuacją sama. Ale muszę pójść do samego końca.

– Jako pani terapeuta wolałbym, by to pani przemyślała. Najbardziej pożądane, a jednocześnie najbardziej prawdopodobne jest, że pani mąż przebywa we Florencji rzeczywiście z powodu pracy i nie ma z nim żadnej kobiety. W takim wypadku z jednej strony będzie się pani czuła winna, że w niego wątpiła, a z drugiej i tak nie rozproszy swoich wątpliwości co do jego wierności.

Patrzy na mnie tymi swoimi szmaragdowymi oczami.

– Jest jednak jeszcze inna możliwość. Ta mniej prawdopodobna. A ja nie mogę już spać.

Wiem, że nic nie da rozmawianie na ten temat teraz. Gdyby naprawdę była moja pacjentką, gdybyśmy mieli za sobą więcej sesji, gdybyśmy siedzieli w moim gabinecie, a nie na zewnątrz, może pomógłbym jej zrozumieć, że przeciwstawia się najzdrowszej z wszystkich zasad: w *miłości poznanie niszczy wątpliwość, a więc i konieczność zaufania*.

Poddaję się i zajmuję miejsce obok niej w samochodzie.

– Dobrze, pani Bonocore. Jedźmy.

Na autostradzie z Rzymu do Florencji tylko wiatr i muzyka z radia zagłuszają ciszę. Praktycznie przez całą drogę milczymy, każde zajęte własnymi myślami.

Nie ma jeszcze dziewiątej, gdy zostawiamy samochód w podziemnym garażu niedaleko bazyliki Santa Maria Novella.

– Victor zatrzymał się w Centralu, między nabrzeżem Arno a piazza della Signoria. Zawsze go wybiera, kiedy jest we Florencji.

Idziemy pieszo w stronę hotelu. Mieszkańcy spieszą do pracy, a turyści wychodzą z hoteli na zwiedzanie miasta. Dla ostrożności zakładam bejsbolówkę Giantsów i wielkie okulary przeciwsłoneczne. Żenująco śmieszne przebranie, godne trzeciorzędnego detektywa. Na szczęście Nicole nie zwraca na to uwagi, zajęta czym innym.

– Wykład Victora na uniwersytecie zaczyna się o jedenastej, a on nie lubi jeść śniadania przed dziewiątą trzydzieści. Zadzwoń teraz do niego.

Wybiera w komórce numer hotelu i prosi o połączenie z pokojem Bonocorego. Profesor odbiera po paru sygnałach.

– Cześć, obudziłam cię? – pyta Nicole.

Nie słyszę odpowiedzi, ale domyślam się, co mówi. Jest pod prysznicem i schodzi zaraz na śniadanie.

– Dobrze, Victor. Ja wychodzę, zrobię zakupy w okolicach piazza di Spagna. Spotkamy się u doktora Annibaldiego wieczorem.

Rozłącza się i patrzy na mnie. Wraz z niepokojem rośnie we mnie irytacja.

– Po co te wszystkie kłamstwa, pani Bonocore?

– Jak odwiozę pana do Rzymu, naprawdę pójdę się pokręcić po mieście. Nie chcę widzieć Victora po południu. Potrzebuję być sama i pomyśleć.

Znajdujemy bar z obszerną witryną naprzeciwko hotelu. Można stamtąd obserwować wejście do budynku wygodnie i bez ryzyka, bo witryna jest przyciemniana i z zewnątrz niewiele widać.

Wybieramy stolik, ona siada zwrócona twarzą do witryny. W milczeniu popijamy kawę, a ja, wciąż w czapce i ciemnych okularach, coraz bardziej czuję absurdalność sytuacji. Wyczytuje to z mojej twarzy.

– Teraz mi wstyd, że wciągnęłam pana w tę podłą sytuację.

Wygląda na zaleknioną, jej zielone oczy są niespokojne, jakby sama przestraszyła się okoliczności, które stworzyła.

– Proszę się nie martwić. Zobaczy pani, że za godzinę będziemy z

powrotem na autostradzie w drodze do Rzymu, a pani poczuje się spokojniejsza.

W rzeczywistości jestem niezwykle spięty, nie wiem, czego mam się spodziewać po kimś takim jak Victor Bonocore. Niedługo później profesor wychodzi z hotelu. Niebieska koszula, dżinsy, lekka szara kurtka, sportowe buty. Wygląda, jakby się spieszył, ale jest sam. Oddycham z ulgą, lecz Nicole to nie wystarczy.

– Idźmy za nim, chcę zobaczyć, czy się z kimś nie spotka.

W tym momencie się buntuję.

– Nie, pani Bonocore, nie jesteśmy w filmie. Musi się pani uspokoić.

Wstaje, a ja chwytam ją za rękę. Uwalnia się szarpnięciem i biegnie do wyjścia. Zostawiam dwadzieścia tysięcy lirów na stoliku i biegnę za nią. Przy wyjściu słyszę, jak kasjerka szemra za moimi plecami: „Wstydziliśmy się, draniu!”.

Na zewnątrz unieruchamiam ją pod ścianą, trzymając ręce na jej ramionach. Ona drży, podnosi na mnie oczy, wspaniale zielone i zaczerwienione od płaczu.

Teraz to ja muszę się uspokoić. Nasze twarze są zbyt blisko. Ona jest zbyt roztrzęsiona. I ja też. Na szczęście odsuwa się od ściany i ode mnie. Oddala się na metr, przywracając właściwy dystans, zakłada ciemne okulary i smarka w chusteczkę. Jest spokojniejsza.

– Ma pan rację. Wracamy do Rzymu.

Czuję ulgę, niemal euforię. Uniknąłem nieszczęścia i wieczorem odbędę ostatnią sesję z Victorem i Nicole Bonocore. Potem Victor zadzwoni do wicenaczelnego „Il Domani”, żeby zakończył prześladowanie mojej żony przez Lindę Nardi. I będę w Ostii na czas, by wziąć Lucę na żagle. Powiem Biance, co dla niej zrobiłem, i wszystko wróci do zwykłego porządku.

Nicole patrzy na wejście do hotelu.

– Chcę tylko zweryfikować jedną rzecz.

Wyobrażam sobie. Chce sprawdzić, czy profesor był sam w pokoju.

– Jest coś takiego jak prawo do prywatności, pani Bonocore. Nic pani nie powiedzą.

Nawet mnie nie słucha. Idę więc za nią aż do stanowiska konsjerża, mężczyzny pod sześćdziesiątkę, który lustruje ją od stóp do głów. Podaje mu paszport.

– Oczywiście. Co mogę dla pani zrobić, pani Bonocore?

– Oprócz mojego męża nocowała dziś u was również moja siostra Scarlett. Ale jej komórka nie odpowiada. Jest jeszcze w hotelu?

Przez moment myślę, że się przesłyszałem, a potem miękną mi kolana, gdy konsjerż sprawdza listę gości.

– Pani siostra wymeldowała się z hotelu pół godziny temu.

Wychodzimy, Nicole niemal biegnie w stronę garażu. Idę za nią, tysiąc niepotrzebnych słów kłębi mi się w głowie.

– Pani Bonocore.

Odwraca się do mnie przed samym zjazdem do garażu.

– Nazywam się Nicole Steele. Nie Bonocore.

Drży, łzy kapią z jej zielonych oczu.

– Nicole – mówię do niej łagodnie.

Uświadamiam sobie, że nasze ręce się spotykają. Nagle rozwiera palce, pozwalając, by splotły się z moimi. Zostaje tak, milcząc i drżąc przez długą minutę. Potem drżenie ustępuje, Nicole ociera łzy. Ja stoję jak sparalizowany. Nie wiem, co powiedzieć.

– Pamiętasz, Nanni, tego florenckiego malarza, o którego mój mąż jest zazdrosny?

Kompletnie zaskakuje mnie to nagłe przejście na ty i użycie mojego zdrobniałego imienia, Nanni. Doskonale pamiętam aluzję Bonocorego z końca poprzedniej sesji. Pamiętam skrępowanie, którego wtedy doświadczyłem. Wiem, że powinienem uciekać stąd jak najdalej, ale osłabia mnie to moje zdrobniałe imię w jej ustach, nasze splecione ręce, moje zaskoczenie i jej nieszczęście. No i wątpliwość co do Bianki.

Gdzie jesteś? Z kim?

– Ten malarz naprawdę istnieje? – pytam.

Uśmiecha się.

– Tak, Nanni. Chciałabym ci go teraz przedstawić. To dwa kroki stąd, proszę. Nie zajmie nam to wiele czasu.

Puszczam jej rękę i już mam powiedzieć: „Zawieź mnie z powrotem do domu, gazem”. Ale teraz jest już spokojniejsza, może jeszcze istnieje jakaś mała szansa ocalenia mojego planu na ten wieczór.

– Dobrze, Nicole, chodźmy.

Ukradkiem spoglądam na zegarek. Niemal jedenasta. Jeśli się pospieszymy, zdążę jeszcze zabrać Lucę na morze.

Kiedy przeciskamy się przez tłumy turystów w centrum Florencji, Nicole

Steele wydaje mi się jeszcze piękniejsza, jakby pogoda ducha ostatecznie w niej zwyciężyła i nagle uwolniła jej twarz z długotrwałej choroby.

Kwadrans po jedenastej wchodzimy do Galerii Uffizi. Nicole idzie do kasy, prosi o coś i płaci za dwa bilety kartą kredytową. Potem rusza szybkim krokiem, ewidentnie wie, dokąd idzie. Podążam za nią. Wchodzimy do sali pękającej w szwach od zwiedzających. Bierze mnie za rękę i prowadzi przez cały ten tłum.

– Jesteśmy na miejscu, Nanni. Teraz ci go przedstawiam.

Wskazuje na obraz wiszący na ścianie. *Narodziny Wenus* zawsze uważano za doskonałe przedstawienie kobiecego piękna w sztuce. Dziewczyna jest naga, ma rozpuszczone rude włosy i rozmarzone spojrzenie.

– Przedstawiam ci Boticellego, malarza, o którego ten sukinsyn jest, jak mówi, zazdrosny.

Ten „sukinsyn” i „jak mówi” oznaczają to, co już wcześniej podejrzewałem. Koniec miesiący niszczących wątpliwości i cierpienia, początek nowej drogi. Nicole odwraca się do mnie, wciąż trzymając moją rękę, i się uśmiecha.

– Idziemy na obiad czy masz coś do zrobienia, mój eksdoktorze?

Powinienem natychmiast zabrać ją do Rzymu i powiedzieć: „Żegnaj”. Ale nie mogę zrezygnować z tej ostatniej cholernej sesji. Jeśli mam uzyskać od niego pomoc, Bonocore musi wierzyć, że dzięki naszej umowie uwolni się od psychoanalityka. A żeby to zrealizować, potrzebuję teraz pomocy Nicole Steele.

– Zabierzesz mnie do Fiesole, Nanni?

Zbyt wiele rzeczy każe mi powiedzieć „tak”. Nie mogę zostać jej *eksdoktorem*, jeszcze nie. A Bianca mnie opuściła.

Przed wyjściem z Uffizi oddalam się od niej pod pozorem pójścia do toalety i dzwonię do rodziców. Odbiera moja matka.

– Mamo, mój pacjent ma kryzys i nie mogę zabrać Luki na morze.

– Myślę, że sam powinieneś mu to powiedzieć. Dać ci go?

Pozostaję na chwilę w zawieszaniu między poczuciem obowiązku i strachem. Przeważa strach.

– Lepiej nie. Przyjadę na kolację koło dziewiątej i wytłumaczę mu się.

Rozłączam się, zanim moja matka zdąży cokolwiek powiedzieć. Przez moment stoję nieruchomo, nie wiedząc, co robić. Powtarzam sobie, że to dla Bianki, dla naszej rodziny, i po części to prawda.

Ale tylko po części.

W tym momencie dzwoni moja komórka. Poznaję numer i pierwsza myśl, jaka przebiega mi przez głowę, to żeby nie odbierać. Wiem jednak, że nie mogę.

– Bianca.

– Właśnie zadzwoniła do mnie twoja matka, płacząc, że nie weźmiesz Luki na żagle. I wiem od Rosy, że nie ma cię w gabinecie z pacjentami.

Czekam na pytanie: „Co ty, u diabła, robisz?”, ale nie zadaje go. To, co mówi, jest gorsze:

– Kiedy twoja matka mu to powiedziała, Luca poszedł do łóżka, jakby była już noc. Nie chce wyjść z pokoju.

To znacznie gorsze oskarżenie. Coś we mnie jednak pęka. Przecież jestem tutaj, żeby ratować ją przed bajzłem, którego sama narobiła. I dlatego, że jej też nie ma w prokuraturze. Jest na urlopie. Nie wiem gdzie. Nie wiem z kim.

Bianca zdaje się czytać w moim milczeniu.

– Dziś wieczorem wracam, od dziesiątej mam dyżur – mówi.

Cholerny prokuratorski dyżur. Absolutna dyspozycyjność w razie konieczności, jak lekarz w szpitalu. Ten dyżur przez lata psuł mi kolacje, weekendy, urodziny. Moja żona wraca, ale tylko dlatego, że ma dyżur.

– Dobrze, Bianca. Zobaczymy się później w domu.

Wjeżdżamy na wzgórze i docieramy do Fiesole. Na placu jest kilka restauracji. Wybieram jedną, z otwartym tarasem i większością stolików wolnych. Nieliczni goście kończą obiad. Prowadzę Nicole tam, gdzie wydaje mi się najustronniej, i znów nakładam czapkę i okulary.

– Kuchnia jest już zamknięta, kelnerzy wyszli – informuje pracownik sprzątający stoliki.

– Ja się tym zajmę – mówi mi Nicole.

Wstaje, wchodzi do restauracji i po chwili wraca z butelką wina i talerzem serów i wędlin.

Kopuły i dachy Florencji przeciętej na pół przez Arno rozścielają się pod nami. Jemy bez słowa, ale to nie jest pełne zakłopotania milczenie ludzi, którzy nie mają sobie wiele do powiedzenia. Przeciwnie, to milczenie *mówi*. Wiemy, że nie ma żadnej konieczności ani żadnego powodu, by je wypełniać

słowami. Dopiero co poznaliśmy się naprawdę dzięki emocjonalnej burzy przeżytej razem tego ranka. To milczenie jest znakiem współnictwa.

Przez godzinę jemy, nie wspominając o Victorze i Scarlett. Po wędlinach, serach i butelce wina Nicole wstaje.

– Idę zapłacić.

Może powinienem zaproponować, lecz wolę nie rzucać się w oczy. Nicole znika w środku lokalu.

Po paru minutach wraca.

– Potrzebny mi spacer, Nanni. – Wskazuje ulicę wspinającą się aż na szczyt wzgórza. – Masz ochotę?

Nie mam pacjentów. Żagle z Lucą odpadły. I muszę prosić ją o pomoc. I chcę się z nią przespacerować.

Wspinamy się w milczeniu jedno obok drugiego, na każdym zakręcie czujemy się bliżej nieba. Florencja i cały świat z wolna robią się coraz odleglejsze. Stąd wszystko wydaje się lekkie, pogodne, rozmyte. I ani trochę groźne.

Po półgodzinnym marszu docieramy na szczyt, na niewielki placzyk, skąd rozciąga się widok na kopuły, dachy, wzgórza i rzekę. Nicole siada, opiera się o drzewo i gestem zaprasza mnie, bym zrobił to samo.

Patrzę na nadzwyczajną młodą kobietę, która zakochała się w tym bydlaku Victorze Bonocorem. Ale to mogę doskonale zrozumieć. Ten genialny, zachłanny, porywczy i pełen fantazji mężczyzna był dla Nicole Steele wyzwaniem przyciągającym każdą kobietę.

Zmienić niebezpiecznego mężczyznę.

Tylko że Victor Bonocore jest niepoprawnym sukinsynem i nie ma żadnych hamulców, ani racjonalnych, ani emocjonalnych, ani etycznych. Dla niego wzięcie sobie do łóżka tej małej kurewki, swojej szwagierki, nie jest w żaden sposób sprzeczne z miłością do żony. Sam mi to wyjaśniał podczas sesji terapeutycznej: takich jak Scarlett miał i może mieć, ile zechce, lecz Nicole jest jak Wenus Boticellego, jest dziełem sztuki, *jedynym i jego własnym*.

Zauważa moje zamyślenie.

– O co chodzi, Nanni?

– Jak mogłaś się w nim zakochać?

Nicole zastanawia się chwilę.

– Nie zakochałam się w nim. Ale nie wybiera się męża z miłości.

Wybiera się go przez pozytywne cechy, które mogą owocować latami, i Victor je ma. Co do reszty, myślałam, że da się to zmienić przez małżeństwo. Ale teraz zapomnijmy o nim i o Scarlett.

Coś z tego, co właśnie powiedziała, zapada we mnie głęboko.

Nie zakochałam się w nim. Ale nie wybiera się męża z miłości. Wybiera się go przez pozytywne cechy, które mogą owocować latami. Czy Bianca powiedziałaby to samo o mnie?

Jestem wyczerpany z napięcia i niewyspania. Dręczy mnie myśl, że to wszystko, moje życie, moje doskonałe małżeństwo, to pomyłka, tragiczna fikcja. Że miłość Bianki, w którą nigdy dotąd nie wątpiłem, jest tylko całkowitym oddaniem się jednej idei.

Idei doskonałej rodziny.

Na szczycie wzgórza rzeczywistość otrzymuje inny wymiar. Dotykam ręki Nicole, a ona opiera mi głowę na ramieniu. Gorące słońce uderza mnie po twarzy, chianti zasnuwa mgłą jasność myśli, powieki same się zamykają.

Tego potrzebuję. Spać, marzyć, wyjechać.

W północy widzę kobietę na czworakach pochyloną nad przywiązany do łóżka Victorem Bonocorem. Widzę jej pośladki, plecy aż po samą szyję, bo głowa jest obscenicznie nachylona nad podbrzuszem Bonocorego. Widzę obrozę na szyi, kajdanki na nadgarstkach. Włosy są rude.

Budzę się nagle, patrzę na zegarek. Jest już wpół do czwartej. Jeśli chcę dotrzymać umowy z Victorem, muszę powiedzieć wszystko Nicole. Ona z pewnością przestała już myśleć o sesji o siódmej trzydzieści.

– Potrzebuję twojej pomocy, Nicole.

Wyjaśniam jej, jaki mam problem, nie ukrywając niczego. Praca mojej żony, zatrzymanie i zwolnienie Franca Romera, gwałtowne ataki ze strony „Il Domani”, negatywny wpływ na nasze życie rodzinne. I wreszcie, patrząc jej prosto w oczy, wyjawiam skandaliczny układ, który zawarłem z jej mężem, by nakłonić go do wstawiennictwa u wicenaczelnego „Il Domani”.

Słucha uważnie, nie przerywając. Na koniec zadaje tylko jedno pytanie:

– Bardzo kochasz żonę, Nanni?

Waham się jedynie przez moment.

– Tak, Nicole. Ona i syn są całym moim życiem.

Wstaje, chwyta mnie za rękę i pociąga do góry.

– W takim razie musimy się pospieszyć, by przyjechać punktualnie na spotkanie z profesorem Bonocorem.

– Dasz radę, Nicole?

– Bądź spokojny, zrozumiałam. Nie pokłócę się z nim, dopóki nie zadzwoni tam, gdzie chcesz.

Nicole jedzie bardzo szybko – podjeżdżamy pod ogród za moim gabinetem o siódmej czterdzieści. Victor Bonocore wysiada z taksówki. Jest ubrany tak samo jak we Florencji: szara kurtka, niebieska koszula, dżinsy, sportowe buty. Rzuca nam ironiczne spojrzenie, kiedy wysiadamy z bmw.

– Ja musiałem wziąć taksówkę. Czyżby pańskie honorarium wymagało również tego, by moja żona pana obwoziła?

Bezczelnie kłamię. W końcu ten facet na to zasługuje:

– Zostawiłem tu samochód, a przystanek autobusowy jest kilometr stąd. Pańska żona właśnie zabrała mnie z drogi.

Śmieje się.

– Ma pan wiele szczęścia jako autostopowicz. Piękne auto, piękna kobieta, gratulacje.

Otwieram gabinet i wpuszczam ich do środka. Bonocore jest wesoły, Nicole lodowata, ja całkiem rozbity w środku. Powtarzam sobie, że mam jedynie zakończyć nasze spotkanie w sposób uzgodniony z profesorem. Potem on zadzwoni do wicenaczelnego „Il Domani”, poprosi, by odczepili się od mojej żony, i cała ta historia się skończy.

A Bianca zrozumie, do czego jestem zdolny.

Nicole od razu siada w fotelu, tak że Bonocore musi usiąść sam na kanapie. Jestem bardzo wzburzony, ale staram się za wszelką cenę zachować pozory normalności. Włączam nagrywanie i jak zawsze zaczynam od przerwane go ostatnio tematu:

– Profesorze, mówiliśmy o zazdrości, którą żywi pan w związku z żoną. Wspominał pan o malarzu we Florencji...

Bonocore próbuje wyciągnąć rękę, by chwycić dłoń Nicole. Ona ją cofa, a on przez chwilę nie potrafi ukryć zaskoczenia.

– Nie, żartowałem. Nie istnieje żaden malarz we Florencji. Nie mam powodu, by być zazdrosny o żonę. Może z wyjątkiem jej pierwszego i jedyne go chłopaka. Potem, jak sądzę, miałem już wyłączność. Prawda,

skarbie?

Wiem, że Nicole nie wytrzyma długo tego rodzaju ironii. Wydaje się bardziej przestraszona niż rozwścieczona bezczelnością męża. Wiem, że muszę się spieszyć, bo ona się hamuje, żeby mi pomóc, lecz ta historia musi się skończyć jak najszybciej, inaczej wszystko szlag trafi. Muszę tylko dać pretekst temu sukinsynowi Bonocoremu. Świetnie wiem, jak się to robi.

– A pan jest wierny żonie, profesorze?

Bonocore patrzy na mnie i potwierdza skinieniem. Tak bezpośrednie pytanie to sygnał. Nawet on wie, że prawdziwy terapeuta nigdy by tak nie zapytał.

– Pewnie, nawet jeśli ona czasami nie chce uczestniczyć w moich seksualnych fantazjach.

– A kiedy odmawia uczestnictwa, karze ją pan?

Bijesz ją aż do opuchlizny? Zdradzasz z jej własną siostrą?

Victor Bonocore wstaje, podchodzi do Nicole i wyciąga rękę, by poklepać ją po policzku. Mówi świadomie prowokacyjnym tonem:

– Pieszczę ją, aż robi się dla mnie miłsza, prawda?

Nicole też zrywa się z fotela i staje przed nim. Jej oczy nie przypominają już Wenus Botticellego. To oczy oszalałe z wściekłości i nagle uświadamiam sobie, że straciłem kontrolę nad sytuacją.

– Zabierz swoje brudne łapska – syczy.

Wyraz twarzy Bonocorego przechodzi od ironii przez niedowierzanie do złości. Victor chwyta ją za nadgarstek.

– Powiedz to jeszcze raz, dziwko!

Nicole nie może się już powstrzymać:

– Wiem, że byłeś we Florencji ze Scarlett...

Bonocore na chwilę traci rezon, potem twarz wykrzywia mu szyderczy grymas i jeszcze silniej ściska jej nadgarstek. Zwraca się do mnie w swojej dobrej włoszczyźnie z amerykańskim akcentem:

– No i co z tego? Jej siostrzyczka jest bardziej niż ona skłonna do pewnych rzeczy.

Nicole wykonuje wolną ręką taki gest, jakby chciała go zadrapać po twarzy, ale Bonocore robi unik i wykręca jej nadgarstek tak mocno, że kobieta pada na kolana, krzycząc z bólu. Ja stoję nieruchomo, kompletnie zaszokowany.

– Nanni...

Bonocore patrzy na mnie szyderczo i naśladuje proszący głos Nicole:

– Nanni?

Krew mnie zalewa. Celny cios w kość jarzmową to pozostałość lekcji boksu, które brałem podczas studiów. Jest tak silny, że Bonocore zatacza się i puszcza rękę Nicole. Strużka krwi spływa mu po policzku, Victor przez moment patrzy mi prosto w oczy. Potem się uśmiecha.

– Niezły hak, *dottore*. Jeszcze się panu przyda na przyszłość.

Szpera w torebce żony skulonej wciąż na podłodze, wyciąga z niej klucze do bmw. Patrzy na nią z pogardą.

– Samochód jest mój, willa też. Od tej nocy poszukaj sobie innego łóżka, moja droga.

Odwraca się i wychodzi. Po minucie słyszymy pomruk silnika i auto się oddala. Jest ósma dziesięć. Terapia dobiegła końca.

Nicole obejmuje lewy nadgarstek, który z wolna nabiera niebieskawego koloru.

– Bardzo, bardzo mi przykro, to wszystko moja wina. Zawiozę cię na pogotowie.

Jest spokojna. Nie narzeka, nie płacze.

– Nie potrzebuję pogotowia, Nanni. Masz tu trochę lodu?

Idę do kącika kuchennego, w lodówce jest tylko mrożona kawa, w zamrażarce są kostki lodu. Wkładam parę do mojej chusteczki i obwiązuję jej nadgarstek. Krzywi się z bólu, lecz nie protestuje. Nadgarstek jest siny, ale nie wygląda na złamany.

Jesteśmy tuż obok siebie na kanapie dla pacjentów, na której jeszcze nigdy nie siedziałem.

– Dziękuję, Nanni. Mógłbyś zadzwonić po taksówkę?

– Dokąd chcesz iść?

Jestem zmartwiony. Nie tylko z powodu przeczucia, że Victor Bonocore nie zadzwoni do wicenaczelnego „Il Domani”. Nicole Steelle, jaką widzę teraz przed sobą, to kobieta głęboko zraniona w uczuciach i obrażona w godności. W tej chwili byłaby zdolna do wszystkiego. Nawet do wbicia noża w plecy profesora Bonocorego.

– Chcę jechać do domu. Zabiorę swoje rzeczy i poszukam hotelu. Jutro wsiądę w samolot i wrócę do Stanów.

Program roztropny, jeśli nie liczyć pierwszej części. Spotkanie z Bonocorem w tej chwili jest absolutnie wykluczone.

– Nie możesz zostawić tam swoich rzeczy?

– Paszport mam w domu, przynajmniej jego potrzebuję, by wyjechać. Mam swoje klucze.

– Pojadę z tobą, Nicole.

Uderza ją nie to, co mówię, ale ton mojego głosu. Odwraca się do mnie, jej oczy znów są zielone i spokojne jak morze.

Wyciąga spinkę z włosów, które rozsypują się i spadają łagodnymi falami wzdłuż twarzy aż do piersi. Wenus Boticellego.

Życie składa się z miliarda chwil, które nic nie zmieniają. Tylko bardzo nieliczne są decydujące. Niektóre nas przerażają, ale pociągają z nieodpartą siłą.

Nie wiem, które z nas wykonuje pierwszy ruch, lecz to nie ma znaczenia. Nasze desperacje łączą się tak samo jak nasze usta. Nawet sobie nie próbuję wyobrazić, jak zmieni się moje życie przez ten pierwszy pocałunek. Nie chcę o tym myśleć. Dźwięk mojej komórki próbuje sprowadzić mnie z powrotem do rzeczywistości.

Ostatnia szansa, Nanni. Albo wysiądziesz teraz, albo dojedziesz do końca.

Ignoruję niekończący się, również *zdesperowany* tryl telefonu. Wyłączam komórkę. I wychodzę z klatki, by rozpostrzeć skrzydła i polecieć prosto w burzę realnego świata, przed którym Bianca zawsze mnie chroniła.

Prawie dwie godziny później, kiedy leżymy z Nicole półnagdy i wyczerpani na kanapie, przypominam sobie, że zapowiedziałem się matce na kolację. Wstaję i wychodzę z telefonem do łazienki. Kiedy go włączam, znajduję osiem nieodebranych połączeń: siedem od mojej matki i jedno od Bianki. Plus jej esemes: „Gdzie jesteś?”.

Dzwonię do matki, odbiera mój ojciec.

– Można wiedzieć, co ty, kurwa, wyprawiasz?

Nie, nie dam rady z nim teraz rozmawiać. Kończę bez słowa i ponownie wyłączam komórkę. Wracam do gabinetu, gdzie Nicole, wciąż półnaga, wstaje z kanapy i zaczyna się ubierać.

– Teraz jadę po paszport.

- Nie wtedy, kiedy on tam jest, to zbyt niebezpieczne.
- O tej porze będzie się gdzieś upijał na mieście. Albo pocieszał w ramionach jakiejś przyjaciółki. Zadzwońię po taksówkę.
Przeszukuje torebkę.
- Nie mogę znaleźć telefonu, Nanni. Musiałam go zostawić w samochodzie. Przywołasz mi taksówkę?
Powinienem to zrobić, powinienem wywikłać się z tej historii. Mógłbym jeszcze wrócić do komfortu swojej klatki. Ale nie potrafię. Ona jest wszystkim, czego brakowało mi przez te wszystkie lata. Wolnością, nieodpowiedzialnością, odwagą.
- Zawiozę cię.

Prowadzę mercedesa po via Cristoforo Colombo w stronę morza i willi Bonocorego. Rude rozpuszczone włosy Nicole opadają na fotel w tym samym miejscu, gdzie zwykle spoczywają włosy Bianki. Żadne z nas nie mówi ani słowa. Po kwadransie skręcam w aleję dojazdową. Jeszcze pół kilometra szutrowej drogi wśród drzew i widzę otwartą dużą bramę. Parkuję na placu przy wielkiej piętrowej willi pogrążonej w kompletnej ciemności. Czerwone bmw stoi obok.

- Pewnie wziął taksówkę i wyjechał. Poczekasz tu na mnie, Nanni?
Patrzę z samochodu, jak zbliża się do drzwi i wyciąga klucze z torebki. Spogląda zaskoczona na niewielki panel, gdzie wkłada się kluczyk systemu alarmowego. Odwraca się do mnie.
- Dziwne, alarm jest wyłączony. A przecież Victor włącza go zawsze, kiedy wychodzi.
Czuję, jak przechodzi mnie zimny dreszcz, choć wieczór jest gorący. Wsiadam z samochodu.
- Pójdę z tobą.
W sieni jest ciemno. Nicole próbuje zapalić światło, ale włącznik nie działa.
- Musiał paść prąd – tłumaczy. – Czasem to się zdarza, kiedy Victor włącza wszystkie klimatyzatory. I pewnie dlatego alarm jest wyłączony.
- Gdzie jest tablica z bezpiecznikami?
- W piwnicy, ale nie ma potrzeby tam schodzić. Mamy w każdym pomieszczeniu latarkę na taką okoliczność.

Bierze jedną z półki przy wejściu, zapala i zamyka za nami drzwi. Snop światła oświetla długi korytarz z licznymi drzwiami po obu stronach i schodami prowadzącymi na piętro.

– Gdzie trzymasz paszport?

– W komodzie w sypialni, piętro wyżej.

Wszystkie okna są pozamykane, ale wewnątrz jest chłodne mimo słonecznego dnia. Wyraźnie czuć, że jeszcze niedawno w willi pracowała klimatyzacja. Kiedy idę za nią w ciemności rozpraszanej jedynie snopem światła z latarki, czuję, jak zimny pot spływa mi po plecach. Biorę ją za rękę, moja jest gorąca, jej lodowata. Czuję, jak drży. Wchodzimy na piętro i otwiera się przed nami kolejny długi korytarz. Willa pogrążona jest w kompletnej ciszy. Zatrzymuję ją przed zamkniętymi drzwiami sypialni.

– A jeśli jest w środku?

– Niemożliwe. Nie siedziałyby po ciemku. Wziął taksówkę i zostawił wszystko w takim stanie.

Nicole otwiera drzwi, wchodzę za nią. Światło latarki kieruje na łóżko.

Najpierw widzę ręce i nadgarstki, ramiona są napięte i rozłożone. Oba nadgarstki przymocowano kajdankami do wezglowia. Potem dostrzegam, że Victor Bonocore ma naciągnięty na głowę plastikowy worek. Szara kurtka leży na ziemi. Niebieska koszula, ta sama, która miał na sobie we Florencji i w moim gabinecie, jest rozpięta, widać włochatą pierś i brzuch. Również dzinsy są rozpięte i zsunięte do połowy ud, podobnie majtki, nogi wyciągnięte. Na stopach ma ciągle sportowe buty.

Na odsłoniętym brzuchu wyryto trzy litery: P, I, G.

Latarka drży w ręku Nicole, ja też drzę i nie potrafię się opanować. Nicole to zauważa. Potrząsa mną, trzymając mnie za rękę.

– Posłuchaj, Nanni, posłuchaj mnie.

Zabiera mnie do łazienki, obmywa mi twarz, wkłada głowę pod strumień wody w umywalce. W końcu się uspokajam.

Nicole ściska mi rękę.

– Niczego tu nie dotykaj. I szybko stąd idź.

Patrzę na nią, nie rozumiejąc, co mówi.

– Nicole, musimy natychmiast zadzwonić na policję.

Przytakuje.

– Dam ci czas na odjechanie, potem zadzwonię na policję. Nie chcę ci zniszczyć życia.

W jej spojrzeniu jest jednocześnie przestach i zdecydowanie. Protestuję:

– Nie mogę cię zostawić samej.

Obejmuje mnie, jej twarz jest parę centymetrów od mojej.

– Nigdy mnie nie zostawisz samej, Nanni. Zrobiłeś dla mnie dziś naprawdę wiele. Ale musisz teraz myśleć o sobie, o swojej rodzinie. I o mnie też. Nie wspominaj o terapii, o niczym. Wszystko to, co się wydarzyło, musi zostać między nami. A teraz idź już, proszę.

Wiem, że to jedyne, co mogę zrobić. Moja obecność tutaj wymagałaby serii wyjaśnień, które zniszczyłyby życie moje, mojej rodziny i rodziny Nicole. Nagle myślę o Luce, który tak liczył, że dziś zabiorę go na żagle, i się otrząsam.

– Dobrze, Nicole, dziękuję.

Całuję ją, a gdy się od siebie odsuwamy, bierze jeszcze jedną latarkę z komody i podaje mi.

– Zejdź z nią, potem zabierz ją ze sobą i wyrzuć do Tybru. I... Nanni...

Włączam latarkę i czekam.

– Cokolwiek się zdarzy, zapomnij o mnie. Niepotrzebnie zrujnowałbyś sobie życie.

Już mam powiedzieć, że to nie byłoby niepotrzebnie, kiedy dodaje ostatnie zdanie:

– Ale ja nigdy o tobie nie zapomnę.

Schodzę, wsiadam do mercedesa i pięć minut później jestem już na drodze do Rzymu. Zegar w samochodzie wskazuje dziesiątą trzydzieści pięć.

Dwadzieścia minut później, kiedy jadę powoli po via Cristoforo Colombo w kierunku domu, widzę gnający w przeciwną stronę radiowóz z włączoną syreną.

Piątek, 18 maja 2001

Bianca

Ciężar trosk towarzyszy mi przez całe życie. Zostałam wychowana w poczuciu *musisz być*. Musisz być godna ojca, męczennika wojny z camorrą, musisz być zdolna towarzyszyć matce aż do jej ostatniego oddechu, musisz być świetną studentką, musisz być niezmordowaną zrównoważoną panią prokurator w środowisku pełnym sceptycznych mężczyzn, musisz być wszechobecną nienaganną żoną i matką.

Skąd brałam na to siły? Siły, by uczyć się dniami i nocami, torować sobie drogę w zdominowanym przez mężczyzn seksistowskim środowisku zawodowym, niezmordowanie wierzyć, że mojemu synowi nie są potrzebni lekarze, a jedynie cała miłość, jaką jestem w stanie mu dać? I by pozostać przy mężu, przystojnym, dżentelmeńskim i ustępliwym, który jednak z biegiem lat okazał się bezwolny wobec wyzwań życia?

Wciąż świetnie pamiętam ten pierwszy dzień w 1987 roku w bibliotece. Usłyszałam jego śmiech, jeszcze zanim go zobaczyłam. A kiedy się odwróciłam, zaskoczona i zirytowana, bo znajdowaliśmy się w miejscu przeznaczonym do nauki, stał między dwiema dziewczynami, trzymając je pod rękę.

Napotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się przepaszająco. Pięknym uśmiechem. A on był przystojny i elegancki. Odwróciłam się natychmiast i zanurzyłam z powrotem w książki. Potem pomyślałam sobie, co zobaczył: moje rozszoszczone spojrzenie, okulary z grubymi szklami, brudne włosy spięte ołówkiem, ubranie z lumpeksu. Zawstydziłam się i natychmiast rozszłościłam sama na siebie za to, że się wstydzę.

Starłam się z powrotem skoncentrować na nauce. Na próżno. Już miałam wstać i wyjść, kiedy poczułam dotyk ręki na ramieniu. Nie potrzebowałam się odwracać, by wiedzieć, że to on. I jedyne, co mogłam zrobić, zanim znów spojrzałam na niego, to zdjąć okulary. Żeby zobaczyć mnie mniej brzydką, a ja jego mniej przystojnym. Wyszłam za niego niecałe dwa lata później.

O dziewiątej trzydzieści wchodzę wreszcie do naszego mieszkania. Doświadczam czegoś, co sięga dalej niż cisza i pustka. Jakby tu, w środku, przez ten uporządkowany mieszczański dom, który umeblowałam i którym się zajmowałam dzień po dniu, przeszli złodzieje i ukradli nam nie te nieliczne posiadane kosztowności, ale wszystkie wspomnienia, teraźniejszość, a nawet przyszłość.

Nigdy dotąd nie oddaliłam się tak bardzo od tego domu jak w ciągu ostatnich dni. I nie tylko fizycznie. Ale to wciąż jestem ja, Bianca. Wiem, że cokolwiek się stało czy też stanie się poza jego ścianami, to moje życie, *moje jedyne możliwe życie* jest właśnie tu. Jeśli coś w nim nie działa, będę umiała to naprawić w taki czy inny sposób. Cała reszta nie istnieje.

Rozbieram się i szybko przygotowuję gorącą kąpiel. Muszę zmyć z siebie i wyrzucić z głowy te ostatnie straszliwe dni. Odkręcam kran w wannie i jednocześnie znów telefonuję do teściów do Ostii. Nanni do nich nie dzwonił, choć o dziewiątej mieli zjeść razem kolację. Nie wiem, gdzie jest i co robi. A to nigdy się jeszcze Nanniemu nie zdarzyło. Zawsze wiedziałam, gdzie jest, po co i z kim.

Próbuję się do niego dodzwonić, ale nie odbiera. Wysyłam mu esemes: „Gdzie jesteś?”. Potem zanurzam się w gorącej wodzie. Czuję, jak otwierają mi się pory skóry, odprężają się mięśnie. Lustra zaparowały. Wszystko jest przytłumione, wszystko zdaje się pełne spokoju. Nawet jeśli jest wprost przeciwnie.

Co dało mi siłę, by robić to, co robię?

Służbowa komórka dzwoni o dziesiątej trzydzieści osiem, kiedy się wycieram. Ubieram się szybko. Potem zbiegam na dół, pod domem czeka już na mnie radiowóz. Chwilę później jedziemy na południe Rzymu, w stronę morza. Na via Cristoforo Colombo mam takie wrażenie, jakby mijał nas jadący z naprzeciwka mercedes Nanniego.

Jest jedenasta, kiedy skręcamy w aleję wśród drzew, przejeżdżamy przez otwartą bramę i zatrzymujemy się na placu, gdzie parkują cztery radiowozy i czerwone bmw z3.

Patrol, który pierwszy przyjechał na miejsce, od razu powiadomił

kryminalnych. Szef sekcji zabójstw, Michele Balistreri, już jest. Znamy się od lat, rozmawialiśmy i jedliśmy przy tym samym stole podczas różnych szkoleń i konferencji, ale nigdy jeszcze nie pracowaliśmy razem, bo odkąd on rządzi sekcją, ani razu nie trafiło mi się zabójstwo. Ale wiem, co myślą o nim koledzy.

Znakomity policjant i okropny mężczyzna.

I wiem, co mówią o mnie.

Znakomita prokurator i okropna kobieta.

Nie będzie łatwo pracować z kimś, kto ma opinię gościa robiącego wszystko po swojemu. A zwłaszcza w takiej sytuacji jak ta. Widzi, jak wysiadam z samochodu, i już wydaje się niezadowolony z mojej obecności. Nie jest przyzwyczajony do prokuratorów, którzy pojawiają się na miejscu zbrodni. Bo faktycznie to nie zdarza się zbyt często. Cóż, będzie musiał się przyzwyczaić.

– Dobry wieczór, Balistreri. Gdzie zwłoki?

Ruchem głowy wskazuje willę.

– Na górnym piętrze w ostatnim pokoju.

– Zawiadomiliście lekarza sądowego?

– Przyjechał lekarz dyżurny z tego rewiru. Już jest na górze.

Typowe. Niemal nigdy nie można dostać na miejsce zbrodni porządnego sądowego patologa, który potem przeprowadzi sekcję zwłok. Zazwyczaj jednak czeka się przynajmniej na techników kryminalistycznych, którzy obfotografują wszystko i zrobią dokumentację miejsca zbrodni, zanim ktokolwiek je naruszy.

– Balistreri, wiedzieliście, że jestem w drodze, powinniście poczekać, aż przyjadę i wydam dyspozycje, zamiast ruszać z badaniami.

– Nie można było czekać. Jest piątkowy wieczór.

Wiem, co chce przez to powiedzieć. Dzięki bezmyślności biurokratów sekcja zwłok nie zostanie przeprowadzona wcześniej niż w poniedziałkowe popołudnie. Co oznacza, że jeśli w żołądku ofiary nie ma jedzenia, nawet badanie potasu w ciele szklistym oka nie powie nam z absolutną pewnością, kiedy nastąpiła śmierć. W takim przypadku natychmiastowe wykonanie badań jest naprawdę nieodzowne. Obecny na miejscu lekarz sądowy, nawet niedoświadczony, może określić stężenie pośmiertne i zmierzyć temperaturę w odbyciu ofiary.

Wskazuję na policjantów.

– Już weszli?

– Oczywiście.

Sama mam poirytowany głos i nie podoba mi się jego ton.

– Balistreri, pan doskonale wie, że naruszenie miejsca zbrodni może doprowadzić podczas procesu do odrzucenia dowodów pochodzących z badań kryminalistycznych. Najlepsi obrońcy potrafią uczepić się najmniejszego detalu, by unieważnić dowód na korzyść oskarżonego.

– Praktyka nakazuje sprawdzić, czy martwy na pewno jest martwy. Inaczej wzywa się pogotowie, pani prokurator.

Nie pytam go nawet, czy policjanci mieli rękawiczki i ochraniacze na buty. Roześmiałyby mi się w twarz. Nie wygląda na ani trochę zatroskanego o to, co uważa za duperele. Ale we Włoszech śledztwo prowadzi prokurator. A więc tym razem będzie musiał pracować tak, jak ja chcę.

Pojawia się ekipa techników kryminalistycznych. Mają już na sobie jednorazowe kombinezony z kapturem, rękawiczki, ochraniacze na buty, maseczki na twarz. My także nakładamy na siebie taki sam zestaw i idziemy do willi w ślad za nimi. Wchodzimy na piętro, pokonujemy długi korytarz i zatrzymujemy się przy wejściu do sypialni. Jeden z techników wkracza do środka i rozpoczyna pierwsze rozpoznanie, my w milczeniu czekamy przed drzwiami. Wchodzimy dopiero po paru minutach, kiedy już wszystko jest obfotografowane.

Zwłoki leżą na łóżku małżeńskim. Ramiona ofiary są wyciągnięte, a nadgarstki przymocowane kajdankami do wezgłowia. Na głowę mężczyzny naciągnięto plastikowy worek. Niebieska koszula jest rozpięta i odsłania pierś i brzuch. Dżinsy też są rozpięte i zsunięte wraz ze slipami do połowy ud. Nogi ma wyciągnięte, na stopach sportowe buty. Na brzuchu wyryto ostrym przedmiotem trzy litery: P, I, G. Rany są płytkie, krople krwi niemal zupełnie zaschły.

Lekarz sądowy pochyla się nad zwłokami. Ma na sobie rękawiczki, ochraniacze i kombinezon, ale ściągnął kaptur, prawdopodobnie po to, by widzieć lepiej. Patrzę, jak wykonuje swoją pracę. Sprawdza szczękę i członki na stężenie pośmiertne, wykonuje badanie na plamy opadowe. Zwłoki zostają sfotografowane z każdej strony. W następnej kolejności będzie wykonane badanie temperatury w odbycie.

Lekarz zwraca się do nas:

– Mogę potem przekazać go do kostnicy?

– Jak pan otworzy kajdanki? – pytam.

Patrzy na mnie niepewnie, więc ucinam:

– Proszę to zostawić kryminalistyce, oni to załatwią. Uwolnią go sterylnymi nożycami i potem wyślą do kostnicy. Ma pan termometr gazowy?

Lekarz kręci głową, jakby to było oczywiste.

– Finanse państwa włoskiego... Musimy się zadowolić stężeniem zwłok i plamami opadowymi, jeśli przed sekcją chcemy wiedzieć coś o godzinie śmierci.

– A co pan z nich wywnioskował? – pytam.

Medyk nieco niepewnie kręci głową.

– Mamy już stężenie pośmiertne szczęki. Ale nogi są jeszcze elastyczne. A więc zmarł niewiele godzin temu, między siódmą a dziesiątą.

– Nie może pan być bardziej precyzyjny?

– Nie, jeśli nie znam temperatury w odbycie. Ale po badaniu potasu w ciele szklistym oka podczas sekcji...

– No przecież nie sześćdziesiąt godzin po śmierci! – przypomina mu Balistreri.

Lekarz się uśmiecha.

– A, tak. Dziś piątek. Najlepszy dzień, żeby kogoś zamordować.

Żadne z nas się nie śmieje, medyk stoi i patrzy na nas.

– A co z kroplami krwi wokół wyciętych liter? – pyta Balistreri.

– Rany są bardzo płytkie i w mało ukrwionym obszarze. Krew już niemal całkiem stężała, a więc od jego śmierci minęła co najmniej godzina. Może nawet półtorej.

Zwracam się do szefa ekipy techników:

– Zabezpieczcie wszystko. Pokój, całą willę, park. Potem opieczętućcie całość. I oczywiście szukajcie jakiegoś ostrego przedmiotu, który mógł posłużyć do wyrucia tych liter na brzuchu ofiary.

Zostawiamy techników z ich pracą i schodzimy na parter.

– Musimy porozmawiać z żoną, to ona znalazła ciało i wezwała policję – mówi Balistreri.

Nicole Bonocore siedzi w towarzystwie policjantki w saloniku przy wejściu. Ma na sobie czarne spodnie, białą bluzkę i szary żakiet. Lekkie drżenie porusza jej ramiona. Siedzi w fotelu ze szklanką wody w rękę, wygląda na zagubioną.

– Dobry wieczór, pani Bonocore. Nazywam się Bianca Benigni, jestem

prokuratorem. A to *dottor* Balistreri, naczelnik sekcji zabójstw. Wyrazy współczucia.

Nicole Bonocore uśmiecha się z wysiłkiem. I nie ogranicza się do tego, wstaje, podaje nam rękę, jakbyśmy byli na przyjęciu.

A potem przypatruje mi się przez chwilę.

– Czy myśmy się już nie widziały?

– Paręnaście dni temu byłam na uniwersytecie na dyskusji panelowej z udziałem profesora i kardynała. Mogłyśmy się spotkać na przyjęciu zaraz potem.

Nicole wydobywa z siebie ciche: „Aach” i szeroko otwiera oczy. Siadamy wszyscy troje. Gospodyni wskazuje nam półkę z alkoholami.

– Może chcą się państwo czegoś napić?

Balistreri jest cichy i skupiony. Wiem, o czym myśli. *Zbyt grzeczna i spokojna jak na te okoliczności.* Jego metoda, tak jak myślałam. Najpierw winny, potem dowody.

Ale tym razem niech o tym zapomni.

Zwracam się do Nicole łagodnym tonem, nie chcę jej denerwować:

– Pani Bonocore, czuje się pani na siłach pomówić z nami teraz? To będzie nieformalna rozmowa.

Przytakuje.

– Oczywiście.

– Zadzwoiła pani do nas zaraz po powrocie domu? – upewniam się.

– Tak. Rano pojechałam do Florencji, by dołączyć do męża i siostry, którzy byli tam od wczorajszego wieczoru. Victor miał wykład na tamtejszym uniwersytecie i wrócił do Rzymu sam, pociągiem. Ja z siostrą poszłyśmy na spacer, odwiedziłyśmy Galerię Uffizi i zjadłyśmy obiad w Fiesole. Wróciłyśmy do Rzymu samochodem. Z autostrady zjechałyśmy około siódmej, a ponieważ było jeszcze wcześniej, wstąpiłyśmy nad morze i przeszłyśmy się po plaży. Odwiozłam Scarlett do domu o dziesiątej i wróciłam tu.

– Dzwoniła pani do drzwi?

– Nie, w domu było ciemno, pomyślałam, że Victora nie ma. Otworzyłam drzwi, były zamknięte, ale nie na klucz, co mnie zdziwiło, bo Victor ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa.

– Kto ma klucze do waszego domu?

– Tylko ja i Victor. Nie dajemy ich nawet dziewczynie sprzątającej.

Victor jest... był... jak mówiłam, maniakiem bezpieczeństwa.

– Dobrze, a co potem?

– Potem weszłam na piętro. Nie, najpierw wzięłam latarkę...

– Latarkę?

Kiwa głową.

– W domu było ciemno, bo padło światło. To się czasem zdarza, kiedy Victor włącza wszystkie klimatyzatory.

– To czemu teraz jest światło?

Patrzy na mnie zdziwiona, jakby wyjaśnienie było oczywiste.

– Po tym, jak zadzwoniłam na sto trzynaście, zeszłam do piwnicy. Wystarczyło włączyć główny bezpiecznik, tak już bywało wcześniej. Nie chciałam czekać w ciemnościach.

Balistreri dotąd nie zadał ani jednego pytania. Patrzy na mnie, następnie zwraca się do Nicole:

– Nie bała się pani zejść do piwnicy? Morderca mógł się tam jeszcze ukrywać.

W tej samej chwili słyhać krzyki. *Fuck you!* – głos dziewczyny. „Pozwólcie jej wejść, to jej siostra!” – głos mężczyzny.

– To moja siostra – mówi Nicole.

Balistreri patrzy na mnie. Zwracam się do Nicole:

– Pani Bonocore, ten dom jest miejscem zbrodni. Nie możemy jej wpuścić, mogłaby niechcący zniszczyć dowody.

– Bardzo panią proszę, możecie przynajmniej powiedzieć siostrze, że ze mną w porządku? – prosi Nicole.

Mówię do Balistreriego:

– Lepiej ich wpuścić na chwilę.

Kręci głową, a ja patrzę mu prosto w oczy.

– Powiedziałam, żeby ich wpuścić.

Balistreri wstaje i idzie do drzwi wejściowych. Jest wyraźnie wściekły. Ale to musi się potoczyć właśnie w ten sposób. Po krótkiej chwili zostawiam Nicole samą w saloniku. Balistreri stoi w wejściu z dwojgiem młodych. On jest przystojnym brunetem. Ją już widziałam i dobrze pamiętam. Jak Nanni mówił, że się nazywa? *Scarlett*. Ma na sobie zieloną sukienkę na cieniutkich ramiączkach sięgającą do pól uda.

– Którędy weszliście? – pyta Balistreri.

– Przeskoczyliśmy przez ogrodzenie na tyłach, bo nie wpuszczono nas

przez bramę.

– A pan kim jest? – pytam młodego człowieka.

– Pino Ingrassia, przyjaciel Scarlett i Nicole. Można wiedzieć...

Balistreri mu przerywa:

– Możemy was aresztować za ten wygłup.

– Doprawdy? – odzywa się Scarlett, kompletnie nieprzestraszona. –
Chcecie nas aresztować przez taką pierdołę? To dom mojej siostry!

Interweniuje, zanim Balistreri zdąży wybuchnąć:

– Dobrze, wejdźcie. Ale razem z nami.

Balistreri zbliża się do mnie i mówi półgłosem:

– Pani prokurator...

Uśmiecham się do niego.

– Pozwolimy im tylko zobaczyć siostrę. To się nam może przydać.

Prowadzimy ich do Nicole. Jej zielone oczy są zimne. Także ona wydaje się wściekła na Scarlett, ale ma głos osoby przyzwyczajonej do cierpliwości wobec kłopotliwej siostry.

– Mam się dobrze, ale musicie poczekać na zewnątrz, Scarlett. Zostań tam spokojnie z Pinem.

Nakazuję policjantom wyprowadzić oboje i wracam z Balistrerim do rozmowy z Nicole.

– Pani Bonocore, każemy odwieźć panią do hotelu, tu nie może pani zostać – mówię. – Może pani zabrać potrzebne rzeczy, nie wchodząc na piętro?

Kiwa głową.

– Muszę prosić, by nie zabierała pani ze sobą niczego poza rzeczami absolutnie niezbędnymi i pozostawiła swoje klucze technikom. Wie pani, gdzie mogą być klucze męża?

Wskazuje dużą misę leżącą na stoliku obok wejścia.

– Victor zawsze tam je wrzucał.

– Dobrze. Technicy się tym zajmą. Teraz chodźmy.

Kiedy wychodzimy, Scarlett Steele i Pino Ingrassia leżą na trawie pod drzewem. Całują się z języczkiem na oczach zakłopotanych policjantów.

– Wstawajcie – rzuca sucho Balistreri.

Dziewczyna się podnosi z bezczelnym wyrazem twarzy. Podskakuje i wykonuje piruet w tej swojej zielonej mini. Wszyscy policjanci gapią się na nią.

– Byliście wczoraj razem we Florencji, tak?

– Nie – odpowiada natychmiast Scarlett – tylko ja pojechałam. Pino został w Rzymie, chcieliśmy z Nicole pobyć we dwie.

Balistreri już ma coś powiedzieć, ale nim sytuacja robi się napięta, zwracam się grzecznie do obojga:

– Będziemy musieli was przesłuchać, ale na spokojnie. Proszę przyjść do siedziby wydziału kryminalnego jutro o dziesiątej.

– Jasne, *happy to help* – mówi Scarlett.

Całuje Nicole, po czym razem z Pinem wsiadają do samochodu i odjeżdżają.

Nicole Bonocore patrzy na mnie i Balistreriego.

– Dlaczego chcecie przesłuchiwać moją siostrę? Ona nie ma z tym nic wspólnego...

Teraz w jej głosie słyszę cień nerwowości. Spokojnie jej odpowiadam:

– Proszę się nie martwić, pani Bonocore. To tylko posłuży ustaleniu tego, co profesor robił wczoraj i dziś. Niech pani jedzie do hotelu i postara się odpocząć, jutro również z panią będziemy musieli porozmawiać.

Z tą samą co na początku grzecznością podaje mi rękę. Patrzy mi w oczy.

– Bardzo proszę, pani prokurator, Scarlett jest jeszcze trochę dziecinna...

Uśmiecham się do niej. Wygląda naprawdę na niespokojną i zagubioną.

– Usłyszymy się jutro. Proszę odpocząć, pani Bonocore.

Wsiadam z Balistrerim do radiowozu i dzwonię do szefa prokuratury Carla Abbiatego. To biurokrata tuż przed emeryturą, paternalistyczny męski szowinista. Ale bardzo sprawny, cwany i dobrze ustawiony politycznie.

– Czujesz się na siłach, Bianca? – pyta mnie.

Doskonale wiem, o co mu chodzi.

Czujesz się na siłach po tym numerze, jaki wykręciłaś w związku z Romerem?

– Carlo, przecież wiesz, z czego jestem zrobiona, nie?

Słyszę wymuszony śmiech Abbiatego. To on wymyślił tę definicję. *Kobieta ze stali nierdzewnej.*

– Wiem, Bianca. Ale tym razem będzie naprawdę gorąco, musisz uważać.

– Będę uważać.

– Prasa?

– Prasa jeszcze nic nie wie. I niczego się nie dowie, dopóki nie będę miała czegoś pewnego do powiedzenia. Potem poinformuję ciebie i sam zdecydujesz.

Wydaje z siebie westchnienie rezygnacji, a ja żegnam się z nim i rozłączam. Wiem, że jeszcze do tego wróci. Balistreri słyszał rozmowę.

– Prawie wszyscy są tacy – mówi lakonicznie.

Nie wiem, czy ma na myśli prokuratorów, czy mężczyzn. W obu przypadkach ma rację jedynie po części. Wielu prokuratorów wykonuje tylko swoją pracę i robi to bardzo dobrze.

Kiedy wracam do domu, Nanni leży na kanapie w salonie. Nie śpi. Nic nie robi: nie czyta, nie ogląda telewizji, nie słucha muzyki.

Wstaje, by mnie przywitać, i wygląda tak, jakby się postarzał. Jest w nim coś innego. Jego uśmiech, który zawsze dodawał mi otuchy w trudnych momentach, gdzieś znikł. Mam przed sobą wstrząśniętą czymś twarz, której nie poznaję. Sądzę, że to moja wina. Obejmuje mnie i jest to uścisk, którego z wielu starych powodów pragnę bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy nie przeszło mi przez głowę, że w naszym małżeństwie też mogą się znaleźć niedopowiedzenia albo wręcz kłamstwo, jak w większości innych. Ale byłam zadufana w sobie, przeceniłam siebie i świat zewnętrzny. Który jak najbardziej istnieje, nawet jeśli chcemy się od niego odciąć.

– Teraz cię przepraszam, Nanni. Przyjechałam o dziewiątej trzydzieści, szukałam cię, ale potem musiałam jechać na miejsce morderstwa.

Patrzy na mnie oszołomiony. Mam wrażenie, że gorączkuje.

– Sprawa Bonocorego? To na twoim dyżurze?

– Tak. Słyszałeś w radiu?

Z roztargnieniem kiwa głową.

– Możesz to oddać innemu prokuratorowi?

Najpierw, zanim jeszcze się zirytuję, czuję zaskoczenie. Nanni, jakiego znam, nigdy by sobie na to nie pozwolił. Ale muszę go zrozumieć, to skutek koszmaru z Frankiem Romerem.

– Abbiati byłby przeszczęśliwy, Nanni. Ale właśnie dlatego, że mój przełożony i moi drodzy koledzy w prokuraturze mają na to nadzieję, nie zrobię tego.

Patrzy na mnie, ma zaczerwienione białka i ciemne obwódki wokół oczu, takim go jeszcze nigdy nie widziałam.

– Ja jestem twoim mężem, nie przełożonym ani kolegą z pracy. I nie chcę, żebyś prowadziła tę sprawę.

Teraz już jasno widzę, że coś jest nie tak. To nie jest mój mąż.

– Co się stało, Nanni? Nie zabrałeś Luki na morze, nie byłeś na kolacji u rodziców, nie odbierasz telefonów.

– Ty też nie odbierałaś.

No tak, tu ma rację. Nigdy jeszcze nie zostawiłam go tak bardzo samego jak przez te dni. A przecież to ja powinnam troszczyć się o innych.

– Porozmawiamy o tym jutro, Nanni. Na spokojnie.

– Bianca, jutro jest sobota. Rano idę do pacjentów, a potem do rodziców. I do naszego syna.

Czuję, jak mi się ściska żołądek na myśl o Luce. Naprawdę go zaniedbuję, lecz w tej chwili nie mogę zachować się inaczej. Przynajmniej w tej sprawie mam spokój sumienia: to, co zrobiłam i co jeszcze zrobię, jest właśnie dla Luki.

– Dla mnie to będzie koszmarne dzień, Nanni. Ale wpadnę do was.

Przed nami resztką nocy bez snu, bez słów, z kłębowiskiem myśli. W łóżku Nanni obejmuję mnie, ale jego uścisk nie uspokaja mnie tak jak dotąd. Otwartymi oczami wpatruję się w ciemną przestrzeń między mną a sufitem. Od zawsze tak śpimy, tak jak ja chcę. W ciemności rozjaśnionej rozedrganym światłem spod krucyfiks.

Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy, światło było włączone. I podobało mi się, choć nie z tego powodu, o którym on myślał. To nie zależało od tego, co Nanni potrafił w łóżku. Raczej od moich złudzeń co do tego, kim on jest. Mężczyzną zdolnym wspólnie ze mną zmierzyć się z życiem.

Sobota, 19 maja 2001

Bianca

O siódmej wyjeżdżam z domu i kieruję się prosto do prokuratury. Cała się trzęsę w środku. W nocy nie zmrużyłam oka, a początek dnia był jeszcze gorszy. Wiem, że nie będę mogła zabrać dziś Luki do kina i że Nanni tym bardziej go tam nie zabierze. Spał, kiedy wychodziłam, więc zostawiłam mu karteczkę na stoliku. Proszbę o przysługę i obietnicę, że zobaczymy się w Ostii.

Balistreri pali w korytarzu, dokładnie pod tabliczką z napisem *Zakaz palenia*. Jak zwykle wygląda jak ktoś, kto spał za krótko albo za długo. Kiedy był młodszy, musiał być atletycznie zbudowany, teraz mocno wychudł. Ale nie zmienił ubrań i wszystko na nim wisi. Obok niego stoi policjant z sympatyczną twarzą. Półtorametrowy człowieczek, który wita się ze mną, całując mnie w dłoń.

– Inspektor Coppola. Pracuję z *dottor* Balistrerim.

Wypijamy kawę przy automatycznym dystrybutorze, po czym zapraszam ich do mojego biura. Przed wejściem Balistreri gasi papierosa w papierowym kubku po kawie i wyrzuca do kosza na śmieci w korytarzu.

Coppola spogląda na Balistreriego. Wyraźnie czeka na jego przyzwolenie, by przekazać mi informacje. Uśmiecham się do niego.

– To jak, inspektorze, mamy coś nowego?

Odnoszę wrażenie, że inspektor próbuje ocenić mój biust, który zawsze ukrywam pod bluzką i zakietem. Następnie podaje mi wydruk billingów telefonicznych. To połączenia z numerem stacjonarnym w willi państwa Bonocore w dniu morderstwa. Nie ma żadnej rozmowy przychodzącej. Z połączeń wychodzących pierwsze wykonano krótko po czwartej trzydzieści na komórkę Nicole Steele, bez odbioru. Nicole powiedziała nam, że o tej porze była ze swoją siostrą Scarlett w Fiesole. I dwa późniejsze połączenia: jedno o dziesiątej trzydzieści i po czterech minutach drugie, na policję.

Patrzę na Coppolę.

– Do kogo telefonowała pani Bonocore, zanim zadzwoniła do nas?

Balistreri uprzedza inspektora:

– To komórka jej siostry Scarlett.

Nie komentuję, wiem, o czym myśli.

Cztery minuty to dużo jak na informację: mój mąż nie żyje.

Nie mam zamiaru zagłębiać się w to w tym momencie. Zwracam się do Coppoli:

– Coś jeszcze?

– Tak. Hotel Central we Florencji potwierdził rezerwację dwóch pojedynczych pokoi dla Victora Bonocore i Scarlett Steele. Profesor zrobił ją przez telefon dzień wcześniej po południu i zapłacił kartą kredytową. A konsjerż mówi, że wczesnym rankiem razem ze Scarlett zszedł do holu jakiś młody człowiek.

– Pino Ingrassia?

Coppola potakuje.

– Pokazaliśmy mu fotografię. Mówi, że wygląda na niego, choć nie ma stuprocentowej pewności. Ta laska niczego sobie nie odmawia!

Balistreri rzuca mu wymowne spojrzenie, ale ja ponownie zwracam się do niego grzecznym tonem:

– Powinniście sprawdzić nagrania z monitoringu przy stacji opłat na autostradzie. Jeśli pojechał samochodem, znajdziemy go na nich.

– Już to zrobiliśmy. Nie widać golfa Pina Ingrassii.

– Może pojechał drogą krajową?

Coppola uśmiecha się do mnie.

– Doskonały pomysł, pani prokurator.

Balistreri gasi kolejnego gitane'a na moim parapecie i wkłada niedopałek do kieszeni. Mówi do Coppoli:

– Każ sprawdzić radary na drodze, może złapał jakiś mandat.

– A samochód Nicole Steele? Zarejestrowały go kamery na autostradzie? – pytam.

Coppola znów się uśmiecha.

– Tak, i nagrania odpowiadają godzinom, które nam podała. W obie strony.

– Była sama?

– Kamery są ustawione na tablice rejestracyjne, wewnątrz auta jest nie do rozpoznania.

– Rozmawialiście jeszcze z lekarzem, który wczoraj wieczorem badał

zwłoki?

Balistreri się krzywi.

– Nic poza tym, co już nam powiedział. Bonocore zmarł między siódmą a dziesiątą. Gość jest niekompetentny. Musimy poczekać na sekcję zwłok i mieć nadzieję, że Bonocore zjadł coś przed śmiercią.

Coppola podaje mi formularz, który wypełniam, ustalając datę na poniedziałkowe popołudnie.

– Balistreri, bardzo proszę, robimy wszystko zgodnie z regułami.

Balistreri patrzy na tabliczkę z napisem *Zakaz palenia* i wyciąga papierosa.

– Oczywiście, pani prokurator, robimy wszystko zgodnie z regułami.

Procedury, przepisy, kodeksy. Wszystko to dla niego kompletnie nic nie znaczy, a ja się na nich wychowałam. Cały mój świat składa się z reguł potrzebnych, by kontrolować wszystko i zmniejszyć dojmujący lęk przed utratą równowagi. W sumie również dlatego postanowiłam zostać z Giannim, choć zrozumiałam, że nie jest taki, jak sobie wyobrażałam.

Dla jego słabości, która dodaje więcej otuchy niż siła.

Mężczyzna, którego mam przed sobą, który pali w miejscu zakazanym, nawet hipotetycznie nie mógłby zostać moim towarzyszem życia.

On nigdy nikogo nie będzie potrzebował.

Przez moment zastanawiam się, skąd coś takiego przyszło mi do głowy, ale szybko odrzucam tę myśl. Nie moja sprawa i nie interesuje mnie to. To tylko zepsuty owoc trudnego momentu w życiu.

On podchodzi do okna, otwiera je i patrzy na mnie.

– No dobrze, Balistreri. Ale wydmuchuj dym na zewnątrz. Rzuciłam palenie, kiedy byłam w ciąży, i nie chcę już do tego wracać. To dotyczy także palenia przez innych.

Zapala gitane'a i kiwa głową.

– Współczuję ci.

Nie ma w jego głosie cienia ironii i to mnie rani najbardziej. Ale nie zamierzam z Balistrerim podejmować żadnej rozmowy na tematy osobiste ani pytać, co chciał przez to powiedzieć.

Zwracam się do inspektora:

– Gdzie jest teraz pani Bonocore?

– Zabraliśmy ją do hotelu Excelsior niedaleko ambasady amerykańskiej. Ale mamy ją na oku.

– Macie ją na oku?

– To była moja decyzja – wtrąca się Balistreri. – Dyskretna obserwacja. Chcę wiedzieć, czy się z kimś zobaczy, czy gdzieś dzwoni, czy wychodzi.

Wszystko to jest kompletnie nielegalne i Balistreri doskonale o tym wie. Ale znając go, można się było tego spodziewać. Nie mam ochoty dyskutować czy polemizować. Ja nie jestem taka jak on. Polowanie na morderców to dla mnie wyłącznie praca. Prawdziwe życie jest gdzie indziej.

– I zrobiła coś podejrzanego?

Ironia w moim głosie jest ewidentna, toteż Coppola spieszy z odpowiedzią:

– Nic. Nie dzwoniła ani nie odbierała telefonu, z nikim się nie widziała, nie wychodziła, poprosiła o śniadanie do pokoju.

– Dobrze. Już prawie dziewiąta. Musimy się przenieść do was na przesłuchanie Scarlett Steele i Pina Ingrassii.

– Pojedzie pani z nami? – pyta mnie Coppola.

Uśmiecham się do niego. Raczej nie jest łatwo dzień w dzień pracować z Balistrerim.

– Dziękuję, inspektorze. Mam swój samochód.

Włączam komórkę i widzę osiem telefonów od Nanniego. Wykorzystuję parę minut drogi, by do niego zadzwonić. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Dlaczego nie odbierasz?

– Jestem w pracy, nie...

– Więc jak, zostawiasz to śledztwo?

Próbuję ukryć złość w głosie, gdy odpowiadam:

– Porozmawiamy o tym, kiedy przyjadę do was na obiad.

– Posłuchaj mnie, Bianca. Jestem twoim mężem, tak?

Tak, jest moim mężem. Mężczyznę, na którym mi zależy, ojcem mojego syna. Ale jest w nim coś, czego nie poznaję. Uparty, niemal gwałtowny sprzeciw wobec mnie, nieznana furia, która mnie przeraża.

– Porozmawiamy o tym w Ostii, Nanni. Na razie.

Kiedy wchodzę do biur wydziału kryminalnego, Scarlett i Pino czekają już na korytarzu. Ona siedzi mu na kolanach, stroją miny i się całują. Nie wyglądają

ani trochę na pograżonych w żałobie po śmierci Bonocorego. Choć chłopak sprawia raczej takie wrażenie, że robi wszystko, czego zechce Scarlett.

– Zaczniemy od pana, panie Ingrassia. Panno Steele, proszę tymczasem poczekać na korytarzu.

Balistreri patrzy na mnie i kręci głową. Wiem, on zacząłby od dziewczyny. Ale to ja prowadzę śledztwo i chcę, żeby o tym pamiętał. Wchodzimy do długiego wąskiego pomieszczenia z jednym wejściem i małym oknem na wprost drzwi. Pośrodku biały stół, kilka białych krzeseł, białe gołe ściany. Przez głowę przemyka mi myśl, że to osobiste Guantanamo Balistreriego. Siadamy. Ja, Balistreri, protokołujący policjant i Pino Ingrassia. Przystojny chłopak z aurą kogoś, kto wie wszystko. Ale nie wydaje się bardzo spokojny. W sumie z nich dwojga on jest tym normalnym. Policja zasadniczo nie działa pozytywnie na nerwy, przesłuchiwanie na posterunku jeszcze mniej, a składanie świadectwa w sprawie o zabójstwo wstrząsnęłoby każdą normalną osobą.

Powinam mu oznajmić na samym początku, że ma prawo do obecności adwokata. Ale w takich wypadkach protokół jest bardzo skrótowy, zresztą przesłuchiwać będę ja, nie Balistreri. Zaczynam od pytania o tożsamość.

– Giuseppe Ingrassia, lat trzydzieści, urodzony w Rzymie, wykształcenie wyższe, matematyk.

– Jak pan poznał profesora Bonocorego?

– Przygotowuję doktorat. Odkąd profesor z żoną przyjechali do Rzymu, wchodzę w skład grupy badawczej, do której należy także Nicole.

– Nicole?

Uśmiecha się.

– Nasze relacje stały się przyjacielskie. Często zapraszali mnie do siebie na kolację. Niedawno poznali mnie ze Scarlett i jesteśmy teraz razem.

– Mieszkacie razem?

– Jeszcze nie. Scarlett jest przyzwyczajona do niezależności. Ale ją przekonam...

– A pan gdzie mieszka?

– Na Zatybrzu, niedaleko Scarlett.

– A więc w czwartek wieczorem Scarlett była we Florencji razem z profesorem Bonocorem.

Zaprzecza gestem, ale nie mówi ani słowa. Nie wiem, czy to z bezczelności, czy ze strachu.

– I nie przeszkadza panu, że pańska dziewczyna była we Florencji z innym mężczyzną?

Obojętnie wzrusza ramionami.

– Nie była z nim. Poza tym profesor jest mężem jej siostry. Scarlett chciała spotkać się ze swoją przyjaciółką, tyle że jej nie zastała.

– Czy Scarlett wróciła z Florencji razem z profesorem?

– Nie. Sądzę, że profesor wrócił pociągiem po wykładzie na uniwersytecie. Scarlett pokręciła się po Florencji razem z Nicole i obie wróciły samochodem.

– O której godzinie Scarlett zjawiała się w domu?

– O dziesiątej, może trochę później. Przywiozła ją Nicole. Pojechały jeszcze nad morze, do Fregene, na drinka o zachodzie słońca.

– A co pan robił przez cały dzień? – pyta zniecierpliwiona Balistreri.

No i proszę, oto właśnie wyszliśmy poza pytania, które można zadawać w takich okolicznościach.

– Zostałem w domu i pracowałem nad doktoratem.

Balistreri nie daje mi szans na żadną reakcję:

– Czy wczoraj pożyczył pan komuś swojego golfa?

Widać jego zaskoczenie, moje zresztą też.

– Nie wydaje mi się...

– Nie wie pan, czy pożyczał komuś samochód?

Ingrassia zaczyna się lekko wiercić na krześle, a ja kopię Balistreriego pod stołem. Nie lubię siedzieć w pociągu i nie wiedzieć, dokąd zmierza. Zwłaszcza w tych okolicznościach. I zwłaszcza z nim.

– Nie, nie. To znaczy nie pożyczałem nikomu.

Balistreri patrzy mu prosto w oczy.

– No to mamy problem, panie Ingrassia. Wczoraj pańskiego golfa zarejestrował radar na drodze krajowej z Rzymu do Florencji.

Niemal zaczyna mi brakować powietrza. Sama mu podsunęłam ten pomysł! Ale bluff skutkuje. Ingrassia rozgląda się wokół. Powinien powiedzieć natychmiast, że to niemożliwe, tymczasem jego oczy mówią, że Balistreri trafił w dziesiątkę. Musimy wykasować z protokołu tę wymianę zdań.

– Czy potrzebuję adwokata? – pyta Ingrassia.

Już mam powiedzieć, że tak, kiedy Balistreri uśmiecha się do niego uspokajająco i raz jeszcze mnie uprzedza:

– Nie. Nie ma nic nielegalnego w jeździe do Florencji. Ale niezgodne z prawem jest okłamywanie policji, która prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa. A teraz proszę powiedzieć prawdę.

Chłopak patrzy nerwowo na drzwi.

– Proszę się nie bać o Scarlett – uspokaja go Balistreri. – Morderstwo zostało popełnione późnym popołudniem, a wtedy pańska dziewczyna była z siostrą.

Przez chwilę myślę, że ten człowiek oszalał. Właśnie przekazał niechętnemu do współpracy świadkowi poufną informację. Piorunuję go wzrokiem, ale jego spojrzenie mówi mi: „Poczekaj, a zobaczysz”. Obserwuję Ingrassię i rozumiem, że Balistreri ma rację. Chłopak przerabia swoją wersję zgodnie z informacjami, których właśnie dostarczył mu Balistreri:

– Scarlett zatrzymała się w tym samym hotelu co Bonocore i byłem zazdrosny. Dzwoniłem do niej wieczorem i znałem numer jej pokoju. Po bezsennej nocy o świcie wsiadłem do samochodu. O ósmej byłem w hotelu i poszedłem do niej.

– I była w swoim pokoju?

– Tak. Sama.

– Zeszliście razem na śniadanie?

– Nie. Scarlett już zamówiła je do pokoju. Migdaliliśmy się trochę przy kawie i croissancie. Ona musiała zejść, by spotkać się z Nicole i profesorem o dziewiątej trzydzięci, ja wyszedłem wcześniej. Scarlett nie chciała, żeby profesor albo Nicole mnie zobaczyli. Wstydziła się mojej zazdrości. Poprosiła mnie, żebym nie dzwonił do niej przez resztę dnia, i powiedziała, że sama mnie zawiadomi, kiedy wraca z Florencji.

– I zrobiła to?

– Koło dziesiątej wysłała mi esemes. Poszedłem pod jej dom, czekając, aż przyjedzie. Nicole odwiozła ją po drinku we Fregene.

Stałem się świadkiem czegoś niewiarygodnego i nie do przyjęcia. Zdemaskowania kłamcy w parę minut za pomocą złamania wszelkich zasad przesłuchania. Zanim Balistreri cokolwiek doda, wstaję i wyciągam rękę do Ingrassii.

– Dobrze, *dottor* Ingrassia. Nie mam więcej pytań, może pan iść.

Każę go zabrać na korytarz i poczekać na protokół do podpisania. Balistreri w tym czasie zapala kolejnego gitane’a.

– Czyś ty przypadkiem nie oszalał?

– Wiem, tu nie wolno palić.

Nie potrafię się już kontrolować.

– Nie mówię o paleniu. Nie można przesłuchiwać bez obecności adwokata. Nie można wymyślać kłamstw, jak to o radarze. Nie można...

Patrzy mi prosto w twarz i nie mówi ani słowa. Nie widzę wrogości w jego czarnych oczach. Ale w tym spojrzeniu kryje się przekonanie. Przekonanie, że świat reguł, mój świat, jest fałszywy. Jego nie obchodzi nikt i nic. Idzie do przodu, niszczy, co mu stanie na drodze, a na końcu wykrywa mordercę.

Niezwykle niebezpieczny człowiek. Bezwzględnie muszę go powstrzymać.

– Teraz kolej na Scarlett Steele, Balistreri. Ja będę zadawała pytania.

Wstaję i wychodzę na korytarz. Scarlett na oczach dwóch oszołomionych policjantów wykonuje stretching. Podchodzę do niej z największą grzecznością.

– Pan Ingrassia właśnie skończył. Poświęci nam pani kilka minut, panno Steele?

Dziewczyna zatrzymuje się i bez słowa idzie za mną do pokoju. Kiedy wchodzi, protokolujący policjant wlepia oczy w jej odsłonięte uda. Ona lekkim skinieniem głowy wita się z Balistrerim i nie czekając na zaproszenie, siada tam, gdzie wcześniej siedział Pino, zakłada nogę na nogę, odsłaniając przy tym uda, i bez tego słabo ukryte pod zieloną sukienką. Wszyscy policjanci marzą o przeżyciu sceny z *Nagiego instynktu* z kobietą przypominającą Sharon Stone i tutaj prawie się to udaje. Scarlett Steele jest dwudziestoletnią dziewczyną i dopiero od paru miesięcy mieszka we Włoszech. Mimo to zdaje się doskonale panować nad sytuacją. Zastanawiam się przez moment, czy Nanni zachowałby się tak samo jak ci policjanci, którzy gapią się jak zahipnotyzowani na nogi dziewczyny. Jedynym mężczyzną, który nie ślini się na widok tego ciała, jest Balistreri.

– Rozumie pani po włosku? – pytam grzecznie.

Wydaje się rozbawiona sytuacją.

– Wystarczająco. Mój włoski chłopak pomaga mi się podciągnąć.

– Może pani usiąść skromniej i przybliżyć się do stołu?

Patrzy na mnie zdziwiona.

– Oczywiście. *I'm happy to help.*

– Musimy tylko zadać pani kilka pytań dotyczących profesora Bonocorego. Czy chce pani wezwać adwokata?

Spogląda na mnie zaskoczona.

– Nie mam adwokata. Potrzebuję go?

Balistreri nie daje mi nawet czasu na odpowiedź:

– Nie, nie jest pani o nic oskarżona.

Scarlett uśmiecha się do niego. Balistreri odwzajemnia się tym samym, ale mam wrażenie, że tylko po to, aby ją uspokoić.

– Proszę podać swoje dane osobowe – zwracam się do niej.

– Scarlett Steele, obywatelka USA, dwadzieścia lat, studentka. Jestem we Włoszech od początku września, żeby pogłębiać znajomość włoskiej kultury i języka.

– Proszę nam opowiedzieć o swojej wycieczce do Florencji. Była tam pani od czwartku wieczorem, prawda?

– Tak. Miałam się spotkać z przyjaciółką, która przyleciała ze Stanów do Florencji, i pojechałam pociągiem w czwartek o szóstej. Ale przyjaciółce coś wypadło i musiała wyjechać, zanim dotarłam na miejsce.

– I zjadła pani kolację z profesorem Bonocorem?

– Nie, w czwartek wieczorem nawet się z nim nie widziałam.

– Chociaż nocowaliście w tym samym hotelu?

– Nie widziałam go. Oczywiście mieliśmy osobne pokoje. Victor zrobił rezerwację także dla mnie.

– Pani siostra o tym wiedziała? – pyta Balistreri.

Ona patrzy na niego, odsuwa krzesło od stołu, zakłada nogę na nogę w sposób jak najbardziej prowokacyjny, opierając lewą kostkę o prawe kolano i pokazując majtki. Naturalnie zielone.

– Wy, Włosi, zawsze źle myślicie o kobietach. Oczywiście, że siostra wiedziała! Wam to się wydaje dziwne, a dla nas to najzwyklejsza rzecz pod słońcem. Ale nie widziałam Victora tamtego wieczoru. Dopiero o dziewiątej trzydzieści rano przed hotelem spotkałam się z nim i z Nicole, która przyjechała samochodem z Rzymu. On poszedł na uniwersytet, a my pochodziłyśmy trochę po centrum Florencji. Potem poszłyśmy do Uffizi.

– Kto płacił? – pyta Balistreri.

– Nicole.

– Gotówką czy kartą? – dopytuje.

Scarlett parska.

- A skąd mam wiedzieć? Płaciła ona i tyle.
- Dobrze – wtrącam się. – A potem?
- Potem pojechaliśmy na obiad do Fiesole.
- Pamięta pani nazwę restauracji?

Kręci głową.

- Nie wiem. Była na świeżym powietrzu. Taras z widokiem na Florencję.
- Kto płacił? – pyta znów Balistreri.
- Moja siostra. I nie wiem, czy kartą, czy gotówką.

Balistreri zapala gitane'a dokładnie pod wywieszką z zakazem palenia.

- Poczęstuje mnie pan? – pyta Scarlett.

Balistreri podaje jej papierosa i zapala. Potem umieszcza pośrodku stołu popielniczkę, której nie powinno tam w ogóle być. Piorunuję go wzrokiem i wracam do przesłuchania:

- A później wróciłyście do Rzymu? O której wyjechałyście?
- Gdzieś koło czwartej. Około siódmej byliśmy przy bramce autostradowej przed Rzymem i pojechaliśmy dalej do Fregene.
- A co robiłyście we Fregene?
- Spacerowałyśmy przez jakąś godzinę. Wypiłyśmy po drinku w jakimś zatłoczonym barze.
- Płaciła Nicole?

Dziewczyna się uśmiecha.

- Nie przelewa mi się, ale nie jestem skąpa. Tym razem ja płaciłam.
- Gotówką, jak się domyślam – wtrąca Balistreri.
- Nie posiadam karty kredytowej – odpowiada Scarlett. – Około dziewiętej trzydzieści ruszyliśmy z powrotem do Rzymu i koło dziesiątej Nicole zostawiła mnie pod domem.
- Pan Ingrassia czekał na panią?
- Tak, Pino tam był.
- W pani mieszkaniu?
- Pino nie ma kluczy. Na razie jedynie uprawiamy seks, nie jesteśmy małżeństwem.

Patrzę jej w oczy. Mogłabym być jej matką, ale Scarlett Steele jest akurat taką córką, jakiej nie chciałabym mieć.

- A w jakim celu pojechaliście później razem do willi państwa Bonocore? – pytam.

– Mieliśmy zjeść kolację z Nicole i Victorem. Nicole nas zaprosiła...

– Na dziesiątą trzydzieści?

– Cóż, we Włoszech przyzwyczailiśmy się do waszego trybu życia.

– Panno Steele, powiedziała nam pani, że narzeczonego nie było we Florencji. Tymczasem Pino Ingrassia przyjechał zobaczyć się z panią w piątek wcześnie rano. Dopiero co nam o tym powiedział.

Dziewczyna parska, a później się uśmiecha.

– To mój chłopak i nasze sprawy.

Próbuję ukryć gniew w głosie.

– Chcę tylko wiedzieć, czy wróciła pani do Rzymu z panem Ingrassią, czy też została we Florencji z siostrą.

Scarlett przeczesuje dłonią włosy.

– Już powiedziałam. Pino sam wrócił do Rzymu. Ja zostałam we Florencji z Nicole.

Może kłamie, ale w tej chwili o nic nie możemy jej oskarżyć. A ja chcę już jechać nad morze, do Nanniego i Luki. Wiem, że Balistreri chciałby zadać kolejne pytania, lecz zbliżamy się do granicy, której nic chcę przekraczać. Chociaż protokoły nie są zbyt szczegółowe, musimy być ostrożni. Dlatego decyduję, że kończymy.

– Będziemy jeszcze potrzebowali waszej pomocy, panno Steele. Ma pani z chłopakiem jakieś plany na jutro?

– Zamierzaliśmy jechać nad morze, ale jeśli trzeba...

– Miejcie włączone telefony komórkowe i nie oddalajcie się z Rzymu, dobrze?

Dziewczyna spokojnie kiwa głową, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

– Dobrze.

Zwracam się do protokolanta:

– Proszę wziąć od panny Steele numer telefonu i dać jej do podpisania protokół. Potem może iść.

Wstajemy i wychodzimy na korytarz z Balistrerim, który mówi:

– Ona i Ingrassia nie mieli czasu dogadać się co do szczegółów. Nie powinniśmy im go dawać.

Znam tę logikę i te metody.

Pierwsze wrażenia. Pierwsze kłamstwa.

– Wiem. Ale ty już zdecydowałeś, kto jest winny, Balistreri. Ja nie.

– Kłamią wszyscy, łącznie z żoną. Ale nie wszystko dogadali.

– Ty tak mówisz.

Nawet mnie nie słucha.

– Albo ich przyszpilimy natychmiast, albo już nam się to nie uda. Pomijając ryzyko, że obie Amerykanki wsiądą w samolot i wrócą do domu.

– Balistreri, ja zawiadamuję sprawiedliwość doczesną zgodnie z prawem włoskim. Już i tak posunęliśmy się za daleko, mieli prawo do adwokata.

Kręci głową.

– Z adwokatami kręcącymi się nam pod nogami niczego więcej się nie dowiemy. Trzymajmy ich z dala i przygwoźdźmy młodych.

Patrzę na niego. Pięćdziesięcioletni mężczyzna pozbawiony skrupułów i współczucia. Pewnie samotny. Człowiek niebezpieczny dla innych, bo nie zależy mu na sobie. Człowiek, którego życie jest tylko nieprzerwanym ściganiem mordercy.

– Pomyślę o tym. A ty każ skontrolować wszystko, co możliwe: pociągi, autostrady, hotel Central, Galerię Uffizi, restaurację we Fiesole, wszystkie bary przy plaży we Fregene. I billingi telefoniczne z mieszkań i hotelu plus lokalizację komórek Nicole, Scarlett i Pina. Podpiszę wszystkie wnioski.

Nie przestaje mi się przyglądać, a mnie ten wzrok niepokoi. Jakby czytał mi w sercu.

– Pozwolisz, że udzielę ci rady, pani prokurator?

– To moje śledztwo, Balistreri.

– Rada jest osobista. Wydajesz się bardzo zmęczona i niespokojna. Odpocznij.

Odwracam się bez słowa. Nie chcę, żeby widział moje oczy. Ma rację, nawet sobie nie wyobraża, jak bardzo ma rację.

– Jestem umówiona na obiad, Balistreri. Ale po południu będę w prokuraturze. Daj znać, jeśli pojawi się coś nowego.

Potakuje, zanurzony we własnych myślach. A ja wychodzę.

Kiedy przyjeżdżam do domu teściów, Nanni jest w ogrodzie. Ma ten sam nieco błędny wyraz twarzy co wczoraj. Widzi, że jestem, wychodzi mi naprzeciw, obejmuje mnie. Musiał już odpowiednio ustawić rodziców, bo nikt nie ośmiela się mnie o nic zapytać. Nasze spojrzenia się spotykają i moje nieme pytanie otrzymuje odpowiedź, której się obawiałam.

– W środku.

– Dziś nie mogę go zabrać do kina, Nanni. Muszę wracać do prokuratury. Wybuchła złością.

– Z powodu tej cholernej historii z Bonocorem? Powiedziałem ci, że nie chcę...

– Przestań, proszę cię. To moja praca, nie oddam tego śledztwa, ale nie będzie problemów, możesz być spokojny.

Nanni patrzy na mnie. Wiem, co widzi. Inteligentną, rozsądną Biancę, która zawsze znajduje rozwiązanie, przewodniczkę jego życia.

Tylko że już mi nie ufa. I po części ma rację.

Wchodzę do domu sama, próbuję zmusić się do uśmiechu. Luca siedzi na podłodze przed swoim blokiem rysunkowym. Pochylone plecki dziś wydają mi się jeszcze mniejsze i jeszcze bardziej pochylone. Podchodzę cicho i siadam obok niego, nie dotykam go. On się nie odwraca, a ja pozostaję tak bez ruchu. Nie ośmielam się nawet na żadną pieszczotę.

– Luca, skarbie. Dziś nie mogę cię zabrać do kina, ale już wróciłam. Od dziś znów będziemy spać w domu.

Nie odwraca się, gdy mi odpowiada:

– Nie wracam ani do domu, ani do szkoły.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by był tak twardy i zdeterminowany. Jakby przez te kilka dni spędzonych z ojcem i dziadkami zupełnie się ode mnie oderwał. Z ledwością powstrzymując łzy, wstaję. Ponownie wychodzę z Nannim do ogrodu. Chcę z nim porozmawiać o Luce, ale on ma głowę zajęłą czym innym.

– W tym momencie Luca jest mniejszym problemem, Bianca.

Paraliżuje mnie lodowata wściekłość. Jego słowa oznaczają, że przez te wszystkie przeżyte razem lata nie nauczyliśmy się nawzajem rozumieć. I że wszystko, co zrobiłam w ciągu ostatnich dni i co jeszcze będę musiała zrobić, na nic się nie zda.

– Chcę, żebyś oddała komuś innemu śledztwo w sprawie Bonocorego.

Staram się odpowiedzieć mu spokojnie, jak zwykle dotąd:

– To był mój dyżur, Nanni. Śledztwo przypada mnie.

– Ale jesteś zbyt zmęczona po tamtej sprawie...

– Nie, tamta sprawa jest pod kontrolą.

Patrzy na mnie sceptycznie.

– Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz muszę wrócić do biura.

Pożegnanie wygląda całkiem inaczej niż zwykle. Ale żadne z nas dwojga

nie potrafi zachować się w tej sytuacji. Postawiliśmy wszystko na zrozumienie, na wygładzanie wszelkich kantów, nie na rozmowę. Nanni patrzy na mnie, jak wsiadam do samochodu. Jest zagubiony.

– A my kiedy się zobaczymy, Bianca?

Typowy Nanni, który nie może sobie poradzić beze mnie. Nawet w takiej chwili jak ta doświadczam tej samej od lat czułości i opiekuńczości wobec niego.

W gruncie rzeczy to moja wina. Takim go chciałam i do tego go przyzwyczaiłam.

– Zobaczymy się w domu w Rzymie o ósmej trzydzieści. Usmażę befsztyk i frytki.

Jest zaskoczony, zgadza się. Jakby każde z nas rozpaczliwie próbowało odzyskać tę spokojną równowagę emocjonalną, na której zbudowaliśmy nasze małżeństwo. Nie wiem, co naprawdę czuję. Nostalgię, strach, gniew? Może wszystko to naraz. Ale żadna z tych emocji nie pasuje do roli żony doskonałej, jedynej roli, jaką znam.

W drodze do Rzymu odbieram telefon od szefa prokuratury Abbiatego.

– Masz się dobrze, Bianca?

Nie lubię tego typu pytań i zatroskanego tonu.

– Doskonale, szefie.

Teraz już nie może mi powiedzieć: *Chcesz, żeby wziął to ktoś inny?*

Ale Abbiati jest ewidentnie zaniepokojony. Powaga sprawy Bonocorego i mój poprzedni problem z Romerem nie uspokajają go ani trochę.

– Chcesz, żeby Ezio ci pomógł?

Ezio Conti jest jego partnerem w golfie i brydżu, a poza tym moim starszym kolegą i zawistnym szpiegiem mojej kariery.

– Nie w tej fazie. Pracuję z Balistrerim. Bądź spokojny.

– Z Balistrerim nigdy nie jest łatwo. On ma własny styl... jak by to ująć... mało ortodoksyjny.

– Wiem, Carlo. Słyszałam o tym. I potrafię go upilnować.

– Bianca, minister spraw zagranicznych dostał już parę telefonów od amerykańskiego ambasadora.

Ucinam:

– Rozumiem. Mam nadzieję, że wkrótce coś będę miała.

– Masz nadzieję? Nam jest potrzebny winny i aresztowanie. W ciągu dwóch albo trzech dni. Więcej nie wytrzymamy.

– Niedługo zobaczę się z Balistrerim, może będzie miał coś nowego.

– Bianca, informuj mnie na bieżąco. O wszystkim. I poproś o pomoc, zanim utoniesz.

Świat mężczyzn.

Spotykam się z Balistrerim w jego biurze. Wysłuzone meble, kanapa z popękanej skóry, wszystko prześmiardłe dymem, zamknięte okiennice, jedyne światło daje lampka przy kanapie. Sadza mnie na tej zużytej kanapie, a sam siada w fotelu, z którego wychodzą sprężyny. Mimo nieciekawego wyglądu kanapa okazuje się bardzo wygodna. Pachnie tytoniem i alkoholem.

Balistreri wzywa inspektora Coppolę, który siada obok mnie. Mam wrażenie, że podobnie jak większość bardzo niskich osób woli nie stać.

– Pani Bonocore wciąż jest w hotelu? – pytam inspektora.

– Nie ruszyła się stamtąd. Nie widziała nikogo, nie rozmawiała przez telefon. Nawet z tą swoją siostrą kurewką.

Balistreri gromi go spojrzeniem.

– Idź do siebie, Coppola. I przypomnij sobie zasady savoir-vivre'u.

Coppola patrzy na mnie przepraszająco.

– Proszę mi wybaczyć, pani prokurator.

– Niech się pan nie przejmuję, inspektorze, jestem przyzwyczajona.

– Powiedziałem ci, że masz iść, Coppola.

Mały człowieczek wstaje. Kłania się przede mną.

– Jeszcze raz przepraszam.

Wychodzi. Patrzę na Balistreriego.

– Nie sądziłam, że jesteś takim bigotem, Balistreri.

Ignoruje komentarz.

– Jak ci już powiedziałem, pani prokurator, albo ich przyszpilimy teraz, albo nigdy.

Ale ja mam wiele powodów, by nie iść za nim tą drogą pozbawioną wszelkich reguł. Patrzę na zegarek, jest prawie siódma wieczorem. Zobowiązałam się, że kolację zjemy z Nannim razem, muszę się pospieszyć. Wstaję z tej kanapy. Rzucam mu przelotne spojrzenie, zastanawiam się, jak ten człowiek spędzi weekend, z pewnością nie na plaży. Zaraz odrzucam tę myśl, to nie moja sprawa.

– Zobaczymy się w poniedziałek rano, Balistreri. Dobrej niedzieli.

On stoi już przy oknie, plecami do mnie, widzę jego ramiona i dym z gitane'a. Nie odwraca się na do widzenia. Albo może taki ma sposób żegnania się z ludźmi.

Kiedy przed powrotem do domu i przygotowaniem Nanniemu kolacji wchodzę na chwilę do prokuratury, wpadam prosto na Ezia Contiego. Zastanawiam się, co on tu robi w sobotę wieczorem, nie wydaje mi się, by miał jakieś pilne śledztwa. Pospiesznie kiwa mi głową i przyspiesza kroku, jakby chciał przede mną uciec. Schodzę do garażu, wsiadam do samochodu i dzwonię do Abbiatego. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Bianca, coś nowego?

Ma ton ojca zatroskanego o niezbyt rozgarniętą córkę, która ma do zdania trudny egzamin na uniwersytecie. Jestem przyzwyczajona do męskich uprzedzeń, przynajmniej od czasów licealnych, gdy koledzy bali się odpisywać ode mnie zadania domowe z matematyki, choć zawsze dostawałam z nich piątki. Mogłabym go zapytać: „Co tu robi twój najwierniejszy fagas przy sobocie wieczorem?”, ale nic by to nie dało. Przechodzę od razu do jedyne go sposobu, który działa na tych pospolitych mężczyzn uprzykrzających nam życie i pracę, *trucicieli kobiecej duszy*.

– Jadę pracować do domu. Ale nie martw się. Sądzę, że do wtorku będziemy mieli jasny obraz sytuacji.

Nie widzę go, lecz i tak czuję, jak wali mu się koncepcja. Słodka propozycja, którą chciał złożyć jedynej kobiecie w zespole podległych mu prokuratorów – „Może chcesz, żeby Ezio zajrzał w papiery?” – została mu wciśnięta do gardła, nim zdążył ją wypowiedzieć. Nie ośmiela się nawet zapytać, kogo chce oskarżyć.

– Dobrze, Bianca. Dawaj znać na bieżąco.

Żegnam go i się rozłączam.

O siódmej trzydzięci wracam do domu. Biorę szybki prysznic i zaczynam obierać ziemniaki. Nie kazałam tego zrobić Rosie, bo frytki najlepiej wychodzą, gdy smaży się je zaraz po obraniu, na dodatek ona nie umie ich ciąć tak, jak lubi Nanni: w cienkie, ale szerokie paski. Nalewam czerwone wino do dekantera i sprawdzam, jak Rosa nakryła do stołu. Sama siebie

pytam, po co to robię. Dzwonię do teściów, aby się dowiedzieć, jak się czuje Luca. Mówią, że spędził cały dzień na rysowaniu w swoim pokoju. Nie próbuję nawet prosić, by dali go do telefonu. Muszę być cierpliwa i zaufać. Wszystko, co teraz robię, byłoby bez sensu, gdybym nie miała ufności.

Pewnego dnia Luca będzie pogodnym chłopakiem.

Siadam w kuchni. Panuje absolutna cisza. Wiem, że ta sytuacja wcale nie jest efektem ostatnich dni. Zatrzymanie Romera i krytyczne artykuły opublikowane w „Il Domani” oraz innych pismach były tylko iskierką zapalającą długi lont, którego początek sięga wielu lat wstecz.

Gdybyśmy jeszcze poczekali, gdybym znała go tak, jak znam teraz, czy wyszłabym za niego?

Wiem, że odpowiedź brzmi: „Tak”. Bo tylko słaby mężczyzna jest w stanie oddać mi ster swojego życia i mojej wolności. I właśnie z powodu swojej słabości, nie siły, nigdy mnie nie zdradzi. Nawet teraz, w najgorszym momencie.

Nanni przyjeżdża o ósmej dwadzieścia. Ma tę samą postarzałą nagle twarz. Obejmuje mnie, ale myśli o czymś innym. Befszyk i frytki są gotowe. Siada i nalewa mi wino, kiedy ja nakładam mu jedzenie na talerz. Rzuca okiem na włączony telewizor.

– Przepraszam, Nanni. Za chwilę zgaszę, chcę tylko wiedzieć, czy nie mówią głupot o sprawie Bonocorego.

Informacje przychodzą na zakończenie zwyczajowej śmiertelnej nudy polityki. Po krótkim streszczeniu faktów kamera pokazuje zaaferowanego Abbiatego wychodzącego z prokuratury. Za jego plecami, niczym pies stróżujący, Ezio Conti. Dziennikarze zatrzymują Abbiatego, a on odgrywa ten sam co zawsze teatrzyk powściągliwego i zdystansowanego szefa stołecznej prokuratury, który zgadza się powiedzieć jedno zdanie tylko dlatego, że go proszą.

– Nie odrzucamy w tej chwili żadnej hipotezy.

Abbiati mówi szybko, zwracając się wprost do kamery. Reporterka podstawia mu mikrofon niemal pod sam nos.

– Mówi się o wątku kobiecym – sugeruje.

Czuję, jak włosy jeżą mi się na karku i żołądek kurczy z wściekłości. Abbiati wydaje się zadowolony z tej małej sensacji, na którą nie powinien pozwolić.

– Powiedziałem, że nie odrzucamy w tej chwili żadnej hipotezy.

– *Sądzi pan, że to roztropne powierzać śledztwo takiemu prokuratorowi jak dottoressa Benigni po tym, co się wydarzyło w związku z Frankiem Romerem?*

Abbiati wybiera właściwy mu sposób odpowiedzi, by nie ryzykować. Odwraca się i odchodzi.

Wstaję wściekła. Nanni obserwuje mnie z posępnym wyrazem twarzy. Dzwonię do Abbiatego na komórkę i słyszę po drugiej stronie fałszywie słodki głos Ezia Contiego:

– Carlo nie może odebrać, rozmawia z kwestorem.

– Kto wam powiedział o wątku kobiecym?

– Nikt. Powiedziała to dziennikarka, a Carlo zaprzeczył.

– Nie zaprzeczył, Ezio.

Conti śmieje się, wyraźnie rozbawiony.

– Cóż, ty mu nic nie mówisz, a on, biedak, nie wie, co ma odpowiedzieć.

A więc zwrócił się bezpośrednio do Balistreriego.

Nie mówię tego. Conti zaprzeczyłby tylko i nic by to nie dało. Rozłączam się bez słowa.

Świat mężczyzn, oni tacy są.

Wyłączam telewizor. Nanni, wciąż ponury, wpatruje się w czarny ekran.

– Wątek kobiecy? – mówi cicho.

– Daj spokój, nas to nie dotyczy.

Ale on patrzy na mnie tym swoim błędnym wzrokiem.

– To była Scarlett Steele, prawda?

Nie jest to nawet pytanie, raczej stwierdzenie. Nanni nie przypomina mi męża, którego miałam obok siebie przez lata: dobrego, wyrozumiałego, cierpliwego i zawsze trzymającego moją stronę. Dla takiej relacji walczyłam codziennie, ścierając szorstkości, wygładzając kanty. Dla tej relacji i dla Luki stałam się *żoną doskonałą*.

Ale siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna nie jest już tym, którego znam. Ma brudny kołnierzyk koszuli, zakurzone buty, jest nieogolony. Wszystko to, czego Nanni dotąd nie tolerował.

– Scarlett Steele nie jest jedyną kobietą na tym świecie, Nanni. Poza tym dobrze wiesz, że nie mogę mówić o swojej pracy.

Nawet nie skosztował befsztyka. Wstaje, patrzy na mnie, potrząsa głową.

– Ty i twoja cholerna praca! Zobacz, do czego nas doprowadziła!

Czuję się jak sparaliżowana. Na ciele i na umyśle. Tyle rzeczy mogłabym

mu powiedzieć. Ale nie wytrzymałby tego. Żeby zmierzyć się z niektórymi problemami życia potrzeba hartu, jakiego Nanni nigdy mieć nie będzie.

– Nanni... – Ledwie słyszę własny głos.

Nachyla się nade mną, ma zaczerwienione oczy pełne wściekłości.

– Zrobiłaś już jedną głupotę z Romerem. Uprzedzam cię, Bianca. Jeśli to zrobiła kobieta, jest nią Scarlett. Nie rób kolejnych głupot.

Odwraca się i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Siedzę przed befsztykiem, frytkami, winem. Bez ruchu. Nie wiem, jak długo. Potem idę do łóżka. W nocy śnię o piersi mojego męża dotykającej moich pleców, o jego kolanach w zagłębieniach moich kolan, o jego twarzy opartej o mój kark. Tak jak spaliśmy przez te wszystkie lata. Ale jest mi zimno. Bardzo zimno.

Niedziela, 20 maja 2001

Bianca

Punktualnie o dziewiątej jestem w prokuraturze, sama w pustym budynku.

Przeczytałam już gazety, w szczególności „Il Domani”. We wstępniaku poświęconym śmierci Bonocorego wicenaczelną gazety Anselmo Guidi wyraża osobisty żal z powodu straty przyjaciela i życzy prokurator Biance Benigni dobrej i spokojniejszej pracy niż w przeszłości. Ale żadnego ataku w sprawie Romera, tak jak przewidywałam. W dziale wiadomości tekst Lindy Nardi o sprawie Bonocorego i ani słowa o Romerze. Artykuł jest bardzo rozważny, ogranicza się do podania kilku faktów znanych prasie. Oprócz tego krótka notka biograficzna ofiary. Również tu nic szczególnego. I nic o Francu Romerze.

Powinam czuć ulgę, ale nie potrafię się skoncentrować, bo wciąż myślę o Luce zgarbionym nad swoim rysunkiem i o Nannim, który zostawia mnie w środku kolacji.

I o tym, co zrobiłam i co jeszcze będę musiała zrobić.

Jestem wściekła na Balistrerio. Myślałam, że okaże się przynajmniej lojalny. Tylko on mógł powiedzieć Abbiatiemu o naszych podejrzeniach co do sióstr Steele. Myślę, gdzie on może teraz być, co robi w niedzielę rano. Chcę się na kimś wyżyć, a on jest najlepszym obiektem. Dzwonię do niego na komórkę. Odpowiada po kilku sygnałach.

– Tak?

Ma bełkotliwy głos.

– Słyszałeś we wczorajszym dzienniku, co powiedział Abbiati?

Milczy przez chwilę. Doskonale wie, że oskarżam go o wyciek informacji. Potem mi odpowiada tym swoim zaspanym, przepitym i przepalonym głosem. Mówi jak ktoś, komu naprawdę jest przykro:

– Wczoraj wieczorem przeprowadziłem małe śledztwo. Informację o wątku kobiecym wypuścił policjant, który protokołował przesłuchania. W poniedziałek każe go przenieść do jakiejś wiochy w sardyńskich górach.

Szukam słów przeprosin, których nie znam. A może znam, tylko coś mi

przeszkadza ich użyć wobec tego mężczyzny.

Tak niewrażliwego, szorstkiego, nieprzeniknionego. Mężczyzny, którego nie obchodzą inni.

– Gdzie jesteś?

Dopiero kiedy to mówię, uświadamiam sobie, jak bardzo nie na miejscu jest to pytanie. Ale Balistreri odpowiada z całkowitym spokojem:

– W domu. Spałem.

– Już po dziesiątej, Balistreri.

– Poszedłem spać o świcie.

Nie wiedzieć czemu wyobraziłam sobie noc pełną seksu. I coś mi w tym dokucza.

– Grałem w pokera z przyjaciółmi – mówi, jakby czytał mi w myślach.

Bardzo mnie irytuje, że wolę to wyjaśnienie od poprzedniego domysłu.

– A ja siedzę w prokuraturze i czytam dokumenty.

Kolejne niepotrzebne zdanie.

Dlaczego je powiedziałam? Chcę, żeby mnie pochwalił? Współczuł mi? Poczul się winny?

– To nic nie da, pani prokurator. Prawda jest w ludzkich głowach, nie w papierach. I tak jak ci mówiłem, albo się pospieszymy, albo zniknie na zawsze.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Słyszę, że zaciąga się gitane'em, nieomal czuję zapach tytoniu.

– Myślałem, żeby podskoczyć do Florencji, pociągiem jedzie się szybko.

Chcesz pojechać?

Zaskoczył mnie.

– Dobrze – mówię wreszcie. – Zobaczymy się na stacji za godzinę.

W przedziale przeglądam teczkę sprawy, a Balistreri czyta „Il Domani”. Odkąd zaczęliśmy to śledztwo, ani razu nie wspomniał o mojej zawodowej wpadce z Frankiem Romerem i problemach z mediami.

Wysiadamy na florenckiej stacji Santa Maria Novella, mieszamy się z tłumem turystów i po kilku minutach docieramy do hotelu Central. Balistreri zadzwonił tam już wcześniej, by uprzedzić o naszym przybyciu i poprosić, żeby czekali na nas recepcjonistka i konsjerż z czwartku i piątku.

Dyrektor hotelu przyjmuje nas z mieszaniną niezadowolenia i unізoności,

typową postawą obywateli wobec stróżów prawa. Następnie zaprasza nas do salonu i przedstawia recepcjonistkę, bladą wychudzoną dziewczynę, wyraźnie onieśmioną.

– Pani pracowała na nocnej zmianie? – pytam grzecznie.

– Tak, od ósmej wieczorem do ósmej rano.

– Czy profesor Bonocore i jego szwagierka przyjechali razem w czwartek wieczorem?

– Nie, on przyjechał, kiedy zaczęłam pracę, a ona po kolacji. Możecie sprawdzić w książce, jeśli chcecie.

Patrzę na Balistreriego, który kiwa głową, już to kazał sprawdzić.

– A następnego dnia rano?

Dziewczyna szeroko otwiera oczy.

– Następnego dnia rano?

– Widziała ich pani? Razem czy osobno?

Waha się przez chwilę.

– Profesora nie widziałam. Ona, to znaczy panna Steele, pojawiła się w holu około ósmej, kiedy ja zbierałam się do wyjścia.

– Była sama?

– Nie jestem pewna, o tej porze w holu jest dużo ludzi. Ale wydaje mi się, że żegnała się z jakimś młodym mężczyzną.

Pokazuję jej fotografię Pina Ingrassii, ale kręci głową niepewna.

– Wydaje się, że to on, ale nie dam głowy, był za daleko...

Żegnamy dziewczynę. Balistreri nie powiedział nawet słowa i wygląda tak, jakby myślał o czymś innym. Każę zawołać konsjerżę, czterstego sześćdziesięciolatka, który wydaje się bardziej połechtany naszą obecnością niż onieśmiony. Pytam go od razu o piątek rano, to on pierwszy powiedział policji, że Scarlett zeszła na dół z jakimś młodym chłopakiem.

– Potwierdzam, tak było. Ale patrząc na fotografię, nie jestem całkiem pewny, czy to był on.

– O której godzinie panna Steele i profesor Bonocore opuścili hotel?

Wzrusza ramionami.

– Z książki meldunkowej wynika, że ona oddała klucze o ósmej trzydzieści, a on pół godziny później. Ale nie widziałem, jak wychodzą, w holu było mnóstwo ludzi.

Wtrąca się Balistreri:

– Niemniej nie wierzę, że nie zauważył pan przynajmniej panny Steele.

Pytanie odwołujące się do testosteronu działa. Konsjerż oblizuje górną wargę.

– W rzeczy samej, *dottore*, trudno jej nie zauważyć!

– Jak była ubrana? – pyta Balistreri.

Konsjerż się uśmiecha.

– Cała na żółto. Krótka sukienka, kolczyki, tenisówki.

Balistreri zadaje jeszcze jedno pytanie:

– Czy ktoś pytał o profesora albo pannę Steele po tym, jak opuścili hotel?

Jestem zdumiona. Pracowałam w życiu z wieloma śledczymi. Niektórzy z nich byli nadzwyczajni w wyciąganiu wniosków, analizie i łączeniu dowodów. Balistreri jest inny. On wychodzi od opinii, jaką wyrobił sobie o ludziach, i decyduje, kto z nich jest winny. I w tym jest niebezpieczeństwo, którego muszę unikać. Trzeba go zmusić do respektowania reguł.

Konsjerż potwierdza:

– Tak, chwilę po tym, jak profesor się wymeldował, przyszła pewna pani i pokazała mi paszport, to była żona profesora i siostra panny Steele. Chciała wiedzieć, czy jej siostra jest jeszcze w hotelu. Odpowiedziałem, że wyszła pół godziny wcześniej.

Balistreri pokazuje mu zdjęcie Nicole Steele, którą rozpoznaje bez żadnych wątpliwości.

– Była sama? – pyta Balistreri.

Konsjerż wygląda, jakby próbował sobie z wysiłkiem przypomnieć.

– Nie jestem pewien, ludzi wokół było dużo. Ale odniosłem wrażenie, że weszła do hotelu z mężczyzną, który trzymał się z dala od kontuaru.

– Czy to mógł być ten sam chłopak, którego widział pan w towarzystwie Scarlett?

Zdecydowanie kręci głową.

– Nie sądzę, był od niego nieco starszy, wydaje mi się, że miał czapkę i okulary przeciwsłoneczne.

Kiedy wychodzimy z hotelu, na czystym błękitnym niebie świeci słońce, jest gorąco. Wpadamy w sam środek tłumu turystów. Balistreri nie mówi nic, jakby czekał, bym to ja wyciągnęła wnioski.

– No dobrze, Balistreri. Siostry Steele nie spotkały się przed hotelem o dziewiątej trzydzieści, ale mogły się spotkać zaraz potem. I wszystkie ich

spacery, Uffizi, Fiesole, drink nad morzem, to mogła być prawda.

Kiwa głową.

– Nicole z pewnością została we Florencji. Moi ludzie byli i w Uffizi, i we Fiesole. Na zdjęciu rozpoznała ją zarówno dziewczyna z okienka biletowego w galerii, jak i kobieta z restauracji we Fiesole. W Uffizi zapamiętano ją, bo nie mogła sobie przypomnieć PIN-u do karty. Próbowała dwa albo trzy razy, aż w końcu udało się jej zapłacić.

– Ile biletów kupiła?

Krzywi się.

– Dwa. Ale mogła zrobić to specjalnie, żeby zapewnić Scarlett alibi. Tam jest cały czas tłok i masa ludzi stoi w kolejkach, nikt nie może nam powiedzieć, czy Nicole była tam sama, czy z kimś.

– A we Fiesole?

– Chcesz coś zjeść, pani prokurator?

Kiwam głową, ma rację. Pora na obiad, jestem głodna. A kasjerkę z Fiesole i tak musimy przesłuchać. I lepiej, żebyśmy przy tym była.

– Dobra, jedziemy.

Łapiemy taksówkę i w pół godziny dojeżdżamy do Fiesole. Balistreri już wie, w jakim lokalu jadła w piątek obiad Nicole Bonocore. Ludzi jest dużo, taras pełny gości, ale kiedy się przedstawiamy, kasjerka każe dostawić stolik dla nas.

Balistreri zostawia mi miejsce z widokiem na dachy i kopuły Florencji i na rzekę Arno. Czuję się odrobinę winna, co mi przeszkadza. Jestem tu służbowo, więc dlaczego? Może również z tego poczucia winy odmawiam chianti, które Balistreri zamówił razem z talerzem wędlin, i uciekam w talerz zielonej sałaty i wodę mineralną. Balistreri nie wysiła się na rozmowę, za co jestem mu wdzięczna. Mam na głowie zbyt wiele spraw, którymi nie mogę się z nim podzielić.

Kiedy przynoszą nam kawę, kasjerka siada przy naszym stoliku, o co ją poprosiliśmy. Jest piękną kobietą w średnim wieku i wydaje się bardzo bystra. Balistreri zapala gitane'a, a ona cienkiego papierosa.

Pokazuję jej najpierw fotografię Nicole Bonocore.

– Proszę pani, czy ta kobieta była tu dwa dni temu?

Kasjerka patrzy na fotografię i zdecydowanie potwierdza.

– To z pewnością ona. Młoda, piękna kobieta, sądzę, że Amerykanka.

– Była sama?

Zastanawia się chwilę, wreszcie odpowiada:

– Szukałam rachunku i paragonu. Zamówiła talerz wędlin i serów na dwie osoby. Było już późno, kelnerzy poszli i sama wyniosła talerz do swojego stolika. Usiadła tu, przy jednym ze stolików, których nie widać ze środka.

Milknie, jakby chciała się skoncentrować. Potem mówi dalej:

– Przy płaceniu ta pani weszła do środka. Sama. Zatrzymała się u mnie, a potem zeszła do toalety, gdzie została dłuższą chwilę. W tym czasie ja wyszłam na taras zapalić papierosa.

– Widziała pani kogoś? – pyta Balistreri.

– Większość stołów była pusta, tylko przy kilku siedzieli klienci, jedna osoba była sama, ale nie mam pewności, czy akurat przy stoliku, przy którym usiadła tamta Amerykanka.

Pokazuję jej zdjęcie Scarlett.

– To była ona? – pytam.

– Wie pani, patrzyłam pod słońce, a ten stolik był trzydzieści metrów dalej. Według mnie to był mężczyzna, ale mogła też być kobieta.

– Nie widziała pani włosów? – pyta Balistreri.

Kobieta się zastanawia, kręci głową.

– Nie pamiętam włosów...

– Może dlatego nie pamięta pani włosów, że ta osoba była w czapce...

Kasjerka patrzy na niego z widocznym zaskoczeniem, ja z niedowierzaniem. Potem kobieta z wolna przytakuje.

– A wie pan, *dottore*, że ma pan rację? Miała czapkę, taką z daszkiem.

– I ciemne okulary? – kontynuuje Balistreri.

– Tak, okulary też. Ale nie dam głowy, czy ta osoba była z Amerykanką, nie widziałam ich razem. Wypaliłam papierosa i weszłam do środka. Kiedy ta pani wracała z toalety, pożegnałyśmy się i wyszła.

– Jak długo została w toalecie? – pytam.

– Jakiś kwadrans, może mniej. Pewnie poprawiała makijaż.

– I o której godzinie wyjechała?

– Około czwartej.

– Dobrze, bardzo pani dziękujemy.

Uśmiecha się.

– Jeszcze jedno. Ta Amerykanka zostawiła swój telefon komórkowy w łazience na umywalce. Znalazła go dwie godziny później sprzątaczką.

– Skąd panie wie, że to telefon tej Amerykanki? – pyta Balistreri.

Kobieta wyciąga komórkę z kieszeni i mu podaje. Jako tło ekranu ustawiona jest fotografia Nicole z profesorem Bonocorem.

– Czy mogłaby pani poprosić o jeszcze jedną kawę dla nas? – pyta Balistreri.

Wstaje natychmiast.

– Ja się tym zajmę, kelnerzy już kończą. Zaraz wracam.

Kiedy kobieta się oddala, patrzę na komórkę leżącą na stole i próbuję ją zignorować. Balistreri natychmiast bierze ją do ręki.

– Nie możesz – ostrzegam go.

– Zdajesz sobie sprawę, pani prokurator? Gdyby Nicole Bonocore miała telefon ze sobą, moglibyśmy dokładnie określić jej ruchy. Tymczasem od tego momentu nie możemy się dowiedzieć, gdzie pojechała. Mamy tylko jej słowo.

Patrzę w inną stronę. Zanim jeszcze kasjerka wraca, telefon znów leży na stole.

Po kawie żegnamy się z kasjerką, bierzemy taksówkę i wracamy na stację. Nie rozmawiamy, każde z nas jest zanurzone we własnych myślach.

W pociągu Balistreri patrzy przez okno, a ja próbuję nie myśleć o tym cholernym telefonie. Jesteśmy już niemal w samym Rzymie, kiedy nie wytrzymuję:

– No to powiesz mi, co tam znalazłeś?

– Rzuciłem okiem na historię rozmów. I na esemesy. Same przychodzące i nieodebrane. I jeden interesujący esemes od Pina Ingrassii o ósmej czterdzieści dwie rano: „Oddzwonisz?”. Ale nie oddzwoniła, a przynajmniej nie z tej komórki.

– Coś jeszcze?

– Nie, aż do połączenia z telefonu stacjonarnego w willi profesora o czwartej dwadzieścia dziewięć. Nie odebrała. Ale o tym już wiemy.

– Nie widzę w tym nic dziwnego, nie chciała rozmawiać przy siostrze.

– Albo przy kimś innym, w czapce z daszkiem i ciemnych okularach, pani prokurator.

– Balistreri, Nicole Steele nie kłamała. Wszystko znajduje potwierdzenie w połączeniach telefonicznych. Sam to mówisz. O tej godzinie Nicole dostała

telefon z domu, którego nie odebrała. Potem weszła do lokalu, zapłaciła, udała się do toalety i poprawiła makijaż.

Balistreri patrzy na mnie.

– Moi ludzie odkryli, że nie było żadnego wykładu profesora na Uniwersytecie Florenckim.

– Co? Jak to?

– Po prostu nigdy nie było go w programie. To była wymówka Bonocorego, żeby zobaczyć się we Florencji ze Scarlett Steele.

– Jak możesz być tak pewny? Gdybyś był żonaty, też byś się zachowywał w taki sposób?

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam, i od razu tego żałuję. On znowu patrzy przez okno.

– Gdybym był żonaty, żona by mi wystarczyła.

Czyżby jakiś cień żalu krył się w tym: „gdybym był żonaty”? Nie wiem. Nie wiem, czy myśli o kimś konkretnym. Ale wiem, że to kompletnie nie moja sprawa.

Że to nie powinna być moja sprawa.

Gdy tylko wychodzimy z pociągu, pośpiesznie go żegnam.

– Zobaczymy się jutro po południu, Balistreri, jak wrócisz z sekcji zwłok.

Mówi coś pod nosem, może to słowa pożegnania. Odwraca się plecami i odchodzi. Teraz mogłabym pojechać do Ostii, do Nanniego i Luki. Ale nie potrafię. Potrzebuję zastanowić się nad tyloma rzeczami. Tak jak zawsze robię.

Poniedziałek, 21 maja 2001

Bianca

Kolejna bezsenna noc. Zresztą jak mogłabym spać? Poranek spędzam na bieżni elektrycznej, potem w fotelu, przeglądając papiery ze śledztw. Pierwszego w sprawie zamówień publicznych, które teraz stoi w miejscu. I tego drugiego, w sprawie śmierci Victora Bonocorego. Cały czas wraca do mnie myśl o Nannim i Luce.

Co robią? Jak się mają beze mnie?

Kiedy zaraz po obiedzie wchodzę do kwestury, jestem wykończona. Balistreri siedzi w swoim zakurzonej i zadymionym biurze nad resztką pizzy. Wskazuje mi gestem zużyta kanapę. Siadam. Otwiera okno i zapala gitane'a. Zostaje w tamtym miejscu, na dystans, nie siada. Ma na sobie to samo pomięte ubranie co wczoraj, z wyjątkiem koszuli, która dziś jest biała. Wczoraj miał błękitną. Właśnie wrócił z sekcji zwłok i nie jest ani trochę zadowolony.

– Steżenie pośmiertne i plamy opadowe były nieco mniej zaawansowane, niż nam powiedział ten partacz, który przyjechał na miejsce zbrodni – oznajmia.

– A więc Bonocore zginął później, niż sądziliśmy.

– Musiało być po ósmej, najprawdopodobniej między ósmą trzydzieści a dziesiątą. Ale nie znamy temperatury w odbycie i jest już za późno na zmierzenie potasu w ciele szklistym oka.

– A trawienie?

– Niestety nie jadł przez kilka godzin przed śmiercią. Nie mamy szczęścia. Śmierć nastąpiła na skutek uduszenia spowodowanego naciągnięciem foliowego worka na głowę. Był zaciśnięty na szyi sznurówką.

– A nacięcie?

– Krwi było niewiele, to mało ukrwiony obszar. Nic, co by pomogło dokładniej określić godzinę. Ale bardziej interesujący jest przedmiot, którym je wykonano.

– To znaczy?

– Długi ostry szpikulec. Jak szydło. Technicy nie znaleźli niczego takiego w willi. Najwidoczniej morderca zabrał ten przedmiot ze sobą.

– Są inne ślady przemocy na ciele? Krwiaki, rany?

– Nic. Tylko ślady po kajdankach na nadgarstkach. Żadnych śladów walki.

– Może morderca go zmusił, żeby sam się przykuł kajdankami do łóżka.

Balistreri zdaje się śledzić tok własnych myśli, jakby próbował wyobrazić sobie tę scenę.

– Takiego wielkiego gościa jak Bonocore?

– Balistreri, pod groźbą pistoletu...

– Pomijając nawet, że również w takiej sytuacji Bonocore stawiałby opór, gdyby ktoś próbował skuć go kajdankami, to osoba z pistoletem mogłaby go znacznie łatwiej zastrzelić i basta.

Wiem, że ma absolutną rację, i postanawiam przejść do innej sprawy:

– Kajdanki to model policyjny czy karabinierów?

– Ani jedno, ani drugie. Te, które miał założone Bonocore, można kupić tylko w pewnych sklepach.

– Tych z artykułami erotycznymi?

Gasi papierosa na parapecie, zdaje się mieć powyżej dziurek w nosie mojego omownego stylu.

– To się nazywa sex shop. Można je też kupić przez Internet.

– A więc uważasz, że przykuła go kobieta, z którą uprawiał seks. A potem, żeby go udusić, nałożyła mu plastikowy worek na głowę?

Kręci głową.

– Nie potem. W trakcie. Powinnaś lepiej się poinformować w sprawach niektórych praktyk seksualnych, pani prokurator.

Po moim milczeniu widzi, że przesadził.

– Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli włączę muzykę? – pyta nagle.

Niewiarygodnie szybko przechodzi od agresywności do spokoju. Jakby to były dwie nierozzerwalne części jego duszy.

Wszyscy mamy dwa oblicza. Ja też.

Głos Leonarda Cohena rozchodzi się po pomieszczeniu.

Like a bird on the wire I have tried in my way to be free.

Ostatni raz słyszałam tę piosenkę, kiedy byłam nastolatką. A na pewno zanim poznałam Nanniego.

Zanim zamknęłam się w klatce, którą sama zbudowałam.

Ta myśl, to pogrążone w półmroku zakurzone pomieszczenie, ten mężczyzna tak mi odległy, którego absurdalnie odbieram jako kogoś bliskiego, przerażają mnie, toteż zmieniam temat:

– Mamy billingi i lokalizacje komórek?

Potwierdza.

– Komórka Nicole Steele była dokładnie tam, gdzie miała być, gdzie powiedziała, że była. Aż do Fiesole. Tam trop się urywa w restauracyjnej toalecie.

– Dlaczego zapomniała komórki?

Patrzy na mnie ironicznym wzrokiem.

– Albo udaje, że zapomniała.

– Ty tak mówisz. Skazałeś już siostry Steele i na wszystko patrzysz z tej perspektywy. Zgubiona komórka, kajdanki, plastikowy worek...

Ignoruje mój komentarz.

– Bardziej interesująca jest komórka Scarlett Steele. W czwartek Scarlett przyjechała do Florencji o siódmej, za dziesięć ósma dostała esemes od Victora Bonocorego. Później, między ósmą a północą, było jeszcze w sumie szesnaście esemesów i telefonów od Pina Ingrassii. Ale żadnych wychodzących.

– Pewnie, chłopak jest zadurzony i zazdrosny o Scarlett. Bał się, że jest z Bonocorem. Wyciągnęliście coś jeszcze z ich komórek?

– W piątek rano Pino znalazł się w pokoju Scarlett krótko przed ósmą. Ona o ósmej pięć wysłała esemes do Bonocorego, który natychmiast odpowiedział.

– Jasne. Pojawił się nieoczekiwanie narzeczony i chciała uprzedzić Bonocorego o problemie. Nic w tym dziwnego, skoro chodzi o dwoje kochanków.

Przygląda mi się. Wyczuwam, co myśli, i czuję się nieswojo.

A co ty, pani prokurator, możesz wiedzieć o głupotach popełnianych przez kochanków?

Uświadamiam sobie, że coś dziwnego się dzieje w moim wnętrzu, i szybko zmieniam temat:

– Dostałeś już teksty esemesów?

Przytakuje.

– Bonocore w czwartek napisał do Scarlett króciutko. „Przepraszam, coś mi wypadło. Do zobaczenia jutro rano”.

– Czyli ściągnął Scarlett do Florencji, a potem ją zostawił na lodzie. Dlaczego?

Zapala kolejnego papierosa i nalewa sobie whisky.

– Bo to taki typ człowieka. Zrozumiesz lepiej po esemesach z piątku rano. Po ósmej Scarlett pisze do Bonocorego: „Niemiała niespodzianka, pojawił się tu Pino”. I posłuchaj, co on odpowiada: „Spław go i znikaj z hotelu. Koło wieczora zadzwonię do ciebie z Rzymu”.

– Zdecydowanie niezbyt sympatyczny gość.

Balistreri przytakuje.

– Niesympatyczny, ale bardzo szczery. Nawet jeśli kobiety wolą miłych kłamców.

To zdanie jest obraźliwe, ale ostatnie, czego chcę, to rozpoczęcie osobistej dyskusji z Balistrerim. On jest jak tytoń, który pali, jak whisky, którą pije, jak bezsenne noce, które spędza na pokerze. Trucizną.

– Coś jeszcze o Scarlett?

– Siostry Steele bezwstydnie kłamią. Po wyjściu z hotelu Scarlett poszła na stację i o dziesiątej siedziała w pociągu do Rzymu. Monitoring na stacji jest wszędzie, została sfilmowana na Santa Maria Novella, a lokalizacja komórki potwierdza podróż.

– A w Rzymie?

– Ze stacji pojechała do domu na Zatybrzu i jej telefon cały czas był w zasięgu tamtejszej stacji przekaźnikowej. Pino wysyłał do niej esemesy i dzwonił, ale nie odbierała ani nie odpisywała.

– Chciała być wolna dla Bonocorego.

– W rzeczy samej. Dziesięć po ósmej dostała od niego esemes. „Przyjeżdżaj zaraz”. Zaraz potem zadzwoniła do Pina Ingrassii, według mnie po to, żeby odwołać wspólną kolację. Potem wezwała po taksówkę. I ślad jej komórki prowadzi do willi profesora.

– Jak długo się tam zatrzymała?

Patrzy na mnie.

– Nie wiemy.

– Ale komórka...

Balistreri gasi papierosa, opróżnia szklaneczkę z whisky.

– O ósmej trzydzieści wyłączyła komórkę.

– Nie wystarczy wyłączyć.

– Ale dziewczynka jest bystra, to Amerykanka, naoglądała się filmów

sensacyjnych.

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Wyjęła baterię?

– Tak się zdaje, skoro nie ma śladu do dziesiątej. Kiedy na nowo włącza się do sieci, jest w swoim mieszkaniu na Zatybrzu. Wysłała do Pina esemes. „Czekam na ciebie w domu”. Dalszą historię już znamy.

Czuję, jak serce bije mi szybciej. To, co odkrywa Bonocore, nie może być prawdą. Ale on mówi dalej:

– Taksówkarz potwierdził kurs z Zatybrza do willi państwa Bonocore, wysadził ją na placu przed willą około ósmej trzydzieści. Wszystko pasuje, pani prokurator.

Chwytam się ostatniej nadziei:

– Rozpoznał Scarlett Steele?

Balistreri się uśmiecha.

– To mężczyzna. Opisał ją ze wszystkimi szczegółami. Zielona sukieneczka, zielone tenisówki, zielone kolczyki. Nie znał jedynie koloru majtek. A teraz ją przyciśnijmy.

Nie mogę zaakceptować tego rozwiązania, nie ma mowy.

– To wszystko są dowody poszlakowe, Balistreri. Wiesz, że to nie wystarczy. Musimy znaleźć coś jeszcze, pewny dowód, że dziewczyna weszła do willi właśnie o tej godzinie. Musimy poczekać parę dni na szczegółowe raporty kryminalistyczne, dane z Rzymu i Florencji, i z sekcji zwłok.

Wstaje, wraca do okna, zapala kolejnego papierosa.

– Nie.

– Nie? A co byś chciał zrobić?

Nalewa sobie kolejną porcję whisky.

– Wiesz, co bym chciał. Śledztwo powinno się zamknąć przed świtem.

Kręci mi się w głowie. Zmęczenie, napięcie, zaskoczenie, ten dziki człowiek lekceważący zasady. Wstaję i podchodzę do niego.

– Z chęcią bym zapaliła.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Przecież nie palisz?

– Nie możesz tego wiedzieć. Zawsze opierasz się na poszlakach.

Podaje mi papierosa, zbliżam go do ust. Ileż to lat minęło.

Ale nie mogę. A już szczególnie razem z nim.

Zwracam mu papierosa, zanim mi go zdąży zapalić.

Użyj rozumu, Bianca. Swojej największej broni.

– No dobrze, Balistreri. Ale zrobimy to po mojemu. Ściągnij tu Scarlett Steele i Pina Ingrassię.

Uśmiecha się do mnie.

– A więc jednak płynie ci trochę krwi w żyłach, pani prokurator.

Płynie, Balistreri. I nie masz pojęcia jak wiele.

Scarlett Steele i Pino Ingrassia przychodzą do kwestury o piątej, trzymając się za ręce. On w T-shircie od Abercrombiego i markowych dżinsach, ona w czerwonym podkoszulku i białych szortach. Wyglądają na migdalącą się parę, podobną do innych. Tyle tylko że znajdują się w pomieszczeniach wydziału kryminalnego w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa.

Postanowiliśmy zacząć od Pina Ingrassii. Balistreri wzywa posterunkowego i każe odprowadzić Scarlett na inne piętro. Ingrassia siada w tym samym co poprzednio długim wąskim pomieszczeniu. Jest wyraźnie zdenerwowany, wyciąga papierosy.

– Tu się nie pali – przypomina mu Balistreri.

– Ale Scarlett mi powiedziała, że poprzednio sam ją pan poczęstował!

Balistreri wskazuje wywieszkę z napisem *Zakaz palenia*.

– Scarlett pana okłamała, i to zapewne nie po raz pierwszy.

Ingrassia patrzy na niego wyraźnie zdezorientowany. Nie wie, jak zrozumieć to zdanie. Odkłada papierosy, a ja zaczynam przesłuchanie.

– Panie Ingrassia, przejdę od razu do rzeczy. Dlaczego Scarlett nie wróciła razem z panem do Rzymu?

– Już wam powiedziałem. Miała spotkanie z siostrą i profesorem. Chciała pochodzić po florenckich muzeach.

– I pana zdaniem właśnie to robiła?

Po raz pierwszy zdaje się rozumieć ryzyko.

– Z tego, co wiem, tak. Ale nie było mnie tam.

– Słyszeliście się w ciągu dnia?

– Nie. Próbowałem się do niej dodzwonić, ale nie odbierała. W każdym razie powiedziała mi wcześniej, że zadzwoni do mnie wieczorem po powrocie do Rzymu.

– I zrobiła to?

– Tak, około dziesiątej wysłała mi esemes. Napisała, żebym do niej przyjechał.

– Stał pan pod domem, kiedy Nicole ją przywiozła?

Chwila wahania.

– Kiedy przyjechałem, Scarlett już tam była.

– A więc nie widział pan Nicole Bonocore?

– Nie, właśnie to powiedziałem!

– A później?

– Nicole zaprosiła ją na kolację do siebie. Scarlett przygotowywała się do wyjścia, była już prawie gotowa, kiedy zadzwoniła Nicole, prosząc, żebyśmy zaraz przyjechali do willi. Pojechaliśmy moim samochodem i na miejscu zastaliśmy policję. Resztę już znacie.

Chciałabym na tym skończyć. Patrę na Balistreriego. Właśnie zapala gitane'a. Potem patrzy na Ingrassię, który gapi się na niego z niedowierzaniem.

– Powiedział pan, że nie wrócił od razu z Florencji do Rzymu po pożegnaniu ze Scarlett. Pan też zrobił sobie spacer po centrum?

Nie wiem, czy onieśmieliło go pytanie Balistreriego, czy ten zapalony papieros, ale Ingrassia zastanawia się dłużej nad odpowiedzią.

– Mniej więcej... Parę minut, cieszyłem się, że znalazłem Scarlett samą, ale byłem niespokojny...

– Niespokojny z powodu? – pyta Balistreri.

W spojrzeniu chłopaka widać niezdecydowanie. Zdaje się jednocześnie onieśmielony i zafascynowany tym papierosem.

– Z powodu Scarlett – mówi w końcu. – Wolałbym, żeby wróciła ze mną do Rzymu.

Balistreri patrzy na mnie.

Kłamie. Coś ukrywa.

Ale cokolwiek przed nami ukrywa Pino Ingrassia, metodami Balistreriego nie możemy cisnąć go bardziej bez obecności adwokata. Na razie musimy zadowolić się jego wersją. Kończę przesłuchanie i każę mu podpisać protokół, zanim Balistreri zdąży zapytać o coś jeszcze.

Dochodzi szóstka. Wracamy do gabinetu Balistreriego, jak zawsze pogrążonego w półmroku, z okiennicami broniącymi światła dziennemu

dostępu do środka i małą lampką pod abażurem zapaloną na biurku. Po otwarciu okna Balistreri wyciąga kolejnego gitane'a.

– Pani prokurator, od tej chwili nie mogą wyjść z budynku. Ani Pino, ani Scarlett. Musimy zatrzymać ich w osobnych pomieszczeniach i wezwać panią Bonocore.

– Nie jesteśmy w Guantanamo, Balistreri.

– W Guantanamo już dawno by się przyznali. Musimy przyskrzynić ich jeszcze tej nocy.

Jestem przekonana, że do niczego nie dojdziemy, ale czuję się zbyt zmęczona, by dyskutować.

– Dobrze, Balistreri, wymyśl jakiś dobry pretekst i zatrzymaj ich. Którą z sióstr chcesz widzieć w pierwszej kolejności?

– Nicole.

Zamykam oczy. Wolałabym wyciągnąć się na wysłużonej skórzanej kanapie, wypalić papierosa, posłuchać muzyki Cohena i zasnąć. Zasnąć i nie myśleć o Luce, Nannim, siostrach Steele, Victorze Bonocorem, Francu Romerze. I o Michele Balistrerim. Ale nie mogę. To decydujący moment, dla śledztwa i dla mnie.

Po upływie trzech dni Nicole Bonocore sprawia inne wrażenie. W porównaniu do wieczoru morderstwa wygląda na bardziej świadomą siebie. Bardziej świadomą tego, co zaszło. Kiedy wchodzi do pokoju przesłuchań, jest szósta trzydzieści wieczorem. Wyciąga rękę do mnie, a potem do Balistreriego. Siada przed nami, ma czujne spojrzenie. Długie dłonie oparte o podłokietniki, złączone kolana, elegancki szary kostium.

Dziękuję za kawę, którą proponuje jej Balistreri, „tylko wody poproszę”. Na jej twarzy wypisane jest napięcie, nadzwyczajne zielone oczy otaczają ciemne obwódki. Możliwie najłagodniejszym tonem zaczynam przesłuchanie:

– Pani Bonocore, domyślam się, że wszystko to musi być dla pani bardzo trudne, ale musimy zrekonstruować ostatnie godziny życia pani męża.

Potakuje.

– Przepraszam za swoje wcześniejsze zachowanie, pani prokurator. Byłam roztrzęsiona, co nie zdarza mi się często. Boję się, że nie na wiele się wtedy państwu przydałam. Dziś jestem w lepszej dyspozycji.

– Dobrze. Zaczniemy od chwili, kiedy pani mąż wyjechał do Florencji w czwartek po południu, a skończymy na piątku wieczorem, kiedy znalazła pani ciało. Powiedziała nam pani, że Scarlett była we Florencji od czwartku wieczorem, tak samo jak pani mąż.

– Tak, oboje zatrzymali się w hotelu Central.

– Czy to nie jest nieco dziwne?

Potrząsa głową.

– Nie, dlaczego? Scarlett miała spotkać się z przyjaciółką. A Victor miał wykład na tamtejszym uniwersytecie. Co w tym złego?

Patrzę na nią. Odpowiada spokojnym spojrzeniem.

– Pani Bonocore, wiedziała pani, że Scarlett była w tym hotelu?

Moment wahania na jej twarzy. Potem oddycha głęboko i odzyskuje pewność siebie.

– Oczywiście. Powiedziałam siostrze, żeby pojechała do tego samego hotelu co mąż. Chciałam być spokojna, że nie narobi głupot gdzieś po drodze.

– Konsjerż powiedział nam, że przyszła pani do hotelu około dziewiątej i pytała, czy siostra w nim spała poprzedniej nocy.

– Nie pytałam, czy spała, to wiedziałam. Pytałam, czy jeszcze tam jest.

– Scarlett powiedziała nam, że spotkała się z panią i mężem o dziewiątej trzydzieści.

– Tak było. Potem przespacerowaliśmy się chwilę z Victorem, a Scarlett poszła gdzieś na cappuccino. Kiedy Victor udał się na uniwersytet, wróciłam poszukać Scarlett, myślałam, że jest w hotelowym barze. Ale tam jej nie było, chwilę później znalazłam ją w barze naprzeciwko.

Jest w tej kobiecie coś szczególnego, coś, czego w pewnej mierze jej zazdroszczę.

Umiejętność kłamania.

Spotykam wzrok Balistreriego. Wiem, o czym myśli.

Widziałaś?

Postanawiam zmienić temat, zanim Balistreri się wtrąci.

– Kiedy odkryła pani ciało męża, dzwoniła pani do kogoś przed zawiadomieniem policji?

– Tak, do siostry. Chciałam mieć ją przy sobie...

Dobiega mnie niski głos Balistreriego. Odległy, jakby pochodził z innego pomieszczenia:

– I co powiedziała pani siostrze?

Nicole patrzy na niego uważnie. Doskonale rozumie, że kłopoty może mieć z jego strony, nie z mojej.

– Byłam roztrzęsiona, nie pamiętam. Chyba coś takiego, że stało się nieszczęście i żeby natychmiast przyjechała do naszej willi.

– Tylko tyle? – upewnia się Balistreri.

Nicole przez moment wytrzymuje jego spojrzenie, potem przenosi je na mnie.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam, byłam wstrząśnięta. Scarlett zadawała mi pytania, ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chciałam, żeby przyjechała, ale nie chciałam też jej przestraszyć.

Balistreri ma rację. Cztery minuty rozmowy telefonicznej to bardzo dużo w takich okolicznościach. Nie mogę jednak naciskać bardziej.

– Kiedy była pani we Fiesole, rozmawiała pani z mężem telefonicznie? – pytam.

– Nie. Dzwonił do mnie około czwartej trzydzieści, ale nie czułam wibracji w telefonie i nie odebrałam.

– A potem?

– Niedługo potem weszłam do restauracji, żeby zapłacić.

– Poszła pani do toalety? – pyta Balistreri.

– Tak. Było mi gorąco, chciałam opłukać twarz i zostawiłam telefon na umywalce.

– Kiedy się pani zorientowała, że go nie ma?

– Nie od razu, jakąś godzinę później, już na autostradzie, kiedy wracałam ze Scarlett do Rzymu.

Balistreri też wie, że nie możemy kontynuować bez jej adwokata. Posyłam jej najbardziej uspokajający uśmiech, na jaki mnie stać.

– Teraz muszę przesłuchać pani siostrę, ale jeszcze będziemy potrzebowali pani pomocy. Proszę wrócić do hotelu, pani Bonocore. Będziemy panią informować na bieżąco.

Wstaje, w formalny sposób podaje mi rękę, uśmiecha się. To samo z Balistrerim. Tyle że bez uśmiechu.

Idę za Balistrerim do jego gabinetu. Za oknami nad dachami Rzymu zachodzi majowe słońce. Ognistoczerwone światło wpada do środka przez szczeliny w okiennicach, przedziera się przez zawieszinę papierosowego dymu w powietrzu i zatrzymuje na spękanej skórze kanapy. Jestem

wykończona, ale czuję się dobrze tutaj, w towarzystwie tego mężczyzny. Niczym w oazie spokoju pośrodku gorejącej wojny. A nie powinnam tak się czuć z bardzo wielu powodów, jeden lepszy od drugiego.

Siadam, Balistreri stoi przy oknie, które otworzył prosto na wspaniałą zachód słońca. Wyczuwam, że otworzył je dla mnie, a nie tylko po to, by wywietrzyć. Wie, o co mnie prosi, i wie, co o tym myślę. Wie, że przekraczanie reguł nie jest w moim stylu.

– Musimy zamknąć śledztwo tej nocy, pani prokurator. Zanim uzgodnią ze sobą wszystkie kłamstwa.

– Wciąż brak nam dowodów, Balistreri, i dobrze o tym wiesz. Jedno czy drugie kłamstwo nie wystarczy, by przekonać sędziego do skazania kogoś na trzydzieści lat więzienia.

– A więc wyciśnijmy ze Scarlett przyznanie się do winy, zanim sąd wyjdzie.

Patrzę na niego i kręcę głową.

– Nawet założywszy, że Scarlett jest winna, nie jesteśmy Świętą Inkwizycją. Nie mamy dowodów, a tym bardziej nie mamy narzędzia tortur, żeby ją zmusić do przyznania się.

Nalewa sobie kolejną porcję whisky.

– Narzędziem tortur jestem ja.

Patrzę w czarne oczy tego mężczyzny i nie mam żadnych wątpliwości.

Tak, Balistreri może być inkwizycyjnym narzędziem tortur, jednoosobowym Guantanamo, a nawet czymś gorszym. Pamiętaj o tym, Bianca, i nigdy nie zapomnij.

– Jesteś bardzo pewny siebie, Balistreri. A więc masz coś w zanadrzu. Chcę wiedzieć, co to jest, zanim podejmę decyzję.

Uśmiecha się.

– Lepiej, żebyś nic nie wiedziała. Jak coś pójdzie nie tak, wina będzie moja.

Patrzę na niego w milczeniu, słowa nie są potrzebne. W końcu kapituluje.

– No dobrze.

Podaje mi kartkę. To wstępny raport kryminalistyczny z oględzin hotelowego pokoju we Florencji, w którym nocował Bonocore.

– Na materacu są ślady spermy, w pokoju znaleziono długi włos blondynki i jasne włosy łonowe.

– No dobrze, Balistreri. A wiesz, ile jest blondynek wśród florenckich

prostytutek? A profesor nie był wybrednym typem.

Kręci głową.

– Kazałem porównać DNA tych włosów.

Patrzą na niego i nie rozumiem.

– Z czym? Nie możemy pobrać próbki DNA od Scarlett bez jej adwokata.

– Już mam jej DNA. Z pierwszego przesłuchania. Skoro tak jej zależało, żeby zapalić... Poprosiłem nieformalnie moich przyjaciół z laboratorium kryminalistycznego karabinierów, żeby to sprawdzili. Włosy należą do Scarlett Steele.

Gitane, którym ją poczęstował... Ten człowiek nie ma za grosz rozwagi, żadnego szacunku dla reguł. Jest skrajnie niebezpieczny. I jeszcze nie skończył.

– Kazałem moim ludziom odwiedzić sex shopy sprzedające kajdanki i supermarkety używające podobnych plastikowych worków. Kajdanki tego typu można dostać w sex shopie na Zatybrzu. Właściciel rozpoznał Scarlett Steele na fotografii i jest pewien, że miesiąc temu kupiła dwie pary kajdanek oraz niewielki wibrator z tworzywa. Nie miał wątpliwości, bo od tego czasu nie kupowała u niego żadna inna kobieta. Kiedy przeszukamy kawalerkę Scarlett Steele, zobaczysz, że kajdanek nie znajdziemy. Bo zostały na rękach Victora Bonocorego.

Nie komentuję, Balistreri ciągnie:

– A foliowa torebka ma logo sieci sklepów spożywczych, jeden z nich jest blisko mieszkania Scarlett.

Próbuję wstać, brak mi powietrza. Nogi jednak odmawiają mi posłuszeństwa, opadam z powrotem na kanapę.

– Co ci się dzieje, pani prokurator? – pyta Balistreri.

Przez moment korci mnie, by wyrzucić to z siebie, opowiedzieć wszystko i dać się pocieszyć temu człowiekowi. Może to jedyna osoba na świecie zdolna zrozumieć. Ale nie mogę. Lepiej czuć się samotną, niż wyjść z własnego świata.

– Nic mi się nie dzieje, Balistreri.

Jego spojrzenie zdaje się mówić: „Szkoda”. Zapala kolejnego gitane’a, a ja wstaję i dołączam do niego pod oknem. Nie muszę prosić, sam podaje mi już zapalonego papierosa. Zaciągam się raz, potem mu go oddaję.

– Jeszcze ci wróci ta przywara, pani prokurator.

- Nie sądziłam, że palenie nazwiesz przywarą.
- Nie nazwę. Użyłem terminu, pod którym ty rozumiesz życie.

Po raz pierwszy mówi mi coś tak osobistego i nie ma w jego głosie ani oskarżenia, ani ironii. Raczej sprawia wrażenie, że jest mu mnie żal. Czuję jego zapach, tę mieszankę alkoholu i tytoniu, i jednocześnie patrzę na zapadający zmrok, na dachy, kościoły, zapalające się światła. Przy wszystkich problemach, które mam, w jakiś absurdalny sposób wybiło mnie z równowagi to jedno zaciągnięcie się papierosem. Chciałabym o nim zapomnieć, ale to niemożliwe. Pozostaje we mnie, w mojej głowie. Przypomina mi, że wszystko się zmienia.

Zbieram siły. Odwracam się i patrzę na niego.

- Co chcesz zrobić?
- Jesteś zbyt zmęczona, pani prokurator. A Scarlett jest jeszcze świeża. Dlatego mój plan jest bardzo prosty: ty tu zostań i odpocznij, a w tym czasie ja i moi ludzie ją zmęczymy. Kiedy będzie gotowa, wezwę cię i zamkniemy sprawę.

Balistreri idzie zająć się Scarlett, a ja zostaję w jego gabinecie. Włączam komórkę. Sześć nieodebranych połączeń od Nanniego. Od razu myślę o Luce i ogarnia mnie niepokój. Oddzwaniem z sercem podchodzącym do gardła, Nanni odbiera od razu.

- Stało się coś Luce?
- Luca ma się dobrze. Chciałem się czegoś dowiedzieć o sprawie Bonocorego.

Opanowuje mnie atak wściekłego gniewu.

- Jak możesz? Zrozumiesz wreszcie, że to tajemnica śledztwa?
 - Powiedziałem ci, Bianca, żebyś uważała i nie robiła kolejnych głupstw.
- Bez słowa kończę rozmowę i wyłączam telefon. Rzucam się na kanapę Balistreriego, a ostatnie zdanie Nanniego odbija się echem w mojej głowie. Kolejna z przeklętych myśli, których nie można odgonić samą siłą woli. Jest ich już za wiele, nawet dla mnie.

Kiedy Balistreri mnie wzywa, śpię na jego kanapie. Patrzę z niedowierzaniem na zegarek. Jest prawie pierwsza w nocy, maltretował Scarlett i Pina przez

ponad trzy godziny.

W toalecie obmywam twarz i dołączam do niego. Podchodzę do szyby z widokiem na pokój przesłuchań. Scarlett Steele właśnie zjada kawałek pizzy. W wąskim długim pomieszczeniu znajduje się aż trzech policjantów, sami mężczyźni. I po raz pierwszy Scarlett wydaje się mniej pewna siebie niż zazwyczaj.

– O co pytaliście ją przez trzy godziny?

Balistreri wzrusza ramionami.

– Cały czas o to samo. Ale pytania zadawali różni policjanci w różny sposób. To samo z Pinem w innym pokoju.

– A Nicole?

– W swoim hotelu. Ale jest jedna nowość. Pino Ingrassia odwiedził ją, zanim przyszedł do nas. Tylko na kilka minut, żeby dopiąć szczegóły.

Przez moment czuję się zaskoczona.

Jak może być tak nieostrożny?

Potem patrzę przez szkło fenickie.

– Naprawdę potrzebne jest takie nagromadzenie testosteronu w tym pokoju? Trzech policjantów, sami faceci?

– To część narzędzi tortur inkwizycyjnych, pani prokurator. Spokojnie. Przed świtem dostaniesz przyznanie się do winy, które zamknie śledztwo.

Znalazłam się w pędzącym pociągu i nie mogę już wyskoczyć w biegu.

Noc z poniedziałku na wtorek, 21/22 maja 2001

Bianca

Wchodzę do dusznego pomieszczenia. Przez okienko w głębi widać dziedziniec z zaparkowanymi policyjnymi samochodami. Scarlett siedzi przy tym samym stole co zwykle. Siadamy z Balistrerim naprzeciwko niej. Z boku zajmuje miejsce protokolant, pozostałych pięciu policjantów stoi. Jest zbyt gorąco i duszno.

Spojrzenie Scarlett spotyka się z moim. Jest znacznie mniej zuchwałe i wesołe, to spojrzenie zmęczone i pytające. Może szuka wsparcia od kobiety, od matki. Może myśli, że jestem tym dobrym policjantem, który uwolni ją od tych wszystkich złych mężczyzn.

– Jest pani zmęczona, panno Steele?

Kiwa głową.

– Chciałabym już iść do domu.

– Rozumiem panią, ale niestety jest nam pani jeszcze potrzebna. Musimy kontynuować, dopóki nie wyjaśnimy pewnych spraw. Ale jeśli naprawdę nam pani pomoże, skończymy szybciej.

Dwuznaczne zdanie dające obietnicę, choć także wystarczająco jasno grożące. Nalewam jej do szklanki wodę z butelki. Podsuwam w jej stronę, a ona mówi: *Thank you*. Teraz wygląda na osobę, którą naprawdę jest. Na dwudziestolatka z innego kraju, daleko od domu, otoczoną agresywnymi policjantami. Arogancja i zaczepność zaczyna się kruszyć.

– Panno Steele, mówią mi tutaj, że potwierdziła pani w każdym punkcie swoje wcześniejsze zeznanie.

Groźba: „Wciąż nas pani okłamuje”, zawiera się w moim łagodnym, ale niezadowolonym tonie. Scarlett to wyczuwa, narzeka do mnie na Balistreriego i jego ludzi.

– Całymi godzinami pytali mnie, gdzie byłam, z kim, o moją komórkę, mojego chłopaka, moją siostrę. Tysiąc razy zadawali mi te same pytania. Co mam wam jeszcze powiedzieć?

– Prawdę. A potem może pani iść do domu.

Kręci głową.

– Jestem taka zmęczona. Co chce pani jeszcze wiedzieć?

Patrzę na Balistreriego. Odtąd już jego kolej. A on zaczyna:

– Wróćmy do początku. Jakie były pani relacje z profesorem Bonocorem?

Przez chwilę wygląda, jakby chciała się zbuntować. Pytali już ją o to wiele razy. Potem prawdopodobnie myśli, że jeśli mnie zadowoli, odeśle ją do domu.

– Poznałam go w Ameryce. Był mężem mojej siostry.

– Miała pani z nim relacje seksualne już w Ameryce?

Scarlett wybucha złością.

– To nie pana sprawa. Co to ma do rzeczy?

– W takim razie zadam pani pytanie bardziej precyzyjne i usprawiedliwione. Czy odbyła pani stosunek seksualny z profesorem w nocy z czwartku siedemnastego na piątek osiemnastego maja w hotelu Central we Florencji?

– Już wam powiedziałam, że się nie widzieliśmy.

– W pokoju hotelowym zajmowanym przez profesora znaleźliśmy włos blondynki. Wykonamy test DNA, który wykaże, że to pani włos.

– Nie postawiłam nogi w jego pokoju. Nie uprawiałam z nim seksu we Florencji.

– Dobrze, idźmy dalej. Co pani robiła w piątek rano?

Parska.

– Znów? Zwiedzałam Florencję z siostrą. Mówiłam to już tysiąc razy.

– Panno Steele, monitoring na dworcu Santa Maria Novella zarejestrował, jak wsiada pani do pociągu do Rzymu o dziesiątej rano.

Teraz Scarlett się waha i blednie.

– Pewnie ktoś do mnie podobny.

Balistreri odzywa się ciężkim, wulgarnym tonem:

– W takiej samej żółtej minisukience? To byłoby trudne.

Słyszę za sobą tłumiony śmiech policjantów.

– To prawda, wróciłam do Rzymu. Ale Victor był we Florencji.

– A pani dokąd poszła?

– Najpierw do mojego mieszkania. Chciałam wziąć prysznic. Potem poszłam do Pierre'a.

– Kim jest Pierre?

– Pierre Livingstone jest właścicielem pubu Food and Drink na Zatybrzu, niedaleko mojego mieszkania. Pub popołudniami jest zamknięty, ale Pierre'a zawsze można tam zastać.

– A dlaczego pani tam poszła?

– Żeby go przekonać, by przyjął mnie z powrotem po tym, jak mnie zwolnił.

– I znalazła pani sposób, by go przekonać do zmiany decyzji?

Ton i dobór słów są świadomie dwuznaczne. Ona to wyczuwa.

– Nie spałam z nim. Pierre to przyjaciel.

– A co robiliście?

– Rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki, paliliśmy. Zostałam tam do ósmej wieczorem, kiedy Pierre otwiera pub.

– Co paliliście?

– To, co uważałam za stosowne.

– Znamy treść pani esemesów, panno Steele. O ósmej dziesięć profesor Bonocore wezwał panią do swojej willi. A pani co zrobiła?

Scarlett patrzy na mnie wyraźnie już przestraszona. Nic nie odpowiada, a Balistreri kontynuuje:

– Ja to pani powiem, i tak mamy billingi i świadków. Zatelefonowała pani do Pina Ingrassii, żeby odwołać z nim kolację, a potem wezwała pani taksówkę. Taksówkarz panią rozpoznał i potwierdził, że zawiózł panią z Zatybrza do willi profesora. Wysadził panią na placu przed domem około ósmej trzydzieści.

– Nie weszłam do środka.

Balistreri wali pięścią w stół. Gra, ale i tak to jest przerażające.

– Wyłączyła pani telefon, panno Steele. Ma nas pani wszystkich za kretynów?

Scarlett próbuje się jeszcze usprawiedliwić:

– Często wyłączam telefon.

– I wyciąga pani baterię?

– Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, gdzie jestem. Przez te cholerne komórki wszyscy zawsze wiedzą, gdzie jesteś. Nie lubię tego.

Balistreri wraca do tego lubieżnego tonu, od którego robi mi się niedobrze.

– A co pani lubi, panno Steele? Może pewne instrumenty używane podczas stosunków seksualnych?

Zostały w niej jeszcze resztki buntowniczego ducha.

– Chciałby pan wiedzieć, prawda? Jeśli dostanę papierosa, opowiem panu.

– Dziś nie będzie żadnego palenia, panno Steele. A więc? Co pani lubi najbardziej? Kajdanki, więzy, wibratory?

Teraz Scarlett patrzy na niego z nienawiścią.

– Wyobraża sobie pan rzeczy, których nie lubię.

– Nie lubi pani kajdanek?

– To moja sprawa.

– Zna pani sex shop, który się nazywa Tylko dla Ciebie?

Scarlett się irytuje.

– A co to ma wspólnego...

– Była tam pani kiedyś na zakupach?

Waha się. Nie znajduje lepszego rozwiązania, niż powiedzieć półprawdę:

– Może kupiłam tam to i owo dla rozrywki z Pinem.

– Kupiła pani dwie pary kajdanek, zanim jeszcze zeszliście się z Pinem. I mały wibrator.

Paru agentów parska śmiechem, a ja odwracam się do ściany. Nie potrafię patrzeć na Scarlett ani na nikogo. Nie sądziłam, że Balistreri posunie się aż tak daleko. Nie sądziłam, że ja aż tak daleko się posunę. Scarlett nie odpowiada, a Balistreri kontynuuje:

– Profesor został unieruchomiony na łóżku kajdankami identycznymi jak te, które kupiła pani w tamtym sklepie. Ma je pani jeszcze w mieszkaniu?

Scarlett chwieje się pod ciosem. Teraz nie ma już w sobie za grosz seksapilu. Jest tylko zwykłą dziewczynką, zmęczoną, zagubioną, przestraszoną i daleko od swojego kraju. A Balistreri nie wystrzelał się jeszcze z amunicji.

– Chodzi pani do marketów na zakupy?

Scarlett patrzy na niego, nie rozumiejąc. Za wiele godzin, za dużo stresu, zbyt wiele różnych wątków w rozmowie. Balistreri robi wszystko, by ją skołować.

– Foliowej torby, za pomocą której został uduszony profesor Bonocore, używają w markecie, gdzie robi pani zakupy, niedaleko pani mieszkania na Zatybrzu. Sądzę, że znajdziemy ślady pani linii papilarnych i DNA zarówno na kajdankach, jak i na worku.

Scarlett siedzi oniemiała. Gdyby towarzyszył jej adwokat albo gdyby nie

była taką niedoświadczoną dwudziestolatką, przesłuchanie właśnie by się zakończyło. A jutro powiedziałyby, że w nocy była skołowana, i zostałyby nam w ręku liczne dowody, ale wyłącznie poszlakowe, niewystarczające do uzyskania wyroku skazującego w tak gwarantystycznym kraju jak Włochy. Scarlett nie wie, że DNA oraz odciski linii papilarnych nie mają daty i że trzeba miesięcy, by uzyskać opinię biegłego, która zresztą niczego by nie udowodniła, bo jest oczywiste, że ona i Pino bywali często w domu profesora. Dobry adwokat wysunąłby argument, że to oni sami używali kajdanek i plastikowego worka w swoich erotycznych zabawach, zanim ktoś je zabrał z jej domu. Ale Scarlett jest sama w świecie obcym i niespodziewanie dla niej wrogim. I ma przeciwko sobie najgorszego policjanta, jaki istnieje. Oraz prokurator, która nie wie, jak go powstrzymać.

Balistreri wstaje i zbliża się do niej.

– Wyjaśni nam pani, dlaczego wymyśliłyście z siostrą tę historię o wspólnym zwiedzaniu Florencji?

Potrząsa głową, patrzy na mnie w poszukiwaniu wsparcia, ale go nie znajduje. Milczy, a Balistreri mówi dalej, cicho, parę centymetrów od jej twarzy:

– Ja pani powiem, panno Steele. Załatwiła to pani siostra Nicole w ciągu czterech minut waszej rozmowy po tym, jak odkryła zwłoki męża. Żeby dostarczyć pani alibi. Ponieważ w ciągu tych czterech minut przyznała się pani, że spała z jej mężem we Florencji i że o ósmej trzydzieści przyjechała do niego do willi, i że go zabiła.

Scarlett z wolna podnosi głowę. Ma twarz bladą jak kreda. Drży jej głos.

– Nie, to nieprawda...

– Powiem pani, jak to było. Profesor nie chciał nawet zjeść z panią kolacji we Florencji, ale kiedy wrócił do hotelu, zadzwonił do pani z telefonu wewnętrznego jak do pierwszej lepszej dziwki. Zafundowaliście sobie niezłe ciupcianie, profesor jednak nie zamierzał dzielić się niczym więcej, więc zaraz potem odesłał panią do swojego pokoju. Na szczęście, bo rano pojawił się narzeczony, o czym natychmiast powiadomiła pani profesora. On kazał pani spływać, czytaliśmy esemesy. Pod wieczór znów się z panią skontaktował, jakby była pani ostatnią ładacznicą. Pojechała pani do jego willi i obsłużyła go z kajdankami i workiem. A potem zacisnęła pani wiązanie worka. Żeby zrewanżować mu się za doznane upokorzenie. To była zemsta za to, jak panią traktował, czy tylko wypadek przy zabawie z

kajdankami i workiem na głowie?

Balistreri zbliża się jeszcze bardziej. Czuję, jak serce gwałtownie bije mi w piersi. Scarlett zasłania twarz rękoma, słyszę, jak szlocha.

– Nie weszłam do willi. Nie poszłam do Victora...

Balistreri zamierza się, jakby chciał ją spoliczkować. Ręka zatrzymuje się centymetr od twarzy, dziewczyna nie przestaje szlochać. Patrzę na Balistreriego, zrezygnowana kręcę głową. Nie przebijemy się. Zamierzam wstać i powstrzymać go, nie udało się nam, musimy teraz odpuścić, przerwać te tortury. Wtedy on chwyta podbródek zapłakanej dziewczyny i zmusza ją, by patrzyła mu prosto w oczy.

Teraz mówi z szyderstwem w głosie:

– Twoja siostra już się przyznała, że zapewniła ci fałszywe alibi, ona doskonale wie, że to byłeś ty!

Scarlett spogląda na mnie oszołomiona. Zagubiona. Przerazona. Ale ja jestem jeszcze bardziej przerażona. Patrzę na Balistreriego, który unika mojego spojrzenia. Wbija wzrok w jasne oczy Scarlett.

– Nicole przyznała, że ustaliłyście alibi w ciągu tych czterech minut rozmowy. Dość tych pierdół, panienko, mów prawdę.

Scarlett jest przerażona, chowa twarz w dłoniach. Balistreri spogląda na mnie. Teraz moja kolej, czas na dobrego glinę. Mówię spokojnie i wyrozumiale. Głosem matki, której Scarlett nie ma:

– Scarlett. Pewnie ty i Pierre wypaliliście za dużo trawki.

Pierwszy raz mówię do niej po imieniu. Mija parę sekund ciszy. Potem Scarlett Steele odzywa się słabym głosem, głosem jak z innego świata:

– Rzeczywiście po spotkaniu z Pierrem byłam upalona... nie pamiętam dobrze...

Mówię do niej łagodnie:

– Scarlett, wiesz, co się stało. Bonocore wysłał ci esemes, czekał na ciebie. To był ostrożny człowiek, zafiksowany na punkcie bezpieczeństwa. Tylko tobie otworzyłby drzwi. I tylko tobie pozwoliłby się przykuć do łóżka. Może ta foliowa torebka na głowie była po prostu zabawą, która się źle skończyła.

Scarlett kręci głową. Mówi cicho, przez łyżę:

– Powiedziałałam Pierre'owi, że Victor mnie źle traktował... Poprosiłam, żeby ze mną tam pojechał... żeby mi pomógł.

Balistreri nie czekał na nic innego.

– To Pierre wyciął słowo PIG i zacisnął sznurówkę na reklamówce?

Przez długą chwilę słychać jedynie szloch Scarlett Steele. A potem słyszymy to jedno jedyne słowo, na które czyhaliśmy przez całą noc:

– Tak. Ale nie chcieliśmy, żeby zginął, chcieliśmy go tylko przestraszyć.

To nam wystarczy. Mnie wystarczy. Nie chcę drażnić dalej. Zwracam się ciepło do Scarlett:

– Dobrze, Scarlett. A teraz musisz podpisać protokół.

Patrzy na mnie. Nie przypomina już ani trochę tej kretynki stojącej obok mojego męża na uniwersytecie niewiele dni temu.

– Potem będę mogła iść do domu?

– Najpierw odpoczniesz trochę. A teraz podpisz protokół.

Podpisuje, wstajemy. Ona zostaje na krześle z twarzą w rękach, pogrążona w myślach. Potem zwraca się do mnie:

– Dacie mi długopis i papier? Chcę coś napisać, w swoim języku.

Teraz zdaje się znacznie młodsza niż w rzeczywistości. Zgadzam się gestem i mówię policjantom, by zostawili ją samą. Kiedy idziemy do wyjścia, uginają się pode mną nogi, ale Balistreri chwytą mnie pod łokieć i towarzyszy mi na zewnątrz.

Kiedy Scarlett nas wzywa, jest prawie piąta i na zewnątrz już świta. Oddaje nam blok z kartkami i znów zostawiamy ją w pokoju przesłuchań. Tekst zajmuje niewiele ponad stronę, napisany jest po angielsku, niepewnym charakterem pisma. Balistreri czyta i tłumaczy na głos:

Jestem bardzo zmęczona i skołowana. Teraz nie jestem już niczego pewna, a sama dość narobiłam zamieszania, przepraszam. To, co tu napiszę, to wszystko, co pamiętam. We Florencji Victor potraktował mnie bardzo źle. Wróciłam do Rzymu i poszłam do domu, gdzie się przebrałam, włożyłam zieloną sukienkę, bo wiedziałam, że po mnie jeszcze zadzwoni. I poszłam do Food and Drink do Pierre'a. Za dużo wypiliśmy, upaliliśmy się ziołem. Potem Victor wysłał mi esemes: Przyjeżdżaj zaraz. Tak jak do dziwki. Pokazałam go Pierre'owi, opowiedziałam mu wszystko i poprosiłam, żeby mi pomógł dać tej świni nauczki. On trochę się we mnie buja, więc się zgodził. Ja pojechałam taksówką, a Pierre za mną swoim samochodem. Kiedy Victor mi otworzył, weszliśmy, zamknęłam drzwi i Pierre został w salonie na dole. Ja weszłam na piętro. Założyłam Victorowi kajdanki i worek na głowę i

zrobiłam mu loda. Potem na górę przyszedł Pierre i reszty już nie pamiętam zbyt dobrze. Miał go tylko pobić. Widzę siebie obok łóżka, kiedy Pierre zaciska worek na głowie Victora, by go przestraszyć. Potem szybko uciekliśmy. Pierre zawiózł mnie z powrotem na Zatybrze, a ja włączyłam komórkę i wysłałam esemes do Pina. Przyszedł do mnie do domu. Później zadzwoniła do mnie Nicole. Była bardzo poruszona, powiedziała, że wie, że byłam we Florencji z Victorem, i zapytała, czy byłam później w willi. Powiedziałam jej, że tak, ale że nawet nie weszłam do środka. Nie uwierzyła mi. Była przerażona, kazała mi powiedzieć, że byłam z nią cały dzień we Florencji, i wyjaśniła dokładnie, co mówić. To wszystko, myślę, że taka jest prawda.

Zdobyłam przyznanie się do winy i straciłam wiele innych rzeczy.

– Balistreri, każ zabrać Scarlett gdzieś, gdzie będzie mogła coś zjeść i odpocząć. Z jedną policjantką. Zgoda? I każ aresztować Pierre’a Livingstone’a. I niech będzie z adwokatem.

Balistreri nie odpowiada, ale podnosi słuchawkę telefonu i wydaje dyspozycje zgodne z tym, co poleciłam. Świta. Dwanaście godzin temu patrzyliśmy przez to samo okno na zachód słońca, a potem podeptaliśmy prawa Scarlett Steele.

Teraz myślę o Luce, moim synu. Prawdziwie niewinnym.

Jego prawa są znacznie ważniejsze od tych, które przysługują Scarlett Steele.

Niedługo później Pierre Livingstone na oczach żony i pięcioletniego syna zostaje zabrany z domu i przywieziony do wydziału kryminalnego. Wraz z nim pojawia się jego kolega adwokat, do którego zadzwonił jeszcze z domu. Wiem, że znajdujemy się na polu minowym, i sama zaczynam przesłuchanie.

– Panie Livingstone, zna pan pannę Scarlett Steele, prawda?

– Tak, oczywiście. Pracowała wieczorami w moim lokalu Food and Drink.

– Już tam nie pracuje?

Wykonuje niejasny gest.

– Jeszcze nie wiem, muszę zdecydować. Jest bardzo dziwna, przyciąga męskich klientów, ale irytuje ich towarzyski. A w jakiej sprawie tu jestem?

– Dojdziemy do tego, panie Livingstone. Kiedy pan widział Scarlet Steele po raz ostatni?

Zastanawia się tylko chwilę.

– W piątek po południu. Przyszła do Food and Drink około czwartej. Scarlett wie, że lokal o tej porze jest zamknięty, ale ja siedzę w środku, sprawdzam rachunki i inne rzeczy.

– Dobrze. Czego chciała od pana?

Wzrusza ramionami.

– Niczego szczególnego. Chciała mnie przekonać, żebym przyjął ją z powrotem do pracy. I chciała się napić i zapalić za darmo.

– Zapalić? Trawkę?

Patrzy na mnie wściekłym wzrokiem.

– I z powodu jakiegoś skręta zabieracie mnie z domu przy żonie i synu?

Adwokat kładzie mu dłoń na ramieniu. Ma dość doświadczenia, by wiedzieć, że nie może chodzić tylko o to.

– O co dokładnie jest oskarżony mój klient? – pyta mnie.

– O spowodowanie śmierci profesora Bonocorego – wtrąca się Balistreri.

– Co? – krzyczy Livingstone. – Powariowaliście?

– Jak długo została u pana Scarlett Steele w piątek po południu? – pytam.

– Dokładnie nie wiem, jakieś trzy, może cztery godziny. Ale nie dłużej niż do ósmej trzydzieści, bo kiedy przyszli kelnerzy, jej już nie było.

– Kto otworzył kelnerom?

Patrzy na mnie zaskoczony.

– Ja, a kto inny?

– Był tam pan?

– Oczywiście, że byłem, wieczorami nie ruszam się z lokalu, nie ufam kelnerom.

– A w piątek wieczorem nie spotkał się pan ze Scarlett Steele w jakimś innym miejscu?

Zdziwienie we wzroku.

– W piątek i sobotę nie opuszczam lokalu, wtedy jest najwięcej klientów. Nie, nie ruszyłem się stamtąd.

Wtrąca się adwokat:

– Jak się domyślam, będziecie chcieli to sprawdzić. Możesz podać pani prokurator nazwiska swoich kelnerów i ich numery telefonów?

Livingstone potakuje.

– Oczywiście. Poza tym tamtego wieczoru były urodziny mojego przyjaciela, świętował w Food and Drink. Możecie zadzwonić także do niego i do wszystkich zaproszonych.

Niedługo potem, gęsto się tłumacząc i przepraszając, żegnamy się z Pierre'em Livingstone'em. Balistreri kręci się po swoim gabinecie, gdzie się schroniliśmy.

– Scarlett zrobiła wszystko sama. Mamy jej przyznanie się do winy napisane po angielsku i protokół, to wystarczy. Powiem, że aresztowanie Livingstone'a to był wyłącznie mój pomysł i że nie masz z tym nic wspólnego.

– Nie ma mowy. Ale dzięki, Balistreri. To miłe z twojej strony. Z Abbiatim jednak ja to załatwię. Przygotuję wniosek o aresztowanie Scarlett Steele.

Balistreri kręci głową.

– Najpierw musimy jeszcze przyskrzytnić panią Bonocore za składanie fałszywych zeznań.

Zamykam oczy i kiedy kiwam potakująco głową, próbuję o niczym nie myśleć.

Nicole Steele przychodzi sama. Rude włosy upięła w kok podtrzymywany spinką. Ma na sobie inny zakiet, również bardzo elegancki.

– Czy coś się stało? – pyta mnie natychmiast po zajęciu miejsca na krześle. – Scarlett...

Przerywam jej. Teraz to bezwzględnie ja muszę prowadzić przesłuchanie, nie Balistreri.

– Pani Bonocore, tymczasem będzie pani przesłuchiwana w charakterze świadka. Ale muszę panią uprzedzić, że sytuacja może się zmienić w trakcie przesłuchania, więc jeśli pani chce, może wezwać adwokata, zanim zaczniemy. Jeśli nie ma pani adwokata we Włoszech, może pani zadzwonić do ambasady swojego kraju, szybko go pani znajdą.

Patrzy na mnie, jakby nie rozumiała.

– Ale dlaczego? Oskarżacie mnie o coś?

– Na razie nie. Ale może tak się zdarzyć.

Oddycha głęboko, jakby chciała zebrać siły.

– A więc póki mnie o nic nie oskarżacie, nie potrzebuję adwokata.

– Pani Bonocore, zadam pani pytanie, ale jeśli pani nie chce, nie musi odpowiadać. I może pani poprosić o pomoc prawną.

Kiwa głową.

– Dobrze. Jestem gotowa.

Mówię, nie patrząc jej w oczy:

– Pani siostra Scarlett zeznała, że nie towarzyszyła pani ani we Florencji, ani nad morzem na drinku. Mogę wiedzieć, dlaczego nas pani okłamała?

Absolutne milczenie. Po paru sekundach podnoszę wzrok na Nicole Steele Bonocore.

– Chce pani adwokata?

Wspaniałe zielone oczy patrzą na mnie.

– Jeszcze nie.

Czuję, jak narasta we mnie niepokój.

Dlaczego się opiera? Dlaczego nie mówi, że kłamała, by zapewnić Scarlett alibi?

Balistreriemu wystarczy ta pauza. Jego pytanie ma siłę grzmotu:

– Pani siostra przyznała, że przyjechała do państwa willi o ósmej trzydziści. Pani tam również była?

Pali mnie w żołądku, kiedy spojrzenie Nicole wędruje w stronę Balistreriego. To bardzo inteligentna młoda kobieta. Od początku wie, że to on jest prawdziwym zagrożeniem. Jej głos jest spokojny, ton uprzejmy.

– Kiedy zatelefonowałam do Scarlett, zanim zawiadomiłam policję, zasugerowałam jej, by powiedziała, że byliśmy razem we Florencji, a potem we Fregene na drinku.

Balistreri jest niewzruszony.

– To już wiemy, chciała pani zapewnić alibi swojej siostrze.

Nicole kręci głową.

– Nie. Scarlett przyjechała do willi, zadzwoniła, ale nikt jej nie otworzył. Wróciła więc do swojego mieszkania na Zatybrzu.

Balistreri niemal ją atakuje:

– Scarlett opowiedziała pani te bajeczki w ciągu czterech minut przez telefon? I uwierzyła jej pani?

Piękne zielone oczy wracają do mnie. Absolutnie spokojna Nicole obdarza mnie uśmiechem. Potem patrzy na Balistreriego.

– Tak, *dottor* Balistreri. Uwierzyłam jej, bo byłam w domu, kiedy Scarlett dzwoniła do drzwi. Wróciłam na krótko przed nią. Później przez te

cztery minuty uzgodniłyśmy wspólną wersję o Florencji. Dokładnie tak, jak pan twierdzi, *dottor* Balistreri.

Brakuje mi powietrza, czuję, jak nogi drżą mi pod stołem. Nicole patrzy mi prosto w oczy.

– Alibi było potrzebne mnie, nie Scarlett. To ja zabiłam Victora.

Teraz już wyraźnie słyszę tę gigantyczną falę, której pomogłam powstać. Słyszę, jak nadpływa na moje spokojne życie.

Bo życia nie da się do końca zaplanować, Bianca. Nawet ty tego nie możesz.

Pół godziny później Nicole Steele Bonocore podpisuje szczegółowe zeznanie. Mąż ją zdradzał i bił, zmuszał do poniżających praktyk seksualnych. Kajdanki i plastikowy worek należały do Victora. W tamten piątek rano, zżerana niepewnością, pojechała do Florencji i odkryła, że zdradzał ją nawet ze Scarlett. Błąkała się godzinami po centrum Florencji, była w Galerii Uffizi i we Fiesole, by przetrwać złość i się uspokoić. Potem, pod wieczór, wróciła do Rzymu, do willi, gdzie pojawiła się około ósmej trzydzieści. Mąż był w domu. Zbierała się na odwagę, by się z nim skonfrontować, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Mąż powiedział jej, by nie otwierała, ona zbliżyła się do okna i zobaczyła Scarlett. Siostra po chwili sobie poszła. Później oskarżyła męża o zdradę, wyśmiał ją jednak i zaciągnął do łóżka. „Jesteś taka dobra jak Scarlett, Nicole? To teraz się zabawimy”. Nie wiedząc dobrze, jak zareagować, poddała się. Zakuła go w kajdanki, założyła mu plastikowy worek na głowę, zaspokoila go. Jednak potem Victor powiedział jej, że Scarlett była znacznie lepsza, wtedy wpadła w furję, wycięła mu słowo PIG na brzuchu i zacisnęła worek, by go przestraszyć. Ale z braku doświadczenia zacisnęła za mocno. W tym momencie w domu padł prąd. Przerazona pobiegła do swojego samochodu i oddaliła się od willi. Z mostu na Tybrze wyrzuciła do wody nóż do papieru, którym wycięła napis na brzuchu męża. Wróciła krótko przed dziesiątą trzydzieści, zadzwoniła do siostry, uzgodniła z nią alibi i powiadomiła policję.

Ta wersja wydarzeń na nowo wszystko podważyła. Wszystko, co zrobiłam, począwszy od sprawy Franca Romera, już nie wystarczy.

Wtorek, 22 maja 2001

Bianca

Podpisuję wniosek o aresztowanie Nicole Steele, podczas gdy Balistreri pali przy oknie otwartym na powitanie nowego dnia. Jest niespokojny i rozczarowany. Chciał mieć jedno przyznanie się do winy, dostał dwa.

– Balistreri, przy takich wątpliwościach zażądam także aresztowania Scarlett. Będzie musiała odpowiedzieć przynajmniej za fałszywe oskarżenie Pierre'a Livingstone'a, nawet gdy postanowimy dać wiarę samooskarżeniu Nicole.

Przytakuje.

– A jeśli damy wiarę Scalett, Nicole będzie musiała odpowiedzieć za utrudnianie śledztwa.

Balistreri jest niezadowolony. Nie przewidział dwóch samooskarżeń. Zwłaszcza ze strony Nicole.

– Powinnaś jeszcze kazać aresztować Ingrassię. Przynajmniej za fałszywe zeznania. Na wolności mógłby mataczyć.

Mam już dość kłopotów i nie chcę dodawać sobie kolejnych, idąc za pomysłami tego człowieka.

– Nie mamy aż tyle na niego. Ale podpiszę ci nakaz rewizji jego mieszkania i mieszkania Scarlett.

Teraz muszę powiadomić Abbiatego, odpocząć, wpaść do domu, wziąć prysznic i się przebrać. I oddalić się od Balistreriego.

Wychodzę z wydziału kryminalnego i dzwonię do szefa ze służbowej komórki. Informuję go o wynikach. Reaguje mieszaniną euforii i zatroskania.

– Dobrze, Bianca. Zobaczmy się w prokuraturze za godzinę.

Idąc po schodach do domu, otwierając drzwi do pustki, czuję rozziewające pragnienie, by zobaczyć Nanniego i Lucę w kuchni przy śniadaniu. Tak jak zawsze do niedawna.

Tylko że ten nasz spokój był fałszywy. To było ogromne jezioro z

nieruchomą gładką taflą, położone na szczycie góry, ale nieposiadające żadnych naturalnych barier, utrzymywane jedynie przez zaporę. Zbudowaną przeze mnie i Nanniego z różnych, choć równie cennych materiałów, z tysiąca wysiłków, jakie się podejmuje, by stworzyć rodzinę i utrzymać ją w jedności wbrew wszystkim niepogodom świata. Problem w tym, że w tej zaporze była dziurka, niepozorna, lecz bezwzględna, która codziennie, przez wszystkie te lata, robiła się coraz większa.

Pusty dom mnie deprymuje. Nie wygląda już jak nasz dom.

Ale znów nim się stanie.

Abbiati wysłuchuje nieco osłodzonej wersji wszystkiego. Obok niego siedzi Ezio Conti, obok mnie – Balistreri. Kiedy kończę, Abbiati patrzy na mnie z z troskaniem.

– Mam wrażenie, że zastosowaliście metody na granicy legalności. I jeszcze ten incydent z Pierre’em Livingstone’em, akurat ciemnoskórym! Część prasy tylko na to czeka.

– Spędził w wydziale kryminalnym niecałe dwie godziny – wtrąca się Balistreri. – Niektórzy niesprawiedliwie siedzą latami w więzieniu.

Carlo Abbiati głupi nie jest.

– Ale aresztowanie go w domu naprawdę było konieczne, Bianca? Na dodatek przy małym dziecku...

Balistreri nie daje mi czasu na odpowiedź:

– *Dottoressa* Benigni nie ma z tym nic wspólnego. Ja wydałem polecenie.

I nawet Abbiati nie ośmiela się go zapytać, dlaczego to zrobił. Zwraca się do nas obojga:

– Ważne, że jesteście pewni. Nie sterroryzowaliście chyba Nicole tak jak Scarlett do tego stopnia, że sama się przyznała do czegoś, czego nie zrobiła? I jesteście pewni, że to jedna z nich?

Balistreri odpowiada natychmiast:

– To jedna z nich, jeśli nie obie. Problem tylko w tym, że jedna i druga przypisuje sobie winę. Musimy je zamknąć i dojść, która mówi prawdę.

Abbiati uśmiecha się do mnie. Ten jego miódopłynny uśmiech...

– Bianca, mamy jeszcze całkiem dużo czasu, żeby znaleźć brakujące elementy i zamknąć śledztwo. Ale też masę roboty. Ezio ci pomoże w

śledztwie i procesie.

Niestety, teraz nie mogę zaprotestować.

– Dobrze, Carlo. Ale Ezio odpowiada przede mną.

Szef nie przestaje się uśmiechać.

– Jasne. Umówię konferencję prasową na siódmą wieczorem. Balistreri, oczywiście będzie pan stał koło mnie.

Balistreri nie potrafi ugryźć się w język.

– Wspaniale. W sam raz zdążymy na dziennik o ósmej.

Abbiati udaje, że nie zrozumiał przytyku, i żegna się z nami.

Zamykam się u siebie w gabinecie. Czuję się źle, okropnie.

Wiadomość o aresztowaniu siostr Steele i Pina Ingrassii już się przedostała do mediów i wyobrażam sobie, co się dzieje na zewnątrz. Biorąc pod uwagę godzinę, zacznie się od telewizji i portali internetowych. Telewizor mam wyłączony, komputer odłączony od sieci, ignoruję zalew połączeń i esemesów w komórce. Ale kiedy na wyświetlaczu pojawia się numer Nanniego, odbieram natychmiast.

– Co z Lucą?

Nanni jest niewiarygodnie wzburzony i nawet nie zauważa pytania.

– Słyszałem wiadomość. Popełniasz błąd. Ona nie ma z tym nic wspólnego!

– Kto ona, Nanni?

Ton mojego głosu jest lodowaty, jego – niespokojny. W tak krótkim czasie wszystko się między nami zmieniło.

– Nicole nie ma z tym nic wspólnego. To była Scarlett.

– Zrobiłeś im portret psychologiczny tamtego wieczoru na uniwersytecie czy opierasz się na rzeczywistości?

– Ostrzegłem cię. Popełniasz *kolejny* błąd.

Rozłączam się i nie odbieram, gdy dzwoni ponownie.

O siódmej oglądam w gabinecie transmisję na żywo z konferencji prasowej. Abbiati zmienił ubranie i wydaje mi się, że wpadł jeszcze do fryzjera, żeby przyciął mu włosy. Stara się o grobową powagę, ale nie udaje mu się zakryć napuszenia. Balistreri stoi obok niego, nieuczesany i w tym samym ubraniu co przedtem.

Prokurator Carlo Abbiati stawia czoło tłumowi włoskich i zagranicznych

dziennikarzy. Odpowiada na proste pytania, chowa się za tajemnicą śledztwa, gdy dostaje trudniejsze. Radzi sobie ze wszystkimi, jest w tym znakomity, to jego żywioł. Balistreri nie otwiera ust.

Konferencja dobiega już końca, kiedy wstaje młoda dziennikarka z „Il Domani”. Piękna dziewczyna około trzydziestki. To koleżanka z pracy Franca Romera, Linda Nardi. Zwraca się do Abbiatego:

– Panie prokuratorze, jako że śledztwo prowadzą *dottor* Benigni i *dottor* Balistreri, czy możemy być pewni, że zostały zachowane wszystkie gwarancje przewidziane przez prawo, by oskarżony korzystał z przysługującej mu ochrony?

Abbiati otwiera usta w szerokim uśmiechu sprzedawcy dywanów.

– Nie rozumiem insynuacji, *dottor* Nardi. W każdym razie nie mam żadnego powodu, by wątpić w profesjonalizm zarówno *dottor* Benigni, jak i *dottor* Balistreriego.

Dziennikarka kieruje pytanie bezpośrednio do Balistreriego:

– *Dottor* Balistreri, nie ma pan nic do powiedzenia? Czy to prawda, że przesłuchiwaliście godzinami siostry Steele i Pina Ingrassię bez ich адвокатów?

Abbiati waha się chwilę, a potem przekazuje mikrofon Balistreriemu, który spogląda chłodno na dziennikarkę.

– *Panienko...* – robi chwilę pauzy, by podkreślić paternalistyczne zdrobienie – nie omawiam swoich metod z osobami, które są opłacane tylko po to, by zwiększyć nakład gazety.

Z twarzy młodej kobiety, z jej jasnych promiennych oczu wyczytuję głęboki niesmak. Ten sam, którego sama tak często doświadczałam.

– *Panie* Balistreri, może i dziennikarze nie rozwiązują spraw o morderstwo, ale też nie wymyślają rzeczywistości. A posługiwanie się groźbami przeszkadza w dojściu do prawdy.

Te słowa dotyczą także mnie i dobrze wiem dlaczego. Biegnę tuż nad krawędzią przepaści.

Balistreri

Szczerze konferencja prasowa przeszła dość gładko i w dzienniku o ósmej pokazali, jak Carlo Abbiati z dumą ogłasza aresztowania. Nikt nie poświęcił

uwagi mojej polemice z młodą dziennikarką Lindą Nardi. Jedna z wielu arywistek, co udają, że szukają prawdy tylko po to, by ich wydawca sprzedał więcej egzemplarzy swojego pisma.

Może i dziennikarze nie rozwiązują spraw o morderstwo, ale też nie wymyślają rzeczywistości. A posługiwanie się groźbami przeszkadza w dojściu do prawdy.

Piękne zdanie obliczone na zrobienie wrażenia. Dobrze, by zaimponować kolegom po fachu, ale przecież dziennikarze wymyślają rzeczywistość, i to jeszcze jak!

A to zdanie nie ma żadnego sensu.

Jest ósma trzydzieści, na fotelu z zapadniętymi sprężynami siedzi inspektor Coppola, ja wyciągam się na mojej starej kanapie i palę.

– Gratulacje, *dottor* Balistreri. Ale wciąż nie wiem, czy to była księżniczka, czy kurlewna.

Pomijając malowniczy sposób wyrażania, Krasnal ma rację. Dwa samooskarżenia to lepiej niż żadne, ale zdecydowanie gorzej niż jedno.

– Coppola, czytałeś protokoły z przesłuchań. I co o tym wszystkim sądzisz?

Inspektor poprawia się w fotelu, jego stopy z ledwością dotykają podłogi.

– Metody nauczyłem się od pana, *dottore*. Wszystkie te sprawy z godzinami, monitoringiem i DNA idą później. Najpierw profil psychologiczny. A on zależy od motywu.

– Nie, Coppola. To motyw zależy od profilu psychologicznego.

– Chodziło mi o to, że jeśli motywem był seks, to była kurlewna, jeśli pieniądze, to księżniczka.

– No pewnie, Coppola. Ona dziedziczy wszystko. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Widzi pan, *dottor* Balistreri, jedna jest z tych, co na górze, druga z tych, co na dole. Zgodzi się pan?

– No nie wiem. Nie próbowałem ani z jedną, ani z drugą.

– Próbowanie tu niepotrzebne. Wystarczy wyobrazić je sobie w łóżku. Młodsza ustawia się na górze i robi ci wszystko, co chcesz. Starsza ustawia się na dole i pozwala ci robić, ale nie wszystko, na to jest zbyt porządna.

Przypominam sobie miejsce zbrodni. Profesor Bonocore na łóżku w kajdankach, opuszczone spodnie, słowo PIG wycięte na brzuchu, plastikowy worek na głowie. Trzymając się teorii Coppoli, nie ma wątpliwości. Ale

obawiam się, że jego teoria o byciu na górze albo na dole nie przekonałaby Bianki Benigni ani nie utrzymałaby się w sądzie.

– Dostaliśmy już raport z kryminalistyki po zabezpieczeniu dowodów?

Inspektor kiwa głową.

– Willa została zlustrowana milimetr po milimetrze, łącznie z parkiem, alejką i pojemnikami na śmieci. Żadnego śladu po ostrym narzędziu, którym dałoby się wyciąć napis na brzuchu Bonocorego. Jeśli wierzyć Nicole Steele, wyrzuciła je do Tybru. Jeśli to była Scarlett, zrobiła mniej więcej to samo. W każdym razie wszystkie noże, nożyczki i otwieracze do kopert mają nasi technicy. Tak samo przybory z mieszkań Scarlett Steele i Pina Ingrassii.

– A znamy już ruchy Ingrassii?

– Sprawdziliśmy jego komputer. Większą część piątkowego popołudnia siedział w Internecie na stronach z artykułami naukowymi. Od siódmej trzydzięci do dziewiętej trzydzięci nic. Komórka przez cały czas była w mieszkaniu. Co nie oznacza oczywiście, że i on w nim był.

Jestem pewien, że Ingrassia coś przed nami ukrywa. Nie podoba mi się ani trochę ta jego wizyta u Nicole Steele w hotelu przed przyjściem na przesłuchanie do nas. Nie podobają mi się te dwa samooskarżenia.

Zaplanowały wszystko za jego pośrednictwem.

Wiem, że Bianca Benigni by się na to nie zgodziła. Przesłuchania przeprowadza się w naszej siedzibie i w obecności adwokata. A ja już parę razy zmusiłem ją do pogwałcenia reguł, czego ona nie znosi. Ale Pino Ingrassia wie więcej, niż nam powiedział, a te dwa samooskarżenia będą manną z nieba dla adwokatów. I zamiast dwóch wyroków dożywocia, w tym jednego niesprawiedliwego, będziemy mieli uniewinnienie winowajczynie.

Idę pieszo, potrzebuję przewietrzyć sobie głowę. Przechodzę przez most na Tybrze w porze kolacji, w restauracjach i pubach tłoczą się rzymianie i turyści. Setki młodych ludzi kręcą się po zaułkach na Zatybrzu, palą, sączą piwo prosto z butelki. Przyspieszam kroku, przechodząc obok Food and Drink, który właśnie otwarto. Pierre Livingstone uniknął poważnego oskarżenia tylko dlatego, że miał żelazne alibi. Inaczej Scarlett Steele bez najmniejszych skrupułów pociągnęłaby go za sobą do piekła.

Dlaczego giną takie jak Donatella, a nie takie jak Scarlett? Dlaczego Bóg, jeśli naprawdę istnieje, dopuszcza do takich nieprawości?

Od dziecka wiem, że to pytanie nie ma sensu. Ale wspomnienie oczu Pasqualego Carusa, kiedy powiadomiłem go o śmierci córki i powiedziałem: „Przykro mi”, jest zbyt świeże. Minęły tylko trzy tygodnie, a zdaje się, że to całe wieki. Śledztwo zakończone, morderca Donatelli Caruso zidentyfikowany z całą pewnością i zabity przez jej ojca. Pozostaje tylko cierpienie żyjących.

Ale to nie moja sprawa.

Skrećam w niewielką przecznicę, gdzie mieszka Pino Ingrassia. Brama wychodząca na ulicę jest otwarta. Jego mieszkanie znajduje się na trzecim piętrze, mógłbym wjechać windą, lecz jest zajęta, więc idę po słabo oświetlonych schodach. Jestem już prawie na drugim piętrze, gdy winda zaczyna zjeżdżać. Wydaje mi się, że ruszyła właśnie z trzeciego. Przez moment myślę, czyby nie zbiec na dół i nie upewnić się, czy to nie Ingrassia, ale w końcu przyspieszam kroku i wchodzę na trzecie piętro. Słyszę, jak winda zatrzymuje się na dole.

Na piętrze są dwa mieszkania. Dzwonię do drzwi Ingrassii, a tymczasem z dołu dobiega mnie szcęk otwieranej windy i kroki kogoś wychodzącego z budynku. W mieszkaniu nikt nie odpowiada.

Może za lekko podszedłeś do tej sprawy, Balistreri. Tu jest znacznie więcej niewiadomych.

Raz jeszcze dzwonię, nadal bez skutku. Wiem, co powinienem zrobić. Odejść spod tych drzwi i przysłać tu mundurowych, jak nakazuje oficjalna procedura. Ale gdybym był kimś, kto przestrzega procedur, wiele spraw w moim życiu potoczyłoby się inaczej.

Mam ze sobą wytrych, mogę otworzyć, o ile drzwi nie są zaryglowane od wewnątrz. Nie są, więc po kilku próbach otwieram.

Nie chcę niczego dotykać, nawet przełączników światła. By zorientować się w absolutnej ciemności, przyświecam sobie wyświetlaczem komórki. W mieszkaniu panuje absolutna cisza, tylko z ulicy dobiegają mnie głosy rozgadanej młodzieży. Przechodzę przez salon, sprawdzam kuchnię i sypialnię. Nic.

Drzwi do łazienki są zamknięte. Otwieram je łokciem.

Pino Ingrassia leży w wannie. Cały zanurzony w wodzie, łącznie z głową. Łokciem zapalam światło. Woda jest czerwona, w kałuży krwi na kafelkach pod wanną leży niewielki nożyk. Nadgarstki chłopaka wciąż jeszcze krwawią.

Z jego ust nie wypływają bąbelki powietrza. Nic dla niego nie mogę już zrobić. Najmądrzej byłoby nic nikomu nie mówić, tylko poprosić Coppolę, by przysłał tu kogoś, kto odkryje ciało. Ale ta przeklęta winda sprawia, że nie mogę tego opóźnić. Muszę wypytać sąsiadów, i to od razu.

Wychodzę na klatkę schodową i dzwonię do Coppoli.

– Jestem w mieszkaniu Ingrassii.

– Co takiego?

– Nie żyje. Zawiadam wszystkich i przyślij tu techników i lekarza sądowego.

Potem dzwonię do Bianki Benigni. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Pani prokurator, jestem w mieszkaniu Ingrassii. Lepiej, żebyś tu szybko przyjechała.

Rozłączam się, zanim zdąży zadać jakiegokolwiek pytanie. Dzwonię do drzwi obok. Nic. Dzwonię ponownie, raz za razem naciskając guzik.

– Kto tam?

Głos przestraszonej staruszki.

– Policja, proszę pani. Może pani otworzyć?

– O tej porze? Nie wierzę. Widzę przez judasza pana twarz i wcale mi się ona nie podoba. Proszę sobie iść albo to ja zawiadomię policję!

– Proszę pani, muszę tylko wiedzieć, czy ktoś przed chwilą wychodził z pani mieszkania.

– A kto miał wychodzić? Tylko ja tu mieszkam. A teraz proszę stąd iść!

W tej chwili słyszę syrenę radiowozu. Coppola przysłał najbliższy patrol.

– Słyszysz pani syreny? Proszę się nie bać, za chwilę będą tu policjanci w mundurach. Wtedy nam pani otworzy?

Milczenie. Po chwili uchylają się zabezpieczone łańcuchem drzwi. Widzę przestraszoną twarz staruszki pod osiemdziesiątkę.

Pokazuję legitymację, na którą babcia spogląda podejrzliwie.

– A niech cię, o mało zawału przez ciebie nie dostałam. Czego chcesz?

– Chcę się tylko upewnić, że nikt nie wychodził przed chwilą z pani mieszkania. Bo kilka minut temu ktoś zjechał windą z tego piętra.

– A co mnie do tego? Pewnie to była któraś z dziwek tego łobuza obok.

Zamyka mi drzwi przed nosem, kiedy przybiegają pierwsi mundurowi.

– Balistreri, ty jesteś kompletnie szalony!

Bianca Benigni musiała być kiedyś piękną dziewczyną. Byłaby i teraz piękną kobietą, gdyby nie ta jej chudość i zmarszczki wokół oczu. To kobieta, która wszystko bierze do przesady na poważnie. Najskuteczniejszy sposób, żeby się szybko postarzeć.

Stoimy przed wejściem do mieszkania Ingrassii. W łazience urzędują tylko technicy i lekarz sądowy, który właśnie w tej chwili wychodzi.

– Zmarł mniej niż pół godziny temu. Wszedł do wanny z ciepłą wodą i podciął sobie żyły.

– Nie ma śladów przemocy na ciele? – pytam.

– Na tym etapie oględzin nie widać żadnych.

– Dobrze, panie doktorze – mówi Bianca. – Ale będzie pan musiał zrobić sekcję.

– Chcemy wiedzieć jak najszybciej, czy są ślady przemocy na ciele – dodaję.

Lekarz przytakuje i wraca do łazienki, by wydać instrukcje co do przeniesienia ciała.

Bianca jest biała jak kreda, co jeszcze bardziej podkreśla jej zmarszczki.

– No więc? Powiesz mi, co, u diabła, tu robiłeś?

– Ktoś zjeżdżał windą z tego piętra, kiedy ja szedłem po schodach. Obok mieszka tylko jedna staruszka i jest w domu. Nikt od niej nie wychodził.

Patrzy na mnie, a potem zwraca się do Coppoli, który stoi w pewnym oddaleniu z ponurym wyrazem twarzy:

– Inspektorze, może pan przesłuchać sąsiadkę? My z komisarzem musimy sobie wyjaśnić parę rzeczy.

Coppola idzie do sąsiadki, Bianca patrzy mi prosto w oczy. Jest poirytowana, ale też wstrząśnięta.

– Co ci przyszło do głowy, Balistreri? Po coś ty się tu, do cholery, pojawił?

– Pani prokurator, Ingrassia nie powiedział nam wszystkiego.

– To i ja wiem. Miałeś zamiar wyciągnąć z niego prawdę pięściami?

Mógłbym jej opowiedzieć o wszystkich tych mordercach, których zapuszkowaliśmy dzięki pięściom. To by jednak nic nie dało.

– Pamiętasz jego przesłuchanie? Po tym, jak poszedł do pokoju Scarlett w hotelu we Florencji, Ingrassia nie wrócił natychmiast do Rzymu.

– Zatrzymał się tylko na parę minut, Balistreri. Przeczytaj raz jeszcze protokół.

– Protokół streszcza. Nie oddaje pauz i wahań. On coś jeszcze robił we Florencji przed powrotem. A wczoraj po południu, zanim pojawił się u nas na przesłuchaniu, poszedł do hotelu porozmawiać z Nicole.

Bianca kręci głową, więc naciskam:

– Nicole Steele okłamała nas już kilka razy. Nie wiemy, czy chciała chronić siebie, czy siostrę. Pewnie Ingrassia poszedł do niej, żeby pomóc jej w skonstruowaniu alibi. Zrobisz błąd, jeśli mnie nie posłuchasz.

– Może już zrobiłam błąd, że cię posłuchałam, Balistreri.

Kobieta od zawsze przyzwyczajona do życia w ramach reguł, do unikania za wszelką cenę jakiegokolwiek ryzyka. Kobieta, która zbudowała swoje istnienie na pewności. Ja zmusiłem ją do przekroczenia tych ram. I to ją przeraża.

– Nie mogliśmy działać inaczej, pani prokurator.

– Doprawdy? Teraz siostry Steele znajdą sobie dobrego adwokata, który z łatwością zakwestionuje sposób, w jaki przeprowadziliśmy przesłuchanie. I kto wie, czy nie każe klientkom wycofać wszystkich zeznań, łącznie z przyznaniem się do winy. A jeśli śmierć Pina Ingrassii to morderstwo, z pewnością nie one się go dopuściły, skoro siedzą w areszcie.

Jest zbyt spięta i poirytowana, żeby podejmować z nią dyskusję.

– Jadłaś już kolację, pani prokurator?

Nie wiem, czemu to powiedziałem. Patrzy na mnie zaskoczona.

– Muszę jechać do syna i męża, Balistreri.

Jest coś smutnego w tych słowach. Ale to nie moja sprawa, a smutne kobiety nie są w moim typie. Nawet jeśli mam tylko zjeść z nimi kolację. Powiedziałem już za wiele i całkiem nie wiem dlaczego.

Dochodzi północ, kiedy opuszczam mieszkanie Pina Ingrassii. Noc jest ciepła, na ulicach Zatybrza panuje jeszcze większy tłok. Znów przechodzę obok Food and Drink pełnego klientów.

Pierre Livingstone stoi w wejściu, przesiewa gości stojących w kolejce, by wejść do środka. Kiedy mnie widzi i poznaje, krzywi się, trochę z niesmakiem, trochę z ironią.

– Czego jeszcze pan chce? – pyta z niepokojem.

– Przede wszystkim chcę pana przeprosić. Zdziałaliśmy zbyt pochopnie. A poza tym chciałem jeszcze zapytać pana o kilka rzeczy.

– Mam wezwać adwokata?

– Nie, naprawdę nie ma potrzeby. Chodzi mi tylko o parę informacji na

temat Scarlett Steele.

Wzrusza ramionami.

– Wszystko wam już powiedziałem. Pracowała tu przez jakiś czas, ale ją zwolniłem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Scarlett irytowała wszystkie klientki. Za bardzo rzucała się w oczy, była zbyt bezwstydną wobec mężczyzn. Nawet kiedy zaczęła chodzić z tym chłopakiem, Pinem, nie zmieniła zachowania.

– Czy profesor Bonocore przyszedł tu kiedyś do Scarlett?

– Nie wiem, jak wyglądał profesor Bonocore. Może to ten facet, który w ostatnich dwóch tygodniach, kiedy Scarlett jeszcze u mnie pracowała, wpadł tu parę razy.

– Dojrzały mężczyzna?

– Tak. Kompletnie niepasujący do tego miejsca. Jak pan widzi, średnia wieku w Food and Drink jest bardzo niska. On kręcił się wokół niej, czasem wychodzili, żeby porozmawiać.

– Miał gęstą brodę?

– Nie przyglądałem mu się dobrze. Ale na pewno nie miał gęstej brody. Facet koło czterdziestki, przystojny, dosyć wysoki.

Czuję, jak toruje sobie we mnie drogę odczucie, które dobrze znam.

Coś przeoczyliśmy.

– Co jeszcze może pan powiedzieć o tym facecie? Zapamiętał pan coś?

Livingstone wykonuje zniecierpliwiony gest.

– Ja mam tu co robić, nie pamiętam niczego szczególnego.

Pierre Livingstone, jak wszyscy, nie chce kłopotów. A miał ich już wystarczająco dużo. Prawdopodobnie rzeczywiście nie pamięta nic więcej, ale też nie wysili się, by cokolwiek sobie przypomnieć. Już mam się z nim pożegnać, kiedy przychodzi mi coś do głowy.

– Czy ten facet nosił czapkę?

Livingstone przez chwilę patrzy na mnie kompletnie zaskoczony.

– Tak, czapkę z daszkiem i z jakimś logo, ale nie pamiętam z jakim.

Żegniam się z Livingstone'em i wracam w stronę Tybru. Już dwie osoby wspomniały o facecie w czapce. Konsjerż we Florencji i kasjerka w restauracji we Fiesole, gdzie Nicole Steele w dniu morderstwa jadła obiad.

Zbieg okoliczności?

Doskonale pamiętam zdanie, które powiedział mi mój pierwszy szef

wiele lat temu:

Pewne zbiegi okoliczności występują jedynie w książkach i filmach. W rzeczywistym świecie nie albo to nie są zbiegi okoliczności.

Środa, 23 maja 2001

Balistreri

Za gorąco, za słonecznie, zbyt wielu ludzi na ulicach, zbyt wiele sklepów, straganów, zbyt wiele życia. Florencja jest podobna do Rzymu. Zachwycająca kobieta, która przesadziła z makijażem.

Konsjerż z hotelu Central powtarza mi znów to samo. Scarlett opuściła hotel pierwsza, była sama. Potem wyszedł profesor Bonocore, też sam. A następnie pojawiła się Nicole Steele i pytała, czy jej siostra jest w hotelu. Osoba w czapce została przy wejściu. Może towarzyszyła Nicole, a może nie. Może czapka miała jakiś symbol czy logo, ale teraz prawie każda czapka coś tam ma, a on nie ma pojęcia, co to było.

Może Nicole dopiero przyjechała i nie widziała się ani z mężem, ani ze Scarlett. Choć biorąc pod uwagę godzinę, o której przejechała przez bramkę autostrady we Florencji, musiała być tu od pewnego czasu, przynajmniej tak długo, by zobaczyć męża. Co robiła od przyjazdu do Florencji do wyjścia Bonocorego z hotelu?

Stała na ulicy, czekając, aż wyjdzie? A dlaczego nie w hotelowym holu? Dlaczego nie zadzwoniła do niego do pokoju?

Bo nie chciała, by Bonocore wiedział, że tu jest.

Potrzebuję kawy i papierosa. Wychodzę z hotelu i idę usiąść przy stoliku przed barem po drugiej stronie ulicy. Zamawiam kawę, zapalam gitane'a. Z tego miejsca świetnie widać, kto wchodzi i wychodzi z hotelu.

Mogła tu usiąść?

Nie, jeśli nie chciała, by Bonocore zobaczył ją, wychodząc. Odwracam się w stronę lokalu, przyciemniona witryna, nie widać wyraźnie, kto siedzi w środku. Dopijam kawę, gaszę papierosa i wchodzę. Przez witrynę widać całkiem dobrze, co się dzieje na zewnątrz. Doskonałe miejsce, by obserwować wejście do hotelu i samemu nie być zauważonym.

Podchodzę do kasjerki, kobiety w pewnym wieku. Gdy okazuję legitymację, na jej twarzy maluje się przerażenie.

– Cały personel ma pozwolenie na pobyt.

– To mnie nie interesuje. Była tu pani w piątek rano?

Jest zaskoczona.

– Zawsze tu jestem. Lokal należy do mnie i mojego męża.

Wyciągam fotografię Nicole Steele.

– Przypomina sobie pani może tę panią?

Patrzy uważnie, potem kiwa głową.

– Tak, bardzo piękna dziewczyna. Pamiętam ją, bo kłóciła się z mężczyzną, który jej towarzyszył. Zbyt stary dla niej...

Pokazuję fotografię Victora Bonocorego, ale ona kręci głową.

– Nie wydaje mi się, ale pewna nie jestem. Siedział do mnie plecami. Był żonaty i według mnie nie chciał...

– Skąd pani wie, że był żonaty?

– Miał obrączkę na palcu. Nie żebym wściubiała nos w nie swoje sprawy, ma się rozumieć, ale...

– To na pewno było w piątek?

– Tak.

– Jest pani pewna?

– Nie jestem ani stara, ani durna. Jestem pewna, bo mąż poszedł do dentysty, a wieczorem opowiedziałam mu tę scenę. Nie żeby obmawiać, ale...

– Rozumiem. Co robili?

– Jakiś czas siedzieli spokojnie, a potem zaczęli się kłócić.

– To znaczy? Krzyczeli?

Kobieta krzywi się z dezaprobatą.

– W pewnej chwili musiał powiedzieć coś nieprzyjemnego. Ona nagle wstała, a on pociągnął ją, by siadła na powrót. Wyrwała mu się i pobiegła do wyjścia. A ta świnią za nią.

– I nie widziała pani jego twarzy?

– Co mam panu powiedzieć? To była tylko chwila. Miał czapkę z daszkiem i ciemne okulary...

Wychodzę i kieruję się pieszo w stronę dworca Santa Maria Novella. Teraz mamy już cztery osoby, które pamiętają mężczyznę w czapce towarzyszącego Nicole: właścicielkę baru naprzeciwko hotelu, konsjerża, kasjerkę restauracji we Fiesole. I jeszcze Pierre'a Livingstone'a. Tylko że on widział mężczyznę, który przychodził do Scarlett. Zastanawiam się, kto mógł zjeżdżać windą, kiedy szedłem po schodach do mieszkania Pina Ingrassii.

Czy to był mężczyzna w czapce?

Dzwoni moja komórka. To Coppola.

– *Dottor Balistreri*, są nowiny.

– Dawaj.

– Pamiętaj pan, że Pino Ingrassia, zanim przyszedł do nas, był w hotelu u Nicole Steele?

– Pewnie. No i?

– Nicole Steele nigdzie nie dzwoniła ze swojego pokoju, ale dla pewności sprawdziłem także billingi z hotelu, mają tam ogólnodostępny telefon przy barze.

– I Nicole Steele skorzystała z niego?

– Nie wiemy. Ale za dwadzieścia piąta, dziesięć minut po tym, jak Pino Ingrassia od niej wyszedł, z tego telefonu dzwoniło na centralę ambasady amerykańskiej.

Oto rezultat naszego gwarantyzmu. Śledztwo utrudniane przez kontakty, na które nie powinniśmy byli absolutnie pozwolić. A ambasada Stanów Zjednoczonych oznacza kłopoty, zwłaszcza że amerykańskie media ostro nas krytykują.

– *Dottore*, według mnie Ingrassia powiedział Nicole, że ponownie wezwaliśmy jego i Scarlett do kwestury. I księżniczka zadzwoniła do ambasady, by uzyskać opinię prawną. Tylko dziwne, że nie posłali jej adwokata.

– Nie aż tak dziwne, Coppola. Nicole jeszcze myślała, że ją z wszystkiego oczyszczą, a adwokat odradziłby im te wszystkie kłamstwa. Niezależnie od tego, czy są winne, czy nie.

W pociągu powrotnym do Rzymu próbuję się skoncentrować na sprawie, ale nie mogę.

Parę godzin od aresztowania siostr Steele mamy już zbyt wiele nowości: śmierć Pina Ingrassii, ktoś zjeżdżający windą z jego piętra, mężczyzna w czapce i ciemnych okularach, a teraz telefon z hotelu Nicole do amerykańskiej ambasady zaraz po odwiedzinach Pina.

Za wiele tych nowości, Balistreri. Naprawdę za bardzo się pospieszyłeś.

Carlo Abbiati odgrywa rolę śmiertelnie poważnego zatroskanego prokuratora.

– Mamy już problemy z amerykańskimi mediami. A teraz jeszcze pan. Najpierw ta pańska wizyta w mieszkaniu Pina Ingrassii. I podjęte kroki. A teraz ta historia z telefonem do ambasady amerykańskiej...

Ezio Conti, siedzący w obrzydliwie drogim skórzanym fotelu, natychmiast go wspiera:

– Balistreri, pani Bonocore była jeszcze wolna i przesłuchiwaliście ją, jej siostrę i Pina Ingrassię w charakterze świadków bez adwokata. Miała pełne prawo zobaczyć się z Pinem Ingrassią i prosić o poradę w swojej ambasadzie. O ile faktycznie to zrobiła, rzecz jasna.

Bianca Benigni nic nie mówi. Jest na mnie wściekła za najście mieszkania Pina Ingrassii wczoraj wieczorem. Siedzi w rogu, jak zwykle blada jak ściana. Z pewnością nie amerykańskie media ją martwią ani nie pretensje Abbiatego z Contim. Zastanawiam się, czy wieczór spędzony z mężem i synem nie ma więcej wspólnego z jej napięciem niż nasze śledztwo.

Muszę jechać do syna i męża.

Takimi słowami pożegnała się ze mną wczoraj wieczorem, odmawiając zaproszenia na kolację. *Muszę*, nie *chcę*. Jakby to był dodatkowy wysiłek w tym momencie jej życia.

Carlo Abbiati, gdyby tylko chciał, mógłby nieformalnie poprosić w ambasadzie amerykańskiej o informację, czy dzwoniła do nich Nicole Steele i z kim chciała rozmawiać. Ale za nic w świecie tego nie zrobi. Próbuję mówić z taką łagodnością, jaką tylko potrafię udawać:

– Dobrze. Zostawmy na razie ambasadę. Ale musimy jeszcze dziś przesłuchać panią Bonocore. Ją możemy o to zapytać, prawda? I możemy zapytać także o to, kim był mężczyzna w czapce, który towarzyszył jej we Florencji.

– To nie mógł być Pino Ingrassia? – wtrąca się Conti.

Bianca zwraca się do niego takim tonem, jakim się mówi do durnia:

– We Fiesole po południu na pewno nie. Ingrassia o tej porze był już w Rzymie.

Abbiati stara się wylać oliwę na wzburzone fale:

– Oczywiście, Bianca, oczywiście. Możecie przesłuchać panią Bonocore. Ale teraz zarówno ona, jak jej siostra mają dwóch świetnych adwokatów poleconych przez ambasadę. Nie jest powiedziane, że wam odpowie. A my

nie jesteśmy pewni, że to ona dzwoniła, Balistreri. A więc nie ma co o tym więcej mówić, zgoda?

– I nie wiemy nawet, czy osoba w czapce naprawdę była z nią we Florencji – dodaje szybko Conti.

Patrzę na Biancę, która unika mojego wzroku. Mówię jednak do niej, wyłącznie do niej:

– Pani prokurator, wierzysz w to, że cztery osoby, które widziały osobę w czapce, to tylko zbieg okoliczności?

Podnosi wzrok i patrzy na mnie. Jest coś w tych oczach, co nie ma sensu. Zgoda, jest zdenerwowana moim zachowaniem, na pewno martwi ją gwałtowna krytyka amerykańskich mediów.

Tylko co ma z tym wspólnego ten jej smutek? I ta cała złość?

– Kiedy dostaniemy wstępny raport z sekcji zwłok Ingrassii? – pyta mnie. Nie odpowiedziała. Ale jej pytanie ma związek z moim.

Jeśli Pino Ingrassia nie popełnił samobójstwa, jeśli ta osoba, która zjeżdżała windą, kiedy ja wchodziłem po schodach, miała na głowie czapkę...

– Sekcja trwa, Coppola jest na miejscu. Może już dziś wieczór będziemy wiedzieli więcej. Ale przynajmniej jednej odpowiedzi możemy oczekiwać od pani Bonocore. Co jej powiedział Pino Ingrassia, kiedy był u niej w hotelu, zanim przyszedł do nas do kwestury? Bo przynajmniej to jest pewne.

Abbiati patrzy na mnie.

– Dobrze, *dottor* Balistreri. Ale przesłuchanie jest w kompetencji prokurator Benigni. Może pan być obecny, nie chcę jednak więcej nacisków z pana strony. Proszę pamiętać, że...

Przerywam mu:

– ...że obie te młode kobiety przyznały się do zabójstwa profesora Bonocorego.

Ezio Conti patrzy na mnie z pobłażliwością.

– Gdybyśmy odkryli, że także Pino Ingrassia został zamordowany, też byś nas próbował przekonać, Balistreri, że to one zrobiły, choć siedziały pod kluczem w areszcie?

Bianca wstaje.

– Każę zawiadomić adwokata Nicole Steele. Zobaczymy się o piątej w więzieniu na Rebibbii, Balistreri.

Krasnal jest w świetnym humorze. Pewnie dlatego, że pozwoliłem mu jechać ze sobą do Nicole Steele. Podczas wcześniejszych przesłuchań trzymałem go z dala od Nicole i Scarlett, żeby się nie rozpraszał. Ale teraz obie siostry są w areszcie, więc sytuacja się zmieniła.

Nie narzeka nawet na chmurę dymu wiszącą w moim gabinecie, kiedy opowiada o wynikach autopsji Pina Ingrassii.

– Żadnego urazu, żadnego sińca, żadnej rany, pomijając podcięte żyły.

– A żołądek? Jedzenie, alkohol, narkotyki?

– Jeszcze nie jadł kolacji. Zamiast tego wlał w siebie mnóstwo whisky.

Badania toksykologiczne zajmą jeszcze trochę czasu.

– Butelka?

– Butelka J&B była na stole w salonie, prawie pusta. Żadnej szklanki, pił wprost z butelki.

– Albo ktoś pił razem z nim, a potem umył szklanki.

– Ale tego nam sekcja zwłok nie powie.

– Wiemy coś o tym, czy Ingrassia był tęgim pijakiem?

– Popytamy przyjaciół i rodziców. Ale mógł też przesadzić z powodu stresu. To bardzo prawdopodobne, *dottore*, po tym wszystkim, co przeszedł przez tę kurlewę Scarlett.

– Coppola, wiesz, że nie możesz jej tak nazywać. Jesteśmy sekcją zabójstw, nie kumplami w barze. A jak zrobisz to raz jeszcze w obecności prokurator Benigni...

– Ona akurat myśli tak samo jak ja. Gdyby to od niej zależało, nawet by jej nie robiła procesu, tylko wsadziła ją od razu na dożywocie.

– Tak sądzisz? A czemu?

– Bo mężatki boją się takich jak ta amerykańska kurlewna.

Lepiej zmienić temat.

– Dobrze, Coppola. Teraz skoncentruj się na tym, co robiła Nicole Steele, kiedy samochodem przejechała przez bramkę na autostradzie przed Rzymem. O siódmej. W końcu jesteś ekspertem od kamer monitoringu, co nie? A w Rzymie mamy ich dużo.

– Dobrze, *dottor* Balistreri. Ale trzeba mnóstwo czasu.

– Mamy go. I jeszcze jedna rzecz, Coppola. Twoja żona pracuje w ambasadzie amerykańskiej, prawda?

– Tak, w dziale wizowym.

– Może zna tam kogoś w centrali telefonicznej? Może nawet osobę, która

odebrała telefon od Nicole Steele i ją przełączyła?

– Nie mamy pewności, że to pani Bonocore telefonowała. Poza tym...

– Wiem, Coppola, wiem. I tak nie będziemy mogli użyć tej informacji, nawet jeśli ją dostaniemy. A przynajmniej nie oficjalnie.

– To by oznaczało poważne kłopoty, *dottore*. Mówię to ze względu na pana.

Mógłbym mu wytłumaczyć, że poważne problemy to coś zupełnie innego. Że miałem dziewiętnaście lat, kiedy moja matka spadła z urwiska w Trypolisie i dotąd nie wiem, czy skoczyła sama, czy może ktoś ją zepchnął, może nawet mój ojciec, z którym nie widuję się i nie rozmawiam od lat. Zamiast tego wstaję z kanapy i kładę mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie, Antonio. Spróbuj, a potem zobaczymy.

Rzadko mówię mu po imieniu. Tylko wtedy, kiedy Krasnal potrzebuje widzieć przed sobą istotę ludzką.

– No to chodźmy, Coppola. Już czas dołączyć do pani prokurator i zadać parę pytań pani Bonocore.

Adwokatem Nicole jest Giorgio Guerra, młody przystojny prawnik. Kiedy wchodzę razem z Coppolą do pokoju przesłuchań, zwraca się właśnie do Bianki z mieszaniną niedowierzania i dezaprobaty:

– Pani prokurator, jest pani sumiennym prawnikiem. Czytałem protokoły i jestem zbulwersowany. Przesłuchania mojej klientki bez obecności adwokata nie mają żadnej wartości przed sądem. Łącznie z wymuszonym przyznaniem się do winy.

Bianca nie daje się zbić z tropu.

– Pani Bonocore nie została zmuszona do przyznania się do winy.

– A pańska klientka opowiedziała nam niewiarygodne ilości kłamstw – dodaję – i wciąż zachowuje dla siebie istotne szczegóły.

– To się jeszcze okaże. Podczas porannej rozmowy wydała mi się bardzo zagubiona i przestraszona.

– A pan naturalnie nie omieszkał poinformować jej o śmierci Pina Ingrassii?

Guerra ignoruje moją prowokację i nie zaszczycą mnie nawet spojrzeniem. Prawdopodobnie zna moją reputację i uważa, że za tym naciągnięciem procedur kryje się moja ręka.

No cóż, masz rację.

Właśnie wprowadzają Nicole Steele. Ma na sobie szeroką bluzę z długimi rękawami, szare dresowe spodnie i tenisówki. Długie rude włosy zebrane w kok podtrzymuje gumowa opaska. W tym ubraniu, bez makijażu i biżuterii, wydaje się dziewczyną dużo młodszą od tej eleganckiej pani, którą dotąd oglądaliśmy. Ale wciąż pozostaje dobrze wychowaną kobietą. Podaje rękę Biance, potem mnie, na końcu Coppoli, który ściska ją nieco zbyt długo. Następnie siada obok adwokata.

Guerra uśmiecha się do niej uspokajająco.

– Moja klientka będzie odpowiadała na pytania, jeżeli jej na to pozwolę.

Bianca kiwa głową i zwraca się do Nicole Steele:

– Pani Bonocore, przede wszystkim pragnę powiadomić, że Pino Igrassia nie żyje.

– Wiem. Powiedział mi o tym mecenas Guerra. Bardzo mi przykro, to był taki młody chłopak. Tak się zabić...

Nie daję Biance czasu na kontynuację:

– Nie wiemy jeszcze z całą pewnością, czy popełnił samobójstwo, czy został zabity.

Cień strachu na twarzy Nicole Bonocore.

O siebie? O Scarlett? Z powodu Pina?

– Jeśli nie popełniła samobójstwa – wtrąca się pospiesznie Guerra – dobrze wiecie, gdzie znajdowała się moja klientka. A także jej siostra Scarlett.

– To oczywiste – ucina Bianca. – Teraz chciałabym zadać pani kilka pytań, pani Bonocore. Pani adwokat powie, czy może pani odpowiadać.

Nicole kiwa głową potakująco, patrzy Biance prosto w oczy.

– Jestem gotowa.

– Dobrze. Wiemy na pewno, że Pino Ingrassia, zanim przyszedł wraz ze Scarlett na przesłuchanie, około czwartej trzydzieści w poniedziałek wstąpił do hotelu Excelsior, w którym pani mieszkała.

– W jakim sensie wiecie na pewno? – wtrąca się Guerra.

– Jest na nagraniach monitoringu hotelowego – odpowiada Bianca.

– Kamery nagrały go, jak wchodzi do pokoju pani Bonocore? – pyta Guerra.

– Nie – przyznaje Bianca – w holu na dole. W korytarzach nie ma kamer.

– A więc nie macie żadnego dowodu, że spotkał się z moją klientką –

uściśla Guerra.

Bianca nie odpowiada. W milczeniu patrzy Nicole prosto w oczy. Jakby rzuciła jej wyzwanie. Nicole odwraca spojrzenie.

– Chciałabym odpowiedzieć na to pytanie, mecenasie.

Guerra krzywi się z irytacją.

– Dacie nam dwie minuty? – pyta Biancę.

Wraz z Coppolą i Biancą wychodzimy na korytarz. Coppola idzie poszukać automatu z kawą, my dwoje zostajemy sami.

– Pani prokurator, nie daj się oszukać. Nicole Steele może i nie jest morderczynią, ale doskonale kłamie.

Patrzy na mnie poirytowana.

– Co ci każe myśleć, że dam się oszukać, Balistreri?

– Za długo patrzycie sobie w oczy. Jakbyś myślała, że to wystarczy, by powiedziała prawdę. Nie jesteś jej matką...

Jej spojrzenie jest lodowato zimne i przez chwilę, ale tylko przez chwilę, widzę, jak w tej kobiecie płonie wściekłość. Uczucie, na które ewidentnie się nie zgadza i które w sobie tłumi.

– Posłuchaj mnie, Balistreri. Dotąd wspierałam cię w twoich mało ortodoksyjnych metodach. Moja wina, przyjmuję za to odpowiedzialność. Ale od tej pory robimy tylko tak, jak ja powiem. Ja nie jestem jej matką, a ty nie jesteś psychologiem.

– Jak twój mąż? Może jego zapytasz, czy Nicole zabiła Bonocorego?

Ona blednie i teraz widzę, że jest naprawdę wściekła. A ja nie wiem, czemu wymysknęło mi się coś tak niepotrzebnie obraźliwego.

– Jeśli chcesz wyjść na obrzydliwego typa, Balistreri, twoja sprawa. Ale jeśli ośmielisz się podjąć jakąkolwiek inicjatywę w tym śledztwie bez mojej zgody...

– Powiesz to Abbiatiemu, a on powie kwestorowi?

Wraca Coppola. Widzi napięcie na naszych twarzach.

– Coś nie tak?

Żadne z nas nie odpowiada. Nie wiem, co mnie napadło. Mnóstwo rzeczy irytuje mnie w Biance Benigni: jej zimna racjonalność, strach przed podjęciem ryzyka, ta jej mieszczańska poprawność. Ale wiem, że nie to kazało mi ją sprowokować, ale coś, co unosi się wokół niej, w niej, czego nie potrafię do końca zrozumieć ani nazwać. Coś, co mi się nie podoba.

A jednocześnie coś, co mnie pociąga.

Odwraca się i idzie w głąb korytarza. Ja zapalam gitane'a pod wywieszka z napisem *Zakaz palenia*. Mecenas Guerra otwiera drzwi pokoju przesłuchań i wzywa nas z powrotem.

Wracamy i siadamy na tych samych miejscach co poprzednio. Guerra zwraca się do Bianki:

– Wbrew moim sugestiom pani Bonocore przyznaje, że Pino Ingrassia wszedł do niej na parę minut. Domyślamy się, że chcecie wiedzieć, o czym rozmawiali. Moja klientka odpowie na wasze pytania w tej sprawie.

Bianca kiwa głową. Dostała więcej, niżbym mógł uzyskać swoimi metodami.

– Dobrze, pani Bonocore. Ale najpierw chciałabym, żeby opowiedziała pani o swoich relacjach z Pinem Ingrassią.

– Poznałam go tu, we Włoszech, był członkiem grupy badawczej prowadzonej przez profesora Bonocorego.

Teraz już nie nazywa go mężem.

– I zaprzyjaźniliście się? – pyta Bianca.

– Nie użyłabym tego słowa. Nie byłam z Pinem blisko, choć był świetnym chłopakiem. Nasze relacje stały się bliższe dopiero niedawno, kiedy zaczął chodzić ze Scarlett.

– Pani przedstawiła mu siostrę?

– Nie przedstawiłam, samo wyszło. Jadłam ze Scarlett obiad w restauracji niedaleko mojego domu i profesor Bonocore wraz z Pinem do nas dołączyli. Tak to się zaczęło, przypadkiem.

– Jak nazywała się ta restauracja? – pytam.

Nicole waha się chwilę. Nie wiem, czy dlatego, że nie pamięta dobrze, czy z innego powodu.

– Wydaje mi się, że Capannina. To spokojne miejsce i czasem tam chodzę.

– Dobrze – mówi Bianca. – Teraz proszę nam opowiedzieć o wizycie, którą złożył pani Pino Ingrassia przed przyjściem do kwestury.

– Pino przyszedł do mnie około czwartej trzydzieści. Był bardzo wzburzony. Powiedział mi, że według niego Scarlett okłamała go we Florencji. Że być może ona i Victor...

– Że pani siostra i mąż mieli romans? – pyta Bianca.

– Mniej więcej. Spieszył się, miał zaraz zabrać Scarlett z jej mieszkania i jechać z nią do kwestury. Na koniec mi powiedział: „Później wszystko sobie

ze Scarlett wyjaśnimy”.

– A pani co mu zasugerowała?

Nicole patrzy na nas swoimi pięknymi zimnymi oczami.

– Żeby zachował to dla siebie. Skoro nie był całkowicie pewny.

– I skoro pogorszyłoby to sytuację pani siostry – dodaje.

Nicole patrzy na mnie. Teraz widzę wrogość w jej spojrzeniu. Wie dobrze, że to ja tu jestem złym policjantem.

Przez długą chwilę Bianca nic nie mówi. Jest śmiertelnie blada, spięta, zmęczona. Coś ją dręczy. Coś, co sięga dalej niż to śledztwo. Wiem, o czym myśli. O tamtym telefonie.

Ale nigdy w życiu jej o to nie zapyta. W gruncie rzeczy to tylko zalękniona kobietka.

– I wtedy zeszła pani na dół i z telefonu w barze zadzwoniła do ambasady amerykańskiej, pani Bonocore?

Usłyszałem, jak Bianca zadaje właśnie to pytanie.

Adwokat natychmiast interweniuje:

– Pani prokurator, widzę, żeśmy się nie zrozumieli. Można wiedzieć, o czym pani mówi?

Bianca wstaje. Wstaje także Nicole. Ja, Coppola, Guerra, zaskoczeni, nie ruszamy się z miejsc.

– Nie mam więcej pytań, pani Bonocore. Do widzenia.

Nicole automatycznie wyciąga do niej rękę, lecz Bianca odwraca się i wychodzi.

Coppola wraca sam do kwestury. Ja wsiałam z Biancą do jej samochodu. Przez pewien czas prowadzi w milczeniu. Nie mogę powiedzieć, że mi przykro z powodu tego, co jej powiedziałem, bo to nie do końca prawda. Jest w tej kobiecie coś, co mnie irytuje. I co jednocześnie mi się podoba. Determinacja połączona z rozważnością. Jakby cała jej niewyobrażalna energia była zawsze stłumiona. Przez coś, co ona nazwałaby racjonalnością, a ja nazywam strachem. Ale w pewnych chwilach jest znacznie odważniejsza, jakby sprawiedliwość znaczyła więcej niż konsekwencje.

– Miałaś jaja, pani prokurator.

Słowa same mi się wymknęły, co niemal nigdy mi się nie zdarza. To jednak prawda. Pytanie zadane Nicole Steele w sprawie telefonu do

ambasady wykraczało znacznie poza granice określone Biance przez przełożonego.

Odwraca się do mnie. Jest pogrążona w myślach, lecz już nie wściekła.

– A ty byłeś obrzydliwy, Balistreri.

Mówiło mi to już mnóstwo kobiet. Z tym że zdanie brzmiało wtedy: „Jesteś obrzydliwy, Balistreri”. A Bianca Benigni mówi mi coś innego.

– Możliwe, pani prokurator. Chciałbym poprosić o przebaczenie, zapraszając cię na kolację, ale już wczoraj wieczorem mi odmówiłaś.

Nareszcie się uśmiecha.

– Nie wszystkie wieczory są takie same, Balistreri. Ale nie mam ochoty kręcić się po mieście. Jeśli przyniesiesz dobrą butelkę czerwonego wina, zrobię ci fenomenalne pulpety.

Na chwilę mnie zatyka. Powiedziała to z absolutnym spokojem, jakby zaproszenie mnie na kolację do domu było czymś najzwyklejszym na świecie.

– Twój mąż nie będzie zły, że przynosisz pracę do domu?

Patrzy przez szybę na ludzi tłoczących się na chodnikach w centrum miasta, spieszących na ostatnie zakupy przed zamknięciem sklepów. Dojechaliśmy do kwestury.

– Mąż i syn są w Ostii u moich teściów. A ja zawsze przynoszę pracę do domu. Przyjdź na dziewiątą.

W głosie Bianki Benigni nie ma nic uwodzicielskiego. I kolejność tych trzech zdań nie pozostawia żadnych wątpliwości.

– No i co, Coppola, złapałeś kontakt z ambasadą?

Krasnal jest cały mieszkanką zadowolenia i z troskania.

– Koleżanka żony pracuje na centrali.

Pamiętam moment strachu w spojrzeniu Nicole Steele, kiedy Bianca zadała jej tamto pytanie podczas przesłuchania. Pytanie bez odpowiedzi.

– A więc, Coppola?

– *Dottore*, to informacja poufna. Centrala przekierowała rozmowę do biura prawnego ambasady. Dokładnie tak, jak myśleliśmy. Pewnie Nicole Steele poprosiła o poradę dla siebie albo dla siostry.

– Albo dla nich obu. Kto odebrał w biurze prawnym?

– Nie było wtedy szefa. Zastępca to niejaki Gregory Archer, ale nie jest

powiedziane, że akurat on odbierał. *Dottore*...

– Ja się tym zajmę, Coppola. Nie mów o tym nikomu. Znalazłeś jakieś ślady Nicole Steele w monitoringu miejskim?

– Jeszcze nie.

Wydaje się zakłopotany, siedzi w fotelu jak kura na grzędzie.

– Co jest, Coppola?

– Mogę powiedzieć?

– Wystarczy, że się pospieszysz.

– No więc tak: źle pan traktuje dottoressę Benigni.

Patrzę na niego najpierw z zaskoczeniem, potem z irytacją.

– Coppola, nie wydaje mi się, żebyś akurat ty był przykładem dobrego wychowania!

– *Dottore*, dobre wychowanie nie ma tu nic do rzeczy. Zachowujecie się jak dwa dzieciaki.

– Coppola, moja cierpliwość...

– Dwa dzieciaki, które trochę się nie znoszą, a trochę...

Zrywam się na nogi tak raptownie, że przestraszony Krasnal traci równowagę i spada z fotela. A potem w sekundę znika z mojego gabinetu.

Sekretarka biura PR ambasady amerykańskiej jest niezwykle uprzejma. Może dlatego, że przedstawiłem się jako naczelnik sekcji zabójstw. A może przez mój amerykański angielski, którego nauczyłem się w młodości od Laury Hunt.

– Jeśli mam być pomocna, powinnam przynajmniej ogólnie wiedzieć, czego dotyczy sprawa.

Byłem przygotowany na to pytanie i mam już gotową odpowiedź:

– Chodzi o siostry Steele i relacje z amerykańskimi mediami.

Jeśli Carlo Abbiati kiedyś się o tym dowie, dostanie zawału. Ale wyjaśnienie jest całkowicie usprawiedliwione i realistyczne:

– W takim razie powinien pan się spotkać z kimś z naszego biura. Niestety, dyrektor jest w tej chwili w Stanach.

– Może pan Archer? – podsuwam.

– Tak, on też byłby właściwą osobą – potwierdza sekretarka. – Mogę pana umówić w ciągu tygodnia?

– Sprawa jest raczej pilna, a biorąc pod uwagę to, jak się rozwija,

najlepiej byłoby jeszcze dzisiaj. Jak najszybciej.

– W takim razie proszę poczekać jeszcze chwileczkę przy telefonie. Spróbuję się dowiedzieć.

Wyobrażam sobie, jak rozmawia z Archerem. Spodziewam się odmowy, a tymczasem otrzymuję zgodę.

– Pan Archer czeka na pana. Może być za godzinę?

Via Veneto jest pełna turystów fotografujących sklepowe witryny. Niewielu Włochów, tylko trochę wałkoni i drobnych kanciarzy po barach. Z centrum idę pieszo i krótkie podejście na wzgórze ambasady uświadamia mi, że powinienem znacznie ograniczyć palenie.

Asystentka Archera czeka na mnie zaraz po przejściu kontroli bezpieczeństwa. Elegancka pani o siwych włosach i miłej powierzchowności.

– Jestem Jane. Pan Archer czeka na pana.

Prowadzi mnie korytarzami aż do drzwi z tabliczką *Gregory Archer*. Puka i otwiera. Wchodzę, widzę człowieka o powierzchowności całkowicie odmiennej od typowego adwokata, jakiego się spodziewałem. Koło trzydziestki, wysoki i wysportowany, wygolona czaszka, ciemne oczy, gładka, opalona twarz, ubrany w elegancki niebieski garnitur, białą koszulę i czerwony krawat.

Podaje mi rękę bez uśmiechu.

– Gregory Archer.

Uścisk jest suchy i silny. W rogu pomieszczenia stoją dwa skórzane fotele. Siadamy na nich.

– Ma pan ochotę na kawę, komisarzu?

Natychmiast odczytuje moje wahanie i się uśmiecha.

– Mamy w barze włoski ekspres. Nie proponuję kawy po amerykańsku.

Przyjmuję. Dla siebie Archer prosi asystentkę o wodę.

– Nie pije pan kawy?

– Ani kawy, ani alkoholu, ani nie palę papierosów. Pozostałość po dawnych czasach.

Wskazuje na fotografię wiszącą na ścianie. Mimo kasku na głowie rozpoznaję Archera w barwach kapitana drużyny uniwersyteckiej Yale. Obok fotografia z rozdania dyplomów i jeszcze jedna, na której Archer z długimi włosami, brodą i w płaszczu stoi na scenie obok czarnoskórego aktora.

– Jago? – pytam.

Kiwa głową.

– Całkiem dobrze grałem. Lubi pan Szekspira?

– Nieszczerólnie. Jak na mój gust jego historie są zbyt skomplikowane i mało prawdopodobne.

– Może faktycznie skomplikowane. Ale nie sądzę, by były mało prawdopodobne. Przynajmniej w tamtych czasach.

– W realnym świecie nikt nie byłby tak głupi jak Otello, panie Archer. A Jago zostałby stracony w mniej niż dobę.

– Szkoda, akurat rola Jagona należy do moich ulubionych.

Przynoszą kawę, a mojemu gospodarzowi zaczyna się spieszyć.

– No dobrze, komisarzu. Słyszałem, że konferencja prasowa nie poszła najlepiej. Zresztą sam pan wie, że sposób potraktowania sióstr Steele nie jest zgodny z naszym prawem. Ani z waszym.

Nie podoba mi się ten mężczyzna. Nie podobają mi się jego siła fizyczna, jego arogancja, jego studia w Yale, nie podoba mi się, że był kapitanem drużyny futbolowej i uwielbia rolę Jagona w *Otelli*. Może to uprzedzenie, może to słowa mojej matki zasłyszane, kiedy byłem chłopcem.

Zobaczysz, w jakim świecie znajdziemy się za pięćdziesiąt lat dzięki twoim zwycięzcom.

– Jak mieliśmy je traktować, panie Archer? Jak waszego pilota, który bawił się samolotem i zerwał linę nośną kolejki w Cavalese? Co skończyło się na kilku miesiącach więzienia?³

Patrzy na mnie nieco zdziwiony.

– Nie lubi pan Amerykanów, komisarzu?

– Nie lubię uprzywilejowanych. A wy, Amerykanie, często należycie do uprzywilejowanych. Siostry Steele są doskonałymi kłamczyniami, a jedna z nich jest także morderczynią, o ile ze sobą nie współdziałały, bo i to jest możliwe. Ale nie przyszedłem tu narzekać na amerykańskich dziennikarzy, nie obchodzi mnie, co mówią i piszą.

Teraz Archer patrzy na mnie z większą uwagą.

– Komisarzu, przyjąłem pana nieoficjalnie, ponieważ powiedział pan, że przychodzi z tej właśnie przyczyny. Jeśli miał pan inny powód, rozumie pan, że nie mogę...

– Jestem tu, by zadać panu tylko jedno pytanie, panie Archer. Może mi pan odpowiedzieć albo nie.

Kręci głową.

– Nie, panie komisarzu. Mam jeszcze jedną możliwość: nie wysłuchać nawet pańskiego pytania. Może pan je zadać, używając kanałów oficjalnych, jeśli pan chce.

Nie doceniłem go. Gregory Archer wstaje, ja także. Jest młodszy, wyższy i lepiej zbudowany ode mnie.

– Nicole Steele dzwoniła do ambasady, zanim przyszła do nas i pozwoliła się aresztować. Czy to pan z nią rozmawiał?

Coś przemyka przez ciemne oczy Archera. Coś, co każe mi sądzić, że bójka między nami skończyłaby się bardzo źle dla któregoś z nas. Problem polega na tym, że nie wiem dla kogo. Odwraca się do mnie plecami, naciska na przycisk i po pięciu sekundach pojawia się siwowłosa asystentka.

– Jane, komisarz Balistreri wychodzi, odprowadź go.

Nie dziwi mnie zachowanie Gregory’ego Archera. Świadomie go sprowokowałem. I tak nie powiedziałby mi prawdy. Znacznie bardziej interesowała mnie jego reakcja. A reakcję lepiej widać u osób zdenerwowanych niż u spokojnych. Jego była oczywista. Nicole Steele dzwoniła do ambasady amerykańskiej zaraz po tym, jak odwiedził ją Pino Ingrassia, i tuż przed tym, jak przyszła do nas przyznać się do morderstwa. Nie wiem, czy rozmawiała z Archerem, czy z kimś innym. Ale Archer wiedział o tej rozmowie. Prawdopodobnie dotyczyła polecenia dobrego adwokata wobec perspektywy przyznania się do winy. Tego nie mam jak się dowiedzieć, ale w tej chwili to nie ma znaczenia.

Zatrzymuję się przed winiarnią, kupuję butelkę znakomitego chianti i dojeżdżam do domu Bianki autobusem. Mieszczański dom. Zawsze tak myślę, kiedy wchodzę do jednego z tych nieprzeliczonych mieszkań, które nie odzwierciedlają prawdziwej osobowości domowników, lecz to, co się chce, by ludzie myśleli. Dom Bianki jest właśnie taki, mieszczański. Banalne umeblowanie, banalne obrazy, wszystko ładnie wysprzątane.

Banalne życie, fasadowe, szacowne i do bólu przewidywalne.

Otwieram wino na stole w kuchni, ona podgrzewa pulpety w piekarniku. Otwarte okno wychodzi na niewielki dziedziniec kamienicy. Grzebię po kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Potem się zatrzymuję, na chwilę zapomniałem, gdzie jestem. Ale zauważyła mój gest.

– Jeśli nie możesz się powstrzymać, w salonie jest balkon.

– Nie, naleję wino. Pali się po kolacji, nieprawdaż?

Leciutko się uśmiecha.

– Ty palisz, Balistreri. Ja tylko dotrzymuję ci towarzystwa.

Napełniam dwa kieliszki. Podaję jej jeden.

– Wypijemy za coś? – pytam.

Poważnie kiwa głową.

– Pewnie. Za śledztwo. Za nadzieję, że nie pociągnąłeś mnie w przepaść, Balistreri.

– Byłabyś w doborowym towarzystwie. Już mi się to raz zdarzyło, to było moje pierwsze śledztwo w osiemdziesiątym drugim roku. Niesłuszne aresztowanie spowodowało samobójstwo matki oskarżonego.

Rzadko mówię coś bez zastanowienia. A od ponad trzydziestu lat nigdy przy kobiecie. Tymczasem przy niej zaczynam robić to zbyt często.

– Nie ma nic na ten temat w twoim curriculum.

– Mój szef wziął na siebie całą winę. Ale to ja wszystko zawałam.

Jest pierwszą osobą, której to opowiadam. Bianca Benigni myśli jednak o czymś, co dotyczy jej, nie mnie.

– Wszyscy popełniamy błędy, Balistreri. Ja też.

– Jak aresztowanie tego dziennikarza, Franca Romera?

Patrzy na mnie bez słowa. Coś kryje się w jej oczach. Cierpienie, złość, może strach.

– Nie, Balistreri. To aresztowanie było uzasadnione. Inne błędy. A teraz jedźmy pulpety.

Otworzyłam jakieś drzwi. A ona szybko je zamknęła.

Siadamy przy stole.

– I co powiesz, Balistreri?

– Byłaś bardzo odważna, że zapytałaś Nicole Steele o ten telefon do ambasady.

Kiwa głową, zdaje się walczyć ze sprzecznymi myślami.

– Jesteś przekonany, że to była jedna z sióstr?

– Według mnie obie są zamieszane.

– Albo żadna.

– Pani prokurator...

Podnosi rękę, by mi przerwać.

– W moim domu jestem Bianca. Gdzie indziej to co innego, Balistreri.

Pewnie powinienem powiedzieć: „A ja jestem Michele”. Czuję jednak, że nie tego oczekuje.

– Zgoda, Bianca. Ale Bonocorego zabiła jedna z sióstr Steele. Podwójne przyznanie się do winy to uzgodniona strategia prawna. Być może zasugerowana przez ambasadę amerykańską.

– Nie nadążam.

Może powinienem jej powiedzieć o swojej wizycie na via Veneto i trudnej rozmowie z Gregorym Archerem? Ale wciągnąłbym ją w coś, za co mogłaby mieć poważne nieprzyjemności ze strony Abbiatego.

– Pamiętasz tę dawną sprawę małżeństwa Bebawi tu, w Rzymie?

Oczywiście, że pamięta, jest obkuta.

– Pewnie, to było w styczniu sześćdziesiątego czwartego roku. Zginął jej kochanek, Farouk Chourbagi. Mogli go zabić wyłącznie ona albo jej mąż. Ale ta sprawa jest inna, bo tam małżonkowie oskarżali się nawzajem. Po dwóch latach procesu sąd nie doszedł do prawdy i był zmuszony uniewinnić oboje.

– Właśnie. Tu strategia jest odwrotna, ale cel ten sam. Wymyślona przez siostry Steele, powiedziałbym, że przez Nicole. A adwokaci jeszcze ją podszlifują i udoskonalą.

– Balistreri, żadna z nich nie mogła zabić Ingrassii.

– To jasne jak słońce. Ale nie przesądza, że Ingrassia popełnił samobójstwo.

Bianca popija wino. Jej oczy mówią mi, że myśli o czymś innym. O czymś, co może nie ma nic wspólnego z tym cholernym śledztwem. O czymś, co odnosi się do mojego poprzedniego pytania o Franca Romera.

– Możesz być spokojna, Bianca. Pasquale Caruso popełnił samobójstwo, co do tego nie ma wątpliwości. Prowadziłem tamto śledztwo, wiem na pewno, że nikt nie zrzucił Carusa z tamtego żurawia. Sam z niego skoczył po stracie córki i zabiciu mordercy. Romero nie miał racji.

Przez moment wygląda na zdenerwowaną. Nie lubi, jak ktoś czyta jej w myślach. Przez chwilę milczy. A potem uśmiecha się do mnie.

– Wiesz, co mnie uderzyło w tobie podczas tego śledztwa, Balistreri?

– Co takiego?

I to pytanie uświadamia mi, że coś jest nie tak. Nigdy mnie nie obchodziło za grosz, co ludzie o mnie myślą. A zwłaszcza kobiety. A tym bardziej taka kobieta jak ona.

– Nigdy nie zapytałeś mnie o moje kłopoty z Frankiem Romerem ani o śledztwo w sprawie zamówień publicznych. Mimo że to ty prowadziłeś śledztwo w sprawie śmierci Donatelli Caruso i jej ojca. Wiesz, nad czym się zastanawiałam, Balistreri? Czy to dyskrecja, czy olewanie innych.

– To niemożliwa rozmowa, Bianca. Może gdybyśmy wychowywali się razem, potrafilibyśmy się zrozumieć.

Kręci głową.

– Nie, Balistreri. Można wychowywać się razem, żyć razem przez całe lata i nie rozumieć się do końca. To nie zależy od czasu.

W swej mieszczańskiej kuchni Bianca Benigni wygląda inaczej niż prawniczka, którą od lat spotykam w kwesturze i prokuraturze. Siedzi przede mną, je pulpety i pije wino całkiem inna kobieta.

A może prawdziwsza część tej samej kobiety.

Nie obraz, jaki chce pokazać światu: osoby racjonalnej, skutecznej, szanowanej, lecz sama jej esencja, *ukryta istota*, którą próbowałem odnaleźć w licznych kobietach zawsze w ten sam sposób: za pomocą seksu. Tylko że w tym wypadku wiem, że to się tak nie odbędzie.

Co cię to, u diabła, obchodzi, Michele? Ona nie mieści się w twoich kanonach. Pracujesz razem z nią, nie pociąga cię w sposób, który miałby cokolwiek wspólnego z seksem, ściągnęłaby na ciebie mnóstwo komplikacji.

Skończyliśmy jeść. Mam ochotę na papierosa i zakończenie tej rozmowy. Od ponad trzydziestu lat nie pozwalam, żeby kobiety aż tak zbliżały się do mnie. Ale Bianca Benigni robi to całkiem po swojemu, jakby te jej pytania były częścią śledztwa, które nie dotyczy jedynie mnie, lecz także jej.

Tej części, która zawsze z nią była, ale ona nie chce jej widzieć.

Wstaje od stołu z kieliszkiem w ręku.

– Koniec z pracą, Balistreri. Idziemy do salonu, tam jest balkon, będziesz mógł zapalić.

Wstaję, biorę swój kieliszek i wychodzę razem z nią. Wieczór jest ciepły, dzielnica cicha i spokojna. Pasuje do Bianki Benigni.

Zapalam gitane'a, wyciągam w jej kierunku paczkę. Kręci głową.

– Chciałabym, ale nie mogę.

Ileż to razy słyszałem drugą część tego zdania w ustach kobiet, które poznałem? To „chciałabym” było nieme, a temu „nie mogę” już po chwili zaprzeczały fakty. I nigdy nie chodziło o zwyczajnego papierosa.

Ona popija chianti, śledzi wzrokiem żar z mojego papierosa widoczny w

ciemności. Wiem na pewno, że myśli o czymś, co nie dotyczy nas dwojga, ale nie wiem o czym. Gaszę papierosa na balustradzie i chowam niedopałek do kieszeni.

– Chciałabym ci coś pokazać, Balistreri.

Idę za Biancą Benigni przez salon i korytarz prowadzący do części sypialnianej.

W gruncie rzeczy jest taka sama jak inne. Kolacja, kieliszek wina, łóżko.

Jednak drzwi, które mi otwiera, prowadzą do pokoiku wymalowanego na błękit, z dziecięcym łóżeczkiem i mnóstwem rysunków porozwieszanych na ścianie.

Księżę bez oczu walczący ze smokami.

– Ile lat ma twój syn?

– Jedenaście. Ma na imię Luca.

Na ścianach wiszą też fotografie. Bianca, dziecko, mężczyzna. Wykonane w różnych momentach, od najwcześniejszego dzieciństwa ich syna.

Na najstarszym Bianca trzyma na rękach noworodka. Patrząc na to zdjęcie, uświadamiam sobie, jaka była piękna te jedenaście lat temu. I jak bardzo usprawiedliwione były moje myśli.

Małżeństwo i dzieci powoli zabijają kobiety. Mężczyźni umieją się przed tym obronić.

Bo mężczyzna stojący obok niej zmienił się znacznie mniej niż ona. Przystojny, muskularny, sympatyczny, może o nieco zbyt regularnych rysach i za bardzo upozowany na fotografii. Na tej z Biancą i noworodkiem są na plaży, ona w pareo, on w kąpielówkach, opalony i muskularny, z kosmykiem ciemnych włosów wystających spod bejsbolówki. Na fotografii, która, jak sędzę, jest najnowsza, zrobiona gdzieś w górach, dziecko ma minę zbyt poważną, nie patrzy w obiektyw. Bianca jest taka jak dziś, chuda, blada, ze zmarszczkami. A on taki sam jak jedenaście lat wcześniej. Ciemne elegancko uczesane włosy, żółta kurtka przeciwdeszczowa, trochę niepasująca już do wieku, uśmiech jak na pozowanej fotografii zrobionej w zakładzie.

W tym pokoju, na tych obrazkach, w tej pustce dostrzegam znacznie więcej, niż Bianca Benigni mogłaby mi wyjawić, gdyby zabrała mnie do sypialni, rozebrała się do naga i mi się oddała.

To jest jej sposób na rozebranie się przede mną.

Kiedy niedługo potem się zegnamy, zatrzymujemy się na chwilę w

bramie jej domu. Nieco zakłopotany podaje jej rękę, ona ją ignoruje i kładzie mi dłoń na przedramieniu.

– Rozumiesz, dlaczego nie mogę z tobą zapalić?

Kiwam głową.

– Rozumiem. Dobranoc, pani prokurator.

Czwartek, 24 maja 2001

Balistreri

Przewyciężam niechęć do opuszczania biura w ciągu dnia i siadam za kierownicą samochodu. Chcę jechać do Capanniny, ale sam i nie radiowozem. Ta restauracja to prawdopodobnie jedyna istotnie nowa informacja, która pojawiła się w przesłuchaniu Nicole Steele, jedyne, w czym nie mogła kłamać, nie ryzykując, że Scarlett poda inną wersję. Powiedziała, że właśnie w tym lokalu jadła z Victorem Bonocorem i że tam poznali się Scarlett i Pino.

Jadę moim starym fiatem z zamkniętymi oknami i włączoną klimatyzacją. Na zewnątrz jest naprawdę gorąco, pierwszy prawdziwie letni dzień. Mijam dzielnicę EUR i wjeżdżam w Cristoforo Colombo, na drogę do Ostii i nad morze.

Po paru kilometrach przejeżdżam koło uliczki prowadzącej do willi państwa Bonocore. Zjazd do Capanniny jest nieco dalej. Docieram tam w południe, w idealnym momencie, bo już jest personel, a goście jeszcze się nie pojawili.

Gdy wkraczam do sali z nakrytymi stołami, kelner natychmiast wychodzi mi naprzeciw.

– Pan na obiad?

Pokazuję legitymację, a on momentalnie robi krok w tył. Nigdzie nie lubią policji, a sekcji zabójstw tym bardziej.

– Pracuje pan tu codziennie? – pytam.

Potwierdza zafrasowany.

- Tak. Ale wszyscy mamy umowy, panie komisarzu.

Oto pierwsze zmartwienie w tym kraju.

– Nie jestem z gwardii finansowej. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci profesora Bonocorego, a jak się dowiedziałem, czasami przychodził tu na obiad.

– Poproszę menedżera, dobrze?

Nie mam nawet czasu na odpowiedź. Opalony facet w średnim wieku już

się do nas zbliża.

Legitymuję się i menedżer natychmiast robi się usłużny.

– Czym mogę służyć, *dottor* Balistreri?

– Proszę zwołać cały personel pracujący na sali.

Kiwa głową i prowadzi mnie do biura.

– Może wypije pan kawę albo drinka, zanim przyjdą?

– Nie, dziękuję. To nie potrwa długo, proszę się nie martwić.

Wkrótce przychodzi troje kelnerów, jeden starszy, ten, który mnie przyjął, i dwoje młodszych, dziewczyna i chłopak. Wyciągam cztery fotografie: Bonocorego, sióstr Steele i Pina Ingrassii.

– Chciałbym wiedzieć, czy widzieliście ich tu ostatnio.

Starszy kelner potwierdza.

– Profesor i ta pani z rudymi włosami czasami jedli u nas kolację. Myślę, że była jego żoną.

– A pozostała dwójka?

Patrzą uważnie na fotografie, potem odzywa się młodszy kelner:

– To chyba oni. Niecałe dwa tygodnie temu byli tu z profesorem i jego żoną.

Dobrze, przynajmniej w tym Nicole Steele nas nie okłamała.

– Przyjazna rozmowa?

Kelner patrzy na mnie zdziwiony.

– Tak, oczywiście. Ta blondynka była może nieco wyzywająca, w ubraniu i zachowaniu, ale poza tym nic szczególnego.

– Później już tu nie wrócili?

Cisza. A potem kelnerka bierze do ręki zdjęcie Nicole Steele.

– Wydaje mi się, że już nie. Ale kilka dni wcześniej ta pani z rudymi włosami przyszła tu bez tej trójki.

– Sama?

– Z początku tak. Potem dołączył do niej mężczyzna pod czterdziestkę.

Tak to już bywa w śledztwie. Czasem potrzebny jest łut szczęścia.

– A więc przyjechali osobno. Zjedli razem?

– Zamówili tylko kawę i herbatę, a potem wyszli razem. Tamtego dnia była burza, pamiętam, że mężczyzna, wychodząc, założył na głowę czapkę i miał taką dziwną kurtkę przeciwdeszczową, taką jak na stadion.

Nagle czuję, jak przyspiesza mi serce.

– Żółtą?

Zadaję to pytanie z nadzieją, że zaprzeczy.

– Tak, panie komisarzu. Żółtą. Kiedy wyszli, widziałam ich z okna, on zdjął tę kurtkę i dał jej razem z czapką.

– Pamięta pani, do jakiego samochodu wsiedli?

– Na markach się nie znam. Ale był duży, to się chyba nazywa SUV.

– Pracuje pani dziś po południu?

– Tak, jestem do wieczora.

– Dobrze, wróć później z fotografią. A pani niech się postara sobie przypomnieć, jaki to był dzień.

Wychodzę na plac przed restauracją. Staję przy swoim fiacie i zapalam gitane'a. Myślę o oczach Bianki Benigni wczoraj wieczorem, o jej słowach.

Można wychowywać się razem, żyć razem przez całe lata i nie rozumieć się do końca. To nie zależy od czasu.

Przedstawiłem Coppoli sytuację.

– Chyba nie zamierza pan o tym powiedzieć temu wężowi Contiemu ani żółwiowi Abbiattiemu?

Wąż, żółw, księżniczka, kurlевна. Coppola nadaje przydomek każdemu. Muszę pamiętać, żeby któregoś dnia zapytać go o mój.

– Jeszcze nie. Ale ty sprawdź po cichu, co robił *dottor* Annibaldi w dniu, kiedy zabito Bonocorego i kiedy zmarł Ingrassia. I dowiedz się, jakim samochodem jeździ.

– Sądzi pan, że pomagał amerykańskiej kurlównie?

– Ty teraz łap najbliższe intercity do Florencji i jedź pogadać z konsjerżem w hotelu Central, właścicielką baru naprzeciwko i kasjerką restauracji we Fiesole. Ściągnij z Internetu fotografię Giovanniego Annibaldiego, pokaż im i zobacz, czy go rozpoznają.

– A czarnuszek?

– Coppola...

– Przepraszam, chciałem powiedzieć: kelner z pubu.

– Pierre Livingstone jest właścicielem Food and Drink. Ja do niego pójde.

Żegnamy się i Coppola wyrusza w swoją błyskawiczną podróż do Florencji.

W połowie popołudnia wracam do Capanniny. Kelnerka przypatruje się fotografii Annibaldiego i potwierdza.

– To on, na pewno. Z nim była pani Bonocore. Udało mi się dojść, kiedy to było, sprawdziłam w Internecie. Lało w poniedziałek siódmego maja.

Czyli jedenaście dni przed śmiercią Victora Bonocorego.

Późnym popołudniem dzwoni Coppola z Florencji.

– Właścicielka baru naprzeciwko hotelu nie ma wątpliwości, tak samo konsjerż i kasjerka z Fiesole. Nicole Steele była z Giovannim Annibaldim. A jeśli chodzi o samochód, to ma mercedesa. SUV-a.

– Dobrze, Coppola. Teraz wsiadaj do pociągu i wracaj. Nikomu nic nie mów.

Zachodzi słońce. Po uliczkach na Zatybrzu wałęsają się wykończeni turyści w krótkich spodniach i T-shirtach. Dla miejscowych to jeszcze za wcześnie, oni pojawiają się po zmroku.

Food and Drink dopiero otwarto, Pierre Livingstone rozmawia z dwójką kelnerów. Uważnie przygląda się fotografii Giovanniego Annibaldiego. Potem potwierdza.

– To on. Trzy albo cztery razy był tu u Scarlett.

– Dawno?

Zastanawia się chwilę.

– Nie bardzo. Pierwszy raz pojawił się gdzieś na początku tego miesiąca.

– A ostatni?

– Jakiś tydzień temu.

– Przed śmiercią profesora?

Kiwa głową.

– Dzień albo dwa dni wcześniej.

Postanawiam wrócić na piechotę z Zatybrza do biur wydziału kryminalnego. Czerwona tarcza słońca wreszcie chowa się za dachami i czuć pierwsze podmuchy świeżego powietrza. Przechodzę Tyber po moście Garibaldiego, zmierzając w przeciwną stronę niż fala młodzieży, która już wkrótce zacznie się tłoczyć na uliczkach Zatybrza.

Pod prąd.

Zaczynam iść drogą, którą winienem porzucić. Zawsze tak postępowałem, od dziecka. Już za późno, by to zmienić i zacząć przestrzegać reguł.

Doskonale wiem, co powinienem zrobić. Powiadomić mojego bezpośredniego przełożonego, kwestora. On porozmawia z prokuratorem Abbiatim, który odsunie Biancę Benigni od śledztwa z powodu konfliktu interesów. Potem, jak zawsze, ktoś przekaze informację zaprzyjaźnionemu dziennikarzowi, może nawet tej zarozumiałej panience Lindzie Nardi. A Bianca Benigni, po incydencie z Frankiem Romerem, trafi na nowo pod pręgierz.

Ale nie mogę. Coś zapadło mi w serce w związku z Biancą Benigni.

Rozumiesz, dlaczego nie mogę z tobą zapalić?

Piątek, 25 maja 2001

Balistreri

O dziewiątej dzwonię do Bianki Benigni na komórkę. Odbiera po pierwszym sygnale.

– Gdzie jesteś, Balistreri?

– U siebie w gabinecie.

– Faktycznie. Nie wyobrażam sobie ciebie na plaży.

– Twoje jedyne skojarzenie to ja zagrzebany w tym mrocznym pomieszczeniu?

Chwila milczenia. Potem, jak zawsze, wybiera powrót do normalności.

– Nie, chodzi o to, że jesteś taki sam jak ja. Pracujesz za dużo. Coś nowego w naszym śledztwie?

– Tak, jest coś nowego. Ale wolałbym pomówić o tym z tobą osobiście.

– Nie możemy przez telefon? Wzięłam dzień wolnego i właśnie wyjeżdżam.

– Do teściów do Ostii?

– Tak, za chwilę. A potem jadę do mojego domu w górach. Muszę trochę pomyśleć i побыć sama.

– Masz drugi dom, burżujko?

– Właśnie. To jedyne, co odziedziczyłam po rodzicach. Mały domek w Abruzji, nieco ponad godzinę jazdy z Rzymu, niedaleko Campo Felice. No to powiesz mi, co nowego?

Nie potrafię je powiedzieć o Giovannim Annibaldim – o jej *Nannim* – tak po prostu przez telefon.

– Powiem ci w poniedziałek, jak się spotkamy.

Ale Bianca Benigni wśród swoich licznych zdolności posiada także wyostrzoną percepcję. Moje uparte: „Powiem ci, jak się spotkamy” musiało zwrócić jej uwagę.

– Mam propozycję, Balistreri. Zamiast siedzieć i palić w tej swojej dziupli, zrób sobie wycieczkę w góry. Jeśli wytrzymasz do czwartej, zjemy razem, ja przygotuję mięso z grilla, ty przywieź czerwone wino. I opowiesz

mi, co nowego.

Wiem, że nie powinienem, ale nic nie mówię. Ona wypełnia moje milczenie.

– Wyślę ci mail z trasą dojazdu. Nie zgub się tylko, Balistreri.

Przyjeżdżam o czwartej swoim starym fiatem z butelką wina i wspianiałymi wiadomościami. W ciągu godziny, którą zajął mi dojazd, myślałem, jak jej to powiedzieć.

Bez owijania w bawełnę, jak zawsze robiłem z kobietami. Naga okrutna prawda.

Stojący samotnie ocieniony drzewami parterowy domek znajduje się na końcu pnącej się w górę szutrowej drogi. W dolinie poniżej tylko trawa i pasące się krowy.

Ubrana w dżinsy i T-shirt Bianca siedzi w ogrodzie przy składanym stoliku, na którym piętrzą się papiery. W kącie ogrodu pali się grill.

Twój mąż zna obie podejrzane. Kilka razy był w Food and Drink u Scarlett i to on jest mężczyzną w czapce i ciemnych okularach, który towarzyszył Nicole we Florencji i Fiesole.

Ale w tej chwili moja determinacja znika bez śladu. Prawda mogłaby zniszczyć życie tej kobiety. A ja nie mam najmniejszej ochoty, by do tego dopuścić.

Dlaczego, Michele? Co się z tobą dzieje, u diabła? I jak w takim razie chcesz to zrobić?

– Nie byłam pewna, że naprawdę przyjedziesz, Balistreri. Ale i tak rozpałam grill. Wejdz, otworzysz wino, a ja wezmę befsztyki.

Idę za nią do środka. Zacieniony chłodny salonik z aneksem kuchennym, sypialnia, łazienka, schody prowadzące w dół, zapewne do piwnicy.

Otwieram wino, ona wyciąga mięso.

– Wolisz zjeść w środku czy na powietrzu?

– Jak chcesz, pani prokurator.

– Balistreri, już ci mówiłam, że kiedy nie jesteśmy w pracy, możesz mówić mi Bianca.

Pomagam jej opróżnić stół z papierzyk i nakryć na zewnątrz. Ta domowa aktywność dzielona z kobietą jest dla mnie czymś całkowicie nieznanym. Sposobem na poznanie się nawzajem, który zawsze

instynktownie od siebie oddalałem. Potem siadamy, nalewam wino, ona przynosi befsztyki, które okazują się absolutnie doskonałe. Ale przecież tego właśnie należało się spodziewać po Biance Benigni.

Doskonała żona niedoskonałego męża.

– Podoba ci się tu, prawda, Balistreri?

Wiem, co ma na myśli.

Podobają ci się miejsca bez ludzi kręcących się dookoła. Wolisz miejsca od ludzi.

– Wychowałem się na wsi, tuż za rogatkami Trypolisu. Pustynia zaczęła się zaraz za ogrodzeniem mojego domu. Lubię ciszę.

– I dlaczego tam nie zostałeś?

Co mam jej odpowiedzieć? Że moja matka spadła z urwiska, a tej samej nocy pewien dyktator wziął w posiadanie całą Libię i postanowił wygnać z niej Włochów? Że próbowałem zabić tego dyktatora, co mi się nie udało? Że uciekłem w środku nocy w dniu moich dwudziestych urodzin po tym, jak zgwałciłem dziewczynę, którą kochałem, i zabiłem swojego najlepszego przyjaciela?

Co by to dało? Nie potrzebuję się nikomu zwierzać, a już zwłaszcza wyznającej tradycyjne wartości kobiecie, która nigdy by tego nie zrozumiała. Kobiecie, która zbudowała swoje życie na szalonej idei utrzymania stabilności za wszelką cenę.

A dziś powiem jej coś, co na zawsze zburzy to szacowne spokojne życie.

Wiem, że coś zdecydowanie fałszywego pobrzmiwa w okrucieństwie tej myśli. I w tej mojej obsesyjnej potrzebie ciągłego przypominania sobie wszystkiego, co nie podoba mi się w Biance Benigni.

Przynosi kawę. Dwie parujące filiżanki i dwie szklaneczki zimnej wody.

– Tu możesz spokojnie palić.

Zapalam gitane'a.

– Chcesz?

Uśmiecha się.

– Chciałabym, ale nie mogę.

Życiowe motto wielu kobiet takich jak Bianca Benigni. Pewnego dnia, za wiele lat, kiedy będzie już stara, zrozumie, jak bardzo jest ono absurdalne.

– Tu jest pięknie. Nie brakuje ci syna?

Popija kawę pogrążona w myślach.

– Ogromnie. Ale teraz nie mogę się nim zajmować tak, jak powinnam,

lepiej, żeby został u dziadków. Ale troszcę się o niego na odległość.

– A twój mąż?

Pytanie niejasne i kompletnie durne. Odstawia filiżankę. Koniec obiadu. Patrzy mi w oczy.

– Przyjechałeś tu, żeby rozmawiać o mojej rodzinie czy o śledztwie, Balistreri?

Również papieros się wypalił. W relacji z kobietami zawsze wolałem, by fakty zastępowały bezużyteczne często słowa. I prędzej czy później zaczynały rozumieć, co oznacza moje milczenie i moja nieobecność. Taki był mój język. Ale to nie jest prywatna rozmowa, to śledztwo w sprawie morderstwa.

– Twoja rodzina ma związek ze śledztwem, Bianca.

Teraz w twarzy Bianki Benigni wyczytuję strach. I jej reakcja mnie przeraża.

Ona już wie.

– Rozmawiałaś z mężem o sprawie Bonocorego?

– Tylko tyle, ile było konieczne. Poznał siostry Steele podczas debaty na uniwersytecie jakiś miesiąc temu. Jest psychologiem i doszedł do przekonania, że to Scarlett zamordowała Bonocorego. Parę razy mi to powtarzał.

– Ty też wtedy rozmawiałaś z Nicole i Scarlett?

– Nie. Ale... Balistreri, czy ty mnie przesłuchujesz? Nie zapominaj, że to ja jestem prokuratorem.

Już nie, Bianca. Choć jeszcze o tym nie wiesz.

– A twój mąż spotkał się jeszcze z nimi?

Zastanawia się przez chwilę.

– Być może widział się ze Scarlett.

– Przepraszam, pani prokurator. Chcesz mi powiedzieć, że nie wykluczasz, że twój mąż spotkał się ze Scarlett Steele?

– Poznałeś przecież Scarlett. Nie rozumiesz, jakie robi wrażenie na mężczyznach?

Zapalam kolejnego papierosa. Zwrot w tej rozmowie ani trochę mi się nie podoba.

– Jeśli twój mąż spotykał się ze Scarlett, powinnaś...

– Nie powiedziałam, że się z nią spotykał. Widzisz, mój mąż jest roztrzepany. Któregoś wieczoru, parę tygodni temu, powiedział mi, że

zabiera swojego redaktora na kolację na Zatybrze. Następnego dnia w jego spodniach, które miałam oddać do pralni, znalazłam wizytówkę lokalu Food and Drink. Ale wtedy ta nazwa nic jeszcze dla mnie nie znaczyła. Dopiero kiedy przesłuchaliśmy Scarlett Steele po morderstwie, zrozumiałam, że tę wizytówkę musiała mu dać ona na uniwersytecie. Nic w tym dziwnego, gdy się wie, jaka jest Scarlett.

– I nie wkurza cię, że twój mąż właśnie tam poszedł na kolację?

– Balistreri, nie jest powiedziane, że poszedł. A ja go o to nie pytałam. Gdyby próbował mnie przekonać, że Scarlett jest niewinna, może bym zaczęła coś podejrzewać. Ale tak...

– Tak co?

– Balistreri, żony znają swoich mężów. A częścią małżeństwa jest przebaczenie słabości drugiej strony. W pewnych granicach.

– A jakie są te granice, Bianca?

– Znasz to powiedzenie: pies, który dużo szczeka, nie gryzie? Mój mąż potrzebuje sobie od czasu do czasu poszczekać. Ale nie gryzie, z miłości do mnie albo ze strachu, że to odkryję. Zakładając, że raz zabrał tam na kolację swojego redaktora...

– Wracał do Food and Drink trzy albo cztery razy w krótkim czasie, pani prokurator.

Przyjmuje tę informację beznamiętnie. Nie wiem, czy mam teraz przed sobą żonę, czy prokuratora. I może dla niej to bez różnicy.

– Jeśli nie zrobił nic innego, nie widzę problemu. Ani dla relacji z nim, ani dla śledztwa. Jeśli zaś odkryłeś, że miał romans ze Scarlett Steele, powinieneś to powiedzieć zarówno żonie, jak i prokuratorowi.

Bianca Benigni znów jest taka, jaką zawsze widziałem przez te wszystkie lata. Silna, chłodna, racjonalna kobieta.

I bardzo dobrze. To ułatwia całą resztę.

– Rozpoznał go Pierre Livingstone. Twój mąż bywał w Food and Drink. I miał czapkę na głowie, pani prokurator.

Bianca zrywa się z krzesła, staje twarzą do zielonej doliny. Nie chce, żebym widział jej oczy. Żebym odczytał z nich to, co teraz czuje.

Gniew? Strach?

Odwraca się do mnie.

– Porozmawiamy, spacerując, Balistreri?

To nie jest pytanie, tylko polecenie. Wychodzę z nią za płot, ruszamy

ścieżką prowadzącą pośrodku cichej słonecznej łąki.

– Opowiedz mi wszystko, Balistreri. Nie jako żonie. Jako prokuratorowi. I spokojnie, nie zemdleję. A jeśli nawet, podtrzymasz mnie.

Bez słowa wysłuchuje, co mam do powiedzenia: jej mąż był widziany w Food and Drink ze Scarlett, w Capanninie z Nicole, a w dniu morderstwa w barze naprzeciwko hotelu Central we Florencji, też z Nicole. A potem we Fiesole.

Wysłuchuje wszystkiego w milczeniu, aż do końca. Ale jest coś w jej pomarszczonej twarzy, w twardym spojrzeniu, co każe mi bać się o jej męża. Nigdy jeszcze nie widziałem, by patrzyła takim wzrokiem. Nie sądziłem, że może tak patrzeć. Jest w tym taki gniew, jakiego nigdy bym nie połączył z tą kobietą. I muszę jej powiedzieć jeszcze rzecz najtrudniejszą.

– Musieli razem wrócić do Rzymu.

Rozumie doskonale.

– A jeśli wrócili razem o siódmej, to dokąd pojechali?

– O to musimy zapytać. Najpierw twojego męża, następnie wdowę.

Zastanawia się długo, potem podejmuje decyzję.

– Możesz poczekać dwadzieścia cztery godziny?

– To zależy, co chcesz zrobić. Nie chciałbym, żeby...

– Nie mam zamiaru rzucać się na nikogo z nożem, Balistreri. Zwłaszcza na mojego męża. Mam jedenastoletniego syna, pamiętasz? I są takie rzeczy, które Nanni powie tylko mnie, nie prokuratorowi czy naczelnikowi sekcji zabójstw. Jutro jadę do Ostii, porozmawiam z nim.

Martwi mnie to. Kręcę głową.

– Jeśli wyłączysz się ze śledztwa teraz, po tym, co ci powiedziałem, nikt nie będzie mógł cię krytykować, Bianca. Ale jeśli w ciągu najbliższych godzin zrobisz coś, co narazi śledztwo, nikt nie uratuje twojej kariery.

– Wiem, co ryzykuję, Balistreri. Ale są rzeczy ważniejsze od kariery. I myślę, że nawet w twoim sercu jest jakieś miejsce na...

Staram się natychmiast odrzucić od siebie to ostatnie zdanie. Nie chcę, by zakorzeniło się w moim wnętrzu. Coś niemal jak odruch warunkowy każe mi spojrzeć na zegarek.

Nie dopuszczaj nikogo do tego miejsca. Nie bardziej niż dotąd albo będzie bolało, bardzo bolało.

– Dochodzi siódma.

Jej spojrzenie się zmieniło. Nie ma w nim już złości. Jakby podjęła jakąś

decyzję.

– Spiesz ci się, Balistreri? Zostało jeszcze trochę wina.

Wracamy i wchodzimy do domu, kiedy za oknem otwartym w stronę doliny zaczyna zachodzić słońce. Siadamy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, Bianca nalewa nam wina. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie wypła dotąd nawet kropli.

Falami nadpływają niechciane myśli.

Najczęściej zdradzane są kobiety silne, lojalne i odważne. Bo mają u boku mężczyzn, którzy nie wytrzymują porównania. Mężczyzn niezdolnych stanąć na wysokości zadania. Mężczyzn, których poślubiły, wierząc w tę wieczną kobiecą iluzję, że uda się ich uczynić lepszymi, a tymczasem to oni pogrążają swe kobiety we własnej słabości. Bianca chce ocalić męża przed więzieniem. I chce ocalić swoje udawane doskonałe życie.

Tę ostatnią myśl czyta mi z oczu.

– Gdybyś miał dzieci, Balistreri, zrozumiałbyś. Luca jest w tej całej historii jedynym niewinnym.

– Ale twój mąż utrudniał śledztwo. A oprócz tego...

Przerywa mi natychmiast. Nie chce nawet słyszeć drugiej części.

A oprócz tego zdradził twoje zaufanie. Najpierw ze Scarlett, a potem z Nicole.

– Nanni próbował mi na swój sposób powiedzieć, że to nie była Nicole, tylko Scarlett. Sądziłam, że opiera się na swoich obserwacjach jako psycholog. Tymczasem on wie coś, czego my nie wiemy, i starał się uratować mnie przed katastrofą.

Nawet teraz Bianca Benigni obwinia siebie. Nie swojego bezmyślnego męża, nie mnie, choć to ja doprowadziłam ją do przesłuchiwania godzinami Scarlett Steele bez adwokata i do aresztowania obu sióstr bez ustalenia, które z dwóch samooskarżeń jest fałszywe.

– Pani prokurator, twój mąż nie jest policjantem i nie ma racji. Nicole Steele z pewnością jest w to zamieszana. Albo jako bezpośrednia sprawczyni, albo jako autorka planu i zleceniodawczyni. Uwolniła się od gwałtownego męża i odziedziczy górę pieniędzy.

Kręci głową.

– Wybrałaby na mordercę kogoś pewniejszego od swojej siostry. I zbyt jej zależy na Scarlett. W każdym razie to już sprawa twoja, Abbiatego i Contiego. Jutro przekonam Nanniego, by wyznał wszystko, a potem

oczywiście wyłączę się ze śledztwa.

Ale ja nie chcę, by jej kariera rozpadła się w drobny mak z winy dwóch kobiet i męża idioty.

– Nie ma potrzeby, by twój mąż przychodził i opowiadał o tym. Znajdę sposób, żeby zmusić do mówienia siostry Steele. W końcu to one są winne.

Zdejmuje okulary. Jej oczy są nadzwyczaj żywe.

– Dziękuję, Balistreri. Ale żyłam w zgodzie z pewnymi zasadami i wciąż w nie wierzę. Przynajmniej w te, które odnoszą się do sprawiedliwości.

Wstaje, bierze butelkę i nalewa jej zawartość do obu kieliszków.

– A teraz dosyć. Możemy porozmawiać o czymś innym, Balistreri?

Też się podnoszę, stajemy przed otwartym oknem wychodzącym na dolinę. Na zewnątrz jest ciemno, tylko księżyc rzuca światło na panującą wokół ciszę.

Pijemy wino, stojąc obok siebie, oparci o parapet. Nasze łokcie się stykają, rozmawiamy bez słów. Potem ona kładzie mi rękę na ramieniu.

– A teraz zapal mi tego słynnego papierosa, Michele.

Zapalam gitane'a dla niej, później dla siebie. Dwie smużki dymu, dwa rozżarzone punkciki w ciemności.

Nasze oczy się odnajdują i tak już zostajemy, wpatrzeni w siebie nawzajem, niezdolni oderwać od siebie wzroku. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, po raz pierwszy pocałowałem Laurę Hunt w usta. Od tamtej pory nigdy nie zacząłem relacji w taki sposób.

Kiedy spotykają się nasze usta, nie potrafimy już przestać. Wszystko jest w tych pocałunkach: wieloletnia znajomość bez prawdziwego poznania, zbyt długa przeszłość za naszymi plecami, zbyt krótka przyszłość.

Bo oboje wiemy, że nie ma dla nas przyszłości.

Kiedy na podłodze wchodzę w nią, Bianca wciąż wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. Są całkiem inne niż piękne zielone oczy Nicole Steele. To absolutnie nadzwyczajne oczy zwyczajnej kobiety. Co jest w nich tak niezwykłego?

Smutek, czułość, żal.

Bianca zaczyna się poruszać, najpierw powoli, potem coraz mocniej. Dochodzi, patrząc mi w oczy.

– Jaka szkoda, Balistreri.

Sobota, 26 maja 2001

Balistreri

Gdy trzymam Biancę w ramionach, wiem, że ani ten sen, ani to marzenie nie będą trwać długo. Kiedy o ósmej dzwoni budzik w jej komórce, wstajemy. W milczeniu pijemy kawę, siedząc przy kuchennym stole. Zdaje się spokojna, uśmiecha się, trzyma mnie za rękę. Przy pożegnaniu przytula się do mnie.

– Proszę cię tylko o jedno, Michele. Nie chroń mnie przed innymi, z tym sobie poradzę. Chroń mnie przede mną samą.

Ten dzień nie chce się skończyć. Na szczęście w weekendy w kwesturze nie ma prawie nikogo. Zaraz po obiedzie Coppola wsadza głowę do mojego zadymionego gabinetu.

– Poszedłbym już do domu, *dottore*. Ciro gra dziś w kosza i po raz pierwszy jest kapitanem drużyny. A wieczorem zabieram ich do kina, Lucia to uwielbia.

– Jasne, ale jutro rano będę cię tu potrzebował.

– Jutro? Przecież jutro jest niedziela!

– Mamy pilne sprawy, Coppola. Idź do domu, porozmawiamy jutro.

Patrzy na mnie.

– Dobrze się pan czuje, *dottore*? Ma pan taką twarz...

Krasnal już taki jest, balansuje na granicy troskliwości i wścibstwa.

– Jestem zmęczony. Przez całą noc się bzykałem.

Patrzy na mnie zaskoczony. Taki tekst nie jest w moim stylu, o czym wie doskonale.

– Ma pan co innego wypisane na twarzy, *dottore*. Wygląda pan na zbyt szczęśliwego i zbyt nieszczęśliwego jak na zwykłe bzykanie.

– Słuchaj, Coppola. Jeśli nie znikniesz z wydziału w ciągu pięciu minut, zostawię cię tu na cały dzień przy oglądaniu nagrań z monitoringu.

Kłania się i znika.

Bianca telefonuje wczesnym popołudniem.

– Jestem w Ostii u teściów. Mój mąż przyjdzie do ciebie jutro rano, żeby złożyć dobrowolne zeznania. Będzie z adwokatem, którego mu poleciłam.

Jej głos jest jak zawsze spokojny.

– Ty nic nie wiesz, prawda?

– Nic nie wiem, a ty powiadomisz Abbiatego. Dzięki, Balistreri.

Pauza, krótka chwila, w której mógłbym powiedzieć coś o nas.

Otwarte miejsce w moim sercu.

– Dobrze, pani prokurator. Do jutra.

Ale wiem, że tego jutra nie ma.

Niedziela, 27 maja 2001

Balistreri

Coppola nie przepada za pracą w niedzielę. Ale jest na miejscu już o ósmej i promienieje.

– Ciro zaliczył ponad dwadzieścia zbiórek.

Oczywiście, dla Coppoli zbiórki liczą się bardziej od rzuconych koszy.

– Muszę ci powiedzieć jedną rzecz, Coppola. Niedługo przyjdzie tu *dottor* Giovanni Annibaldi, mąż pani prokurator Benigni. Złoży dobrowolne zeznania w sprawie Bonocorego.

– Uwziął się pan na tę kobietę, *dottor* Balistreri. Ale nie ma pan racji. To najlepsza prokurator, jaką znam. A także jako kobieta...

– Mam absolutnie gdzieś twoje zdanie, Coppola. Tu masz być policjantem. Usiądziesz obok mnie i będziesz słuchał. Potwierdź, że rozumiałeś.

Patrzy na mnie bez strachu. W gruncie rzeczy to mi się w nim najbardziej podoba niezależnie od wszystkich jego wad.

– Ja zrozumiałem. To pan powinien zrozumieć.

– Coppola, lepiej pomyśl, czy Lucia i Ciro pojechaliby za tobą do górskiej wioski, gdzie nie ma ani kina, ani drużyny koszykówki.

Wstaje i wychodzi.

Pięć po dziewiątej mój gabinet zasnuwa gęsta chmura dymu, przez którą przebija się wątle światło przepuszczane przez zamknięte okiennice. Słyszę pukanie, mówię: „Proszę” i wchodzi Coppola.

Jest absolutnie niewzruszony.

– *Dottore*, przyszedł *dottor* Annibaldi ze swoim adwokatem. Chce złożyć zeznania w sprawie Bonocorego.

– Dobrze, Coppola. Przyjmiemy go w wygodniejszym pomieszczeniu, nie w pokoju przesłuchań. Muszę powiadomić prokuraturę.

Dzwonię do Abbiatego. Sekretarka mówi mi, że jest na mszy.

– Proszę go powiadomić przez komórkę i powiedzieć, że to nie może czekać ani chwili.

Upływa mniej niż pięć minut.

– *Dottor* Balistreri, jestem na mszy. Nie mógł pan zadzwonić do *dottore*ssy Benigni?

– Mamy u nas męża *dottore*ssy Benigni z adwokatem. Chce złożyć dobrowolne zeznania w sprawie Bonocorego.

– Co takiego? Żartuje pan sobie?

– Ani trochę. Jak pan chce postąpić?

– Wyślę panu prokuratora Contiego, który pomaga Benigni w śledztwie.

Już nie mówi o niej *dottore*ssa.

– Poinformuje pan *dottore*ssę Benigni o tym, co się stało, panie prokuratorze?

Długie westchnienie.

– Oczywiście, *dottor* Balistreri, oczywiście. Ale najpierw dowiedzmy się, co ten pan ma do powiedzenia.

O, tak. A potem użyjesz zeznania tego nieudacznika, żeby postawić Biancę pod pręgierzem.

Ezio Conti pojawia się pół godziny później w stroju do golfa. Udaje grobową powagę żałobnika, ale wiem, jaki jest szczęśliwy, że może pogrzebać Biancę Benigni.

– Wyjaśnijmy sobie najpierw jedno, Balistreri. To bardzo delikatna sytuacja, nigdy wcześniej nam się nie zdarzyła. Ryzykujemy dyskredytację całej stołecznej prokuratury, a Benigni i tak już jest na językach. Pracowaliśmy razem nad sprawą Carusa, ale nie chcę pytać, które...

Mam fatalny humor. A jego ton ani trochę mi się nie podoba.

– Panie prokuratorze, będę zadawał takie pytania, jakie uznam za właściwe, a jeśli ci się to nie podoba, idź się poskarżyć, komu chcesz. A teraz idziemy.

Podąża za mną, burcząc pod nosem, wchodzimy do jasnego obszernego pomieszczenia. Adwokat Giovanniego Annibaldiego nazywa się Ugo Dellai. Znam go, to starszy siwy pan, fantastyczny człowiek. Bianca musiała go wybrać mężowi.

Conti jest nieco zakłopotany, gdy ściska rękę Annibaldiego. Znają się

oczywiście, przecież jest mężem jego koleżanki. Ale prokurator natychmiast nakreśla granice, mówiąc:

– Dzień dobry, *dottor Annibaldi*.

Mecenas Dellai spogląda na nas przez chwilę. Jest wyraźnie zażenowany przystojnym, eleganckim mężczyzną, któremu towarzyszy, i jego nerwowym bębnieniem palcami po blacie stołu. Być może adwokaci wolą bronić inteligentnych przestępców niż nieodpowiedzialnych niewinnych.

– Mój klient jest tu, by złożyć dobrowolne zeznania. Odpowie na każde pytanie, w pełni współpracując z organami ścigania.

– Proszę, *dottor Annibaldi*. Słuchamy – zaczyna formalnie Conti.

Annibaldi ma wydrukowane na twarzy naturalne opanowanie. Bianca musiała go przygotować na tę próbę. A świadomość, że ona jest po jego stronie, dodaje mu sił i pewności siebie.

– Po raz pierwszy spotkałem siostry Steele podczas poczęstunku po debacie na uniwersytecie, w której uczestniczył profesor Bonocore. Było to niecały miesiąc temu, trzydziestego kwietnia.

Conti natychmiast rzuca się na zdobycz. Na swoją prawdziwą zdobycz:

– Była tam także pańska żona?

– Tak, ale nie sądzę, by je w ogóle widziała, a z pewnością nie rozmawiała ani z nimi, ani z profesorem Bonocorem.

Conti z trudnością skrywa lekki grymas rozczarowania. Annibaldi kontynuuje:

– Rozmawiałem z nimi tylko ja. Bardzo krótko, najpierw ze Scarlett, następnie z Nicole, którą przedstawiła mi jej siostra. Wówczas nie zamieniłem ani słowa z profesorem. Nie widziałem sióstr aż do dnia, kiedy przypadkowo spotkałem Scarlett Steele na ulicy, a ona dała mi wizytówkę lokalu, w którym pracowała jako kelnerka, Food and Drink na Zatybrzu. Kilka dni później zabrałem tam na kolację przyjaciela, który to może potwierdzić.

– Dlaczego spośród tylu lokali wybrał pan właśnie ten? – pyta Conti.

Odpowiedź jest gotowa, natychmiastowa i pewna:

– Ponieważ ta dziewczyna jest bardzo atrakcyjna.

Prawda. Co mu poleciała Bianca, to robi.

– I w rzeczy samej, od tamtego czasu byłem tam trzy albo cztery razy, nie pamiętam dokładnie.

Zatrzymuje się na chwilę. Woli, by to Conti zadał oczywiste pytanie:

– Miał pan romans z panną Steele?

Mecenas Dellai podnosi rękę.

– Mój klient jest gotów odpowiedzieć także na pytania tego rodzaju, pod warunkiem że są istotne dla śledztwa, co wydaje mi się wątpliwe.

Conti nie jest tego samego zdania. On węszy za swoją prawdziwą zdobyczą, którą jest nie Giovanni Annibaldi, lecz Bianca Benigni.

– Nie możemy wiedzieć z całą pewnością, czy to jest istotne, ale nie możemy tego wykluczyć. Więc jeśli *dottor* Annibaldi jest naprawdę gotów w pełni współpracować...

– Byłem tylko raz w jej mieszkaniu niedaleko Food and Drink. Nie uprawialiśmy seksu.

Ezio Conti nie jest zadowolony.

– Dobrze, *dottor* Annibaldi. A druga z sióstr i profesor Bonocore?

– To relacja zawodowa, całkowicie niezależna od znajomości ze Scarlett. Mówię o tym dopiero teraz i naruszam tajemnicę zawodową, ponieważ uświadomiłem sobie, że to konieczne, by uniknąć poważnego błędu sądowego.

Linia obrony, którą zasugerowała mu Bianca.

Conti nie potrafi do końca ukryć radości.

– Profesor i jego żona byli pańskimi pacjentami, *dottore*?

– Tak. Kilka dni po naszym przypadkowym spotkaniu na uniwersytecie pani Bonocore zatelefonowała do mnie i zapytała, czy mogę przyjąć na terapię ją i męża. Przyszła raz na krótko do mojego gabinetu. Później spotkaliśmy się w restauracji Capannina, a po spotkaniu na uniwersytecie z profesorem, który zgodził się na terapię, przyjąłem ich.

– Dlaczego?

To moje pierwsze pytanie. Conti patrzy na mnie krzywo, Dallai z zakłopotaniem, Giovanni Annibaldi po raz pierwszy się waha. Jednak Bianca musiała mu zadać także to pytanie.

– Ponieważ żał mi było pani Bonocore.

Nasze milczenie i moje spojrzenie dają mu do zrozumienia, że odpowiedź nie jest wystarczająca. A on trzyma się linii, którą nakreśliła mu żona.

W razie wątpliwości mów prawdę.

– Kiedy przyszła do mnie po raz pierwszy, miała siniec pod okiem.

– Powiedziała, że to dzieło jej męża? – pytam.

– Nie wprost. Ale spotykam wiele par, *dottor* Balistreri. Wiem więcej od pana o tych sprawach.

Otóż to. Prawdziwa natura tego człowieka musi się od czasu do czasu ujawnić. Zarozumialec, który uważa, że coś mu się należy od życia.

– No dobrze – ucina Conti, dla którego to wszystko są głupie pogwarki. – Co było potem?

– Odbyliśmy trzy sesje. Jedenastego, czternastego i osiemnastego maja ostatnią, co oczywiste.

Conti o mało się nie dusi z emocji i radości.

– Osiemnastego maja? Ależ to dzień morderstwa!

Powstrzymuję go spojrzeniem i zwracam się do Annibaldiego:

– Idźmy po kolei, *dottore*. Proszę opowiedzieć o pierwszych dwóch sesjach. Potem porozmawiamy o ostatniej.

Annibaldi patrzy na adwokata, który go uspokaja:

– Proszę się nie martwić tajemnicą zawodową, *dottore*. Niech pan opowie wszystko, co wie.

– Cóż, Bonocore i jego żona należeli do grupy par, które nazywam niewolnica-pan. Aż do przesady. Profesor był z pewnością wyjątkowym narcyzem uwielbiającym jedzenie, wino, a nade wszystko seks. I nie zwyczajny seks, tylko sadomasochistyczny. Opowiadał o więzach, wibratorach, pejczech...

Kątem oka obserwuję obrzydliwe stworzenie siedzące obok mnie i zacierające ręce pod stołem. Annibaldi ciągnie swoją opowieść:

– Tyle że Nicole, choć zakochana, nie chciała spełniać jego zachcianek w tym aspekcie. To prowadziło do kłótni i czasem dochodziło do rękoczynów z jego strony. Później godzili się i zaczęli od nowa. Ponieważ tak robią małżonkowie.

Moja żona jest ze mną. Cokolwiek bym zrobił.

– Rozmawiali o swoich możliwych kochankach? – pyta Conti.

– Nie wprost. Ona z pewnością nie miała nikogo, przed Bonocorem miała tylko jednego chłopaka, wielką miłość. On tymczasem miał wiele relacji.

– Wie pan to z rozmów na terapii czy skądinąd?

Moje pytanie natychmiast irytuje Contiego, lecz Annibaldi odpowiada:

– Skądinąd. Ale żeby o tym mówić, musimy przejść do osiemnastego maja.

– Oczywiście, niech pan mówi – zachęca go Conti.

Ja go jednak powstrzymuję:

– Nie, idźmy w porządku chronologicznym. Mieliście dwie sesje, w piątek jedenastego i w poniedziałek czternastego. Widział się pan z państwem Bonocore przy innych okazjach?

Annibaldi się waha, ale jego oczy nie szukają mecenasa Dellai. Czyli wahanie nie ma związku z motywami formalnymi. Chodzi o coś, o czym wolałby nie mówić.

– Spotkałem się z Nicole Steele w poniedziałek o siedemnastej.

– Przypadkowo? – pytam.

Znów się waha.

Prawda, Nanni. W razie wątpliwości zawsze mów prawdę.

– Zadzwoiła do mnie, była bardzo poruszona i choć nie powinno się widywać z pacjentami poza gabinetem, spotkaliśmy się w pobliżu uniwersytetu, gdzie pracowała ona i jej mąż.

– Czego chciała? – pyta niecierpliwie Conti.

– Profesor wyjeżdżał do Florencji, twierdził, że następnego dnia rano ma wykład na tamtejszym uniwersytecie. Pani Bonocore była przekonana, że to wymówka do spotkania z kochanką, postanowiła więc jechać do Florencji nazajutrz wcześniej rano i zasadzić się przed hotelem profesora. Chciała, bym jej towarzyszył, kompletne szaleństwo.

– A pan jej to oczywiście odradzał – mówi rozczarowany Conti.

– Tak. Ale ona była uparta i zafiksowana na tym pomysle. I w tym miejscu popełniłem błąd. Aby uniknąć rodzinnej katastrofy, zgodziłem się jej towarzyszyć.

Conti niemal drży z rozkoszy, a ja się zastanawiam, co zmusiło tego tchórzliwego człowieka do popełnienia takiej nieroztropności.

Żal? Miłość? Interes? Co jeszcze ukrywa?

– Dlaczego? – pytam go.

Wzdycha. Bez wątpienia przygotował się na to pytanie.

Dlaczego zgodził się na coś tak szalonego?

– Bo naprawdę było mi żal pani Bonocore.

Taka jest odpowiedź. Lapidarna i oczywista. Zbyt lapidarna i oczywista, by była do końca szczerą. I po raz pierwszy to ja muszę zadać sobie jeszcze jedno pytanie.

Pozwoliłaś mu kłamać w jakiejś sprawie, Bianca?

Conti jest teraz nieco zagubiony. Wszystko to wykracza poza jego

zdolność rozumienia spraw ludzkich.

– Proszę wybaczyć, *dottor Annibaldi*, ale nie nadążam. Ma pan żonę, zadurzył się pan w pięknej dziewczynie, jaką jest *Scarlett*. Do tego miejsca rozumiem. Ale kilka dni później jest pan tak pochłonięty jej siostrą, że posuwa się pan do zignorowania reguł deontologicznych swojego zawodu i zwyczajnej roztropności?

Pompatyczne słowa, długie zdania. Ale w istocie i ja podzielam tę wątpliwość. Tymczasem *Annibaldi* nie ma żadnych wątpliwości:

– *Scarlett* jest łatwą dziewczyną, *Nicole Steele* to księżniczka.

Mniej więcej tak samo zdefiniował je *Coppola*. Zastanawiam się, czy to samo *Annibaldi* powiedział także *Bianca*.

– Zgoda, zgoda. – Teraz *Conti* jest niecierpliwy. – A więc doszliśmy wreszcie do osiemnastego maja. Proszę nam szczegółowo opowiedzieć o tym dniu, *dottore*.

– Spotkaliśmy się wcześniej rano przed moim gabinetem, tam zostawiliśmy moje auto i pojechaliśmy *bmw Nicole*. Prowadziła ona i przed dziewiątą byliśmy we *Florencji*. Zostawiliśmy samochód na parkingu i przyszedliśmy przed hotel, w którym zatrzymał się profesor *Bonocore*. *Nicole* postanowiła, że usiadziemy w barze naprzeciwko, by sprawdzić, czy jej mąż wyjdzie sam, czy w towarzystwie kobiety. Mniej więcej o dziewiątej *Bonocore* się pojawił i na szczęście był sam. Miałem nadzieję, że na tym się skończy, ale tak się nie stało. *Nicole* weszła do holu i zapytała konsjerżę, czy jej siostra spędziła tam noc. Odpowiedział, że tak, ale już się wymeldowała. *Nicole* dostała ataku nerwowego, próbowałem ją uspokoić. W końcu mi się udało, ale od tej chwili zaczął się inny dzień. Zaprowadziła mnie do *Galerii Uffizi*, żeby zobaczyć *Narodziny Wenus Botticellego*. Potem pojechaliśmy na obiad do *Fiesole* i zostaliśmy tam jakiś czas. Wróciliśmy do *Rzymu* około siódmej.

Conti patrzy na mnie z zadowoleniem. Pominąwszy udział *Annibaldiego*, potwierdza się wszystko, co dotąd ustaliliśmy. Ale nie ma pojęcia o tym, co się zaraz stanie.

– O której godzinie mieliście umówione spotkanie z profesorem? – pytam *Annibaldiego*.

– Jakie spotkanie? – wyskakuje *Conti*.

– Sesja miała się odbyć o siódmej trzydzieści – odpowiada natychmiast *Annibaldi*.

Patrzę mu prosto w oczy.

– I po tym wszystkim, co się stało we Florencji, pani Bonocore była nadal zainteresowana terapią małżeńską?

Patrzy na mnie, jakbym nic nie rozumiał.

– Oczywiście. Niektóre kobiety uciekają, inne walczą.

Zbyt przygotowana i mało przekonująca odpowiedź.

To twoje kłamstwo czy Bianki?

Conti nie może wytrzymać.

– Zostawmy to na razie. Co było dalej?

– Kiedy przyjechaliśmy, profesor już tam był, wziął taksówkę. Zapewne nieco się zdenerwował, widząc mnie z żoną, a Nicole już była bardzo wzburzona. Skończyło się na tym, że zaraz po rozpoczęciu sesji zaczęli się kłócić, on wykręcił jej nadgarstek, a ja uderzyłem go w twarz, żeby przestał, w młodości trenowałem boks. Profesor zabrał klucze do samochodu, powiedział Nicole, że wyrzuca ją z domu, i odjechał. Sam. To musiało być o ósmej albo niewiele później.

Conti patrzy na mnie zdruzgotany. To jedno słowo, *sam*, rzuca cień na nasze śledztwo, co nawet on rozumie.

– Pani Bonocore została z panem? – pyta.

A ten bezużyteczny, strachliwy, zarozumiały człowiek odpowiada z pewnością, jaką dała mu Bianca. Kobieta, która i tak będzie trwać przy jego boku.

– Oczywiście. Była fizycznie i psychicznie sponiewierana, czuła się zdruzgotana. Co miałem zrobić, wyrzucić ją?

Conti patrzy na mnie z nadzieją. Nie zamierzam jednak niczego mu ułatwiać, więc to on musi zadać to przekłętą pytanie:

– Do której był pan z Nicole Bonocore?

Ta odpowiedź powinna być dlań najtrudniejsza, a udziela jej bez wahania:

– Zostaliśmy w moim gabinecie mniej więcej do dziesiątej. Potem zawiozłem ją samochodem do domu, bo Nicole chciała zabrać przynajmniej paszport, żeby przemocować w hotelu i następnego dnia odlecieć do Stanów. Dotarliśmy na miejsce około dziesiątej dwadzieścia. Ich bmw stało na placu przed willą, ale w budynku było ciemno. Otworzyła swoimi kluczami i weszliśmy razem do środka. Nie było światła. Na schodach na piętro przyświecaliśmy sobie latarką i tak doszliśmy do sypialni.

Słyszę obok siebie ciężki z przejęcia oddech Contiego. Moja kolej:

– Proszę dokładnie opisać, co pan zobaczył.

Annibaldi zaczyna od razu, już to przetrenował:

– Bonocore leżał na łóżku, ramiona miał rozpostarte i przykute dwiema parami kajdanek do wezglowia, spodnie i slipy opuszczone do wysokości kolan, odkryty brzuch, na którym wycięto słowo PIG. A na głowie plastikowy worek.

Nikt nie zadaje pytania: „A co zaszło między panem a Nicole Steele w pańskim gabinecie między ósmą a dziesiątą?”.

Pewnie Bianca już mu zadała to pytanie. Conti milczy, bo jest oszołomiony. A ja milczę, bo to na nic mi się nie przyda. Bo nie ma znaczenia dla śledztwa. Bo dotyczy tylko tego nudnego człowieka i jego żony. Bo nawet nie chcę tego wiedzieć.

Conti jest w euforii, wiarygodność Bianki Benigni została nadszarpnięta. Ale też całkiem słusznie niepokoi go los śledztwa, które właśnie spadło mu na głowę.

– *Dottor* Annibaldi, powiedział pan na początku, że zdecydował się zeznawać, by uwolnić od podejrzeń Nicole Steele. Teraz jest jasne, że pańska rekonstrukcja wydarzeń ją uniewinnia, ale jest też jasne, że ma pan wiele sympatii dla tej kobiety. Czy jest coś albo ktoś, kto może potwierdzić pańskie zeznania?

Annibaldi patrzy na niego z nieukrywaną pogardą.

– Ezio, sądzisz, że wystawiałbym na szwank swoje małżeństwo, pracę i karierę mojej żony, by wymyślać alibi dla Nicole Steele? Zamknęliście dwie siostry. Jedną słusznie, druga nie ma z tym nic wspólnego. Dajże spokój.

Conti próbuje jeszcze zadać ostatni cios, śmiertelny:

– Kiedy poinformował pan żonę o tym wszystkim?

O, tak, włącznia w bok Chrystusowy. Annibaldi rzuca mi przelotne spojrzenie. Potem uśmiecha się pogodnie do Ezia Contiego.

– Dziś o świcie. Wahalem się, czy przyjść tu i opowiedzieć wam wszystko. Ale Bianca nie chciała nawet o tym słyszeć.

Pozostaje pytanie, którego nie zadałem Biance.

Gdzie był twój mąż wieczorem, kiedy zmarł Pino Ingrassia?

Ale teraz nie mogę o to spytać. Bo adwokat zabroniłby Annibaldiemu odpowiadać. Albo też ten podły mąż, słaby, niezdolny mierzyć się z życiem człowiek, powiedziałby: „Z żoną”.

I Bianca miałyby jeszcze poważniejsze kłopoty.

Abbiati jest spięty do granic, irytuje go nawet ewidentne zadowolenie Contiego.

– Przekłete media nas zniszczą. Jak mogliśmy przeoczyć tę historię?

Próbuję go uspokoić:

– Nic się nie stanie, jeśli będziemy trzymać się faktów, panie prokuratorze. A fakty są takie, że Bianca Benigni nie wiedziała absolutnie nic aż do dzisiejszego świtu i gdy tylko mąż opowiedział jej o wszystkim, zmusiła go, by przyszedł z tym do nas i powiedział prawdę.

Abbiati patrzy na mnie przeciągle.

– A pan w to wierzy, *dottor* Balistreri?

Odwzajemniam spojrzenie.

– Chce pan, żebyśmy zaczęli zgłębiać ten temat?

Abbiatego oblatuje zimny dreszcz, i to bynajmniej nie z powodu klimatyzacji.

– Gdyby miało się potem okazać, że Benigni wiedziała wcześniej...

– Nie wiedziała wcześniej, może pan być pewny. A więc nic się nie okaże.

– No dobrze, już dobrze. Wyjaśnię z Benigni sytuację i zwołam konferencję prasową na siódmą wieczór. A do tego czasu niech pan posiedzi nad wszystkim razem z Contim, chcę was mieć obok siebie na spotkaniu z dziennikarzami.

Konferencja prasowa okazuje się koszmarem, którego nawet sceniczne zdolności i doświadczenie Carla Abbiatego nie potrafią opanować. Słyszając sensacyjną wiadomość: „Mąż prokurator Benigni zapewnia żelazne alibi Nicole Steele”, reporterzy przypuszczają gwałtowny atak na pośpiech, w jakim prowadzono śledztwo.

Amerykańscy dziennikarze żądają natychmiastowego zwolnienia sióstr Steele, włoscy atakują prokurator Benigni, która już raz popełniła poważny błąd, niesłusznie aresztując ich kolegę Franca Romera.

Abbiati odpiera, jak może, zarzuty co do sposobu prowadzenia śledztwa. Przypomina wszystkim, że Scarlett Steele przyznała się do winy i aktualnie

jest jedyną oskarżoną, nie zapomina o tym, że ciąży na niej także zarzut pomówienia Pierre'a Livingstone'a. I podkreśla, że również Nicole Steele została aresztowana, ponieważ przyznała się do winy. Amerykańscy dziennikarze protestują, pytają, dlaczego nie wycofano natychmiast zarzutów i nie uwolniono jej z aresztu. Abbiati przygotował się i na to pytanie:

– Jej alibi aktualnie opiera się wyłącznie na zeznaniach pana Annibaldiego, których prawdziwość trzeba jeszcze sprawdzić i potwierdzić. Poza tym pani Bonocore poważnie utrudniała śledztwo, dążąc do uniewinnienia swej siostry.

Linda Nardi, dziennikarka z „Il Domani”, kieruje pytanie bezpośrednio do mnie:

– *Dottor* Balistreri, współpracował pan blisko z prokuratorem Benigni. Czy w trakcie śledztwa nie pojawił się żaden element, który mógłby prowadzić do jej męża?

Pytanie pułapka. I nie mogę się od niego uchylić prostym „Bez komentarza”.

– Mieliśmy niejasne sygnały o jakiejś osobie, która towarzyszyła pani Bonocore we Florencji. Zaczęliśmy tworzyć jej portret pamięciowy, ale *dottor* Annibaldi uprzedził nas, dobrowolnie składając zeznania. Nie mieliśmy natomiast żadnej poszlaki, która kazałaby nam podejrzewać, że towarzyszył on pani Bonocore w tym czasie, gdy zamordowano profesora.

Abbiati zamyka konferencję prasową. Wychodzimy przez drzwi prowadzące na tył kamienicy. Przy pożegnaniu spogląda mi w oczy.

– Jest pan absolutnie pewien, *dottor* Balistreri, że nie ma już niczego takiego, co wie pan, a my nie?

To bardzo przenikliwy i rozważny człowiek. Inaczej nie szefowałby stołecznej prokuraturze. Wiem, że nie mówi o siostrach Steele, mówi o mnie i o Biance Benigni. O tym, co wiedzieliśmy, a czego nie. I kiedy się o tym dowiedzieliśmy. Gdyby właścicielka baru we Florencji, Pierre Livingstone czy inni świadkowie zobaczyli jutro zdjęcie Annibaldiego w gazetach i szepnęli jakiemuś dziennikarzowi, że pokazałem im fotografię tego samego mężczyzny...

Ktoś inny przejąłby się własną karierą i reputacją. Ale ja doświadczyłem gorszych rzeczy w życiu. Co mnie może obchodzić ten kraj hipokrytów, tchórzów i zdrajców, którzy zaczęli wojnę po jednej stronie, a skończyli po drugiej?

Nic, naprawdę nic mnie nie obchodzą ani oni, ani moje żałosne miejsce pracy. Biurokrata w służbie kraju, w którym nie oszukują jedynie ci, co nic nie potrafią.

Uśmiecham się do Abbiatego.

– Nie ma nic więcej. Teraz wracam do wydziału, czeka nas mnóstwo pracy. I musimy razem z Contim raz jeszcze przesłuchać siostry Steele.

Zamiast tego idę do domu, muszę się przespać i nabrać energii. Zanim nałykam się pigułek, dzwonię do Coppoli.

– Sprawdź szczegółowo zeznania Annibaldiego. Musimy mieć pewność, że nie wymyślił sobie tego wszystkiego, by zapewnić alibi Nicole Steele.

– Ale *dottore*, wiemy już, że przynajmniej co do Florencji mówił prawdę.

Coppola ma rację, a ja chwytam się nadziei, że to Giovanni Annibaldi kłamał, a nie Bianca.

– Nic nie wiemy, Coppola. Poza tym najbardziej nas interesuje to, co się zdarzyło w Rzymie między siódmą a dziesiątą wieczorem, kiedy zamordowano Bonocorego. Przepatrz nagrania monitoringu z okolic gabinetu Annibaldiego, zobacz, gdzie był jego mercedes i bmw żony Bonocorego. I zweryfikuj trasę po komórce Annibaldiego, sprawdź wszystkie jego esemesy i rozmowy. Zapytaj sąsiadów jego gabinetu, czy coś widzieli albo słyszeli.

– Jasne, *dottore*. Zaraz bierzemy się do pracy.

Wtorek, 29 maja 2001

Balistreri

Gdy przyjeżdżam do kobiecego więzienia w dzielnicy Rebibbia, Ezio Conti rozmawia z bardzo elegancką kobietą w średnim wieku. Mecenas Bellavista jest jedną z najlepszych włoskich obrończyń. Przyczyniła się do uniewinnienia skorumpowanych polityków, bankrutów, mafiosów i niejednego mordercy, używając wszystkich kruczków prawnych dostępnych w niejasnym i skomplikowanym kodeksie karnym. Bardzo droga, z pewnością zbyt droga dla Scarlett Steele, ale nie dla Nicole. I z pewnością starsza siostra opłaciła honorarium.

Wita mnie chłodnym uściskiem dłoni. W końcu wie, że jej prawdziwym przeciwnikiem nie będzie Ezio Conti w sądzie, tylko ja jeszcze przed procesem.

Kiedy pojawia się Scarlett w rozciągniętym dresie, bez makijażu i ze ściętymi po męsku włosami, strategia obrony przyjęta przez mecenas Bellavistę staje się dla mnie oczywista.

Młoda, zaledwie dwudziestoletnia dziewczyna, naiwna i przestraszona, oddalona o tysiące kilometrów od domu, przesłuchiwana godzinami bez adwokata przez brutalnego policjanta i prokurator, która nie powinna w ogóle zajmować się tą sprawą.

Siadamy, ja i Conti po jednej stronie stołu, Scarlett i jej adwokat po drugiej. Dziewczyna jest naprzeciwko mnie, ale unika mojego wzroku.

Po wstępnych formalnościach zabiera głos Bellavista:

– *Dottor Conti, jak już wcześniej panu mówiłam, moja klientka nie odpowie na żadne pytanie, które będzie się wiązało z jej oświadczeniami złożonymi przed aresztowaniem w warunkach niegwarantujących należnych jej praw.*

Conti potwierdza skinieniem głowy.

– Chodzi o nowe wyjaśnienia odnoszące się do całkiem innych faktów.

– Dobrze, panie prokuratorze, ufam panu.

To „panu” mecenas Bellavista podkreśliła tonem głosu. I Conti może

zacząć przesłuchanie.

– Panno Steele, zna pani kogoś o nazwisku Giovanni Annibaldi?

Scarlett się uśmiecha.

– Jasne, że znam Johnny’ego!

– I wie pani, że jest żonaty?

– Oczywiście.

– A wie pani, z kim jest żonaty?

Patrzy na nas, jakbyśmy byli chorzy na umyśle.

– Jakie to ma znaczenie? Ale nie, nie znam jego żony.

Mecenas Bellavista zna się na swojej robocie. Zrozumiała, że coś jest nie tak.

– Wydaje mi się, że panna Steele odpowiedziała na pytanie. Powiedziałabym, że na razie to powinno wystarczyć.

Conti zgadza się z grobową miną.

– Oczywiście, pani mecenas. Możemy odesłać pani klientkę do celi.

Zabierają Scarlett do celi, a ja wychodzę na papierosa. Nie mam ochoty wysłuchiwać fałszywego żalu w głosie Contiego, który odprowadza mecenas Bellavistę do wyjścia.

Mecenas Guerra i Nicole Steele zjawiają się razem w więziennej rozmównicy. Oboje młodzi, piękni, wykształceni. Zastanawiam się, czy Nicole wybrała go świadomie, na swój obraz i podobieństwo. Także w tej chwili, kiedy już wiem, że nie zabiła męża, bo ma żelazne alibi, sądzę, że Nicole Steele jest znacznie niebezpieczniejsza dla mężczyzn niż jej seksowna siostrzyczka, która została jedyną oskarżoną o spowodowanie śmierci Victora Bonocorego. Jak to powiedział Coppola? Scarlett jest na górze, Nicole na dole. Ja nie jestem tego aż tak pewny.

Załatwiwszy wstępne formalności, Ezio Conti zwraca się do Nicole:

– Zna pani Giovanniego Annibaldiego?

Reakcja różni się znacznie od tego, co pokazała po sobie Scarlett. To mieszanina irytacji i niepokoju.

– Znam, jestem u niego na terapii.

Wtrąca się mecenas Guerra:

– Prawo chroni tajemnicę zawodową. Chyba że kwestia ma coś wspólnego ze śledztwem.

Conti przyjmuje posągową pozę.

– Zeznania pana Annibaldiego przeczą samooskarżeniu pana klientki, mecenasie. Czy pańska klientka zamierza potwierdzić czy też wycofać swoje zeznania?

Guerra spokojnie się uśmiecha.

– Samooskarżenie nie ma żadnego znaczenia z procesowego punktu widzenia. Moja klientka nie miała wówczas przy sobie adwokata, co jest niezgodne z przepisami prawa. A więc nie ma niczego, co mogłaby potwierdzić bądź wycofać. Zechce mi pan powiedzieć, o czym mówimy?

Conti kiwa głową, rzuca mi wymowne spojrzenie przypominające, że to moja i Bianki wina i że on nie ma z tym nic wspólnego, a potem kontynuuje:

– Powinna być pani zadowolona, pani Bonocore. Zeznania pana Annibaldiego przeczą pani zeznaniom. Była pani z nim przez cały dzień we Florencji, a następnie od siódmej do dziesiątej w Rzymie. Nie mogła pani zabić męża.

Guerra patrzy najpierw na Contiego, potem na swoją klientkę.

– Kim jest ten cały Annibaldi? – pyta.

– Psychologiem, który prowadził terapię małżeńską moją i Victora – odpowiada natychmiast Nicole.

– A także mężem prokurator Bianki Benigni.

Moje słowa nie były przewidziane i powodują silne reakcje. Conti jest siny, Guerra zszokowany, Nicole przerażona. Jej głos drży:

– Ja nic wcześniej nie wiedziałam, zrozumiałam dopiero po zabójstwie, kiedy przyszliście do mnie i rozpoznałam *dottoressę* Benigni, którą widziałam tylko raz, na uniwersytecie, z mężem.

Conti próbuje kontynuować. Zwraca się do Guerry:

– Czy pańska klientka jest gotowa odpowiedzieć na nasze pytania?

Ale teraz Guerra czuje się silny, znacznie silniejszy.

– Nie w charakterze zatrzymanej. W świetle zeznań pana Annibaldiego i wobec braku dowodów, które przeczyłyby jego zeznaniom, musicie zwolnić moją klientkę.

– Mecenasie – zauważa Conti – w najlepszym razie pańska klientka poważnie utrudniała śledztwo.

– Ponownie przypominam, że moja klientka została przesłuchana bez adwokata i cokolwiek wówczas powiedziała, nie ma wartości prawnej.

Conti odwraca się do mnie kompletnie zbity z tropu. Oczywiście obwini

o to mnie i Biancę, ale nie ma wyjścia i obaj o tym wiemy.

Ale Nicole Steele kręci głową.

– Wyjdę stąd tylko wtedy, kiedy wyjdzie także Scarlett.

Conti patrzy na nią z irytacją, Guerra z zaskoczeniem. Więc ja odzywam się do niej:

– To nie jest hotel, pani Bonocore. To my decydujemy, czy i kiedy pani wyjdzie, nie pani. Niemniej zażądamy, by oddała pani paszport, nie wolno pani opuścić Włoch. Będzie pani mogła poczekać, aż wyjdzie także pani siostra za jakieś dwadzieścia lat.

Guerra wypowiada jakiś pełen oburzenia komentarz, Conti wybąkuje przeprosiny, ale Nicole Steele patrzy na mnie. Może myśli, że zrobi na mnie takie wrażenie jak na Annibaldim. Ale jej piękne oczy niczego nie mówią. A za nimi, w głębi, kryje się kobieta, która mi się nie podoba.

– Moja siostra jest niewinna, *dottor* Balistreri.

Adwokat kładzie jej rękę na ramieniu.

– Pani Bonocore, w tym momencie nic nie zrobimy.

Nicole nie chce go słuchać.

– Popełnia pan błąd, *dottor* Balistreri. Osoba, która zabiła mojego męża, to nie Scarlett.

Prokurator Carlo Abbiati jest wyraźnie zafrasowany.

– Naprawdę nie mamy szczęścia. Gdyby w dniu śmierci Bonocorego dyżur miał inny prokurator, a nie *dottor*essa Benigni, oszczędzilibyśmy sobie masy kłopotów.

Conti potwierdza.

– Tak. Nie powinieneś być dawać jej tych dwóch dni wolnego, właśnie ze mną zamieniła się na dyżur. Wtedy ja bym dostał to śledztwo.

Abbiatiemu teraz nie w głowie narzekania na nieprzychylny los. Musi myśleć o wieczornym dzienniku telewizyjnym.

– Co robimy, Balistreri? Ja bym zwolnił Nicole Steele.

– Ja bym ją zatrzymał przynajmniej do czasu, gdy alibi dostarczone jej przez Annibaldiego potwierdzą inni świadkowie. Sam pan to powiedział na konferencji prasowej, nie chce pan chyba samemu sobie przeczyć?

Abbiati patrzy na mnie wyraźnie zirytowany.

– Balistreri, jeśli pomyliliście się w sprawie Nicole Steele, trudno. Ale

jeśli za kilka dni będziemy musieli zwolnić także jej siostrę, Amerykanie nas zniszczą.

– Na Scarlett Steele mamy całą górę dowodów oraz przyznanie się do winy.

W drzwiach pojawia się asystentka Abbiatego.

– Jest tu inspektor Coppola, mówi, że to pilne.

Wpada zasapany Coppola, nawet się nie wita.

– Znaleźliśmy coś, *dottore*. Bmw Nicole Steele zostało nagrane przez kamerę monitoringu na viale Cristoforo Colombo niedaleko gabinetu *dottor* Annibaldiego o siódmej dwadzieścia pięć tamtego wieczoru. W środku widać, choć niewyraźnie, dwie sylwetki, kobietę za kierownicą i mężczyznę w fotelu obok.

Conti jest podekscytowany. Dostaje potwierdzenie teorii, która mu się przyda, żeby zniszczyć Biancę.

– To jest dokładnie godzina, o której Annibaldi miał przyjechać wraz z Nicole Steele na spotkanie z Bonocorem.

Coppola ciągnie:

– O ósmej trzynastej ta sama kamera znów nagrała to bmw z jedną osobą w środku, niemal na pewno mężczyznę. Według zeznań *dottor* Annibaldiego, o tej godzinie Bonocore opuścił gabinet i zabrał samochód Nicole. By dotrzeć do swojej willi, musiał jechać dokładnie tamtą drogą.

– Doskonale – mruczy Conti.

– Dziesięć po dziesiątej w tym samym miejscu przejechał mercedes Annibaldiego, widać tablicę rejestracyjną. Twarze w środku nie są dobrze widoczne, ale na pewno prowadzi mężczyzna i ktoś siedzi obok niego.

Conti jest w siódmym niebie.

– To z pewnością Annibaldi i Nicole Steele. Wszystko potwierdza zeznania Annibaldiego.

Ale Coppola jeszcze nie skończył:

– Jest jeszcze jedno. Z kryminalistyki przyszedł raport z badań w mieszkaniach Pina Ingrassii i Scarlett Steele. Na korkociągu w mieszkaniu Scarlett znaleziono ślady krwi. Badania DNA potwierdziły, że to krew Bonocorego.

Chyba moje spojrzenie uświadomiło Coppoli, że jestem niezadowolony.

– Zrobiłem coś nie tak, *dottor* Balistreri?

– Wykonałeś świetną robotę, Coppola. Jeśli nie masz nic więcej, możesz

odejść.

Stropiony Coppola kręci głową. Był przekonany, że go pochwałę. Ale musi się jeszcze nauczyć, jak radzić sobie z hierarchią służbową. Wychodzi przygnębiony, pochmurniały.

Abbiati ma ulgę na twarzy.

– A więc wreszcie wiemy, która z nich. Czyli to Scarlett.

– Co wcale nie jest powiedziane.

Conti patrzy na mnie z pobłażaniem.

– Nie jest powiedziane?

Ignoruję go i zwracam się bezpośrednio do Abbiatego:

– Powinien pan opóźnić zwolnienie Nicole Steele. Nie można wykluczyć, że to ona zorganizowała wszystko. Istnieje ryzyko, że ucieknie do Stanów.

Abbiati kręci głową.

– Nie ma mowy, Balistreri. Roztrąbiliśmy na cały świat informację, że alibi Nicole Steele zostało potwierdzone, teraz podpiszę dokumenty i jutro pani Bonocore wychodzi. Niemniej nakażę zatrzymanie jej paszportu.

– Musi mi pan dać zgodę na jej obserwację.

– Nie słuchał mnie pan, Balistreri. Nie chcę więcej kłopotów z Amerykanami.

– Nicole Steele jest niebezpieczną i bardzo inteligentną kobietą. Może uciec i bez paszportu, a wtedy nigdy jej nie ściągniemy z powrotem. Wiemy, jak w takich wypadkach działają Amerykanie.

Abbiati patrzy na mnie lodowato.

– Pani Bonocore została oskarżona o przestępstwo, którego nie mogła popełnić. Ma żelazne alibi, które zapewnił jej mąż Bianki Benigni, i na terytorium Włoch musi pozostać wolna i może poruszać się, gdzie chce. Utrudniała śledztwo, by chronić siostrę, i za to odpowie przed sądem. Więcej nie mogę zrobić.

Nie ma sensu przedłużać dyskusji.

– Dobrze, panie prokuratorze.

Nie jest ani trochę spokojny.

– A pan niech się trzyma od niej jak najdalej. Nie wolno panu w tej sprawie niczego podejmować bez mojej zgody, inaczej zawiadomię kwestora.

Jakby mnie to obchodziło.

Środa, 30 maja 2001

Balistreri

Nie wiem dlaczego, ale chcę popatrzeć Nicole Steele prosto w oczy.

Podjeżdżam pod więzienie w samą porę, późnym przedpołudniem. Na placu przed bramą las mikrofonów otacza wdowę Bonocore i mecenasa Guerrę. On mówi ostrożnie. Zna Włochy i włoski wymiar sprawiedliwości. Wie, że musi przyjąć zwycięstwo bez przesadnego triumfu, bo będą jeszcze inne procesy w jego karierze. Uspokaja agresywne pytania amerykańskich dziennikarzy o nadużycia prokurator Benigni i komisarza Balistreriego podczas śledztwa.

– Jesteśmy świadomi trudności, jakie również moja klientka mogła spowodować. Cieszymy się, że kiedy tylko pojawiły się nowe elementy w śledztwie, prokuratura oceniła je w błyskawicznym tempie i zaproponowała zwolnienie z aresztu.

Ale Amerykanie nie zapomnieli, że w areszcie przebywa jeszcze druga siostra. Dziennikarz z CNN zwraca się do Nicole Steele:

– A co z pani siostrą?

Nicole, piękna, elegancka, skromna, z rudymi włosami upiętymi w kok i podtrzymywanymi zieloną spinką, powtarza to samo, co już mnie powiedziała:

– Scarlett jest trochę dziecinna, ale nie ma z tym nic wspólnego.

Potem odwraca się, jej oczy napotykają moje. Uśmiecha się ironicznie, wykonuje ledwie widoczny ukłon, jej usta układają się w jedno włoskie słowo.

Addio.

Myślę o tym przez całe popołudnie w moim biurze.

Gdzie teraz może być Nicole Steele?

I nagle przed oczami staje mi Bianca. Nie namyślając się, wybieram jej numer.

– Michele?

– Gdzie jesteś?

Chwila milczenia.

– W mojej kryjówce w górach. Wolałam zniknąć. Ale nie chcę cię tutaj.

Bezlitosna dosadność tych słów każe mi rzucić słuchawkę. Dręcząca mnie myśl jest jednak silniejsza.

Dokąd się uda Nicole Steele?

Wyciągam służbową berettę z szuflady, gdzie leży nieużywana od bardzo dawna. Sprawdzam, czy jest naładowana i zabezpieczona, i wkładam ją do kieszeni kurtki. Jestem gotowy.

Tym razem pada. Jest silna burza, z tych, które przychodzą nagle jedynie w lecie. I bardzo dobrze. Słońce nakręca emocje i zaćmiewa umysł. A teraz, gdy jadę swoim starym fiatem w góry, do domku Bianki, potrzebuję jasnego umysłu i emocjonalnego chłodu.

Kiedy parkuję przed domem, jest już ciemno. W salonie pali się światło. Wsiadam i pukam do drzwi. Żadnej odpowiedzi. W dolinie i w domu panuje absolutna cisza. Jedyńm dźwiękiem, jaki słyszę, jest deszcz bębniący po dachu i szybach. Okiennice są otwarte, Bianca nie mogła wyjść, zostawiając wszystko w takim stanie.

Błyskawicznie wyważam okno i przeskakuję przez parapet. Staję w pustym salonie, wyciągam berettę.

– Bianca!

Ten krzyk wydaje mi się absurdalny i taki właśnie jest. Stoję w miejscu wpatrzony w zamknięte drzwi, za którymi są schody prowadzące w dół, pewnie do piwnicy. Mija bardzo długa sekunda albo bardzo krótka minuta, nie wiem. A potem te drzwi się otwierają.

Bianca Benigni patrzy na mnie, zamyka drzwi. Jest ubrana w dres i tenisówki. Jej oczy za kujońskimi okularami są przestraszone.

– Napędziłeś mi stracha, Michele.

Kiedy chowam berettę do kieszeni, ulga, jaką czuję, natychmiast ustępuje miejsca złości.

Nie wolno ci się o nią bać.

– Musimy porozmawiać, Bianca.

Kręci głową.

– Naprawdę musimy, Michele?

Nie możemy zapalić papierosa i całować się?

– Gdzie był twój mąż tamtego wieczoru, kiedy zmarł Ingrassia?

Wiem, w tym pytaniu kryje się gwałtowna burza. Wichura zabierająca ze sobą wszystko, co jest między nami, bo znam odpowiedź, której mi udzieli żona doskonała.

Piękna kobieta, nienaganna żona i matka, wyjątkowa prokurator, osoba, dla której zasady są jednocześnie siłą i więzieniem. Na krótką chwilę pozwoliła mi zobaczyć jeszcze inną Biancę Benigni, kobietę, w której mógłbym się nawet zakochać.

– Nie masz mi nic do powiedzenia, Bianca?

Patrzy teraz w okno, w ciemność, deszcz, samotną dolinę. Wiem, że walczy ze sobą: poprosić mnie o papierosa i powiedzieć prawdę czy zamknąć na zawsze te uchylone drzwi pomiędzy nami? Potem zdejmuje kujońskie okulary, chce, żebym dobrze widział jej oczy.

– To, co miałabym ci do powiedzenia, nie ma związku ze śledztwem, Balistreri. A teraz też z niczym innym. W każdym razie tamtego wieczoru Nanni był ze mną.

Słyszę w sobie ten przekłety głos, ten sam co ponad trzydzieści lat temu, kiedy zobaczyłem tego drugiego, jak wychodził chyłkiem z domu Laury Hunt.

Wszystkie są takie same, wszystkie kłamią.

I nagle wylewają się ze mnie słowa pełne wściekłości, słowa służące do zniszczenia wszystkiego, nawet wspomnień, podsycane przez złudzenie, że będzie się przez to mniej cierpieć.

– Pozwoliłaś mi się zerznąć w zamian za czas na rozmowę z mężem i uratowanie go. Na zapewnienie mu fałszywego alibi i ocalenie twojego doskonałego małżeństwa.

Nasz niewypalony papieros się skończył. Jej oczy patrzą na mnie, może czekają na słowa pojednania, na łagodny gest, na uśmiech. Ale mój umysł jest silniejszy niż serce, toteż stoję przed nią, czekając, aż dopadnie ją rezygnacja.

– Jaka szkoda, Balistreri.

Wracam w strugach ulewnego deszczu. Włączam radio. Melodia jest

przepiękna, słowa nie.

*We've walked disguised on the edge of a knife
We knew this was our only possible life
A mask on my face a grip on my heart
Driving with you in a driverless car*

*I've tried all my best to be brave
I've tried to forget about being safe
I wanted so hard to believe we could fly
In a new future under a different sky*

*I know you made the promise in good faith
To protect me from myself before it was too late
To help me out in that impossible task
To keep together the future and the past*

*But when you said let's go
I turned my back no no
But when you said let's fly
I said it was too high*

*'Cause reality is the cruelest measure of hope
It's like a continuously tightening rope
It's like acid slowly corroding your soul
Reminding me I have just one suitable role*

*The role I have chosen a long time ago
Before you existed before I could know
That the woman I thought I wanted to be
In the end meant closing love outside of me*

*Now I see I have only one possible life
Where I play my role of the perfect wife
One where only your memory can stay
While you slowly walk for ever away.*

Interludium

Scarlett Steele stanęła przed sądem i została uniewinniona od zarzutu nieumyślnego zabójstwa ze względu na brak wystarczających dowodów oraz skazana za składanie fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa na cztery lata więzienia. Odsiedziała je w rzymskim więzieniu na Rebibbii. Po odbyciu kary wróciła do Stanów Zjednoczonych, gdzie pisze książkę poświęconą swojej historii.

Śmierć Pina Ingrassii została uznana za samobójstwo.

Stołeczny prokurator Carlo Abbiati awansował i został sędzią Trybunału Kasacyjnego. Jego miejsce w rzymskiej prokuraturze zajął Ezio Conti.

Bianca Benigni odeszła z prokuratury i wraz z synem przeprowadziła się do miasta L'Aquila, gdzie otworzyła kancelarię adwokacką.

Michele Balistreri pozostał w policji. Wielokrotnie odmawiał awansu na stanowisko naczelnika wydziału kryminalnego.

Linda Nardi została najbardziej błyskotliwą i wzbudzającą lęk przedstawicielką włoskiego dziennikarstwa śledczego.

W roku 2011 Michele Balistreri i Linda Nardi, po wielu wspólnie przeżytych doświadczeniach, odkryli, że łączy ich więź najgłębsza, jaka może istnieć pomiędzy dwiema istotami ludzkimi.

Inspektor Antonio Coppola, zwany Krasnalem, zginął bohaterską śmiercią w styczniu 2006 roku w strzelaninie, ratując życie Michele Balistreriemu.

Nicole Steele znikła tego samego dnia, kiedy ją zwolniono, chociaż zatrzymano jej paszport. Mimo poszukiwań policji całego świata nigdy jej nie odnaleziono. Pojawiały się sygnały z Ameryki Południowej, Azji, Afryki, jednak każdy okazywał się fałszywym tropem.

CZĘŚĆ DRUGA

Niedziela, 27 listopada 2011

Balistreri

Jest poranek i moi rówieśnicy są z żonami na mszy, uprawiają jogging (tylko ci, którzy jeszcze mają na to siły) albo wychodzą na spacer z psem lub wnukiem. Ja leżę w łóżku i śpię do oporu, odkąd miesiąc temu złożyłem obietnicę: koniec z papierosami i tylko jedna kawa dziennie. Coś, czego za nic w świecie nie zrobiłbym dla żony, kochanki czy partnerki, zrobiłem dla córki, o której istnieniu jeszcze niedawno nic nie wiedziałem.

Kiedy zastanawiam się, czy strzelić sobie od razu tę jedyną kawę, czy zachować ją sobie na po obiedzie, słyszę pukanie do drzwi.

– Tak?

– Pokojówka.

Uśmiecham się nie z żartu, ale do jego autorki. Otwieram i Linda Nardi podaje mi papierową torbę, z której wydobywa się boski zapach rogalików świeżo upieczonych w piekarni na dole.

Wchodzi i idzie prosto do kuchni.

– Chcesz herbaty, Michele?

– Właśnie się zastanawiałem, kiedy mam wypić tę jedyną kawę, na którą mi pozwoliłaś.

– Trzymaj ją na po obiedzie, teraz ci zrobię bardzo dobrą herbatę.

– Herbata nigdy nie jest bardzo dobra, a do rogalików potrzebna jest kawa i papieros.

Chuśta torbą z rogalikami nad koszem na śmieci.

– To może wolisz tak?

– Cholera, zróbże przynajmniej mocną tę herbatę!

Siadamy w kuchni. Nie nawykłem do takiej troski. Jedna część mnie cieszy się nią, druga mówi: *Co się z tobą dzieje, Balistreri? Ramolejesz?*

Linda nalewa mi herbatę do filiżanki.

– Słuchaj, Michele. Ty pamiętasz, że dziś lecę do Kenii, prawda?

– Pewnie, to dlatego przyniosłaś rogaliki. Przepraszam. Jedziesz do swoich sierot i...

Chciałbym powiedzieć: „I lecę z tobą”. Tylko że nie przechodzi mi to przez gardło. Trzeba czasu, by przeprawić się od pustki do pełni.

– Jadę do moich sierot i do mojego kenijskiego chłopaka.

Herbata jest dobra i mocna. W życiu tego nie przyznam.

– Sieroty są prawdziwe. Ale coś mi się wydaje, Linda, że chłopaka to sobie wymyśliłaś.

– Wolałbyś, żebym go sobie wymyśliła?

– Nie. Tylko po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że masz kenijskiego chłopaka.

– W sensie że kenijskiego czy że chłopaka?

Wiem, że wchodzę na śliski teren, ale postanowiłem być szczery z tą kobietą. Zawsze.

– Jedno i drugie.

– Widzisz mnie tylko jako starą pannę?

– Nie. Chodzi o to, że nie wyobrażam sobie kogoś...

Dorównującego ci? Potrafiącego cię znosić? Kto mógłby ci się spodobać?

Uśmiecha się.

– Ma na imię John. I jest w sam raz dla mnie, możesz być spokojny. Na Boże Narodzenie przylecisz do Nairobi i wtedy ci go przedstawię.

Natychmiast kręcę głową.

– Rodzinne Boże Narodzenie? Ostatni raz miałem takie w dzieciństwie, zanim zginęła matka. Obawiam się, że to nie dla mnie.

– Oj tam, oj tam, przecież to twój Nietzsche powiedział, że życie jest wiecznym powrotem. Wszystko powraca, także Boże Narodzenie. A w sierocińcu jest wyjątkowo piękne.

– Linda, jeszcze zobaczymy. Jeśli będę czuł się na siłach, przylecę i przedstawię mi Johna.

Waha się przez moment. A potem postanawia, że to powie.

– Michele, chciałam poprosić cię o przysługę. Pamiętasz mojego kolegę z pracy sprzed dziesięciu lat, Franca Romera?

– No pewnie. Razem z tobą próbował zniszczyć Biancę Benigni.

– Nie zaczynajmy od nowa. I on, i ja próbowaliśmy opowiedzieć prawdę. Potem zmuszono go, by zostawił temat, i wtedy porzucił dziennikarstwo. Jego żona pojechała do Argentyny z innym mężczyzną i zabrała ze sobą ich syna. Od czasu do czasu go odwiedzam. A teraz jest z nim bardzo źle, ma

raka w stadium terminalnym.

Pierwsza rzecz, która przychodzi mi do głowy, to że Romero jest młodszy ode mnie, i czuję uderzenie strachu. A to przeraża mnie jeszcze bardziej, bo jeśli czegoś wcześniej nie znałem, to właśnie strachu przed śmiercią.

Kolejna konsekwencja obecności Lindy. Teraz chcę żyć.

– Przykro mi to słyszeć, Linda. Co miałbym zrobić?

– Romero chce z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Nie powiedział mi. Mówi, że to niebezpieczna sprawa i nie chce, żebym ja się tym zajmowała. Ale podał nazwisko osoby, której to dotyczy: Pasquale Caruso.

– Linda, ta sprawa już dawno jest zamknięta. Na cztery spusty. Romero pewnie chce znowu ponarzekać na Biancę Benigni.

Linda zjada ostatni kęs swojego rogalika i patrzy łakomym wzrokiem na to, co zostało z mojego.

– Nie chcesz już?

Podaję jej talerzyk. Taka była nasza pierwsza kolacja sześć lat temu. Miłość do tiramisù u kobiety tak pięknej i jednocześnie tak nietroszczącej się o wygląd otwarła drogę do miłości. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakiego rodzaju to miłość, sądziłem, że wylądujemy w łóżku, ale na szczęście nie tak to się potoczyło. Dopiero sześć lat później, po piekle przeżyтым w bombardowanym Trypolisie, zrozumiałem, co nas wówczas powstrzymało. To był inny rodzaj miłości. Więzy silniejsze, nierozzerwalne. Więzy krwi.

Linda patrzy na mnie z zaciekawieniem.

– Podobała ci się Bianca Benigni, prawda? Pamiętam, jak jej broniłeś przede mną na konferencji prasowej.

Na to nie byłem przygotowany. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, mimo siły naszej nowo odkrytej więzi temat nie jest dla mnie łatwy.

– Zadawałaś tendencyjne pytania. A ona była naprawdę świetnym prokuratorem.

– Od tamtej pory nie miałeś z nią kontaktu?

Pytanie odbieram jako rodzaj oskarżenia.

Dlaczego to sprawia mi taką przykrość?

– Nie. Wiem, że odeszła z prokuratury i otworzyła gdzieś na prowincji kancelarię adwokacką. Nic więcej.

– Przeniosła się w góry, do L’Aquila. Z synem. Mąż został w Rzymie, ma wciąż ten sam gabinet, do którego przychodzili Victor i Nicole Bonocorowie. Żyją w separacji, ale nie sądzę, by się oficjalnie rozwiedli.

– To mnie nie dziwi. Była znakomitym prokuratorem, ale kobietą racjonalną i bardziej zwracającą uwagę na formę niż na treść.

Linda głaszcze mnie po ręce.

– A treścią byłeś ty?

To zupełnie niesamowita rozmowa. Niesamowita przez to, kim jestem, kim jest ona, przez jej lekkość, przez tę spokojną małą kuchnię, herbatę, gorące rogaliki, przez to, co czujemy.

– Lepiej, że to się tak skończyło. Obawiam się, że nie podobałby ci się jej widok przy moim boku.

Na chwilę nieruchomieje, by na mnie popatrzeć, jakby coś sobie przypomiwała.

– Nie chciałeś jej odnaleźć przez te wszystkie lata?

– Linda, przecież wiesz, jak funkcjonuje moja głowa. Jak koniec, to koniec.

– Pewnie, że wiem, i to bardzo dobrze. Kiedy chcesz wymazać jakąś osobę z pamięci, wbijasz sobie do głowy najgorszy jej obraz z możliwych, żeby mniej cierpieć. Ze mną przecież było tak samo.

– Dobra, ale już dosyć, nie chcę więcej o tym rozmawiać.

Czas się pożegnać. Ściskamy się, a ona patrzy mi w oczy.

– Kiedy przylecisz do Kenii, powiem ci coś o tej kobiecie.

– Nic o niej nie chcę słyszeć.

Uśmiecha się.

– Nie wierzę. A teraz bierz prysznic i idź, Romero czeka. Tu masz adres.

Jeśli chodzi o dziennikarzy, nauczyłem się o nich jednej rzeczy. Ważni mieszkają w centrum. Bardzo ważni – w lepszej dzielnicy, a w centrum mają garsonierę, zazwyczaj mansardę z widokiem na dachy Rzymu. Franco Romero do nich nie należał. Jego niewielkie mieszkanie leży na Monte Sacro. Mieszkał tam już w 2001 roku, zanim opuściła go żona, zabierając syna. W domofonie słyszę głos bardzo zmęczonego człowieka:

– Kto tam?

– Michele Balistreri.

Słyszę charakterystyczny brzęk, otwieram i wchodzę na trzecie piętro. Czeka na mnie przy schodach. Pamiętałem go jako postawnego mężczyznę, a mam przed sobą wychudzonego jak szkielet pięćdziesięciolatka. Przez przedpokój wprowadza mnie do saloniku wyposażonego w kilka niedrogich mebli. Wewnątrz króluje bałagan typowy dla domów bez kobiet, w powietrzu unosi się stęchły zapach lekarstw i papierosowego dymu.

Na regale fotografia sprzed co najmniej dziesięciu lat. On w zdecydowanie lepszej formie, nieznana mi kobieta nieco przy kości i mały chłopak. Ale żona odeszła z innym i przeniosła się do Argentyny, zabierając ze sobą syna.

Są tacy, co uważają, że rak zaczyna się wtedy, kiedy kończą się marzenia.

Romero zbliża się z wysiłkiem do kredensu, wyciąga butelkę chivasa i nalewa sobie szczodłą porcję z dwiema kostkami lodu.

– Też się pan napije, Balistreri?

To jeszcze nie jest pora obiadowa, to nie jest lagavulin i obiecałem Lindzie, że postaram się długo żyć. Ale Romero wzbudza moją sympatię. Bo mieszka w zwyczajnej dzielnicy, bo żona zostawiła go samego, bo z popielniczki wysypują mu się niedopałki, bo pije whisky przed południem, bo nie narzeka na swoją sytuację.

– Na dwa palce. Bez lodu.

Nalewa, podaje mi szklankę i siada naprzeciwko.

– Dziękuję, że pan przyszedł. I przepraszam, że skontaktowałem się za pośrednictwem Lindy.

– Bardzo ufam jej osądowi.

– Ma pan rację. Kiedy przyszła na praktykę do „Il Domani”, koledzy ją podrywali, a ona była miła dla każdego, ale jasno przy tym wyznaczała granice i nie bawiła się niczym kosztem. Najlepsza praktykantka, jaką w życiu widziałem, po prostu predestynowana do tego zawodu.

– A z panem się spotykała?

Uśmiecha się, o ile ten grymas złożony ze zmarszczek na skórze opinającej czaszkę można nazwać uśmiechem.

– Wyłącznie z powodów zawodowych. Bardzo interesowała się moją pracą, ale nie mną. Nie chcę pana jednak zanudzać. Czy Linda powiedziała, dlaczego chciałem się z panem spotkać?

– Wspomniała coś o sprawie Carusa.

– Czytał pan wtedy moje artykuły o jego samobójstwie?

Przypominam sobie Biancę Benigni siedzącą naprzeciwko mnie w swojej kuchni dziesięć lat temu.

Aresztowanie Franca Romera było uzasadnione.

Dziwny niepokój, który wywołały tamte słowa, wciąż pozostał w jakimś zakamarku mojej świadomości.

– Nie znalazłem tam nic, co by dotyczyło mojego śledztwa w sprawie śmierci Donatelli Caruso. Nie podawał pan w wątpliwość samobójstwa jej ojca, tylko jego motywy.

– Napisałem, że Pasquale Caruso być może zabił się nie tylko z powodu śmierci córki, ale również przez problemy finansowe związane z jego działalnością w firmie budowlanej i przez śledztwo w sprawie zamówień publicznych, które prowadziła Bianca Benigni.

– A Bianca kazała pana aresztować. O co dokładnie pana oskarżyła?

– O działanie na szkodę śledztwa bez wystarczających dowodów. Ale zostałem zwolniony.

– Romero, możliwe, że Caruso miał problemy finansowe i że nałożyły się one na cierpienie po śmierci córki. Ale zamknęliśmy śledztwo, nie mając wątpliwości ani co do nazwiska mordercy Donatelli, ani co do samobójstwa jej ojca. Czy coś się zmieniło?

Moja szklanka whisky jest jeszcze nienaruszona, lecz on tymi swoimi drżącymi kościstymi rękami napełnia ponownie swoją.

– Miałem niezaprzeczalny dowód kłopotów finansowych, w które wpadł Caruso. A teraz mogę o tym mówić.

– Nie rozumiem, panie Romero. Dlaczego nie podał pan tego dowodu Biance Benigni? I dlaczego nie zrobił pan z tego gorącego tematu w mediach? Po zwolnieniu z aresztu nie napisał pan już na ten temat ani jednej linijki. Zamiast tego wziął pan urlop, a potem całkiem porzucił dziennikarstwo. I dlaczego dopiero teraz może pan o tym mówić?

Kręci głową, jakby przypominał sobie zbyt bolesne wydarzenia. Uświadamiam sobie, że zadałem same logiczne pytania z wyjątkiem ostatniego, bo odpowiedź mam przed oczami. Patrzę na niego, kiedy zapala papierosa.

Czy można zazdrościć umierającemu człowiekowi, że może zapalić? Czy można pytać umierającego, dlaczego dopiero teraz?

Zaczęło padać. Słyszę daleki grzmot i widzę pierwsze strużki deszczu na okiennej szybie.

– Także tamtego kwietniowego wieczoru przed dziesięciu laty mocno padało.

Przez chwilę obawiam się, że majaczy w gorączce.

– Romero, którego wieczoru?

– Tego, kiedy Pasquale Caruso został zniszczony. Przegrał w pokera miliard lirów⁴.

– Skąd pan to wie?

– W jednym miejscu nad Tybrem był kiedyś klub brydżowy, nazywał się Szlem. Teraz już go nie ma. Na zapleczu oficjalnej sali do gry była jeszcze jedna, zarezerwowana dla nielicznych i dobrze znanych gości. Tam grało się w pokera na wysokie stawki. Bardzo wysokie. Chodzili tam politycy, biznesmeni, bogaci próźniacy. A ja bardzo lubiłem pokera, niekiedy zostawiałem tam całą pensję. Caruso był znacznie ode mnie bogatszy i chodził tam prawie codziennie.

– Miliard lirów to ogromna suma, nawet w nielegalnym pokerze. Jest pan pewien?

– Balistreri, ja siedziałem przy tamtym stole. Było nas czterech. Ja, Caruso i architekt Aimone znaleźliśmy się już wcześniej. Tego czwartego wcześniej nie widziałem, przyszedł po raz pierwszy, wprowadził go Aimone.

– I co się stało?

– Graliśmy w teresinę⁵. Duża szybka kasa. Ja spasowałem. W grze został tylko Caruso, Aimone i ten nieznajomy. Aimone właśnie podbił stawkę. I z pięćdziesięciu milionów lirów na stole zrobiło się sto. Aimone z czterema odkrytymi kartami i jedną zakrytą miał już prawie fula na waletach, Caruso trójkę asów, a nieznajomy cztery piąte strita w kierach: ósemkę, dziewiątkę, dziesiątkę i damę. Do pełnego strita brakowało mu waleta kier. Którego nie było ani w odkrytych kartach, ani w tych trzech, które dostałem przed spasowaniem. Zostawało dwadzieścia kart. Prawdopodobieństwo, że właśnie nieznajomy ma waleta kier, było bardzo niskie.

– Rozumiem. Jak wysoko podbił nieznajomy?

Przez chwilę milczał, jakby odtwarzał całą scenę w pamięci.

– Otóż to. Zawistował sto milionów bez podbijania.

– Dostał kolor, który bił fula Aimonego.

– Widzę, że zna się pan na pokerze, Balistreri. To samo pomyślałem. I oczywiście także Caruso. To on podbił. Dwieście milionów. Razem w puli było czterysta milionów.

– Jego zakrytą kartą był czwarty as.

– Albo blefował.

Kręcę głową.

– Nie, panie Romero. Przy takich stawkach blefujesz tylko wtedy, gdy ktoś jeden ma mocną kartę, a ty znasz jego reakcje. Ale w tym wypadku dwóch miało mocną kartę. Caruso z pewnością miał czwartego asa. I co się stało?

– Aimone spasował, nie miał szans przeciwko tym dwóm. Nieznajomy podbił do miliarda. Caruso długo się zastanawiał, ale został w grze. A nieznajomy wyłożył waleta kier.

– Kto rozdawał?

– Nieznajomy. Caruso zrobił się kompletnie błądy. Powiedział, że nie ma pokrycia w banku na takie pieniądze. Ale że posiada mieszkania. Nieznajomy powiedział mu, żeby je sprzedał, on poczeka, byle nie za długo. Caruso podpisał mu coś na kartce i wyszedł. Później już o tym nie myślałem, aż Caruso stracił córkę, a potem sam się zabił. Wtedy napisałem te artykuły. Chciałem, żeby Bianca Benigni wzięła to pod uwagę przy śledztwie w sprawie zamówień publicznych.

– Nadal nie rozumiem. Jeśli już, to ta historia interesowałaby bardziej mnie i Ezia Contiego, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie zamordowania Donatelli Caruso i samobójstwa jej ojca, choć w tym drugim przypadku nie było wątpliwości. Co wspólnego miały zamówienia publiczne z miliardem lirów przegranym w pokera?

Kiwa głową.

– Rozumiem pańską wątpliwość. Nie śledził pan losów dochodzenia Bianki Benigni?

– Nigdy nie zajmowałem się zamówieniami publicznymi, panie Romero. Wiem, że Caruso miał firmę, która brała udział w przetargach, ale sekcja zabójstw w swoim śledztwie nie znalazła żadnych związków z jego firmą czy z zamówieniami.

– Caruso był uczciwy i jego firma była czysta, ale bardzo konkurencyjna. I może z tego powodu uwierała niebezpieczne towarzystwo. To, którym zajmowała się Benigni.

Mam wrażenie, że to, co mówi Romero, donikąd nie prowadzi.

– A co ma z tym wspólnego partia pokera?

– Bianca Benigni złożyła dymisję z prokuratury po tym, jak upadła

sprawa Bonocorego. Drugie jej śledztwo również umarło śmiercią naturalną. Ale akta muszą jeszcze być w archiwum, Balistreri.

To nie jest odpowiedź na pytanie.

A może jest.

Romero zaczyna kaszleć. Kaszle i zaciąga się papierosem. Już nawet ja miałbym ochotę mu powiedzieć, by to rzucił.

– Dlaczego nie napisał pan o tamtej partii pokera?

Patrzy na oprawioną fotografię stojącą na regale.

– Tych dwoje jest daleko od wielu lat. Dziś nikt już nie może mi nic zrobić.

Tego się nauczyłem przez lata spędzone w policji. Na drodze do prawdy stoi wiele przeszkód. Interes osobisty, ignorancja, strach. Dziesięć lat temu Franco Romero miał zbyt wiele do stracenia. A zbyt wiele do stracenia oznacza zbyt wiele strachu.

Dziś nikt już nie może mi nic zrobić.

– Rozumiem, panie Romero. Zjrzą do akt prokurator Benigni w sprawie zamówień. A jeśli chodzi o tego czwartego człowieka... o tego, który wygrał miliard od Carusa... nic mi pan nie może powiedzieć?

Romero wstaje z wysiłkiem. Drży, kaszle, powłóczy nogami aż do drzwi. Kiedy staje na progu, podaje mi drżącą kościstą rękę.

– Wyślę panu list. A pan niech ponownie otworzy tę sprawę.

Przez ostatnie dziesięć lat nie zmieniałem gabinetu. W środku też wszystko zostało po staremu: drzwi i biurko z laminatu, zapadnięte fotele, kanapa z coraz bardziej popękanej skóry. Ale rzuciłem palenie i okna mam szeroko otwarte nawet w listopadzie. A na biurku stoją dwie fotografie w ramkach. Pierwsza przedstawia Antonia Coppolę w koszykarskim stroju, jak kończy dwutakt pod koszem. Druga, czarno-biała, została wykonana w kwietniu 1971 roku w szpitalnej sali. Przedstawia dwudziestoletnią niezwykle bladą dziewczynę trzymającą w ramionach noworodka. Tym noworodkiem jest Linda, moja córka.

By nie zapomnieć o błędach.

Graziano Corvu jest moim jedynym zastępcą. Najlepszy analityk we włoskiej policji, niezrównany, gdy chodzi o przeglądanie stron w sieci, baz danych, zapisów monitoringu. Doskonałe uzupełnienie dla intuicji, na której

ja opieram prowadzenie śledztwa.

Nasza relacja przeszła przez wiele trudnych momentów, jak tamten wieczór, gdy z pośpiechu i po powierzchownej ocenie sytuacji wysłałem Coppolę na śmierć. Ale Corvu, choć nieraz padał ofiarą moich zmiennych nastrojów, niezrozumiałych poleceń i kontrowersyjnych metod, zawsze wolał zostać ze mną. Bo mimo kompletnie różnych charakterów w jednym się zgadzamy.

Przywiązanie, uznanie, szacunek okazuje się jedynie czynami, słowa nic tu nie znaczą.

Corvu wysłuchał w milczeniu streszczenia tego, co mi powiedział Franco Romero.

– Co mam robić, *dottor* Balistreri?

Taki wzorzec obowiązywał przez lata: ja wydaję polecenia, on je wypełnia, często nie wiedząc nawet dlaczego. Oczywiście to moja wina. Ale wraz z nową rolą, jaką odgrywa w moim życiu Linda, również w tej sprawie coś się zmieniło.

Nie lubisz, jak inni czują się dobrze w twoim towarzystwie, Michele? Wiesz, że to niewiele kosztuje?

– A ty co byś zrobił, Corvu?

Najpierw okazuje zdziwienie, a potem zadowolenie, że go pytam o zdanie.

– Postarałbym się dowiedzieć, do kogo należał klub Szlem. Sprawdziłbym trzeciego gracza, tego Aimonego, i wyciągnąłbym od niego, kim był nieznajomy, który wygrał miliard, skoro to on wprowadził go do klubu.

– Doskonale. Dowiedz się, czego zdołasz, ale nieoficjalnie, bo na razie śledztwo jest zamknięte. A jeśli chodzi o Aimonego, zobaczymy później.

– Oczywiście. Mógłbym się jeszcze postarać o akta starej sprawy przetargów prowadzonej przez Biancę Benigni. Nieformalnie.

Jasne, ma rację. Dokładnie o to mnie prosił Romero. Chociaż jej nazwisko nie wiąże się dla mnie z dobrymi wspomnieniami.

– Dobrze, Corvu. Załatw to. Zobaczymy się u mnie za godzinę.

Okno jest szeroko otwarte na jesienną mżawkę i w powietrzu nie wisi już chmura papierosowego dymu. Corvu może swobodnie oddychać.

– No i co, znalazłeś coś o tym Szlemie?

– Klub był zarządzany przez fundusz powierniczy, co już samo w sobie jest dziwne. Ale żeby się dowiedzieć, kto za nim stał, potrzeba już nakazu sądowego.

– A co z Aimonem?

– Massimo Aimone, architekt, pięćdziesiąt lat. Ma własną pracownię, specjalizuje się w restrukturyzacji sklepów i barów. Ale według mnie najciekawsze, że od lat jest konsultantem w urzędzie miasta. Wiele razy był biegłym w komisjach przetargowych na zamówienia publiczne. Dlatego Franco Romero miał pewność, że jest związek między tamtym pokerem a sprawą śledztwa Bianki Benigni.

Przez otwarte okno widzę mokre od deszczu Koloseum i Forum Romanum. A w głębi – Kapitol⁶.

Co cię to jeszcze obchodzi, Balistreri? Ten kraj nie zasługuje na nic lepszego.

W sumie nigdy mnie to nie obchodziło. Absolutnie nic. Korupcja jest tak samo częścią DNA tego kraju jak piłka nożna, pizza i Kościół. Ale wciąż pamiętam zniszczoną twarz Pasqualego Carusa i pełen godności ból jego żony i drugiej córki, siostry Donatelli. Cierpienie porządnych ludzi.

– Rzuciłeś okiem na to stare śledztwo Bianki Benigni?

– Wszystko zaczyna się od aresztowania pod zarzutem korupcji jednego asesora miejskiego, nazywał się Colasanti. To był rok dwutysięczny, rok Wielkiego Jubileuszu. Colasanti został przyłapany na gorącym uczynku, kiedy wręczano mu walizkę pełną gotówki. *Dottoressa* Benigni zleciła karabinierom, by go podsłuchiwali, a następnie śledzili.

– A kim był przekupujący?

– Jeden deweloper. Zaraz po aresztowaniu wyjawiał nazwę jeszcze innej firmy, z którą nie można było wygrać w przetargu, nie dając łapówki. I w sprawie tej właśnie firmy *dottoressa* Benigni wszczęła dochodzenie w roku dwa tysiące pierwszym. Firma nazywała się Greppi, założono ją pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Od samego początku zaczęła wygrywać w Rzymie przetargi na zamówienia publiczne, najpierw za czasów asesora Colasantiego, potem za jego następcy i tak dalej, niezależnie od tego, kto rządził miastem, przy czym sama nigdy nie była uwikłana w żaden skandal.

– Greppi, Greppi... Już gdzieś słyszałem tę nazwę. Ale gdzie... nie wiesz może?

– Vito Greppi jest adwokatem. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych bronił wielu kryminalistów i prawicowych terrorystów. Między innymi doprowadził do tego, że Sergio Domenichini został uniewinniony od zarzutu przeprowadzenia zamachów bombowych w pociągach, pamięta pan?

Podchodzę do otwartego okna, by zaczerpnąć chłodnego wilgotnego powietrza. Pewnie, że pamiętam Sergia Domenichiniego zwanego Głuchoniemym. Dwusieczny topór i dewiza SS: *Mój honor to wierność*. Trzy lata razem, od 1971 do 1973, kiedy to rozwiązano Ordine Nuovo i aresztowano jego przywódców. Ale ja i Sergio byliśmy wtedy jeszcze młodzi i prawie nic nie znaczyliśmy. Dokonaliśmy odmiennych wyborów. On postanowił walczyć z systemem, zabijając niewinnych, ja zacząłem pod przykrywką pomagać tajnym służbom powstrzymywać takich jak on. Aż do 1978, kiedy po aresztowaniu Sergia i innych świrów zostałem spalony jako agent. Wtedy dzięki znajomościom mojego brata wstąpiłem do policji i otrzymałem nominację na komisarza.

Adwokat Vito Greppi, opłacany przez nie wiadomo kogo, umiejętnie rozmontował akt oskarżenia o zamachy bombowe w pociągach i Sergio Domenichini został zwolniony z braku wystarczających dowodów.

– Co znalazła Benigni na firmę Greppiego?

– Nic. Rozpoczęła śledztwo na krótko przed tym, jak kazała aresztować Franca Romera, i narobiła sobie problemów z mediami. Potem trafiła się jej sprawa Bonocorego, w rezultacie której opuściła prokuraturę.

– Śledztwa nikt już nie kontynuował?

Corvu kręci głową. Wygląda na strasznie zażenowanego.

– Ukręcili sprawie łeb.

Przecież to jasne, żyjemy w kraju, gdzie wszystkiemu można ukręcić łeb albo pograć w zapomnieniu. Od bomb w pociągach po ustawianie przetargów.

– Tak czy inaczej, sprawa pokera nic tu nie zmienia.

Corvu bez słowa podaje mi kartkę. To zaświadczenie z izby handlowej. Przyglądam mu się przez dłuższą chwilę. Pasquale Caruso znajdował się wśród założycieli firmy Greppi i był jej udziałowcem aż do 1999 roku.

Przypominam sobie wątpliwości, które odłożyłem na bok dziesięć lat temu, kiedy zgodziłem się na to, by Ezio Conti zamknął raz na zawsze sprawę Carusa. Dziesięć lat temu jednak wszystko wydawało się absolutnie

jasne. Gianni Tozzi zwany Dziurkaczem zamordował Donatellę Caruso. Pasquale Caruso, ojciec ofiary, poznał tożsamość mordercy, zabił go, a następnie popełnił samobójstwo. A teraz wychodzi na jaw jakaś rozgrywka pokerowa. Ustawiona. Znam tę grę i wiem, jakie są statystyki. Ful, kareta asów i strit w kolorze w jednej partii. W partii, w której rozdawał zwycięzca. Nieznajomy, przedstawiony przez architekta Aimonego, który ze swej strony podbił stawkę i pomógł załatwić Carusa.

– Corvu, powinieneś teraz sprawdzić, czy istnieją jakieś związki między mordercą Donatelli Caruso a tymi ludźmi: Greppim, Aimonem, Domenichinim. I postaraj się dowiedzieć, gdzie jutro rano mogę znaleźć pana architekta.

– Tylko że śledztwo jest zamknięte, *dottore*. Jeśli dotrze to do prokuratury...

– Dowiedz się wszystkiego nieformalnie. I zobaczysz, że Aimone nikomu się nie poskarży.

Poniedziałek, 28 listopada 2011

Balistreri

Corvu jak zawsze uwinął się błyskawicznie. Codziennie o dziewiątej rano architekt Aimone jest na budowie przy via Adreatina, odległej peryferii Rzymu na wysokości Tor Pagnotta.

Jadę tam sam swoim starym fiatem, ciągle tym samym. Po wczorajszym deszczu dzień jest pogodny, ale muszę zamknąć szyby z powodu spalin. Ilekroć jadę z centrum Rzymu na peryferia, uświadamiam sobie, jak bardzo wydłużyły się macki ośmiornicy. Tam, gdzie kiedyś były pola, teraz wznoszą się domy, sklepy, kamienice. Mimo to ulica wiodąca do centrum wciąż jest jedna, długa, wąska i pełna dziur.

Parkuję przed placem budowy, którego adres dał mi Corvu. Stawiają dwa niewielkie budynki. Jeden jest już w połowie ukończony, pod drugi wylewają fundamenty. Przeciskam się między robotnikami, mijam betoniarki, kałuże i mercedesa w wersji kabriolet. Aimonego rozpoznaję dzięki fotografii z Internetu, którą pokazał mi Corvu. Chudy, ubrany z nieco krzykliwą elegancją, gęsta grzywa siwych włosów. Jest zdenerwowany, krzyczy do grupy robotników imigrantów w dialekcie rzymskim, który oni rozumieją zapewne lepiej niż ja.

– Jak nie zaczniecie szybciej robić, wykopię was z powrotem do tego głównianego kraju, z którego przyjechaliście! – Dostrzega mnie i patrzy krzywo. – A ty tu czego? Tu nic nie kupujemy! Nie zwracaj nam dupy, pracujemy.

No jasne, moje ubranie nie działa na moją korzyść.

– Niczego nie sprzedaję.

Podchodzę, wyciągam legitymację policyjną i patrzę na robotników.

– Idźcie do pracy. Pan architekt jest zajęty.

Odchodzą, a Aimone natychmiast robi się grzeczny.

– Przepraszam za ton, ale gdyby od razu pan powiedział, że jest tu z inspekcją... I wie pan, tu jesteśmy w porządku, w sensie, że odprowadzamy co miesiąc...

– Składki za pracowników?

Patrzy na mnie zdumiony.

– Pan żartuje? Wam płacimy. Chyba lepiej wam, Włochom, niż tym głównianym imigrantom.

Pokazuję mu drugą legitymację, tę, która identyfikuje mnie jako naczelnika sekcji trzeciej wydziału kryminalnego. A on, jak wszyscy ludzie, co są z prawem na bakier, wie bez pytania, że sekcja trzecia zajmuje się przestępstwami przeciwko życiu. Teraz jest szary na twarzy, ale próbuje się opanować. Rezygnuje nawet z dialektu.

– Proszę wybaczyć, *dottor* Balistreri, ale o co chodzi?

Owijanie w bawełnę w obcowaniu z przestępcami nic nie daje. I tak nie pójdą na skargę do prokuratury. Wskazuję na dźwig unoszący stalową belkę.

– Ten, z którego się rzucił Pasquale Caruso, był tak samo wysoki?

Wybałusza oczy i prawie uginają się pod nim kolana. Biorę go pod ramię.

– Pan mnie dokładnie posłucha, Aimone. Jest pan tu dyrektorem i zatrudnia ludzi na czarno. Jeśli zechcę, poproszę o pomoc znajomego prokuratora i z tym oskarżeniem pošlę pana za kraty, do celi z dziesiątką specjalnie wybranych imigrantów, którzy rozerwą panu dupsko. Czy się rozumiemy?

Gestem pokazuje, że tak. Na normalnych obywateli te metody działają stuprocentowo. Aimone zaś nie jest żadnym zatwardziałym przestępcą, tylko małym łapówkarzem i wielkim tchórzem, jakich wielu.

– Ale co ja mam wspólnego z Carusem?

– Caruso stracił miliard lirów w pokera w klubie Szlem. Siedział pan z nim wtedy przy jednym stole.

– Nie wiem, o czym pan mówi...

– Przy tym stole siedział również dziennikarz Franco Romero, który już złożył w tej sprawie zeznanie. Pan wprowadził nieznanego, który znał się na szulerce, pomógł mu pan podbić stawkę i wciągnąć w to Carusa. O tym wiem już wszystko. Kim był tamten gość?

Aimone rozgląda się, jakby się bał, że ktoś go ze mną zobaczy. Boi się, lecz nie tylko mnie.

– Ale Caruso i tak nie zapłacił. Ja nie zobaczyłem ani grosza.

Chwytam go za kołnierz marynarki.

– Ja nie mam cierpliwości normalnych policjantów, Aimone. Ani ich ostrożności.

Patrzy na mnie ze strachem. A strach często sprawia, że przestępcom na pół gwizdka wymyknie się za dużo.

– Wiem, kim pan jest, dwusieczny topór i takie tam.

Aimone już podjął decyzję. Bardziej boi się Głuchoniemego niż mnie.

– Niech pan zapyta Sergia, może nawet sprawią mu przyjemność pańskie odwiedziny!

Corvu czeka na mnie w swoim maleńkim gabinecie. Dużo już znalazł. Czy to w sieci, czy w bazach danych, nic mu nie umknie. Gdy tylko mnie widzi, podnosi dwa palce w znaku zwycięstwa.

– Gianni Tozzi zwany Dziurkaczem był siostrzeńcem dyrektora banku, który udzielał pożyczek firmie Greppi. Chłopak pracował u Greppiego jako człowiek do wszystkiego, a poza tym był szefem grupy stadionowych ultrasów.

– A co ma z tym wspólnego Głuchoniemy?

– Sergio Domenichini jest właścicielem kilku firm, które przez ostatnie piętnaście lat pracowały dla Greppiego jako podwykonawcy. Ale to tylko jedna z jego aktywności. Za pośrednictwem kilku spółek posiada dziesiątki barów i salonów gry, dzięki czemu praktycznie kontroluje cały hazard w Rzymie. Na pewno legalny, a może też nielegalny. Oraz dużą część lichwy i pralni brudnych pieniędzy. No i jeszcze są narkotyki.

– Corvu, to już niemożliwe. Narkotykami zajmują się ludzie spoza Rzymu.

– Domenichini jest przyjacielem Greppiego. A Greppi urodził się w Palermo, *dottore*. Handlują na rzecz Sycylińczyków. A za zarobione pieniądze kupują bary, maszyny i sale do gry, restauracje i kamienice.

Stoimy na rozdrożu. Nawet gdybyśmy wykazali czarno na białym związku Głuchoniemego i Dziurkacza, nawet gdybyśmy udowodnili, że to Głuchoniemy stoi za funduszem powierniczym zarządzającym klubem Szlem, nawet gdyby Franco Romero rozpoznał go jako czwartego gracza przy tamtym stole pokerowym, wciąż by to nie wystarczyło. Dobrze opłacony adwokat doprowadziłby do uwolnienia Sergia Domenichiniego od zarzutu nakłaniania Gianniego Tozziego do zabicia Donatelli Caruso, ponieważ jej ojciec nie spłacił karcianego długu i był konkurentem w interesach.

Ale jeszcze jedna sprawa związana z tym śledztwem sprzed dziesięciu lat pozostała otwarta.

Skąd Caruso wiedział, kto zabił jego córkę? Ktoś z prokuratury musiał wynieść na zewnątrz informacje decydujące o śledztwie w sprawie morderstwa.

No i ktoś ukręcił łeb dochodzeniu Bianki Benigni po jej odejściu z prokuratury. Zza przymkniętych okiennic w pokoju Corvu widzę wieczorne światła. Na dworze znów zaczęło padać. To nawet lepiej.

Czas odwiedzić mojego dawnego towarzysza.

Gdy dojeżdżam do willi przy via Appia Antica, jest ósma. Tu, gdzie dwa tysiące lat temu stały siedziby rzymskiej arystokracji, dziś mieszkają także ludzie tacy jak Sergio Domenichini zwany Głuchoniemym. Oskarżony o dokonanie zamachów bombowych w pociągach, uniewinniony dzięki prawniczym sztuczkom Vita Greppiego.

Przez obszerną bramę widać wewnątrz posiadłości, willę, park, basen. Sergio Domenichini się nie boi, ba, nawet mu zależy, by wszyscy widzieli jego bogactwo i rozumieli, że trzeba się z nim liczyć. Salon jest oświetlony, przez wielkie okna wychodzące na basen widzę wiele osób w strojach wieczorowych. Rozmawiają, popijając drinki przed kolacją.

Parkuję samochód przed bramą, wysiadam i dzwonię. Po niedługim oczekiwaniu otwiera mi lokaj w białej liberii.

– Muszę się spotkać z panem Domenichinim.

Przygląda się mojemu za dużemu, znoszonemu i wilgotnemu od deszczu ubraniu i mojej nieprzystrzyżonej brodzie.

– Ma pan zaproszenie?

– Jestem dawnym przyjacielem pana Domenichiniego. Nazywam się Michele Balistreri. Proszę go powiadomić, zobaczy pan, że zechce mnie przyjąć.

Lokaj prowadzi mnie do wejścia.

– Proszę tu poczekać.

Po kilku minutach wraca. Prowadzi mnie daleko od sali, w której odbywa się przyjęcie, do saloniku wyposażonego w niewielki stolik i dwa fotele w stylu secesyjnym, które musiały kosztować więcej niż całe moje mieszkanie.

Sergio Domenichini wchodzi minutę później. Minęło trzydzieści lat,

odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Ma na sobie smoking i już samo to wyznacza dystans, nie tylko czasowy, dzielący nas od dni, gdyśmy się spotykali. Głuchoniemy nie podaje mi ręki, podchodzi do barku pełnego butelek.

– Lagavulin bez lodu, jeśli dobrze pamiętam.

– Nie piję na służbie.

Nawet się nie odwraca, by na mnie spojrzeć.

– Lokaj powiedział, że przedstawiłeś się jako przyjaciel, nie jako glina.

– Dawny przyjaciel, a nie przyjaciel. Ale jestem tu jako policjant.

Kiwa głową, nalewa sobie johnny’ego walkera z lodem i coca-colą.

– Ty nie jesteś prawdziwym gliną, Michele. Prawdziwy glina nie grozi takim biedakom jak Aimone. Nie zmieniłeś się i nigdy się nie zmienisz. Tyle że teraz swoich metod używasz, służąc temu głównianemu państwu, jak sam je nazywałeś w starych dobrych czasach. A może już nawet wtedy mu służyłeś...

– Spieszę się, Sergio.

– Tym lepiej, mam dziś gości. A więc czego sobie, kurwa, życzysz?

– Jestem tu z powodu śmierci Donatelli i Pasqualego Carusów.

Uśmiecha się półgębkiem.

– Tyle mi już powiedział Aimone. I co, masz na sobie mikrofon, jak w dawnych czasach, kiedy zdradzałeś towarzyszy?

Rozpinam koszulę na piersi.

– Nie mam mikrofonów ani nie czekają na mnie uzbrojeni agenci.

– Ja też nie mam ochroniarzy, Michele. To nie jest dom ojca chrzestnego. Ale nieważne, pytaj, zobaczę, czy mogę ci pomóc.

– Powiem ci, jak ja to wszystko widzę. Zrujnowałeś w pokera Pasqualego Carusa. Potem kazałeś facetowi, który dla ciebie pracował, Gianniemu Tozziemu, zamordować Donatellę Caruso, ponieważ jej ojciec nie spłacał długu, a do tego konkurował z tobą w przetargach publicznych. Tak było czy jest jeszcze jakaś inna wersja?

– A jakże! Zawsze byłeś mądrąłą, co to wszystko wie. Nietzsche i takie tam bzdety. Wyobrażam sobie, że tylko dowodów ci brakuje.

– Dowody znajdę, jeśli się wezmę do szukania.

Patrzy na mnie z zakłopotaniem.

– Chcesz pieniędzy, Michele? Nawet ty? Nie wierzę, to nie w twoim stylu.

- Nie chcę pieniędzy. Chcę odpowiedzi.
- Wydaje mi się, że wszystko już sam sobie poukładałeś w makówce.
- Kto zabił Gianniego Tozziego, znaczy Dziurkacza?
- Wiesz, przynajmniej w tej sprawie masz od dziesięciu lat dowody, jeśli dobrze czytałem w gazetach. To był Pasquale Caruso, co nie?
- A jak Caruso wpadł na trop Gianniego Tozziego?

Natychmiast robi się uważniejszy. Dobrze go pamiętam. Głuchoniemy mówi mało i rozumuje w sposób linearny. Moje myślowe kręgi, jak je nazywał, nigdy mu się nie podobały.

– Czego ty, kurwa, chcesz, Michele? Załóżmy, niech to będzie nasza robocza hipoteza, że to ja mu wydałem mordercę córki. Dasz mi nagrodę?

– Ktoś w prokuraturze powiedział ci, że szukałem chłopaka z dwusiecznym toporem wytatuowanym na ramieniu. Kto to był?

Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy widzę dawny błysk w oczach Sergia Domenichiniego. Błysk mordercy niewinnych ludzi, organizatora masakr. Nalewa sobie kolejną porcję whisky z colą. Z drugiej strony willi dobiegają dźwięki muzyki i wybuchy śmiechu.

– Nawet jeśli ci powiem, i tak będziesz mi dalej zawracał dupę tą historią z Carusem i Dziurkaczem. Groźba, że cię każę zabić, nie robi na tobie wrażenia. Nie masz żony ani dzieci. Nie kochasz nikogo i nikt nie kocha ciebie. Jak mogę zaufać komuś, kto nie ma, kurwa, nic do stracenia?

– Jeśli nie powiesz mi tego nazwiska, zrobię wszystko, żeby cię przyskrzynić za śmierć Donatelli Caruso. To był Ezio Conti, prawda?

Kręci głową.

– Nie masz bandyckiej głowy, Balistreri. Jeśli musisz kogoś przekupić, najlepiej idź na samą górę.

– Nazwisko.

– Na nic ci się nie przyda nazwisko, Michele. Dziewczyna i tak już nie żyje. A teraz opowiem ci pewną historię i zobaczymy, może się potem sam grzecznie odpierdolisz. Polecenie Tozziemu wydał ten sam gość, który orznął Carusa w pokera.

– I kim on był?

– Wielkim skurwysynem. Ukradł nam pięć miliardów lirów, nam i naszym włoskim wspólnikom. To była ich działka z naszych interesów. Płacimy im raz w roku, w maju. Tamtego roku powiedzieli, żebyśmy wsadzili pieniądze do torby i zostawili je w przechowalni bagażu na dworcu

Termini, a kwit dali temu gościowi, który był ich zaufanym człowiekiem.

– I tak zrobiliście?

– Tak, z ostrożności tylko Aimone rozmawiał z nim osobiście, ja nigdy gościa nie widziałem. Aimone zostawił torbę z pięcioma miliardami w przechowalni bagażu i dał kwit temu facetowi na stacji, jak nam kazali Sycylijczycy.

– A on znikł?

– Nie, on nie znikł, znikł kwit. A jego ktoś zamordował tego samego wieczoru. W piątek, osiemnastego maja dwa tysiące pierwszego. Pamiętasz taką datę?

Odnoszę wrażenie, że wszystkie słowa wypowiedziane przez tego wyjątkowo małomównego człowieka są nie tylko środkiem do tego, bym przestał węszyć wokół niego, ale i początkiem zemsty.

– Nie ściemniaj, Sergio. Wiesz, że przecież i tak wszystko sprawdzę.

W jego spojrzeniu widzę cień rozbawienia. Jakby czekał trzydzieści lat, by mnie zabić, a teraz zabiera się do tego w jedyny możliwy sposób.

– Czwartym graczem przy pokerowym stole, tym, który puścił Carusa w skarpetkach, był Victor Bonocore. Sycylijczycy umieścili go w Rzymie jako swój kontakt, przy okazji miał też napisać nowe oprogramowanie dla automatów do gry. To on przekonał Aimonego, by pozwolił mu zagrać przeciwko Carusowi, który wytoczył nam wojnę o zamówienia publiczne, i żeby mu pomógł w grze. I to on później zlecił Dziurkaczowi zamordowanie Donatelli, ponieważ Caruso nie uszanował karcianego długu, a przy okazji chciał go przekonać, żeby przestał się nam wpieprzać w przetargi.

To prawda? A może blaga? Co myśmy naprawdę wiedzieli dziesięć lat temu na temat profesora Bonocorego?

– I Bonocore zabrał sobie te pięć miliardów, jak tylko Aimone wręczył mu kwit, parę godzin przed tym, nim został zabity?

– Nie, Michele, to nie było tak. Aimone zachował fotokopię kwitu. Dziewiętnastego maja usłyszeliśmy w radiu, że Bonocore nie żyje, i rano pojechaliśmy do przechowalni na Termini. Ale ten kutas z przechowalni nie chciał nic nam dać bez oryginału. Dałem mu milion w gotówce i od razu zrobił się grzeczny. Okazało się jednak, że godzinę wcześniej ktoś już odebrał tę torbę. Nie wiadomo kto, bo ruch w przechowalni mają duży.

Patrzę mu w oczy.

– Nie wierzę.

Głuchoniemy się uśmiecha.

– Wiesz, jeśli chcesz potwierdzenia, możesz jechać do Palermo, do swoich stryjów. To oni są naszymi współnikami i to oni przedstawili nam Victora Bonocorego.

Odbiera mi mowę. Moi stryjowie, starsi bracia mojego ojca, sponsorzy jego pierwszych wielkich interesów. Ludzie, jakich w tym kraju wielu: dużo się o nich mówi, ale niczego nie można im udowodnić.

Głuchoniemy nie daje mi czasu na resztę pytań. Odstawia szklanę i wskazuje mi drzwi.

– A teraz, Michele, idź już sobie i postaraj się więcej nie zawracać mi dupy. Dużo wysiłku włożyłem, żeby przeszła mi chęć zabicia ciebie. Postaraj się, żeby mi nie wróciła.

Sergio Domenichini przywołuje lokaja, który odprowadza mnie do drzwi. Z salonu dobiega głos Franka Sinatry śpiewającego *My Way* i goście siadają do stołu.

Donatella Caruso, dwadzieścia jeden lat, zginęła przez te przyjęcia.

Wsiadam do samochodu, ruszam z powrotem do centrum i dzwonię na komórkę do Corvu.

– Możesz sprawdzić, czy w aktach sprawy Bonocorego wśród znalezionych rzeczy znajduje się kwit z przechowalni bagażu na dworcu Termini?

– *Dottore*, ale przecież Bonocore to całkiem inna sprawa. Myślałem...

Nie myśl, Corvu. Odpowiedz na pytanie i już.

Tak wyglądała przez całe lata moja odpowiedź, bez tłumaczeń. Teraz już nie.

– Sergio Domenichini powiedział mi, że Victor Bonocore był tym czwartym przy pokerze.

Corvu łapie w lot.

– Niech pan poczeka na linii.

Słyszę, jak stuka w klawiaturę komputera, szukając akt sprawy Bonocorego z 2001 roku.

– Mam tu plik z listą znalezionych rzeczy. Żadnego kwitu ani w willi, ani u Scarlett Steele, ani u Pina Ingrassii. Kryminalistyka przesiała wszystko, szukając przedmiotu, którym wycięto słowo PIG na brzuchu profesora.

Również przy samej ofierze ani w rzeczach osobistych sióstr Steele w chwili aresztowania żadnego kwitu nie było. Zresztą gdybyśmy wtedy znaleźli ten kwit, poszlibyśmy na dworzec i sprawdzili zawartość bagażu. Może Nicole Steele zabrała go z willi?

– Może, ale według Domenichiniego następnego ranka w przechowalni na Termini torby już nie było. A Nicole Steele nie ruszyła się wtedy ze swojego pokoju w hotelu ani z nikim się nie spotkała. To jest pewne, bo była pod obserwacją.

– Może Bonocore wziął kwit do domu po tym, jak go dostał od Aimonego, a zabrał mu go morderca?

– Tak, to możliwe, Corvu.

– Tylko dlaczego Franco Romero nie powiedział panu od razu, że czwartym graczem był Victor Bonocore? Nawet jeśli nie znał go w czasie gry, musiał go rozpoznać po śmierci, media publikowały jego zdjęcia!

– Też zadałem sobie to pytanie. Jadę go o to zapytać.

Parkuję w deszczu pod domem Romera. Dzwonię domofonem, ale nikt nie odpowiada. Dzwonię znowu. Nic. Zaczynam dzwonić na oślep do wszystkich mieszkań. Ktoś się w końcu obudzi. Pierwszy głos, który mi odpowiada, należy do mężczyzny i ma mocny rzymski akcent:

– A kto to, kurwa, tak wydzwania o tej porze?

– Policja. Proszę otworzyć bramę.

– Policja, kurwa. Wyjrzę przez okno i się okaże.

Mężczyzna wychyla się z okna. Zmierzwione włosy, szczeciniasta broda. Patrzy na ubranego po cywilnemu zmiętego faceta i starego fiata bez żadnej służbowej oznaki.

– I ty masz być policją? Jak nie zabierzesz się stąd od razu, to ja wezwę policję.

Na szczęście facet mieszka na pierwszym piętrze. Wyjmuję legitymację i wyciągam do góry rękę, by mu ją pokazać.

– A to, kurwa, co?

– Tu jest moja fotografia i mój stopień. Sekcja zabójstw.

Te dwa słowa zawsze robią wrażenie na ludziach. Bardzo się różnią od zwykłego „policja”. Ale mężczyzna wciąż jest nieufny.

– Idę po okulary.

Wraca ze szklami na nosie, przygląda się mojej legitymacji i patrzy niepewnie.

- A co my mamy wspólnego z zabójstwami?
- Proszę otworzyć i tyle. Muszę wejść do pana Romero.

W końcu brama się otwiera. Wchodzę na górę, pukam. Żadnej odpowiedzi. Pukam ponownie i dalej nic się nie dzieje. Nie zastanawiam się dłużej. W kieszeni mam wytrych, a zamek Romera okazuje się łatwy do otwarcia.

Mieszkanie pogrążone jest w mroku, cuchnie stęchłym dymem i lekarstwami. Romero leży na kanapie, obok niego opróżniona butelka whisky, paczka papierosów i zupełnie puste szklane opakowanie po pigułkach nasennych. Czoło ma zimne, nie wyczuwam pulsu. Musiał umrzeć kilka godzin temu. Żadnego śladu przemocy. Prawa ręka przyciska do piersi zamkniętą kopertę.

Wyślę panu list, Balistreri. A pan niech ponownie otworzy tę sprawę.

Tym zadaniem pożegnał mnie Franco Romero.

Znów dzwonię do Corvu.

– Franco Romero nie żyje. Powiadom lekarza, kryminalistykę i Ezia Contiego. Zobaczymy się u niego w prokuraturze.

Kilka lat temu Ezio Conti przejął kierowanie rzymską prokuraturą po Abbiatim, który został sędzią trybunału kasacyjnego. Dzięki temu nie musiałem już mieć z nim bezpośrednio do czynienia. Ale ta sprawa go dotyczy, bo był prokuratorem prowadzącym zarówno sprawę Carusa, jak i Bonocorego po dymisji Bianki Benigni.

To nie będzie przyjemność. Ani dla mnie, ani dla niego.

Conti czeka na mnie razem z Corvu w swoim gabinecie, tym samym, który dziesięć lat temu zajmował Abbiati. Nie wydaje się ani trochę zadowolony, zarówno z wiadomości, jak i z godziny spotkania. Dziesiąta trzydzieści to zdecydowanie nie jego pora na pracę, na dodatek musiał wyjść z jakiegoś przyjęcia, bo ma na sobie smoking.

Tego wieczoru już widziałem kogoś w smokingu i był to bezwzględny przestępca. Co do Contiego jeszcze nie mam pewności, czy jest przestępcą, czy tylko oślizgłym karierowiczem. Nie wita się ze mną, gdy wchodzę do wielkiego gabinetu z kanapami tapicerowanymi alcantarą. Ogranicza się do mało przyjaznego spojrzenia.

– Można wiedzieć, co kombinujesz, Balistreri?

Zamierzam opowiedzieć mu tylko to, co absolutnie konieczne. Głuchoniemy zaprzeczył, że Conti jest kretem w prokuraturze, ale to nie zmienia w najmniejszym stopniu moich wątpliwości co do niego.

– Wczoraj Franco Romero poprosił mnie o spotkanie, poszedłem do niego do domu. Czuł się bardzo źle, miał raka, chciał mi opowiedzieć historię związaną z tym, co go spotkało od Bianki Benigni.

Conti od razu przyjmuje pozycję obronną.

– Co to za historia?

Opowiadam mu o partii pokera w Szlemie, podczas której Caruso stracił miliard. Conti słucha, nie przerywając. Potem zadaje najbardziej oczywiste pytanie:

– I Romero nie powiedział ci, kim był ten czwarty gracz?

– Powiedział, że go nie zna. Ale odniosłem wrażenie, że wiedział, kim jest.

Conti patrzy na mnie podejrzliwie.

– A w międzyczasie nic nie zrobiłeś, Balistreri?

No pewnie, że zrobiłem, i to wiele rzeczy. Odwiedziłem Massima Aimonego i Sergia Domenichiniego zwanego Głuchoniemym. A Corvu odkrył powiązania pomiędzy Głuchoniemym a Dziurkaczem, czyli Giannim Tozzim, mordercą Donatelli Caruso.

Na razie nie mam zamiaru mówić o tym Contiemu. W 2001 roku ktoś z prokuratury przekazał Głuchoniememu informację, że szukałem chłopaka z tatuażem dwusiecznego topora na ramieniu. A ja rozmawiałem o tym wyłącznie z Abbiatim i Contim.

– Sprawa pokera sama z siebie nic nie zmieniała. Ale myślałem nad tym i dziś wieczorem wróciłem do Franca Romera, żeby z nim porozmawiać. Tylko że on parę godzin wcześniej popełnił samobójstwo.

Conti jest wyraźnie zafrasowany. Zwraca się do Corvu, wie, że z nas dwóch on jest bardziej wiarygodny:

– Jest pan pewien, że to samobójstwo?

Corvu potwierdza.

– Według lekarza sądowego, który przyjechał na miejsce, Romero nie żył już od kilku godzin. Przyczyna: przedawkowanie środków nasennych. Nie znaleziono oznak przemocy, a kryminalistyka potwierdza, że nie ma śladów włamania. Poza tym Romero pozostawił list potwierdzający samobójstwo. Pismo z pewnością jest jego, już zrobiliśmy porównanie.

Conti wciąż nie jest uspokojony.

– Co jest w liście?

Corvu trzyma kartkę w ręku.

– Tu mam ksero.

Ja już przeczytałem ten list kilka razy. Patrzę uważnie na Contiego, kiedy robi to samo.

Dottor *Balistreri*,

nie znałem czwartego gracza przy naszym stole, tego, który wygrał wszystkie te pieniądze od Pasqualego Carusa. Ale zobaczyłem jego fotografię w telewizji zaraz po tym, jak został zamordowany. Sądzę, że nieznanym z tamtej partii pokera był właśnie profesor Victor Bonocore. Nikomu dotąd tego nie powiedziałem, bo się bałem. Z dziennikarskiego śledztwa, które prowadziłem, wynikało, że Bonocore był związany z mafią amerykańską i sycylijską. Ale śmierć dodaje odwagi, zabiera strach. Teraz kolej na Pana. Ja zatrzymuję się tutaj, wycierpiałem się już wystarczająco. Powodzenia.

Conti przechodzi od oszołomienia do złości. Patrzy na mnie, swojego przeszłego i przyszłego kozła ofiarnego.

– Jak to możliwe, Balistreri? Przecież nie było żadnego związku między sprawą Carusa a sprawą Bonocorego.

– Dziesięć lat temu nikt nie wspominał o pokerze. Jedni milczeli z wyrachowania, Romero ze strachu. Nie mieliśmy pojęcia o żadnym związku Pasqualego Carusa i Victora Bonocorego. Ale tamten poker oznacza nowe motywy zbrodni, panie prokuratorze. Zarówno dla śmierci Donatelli Caruso, jak i Victora Bonocorego.

Conti gwałtownie kręci głową.

– Pod warunkiem, że Bonocore naprawdę był czwartym graczem przy tamtym stole. Na razie mamy jedynie pożegnalny list umierającego, który milczał przez całe dziesięć lat.

Nie tylko, Conti, nie tylko. Powiedział mi to także Sergio Domenichini. Ten, który znał Gianniego Tozziego, mordercę Donatelli Caruso.

– Jest jeszcze trzeci gracz, Massimo Aimone. Moglibyśmy jego zapytać.

Corvu patrzy na mnie przerażony. Wie, że już byłem u Aimonego. Zaś Conti nie okazuje najmniejszego entuzjazmu.

– Wyciągnęliście mnie z ważnego przyjęcia i muszę tam wrócić.

Znajdźcie jutro tego Massima Aimonego i ściągnijcie go do prokuratury na południe. Z adwokatem, Balistreri.

To ostatnie zdanie miało mi przypomnieć wady prawne śledztwa sprzed dziesięciu lat. Pokornie i posłusznie kiwam głową. Conti wstaje, wkłada płaszcz z wielbłądziej wełny i wskazuje nam drzwi.

Kiedy wracamy z prokuratury, Corvu głośno się zastanawia:

– Chciałbym poszperać w sprawie Victora Bonocorego. W dwa tysiące pierwszym to nie było szczególnie ważne, zresztą miał znaną i czystą przeszłość jako biznesmen, naukowiec i wykładowca. Ale Romero napisał o nim, że miał związki z mafią amerykańską i sycylijską. I to samo powiedział panu Sergio Domenichini.

– Nie ma pośpiechu, Corvu. Możesz to zrobić jutro. Już prawie jedenasta, jesteś młody, nie masz czegoś lepszego do roboty z Natalią?

Corvu ignoruje pytanie. Jedna rzecz go martwi:

– Jutro Aimone powie Contiemu, że już go pan przepytował, i wybuchnie niezły skandal.

– Przekonam Aimonego, by tego nie robił.

Corvu patrzy na mnie jeszcze bardziej zaniepokojony.

– Kiedy?

– Teraz. Wiem, gdzie go znaleźć.

Dopiero co minęła jedenasta, a ja znowu jestem na via Appia Antica. Pada rześisty deszcz, wokół willi i parków archeologicznych jest pusto. Zostawiam samochód z dala od bramy Domenichiniego, nie chcę, by z willi go zobaczono. Wybieram numer komórki Aimonego, który załatwił mi Corvu, i po paru sygnałach słyszę jego głos:

– Halo? Kto mówi?

W tle słychać muzykę z przyjęcia, która dobiega mnie także z zewnątrz.

– Michele Balistreri. Muszę z panem zamienić dwa słowa. Natychmiast.

– Teraz nie mogę, jestem na przyjęciu poza Rzymem...

– Doskonale wiem, gdzie pan jest. Proszę wymyślić jakiś pretekst i się pożegnać. Czekam na pana przed bramą Domenichiniego.

Zaczyna lać jak z cebra, jest przejmująco zimno, na ulicy nie ma ani pieszych, ani samochodów. Trzymam bramę na oku. Mijają minuty: pięć, dziesięć. Za długo. Już mam zadzwonić ponownie, kiedy brama się otwiera i

wyjeżdża mercedes kabriolet, który już widziałem na budowie Aimonego. Wsiadam z samochodu i staję mu na drodze.

– Porozmawiamy w pańskim samochodzie, Aimone.

Zajmuję miejsce obok niego. Aimone jest zaniepokojony.

– Nie chcę, żeby mnie z panem widzieli.

– W takim razie przejedźmy się trochę dalej. Ale nie za daleko, mam tu samochód.

Jedziemy trzysta metrów bez słowa, potem Aimone zatrzymuje mercedesa koło mauzoleum Cecylii Metelli. Via Appia Antica jest kompletnie opustoszała i ciemna. W ulewnym deszczu nie widać dalej niż na metr.

Odwracam się, żeby na niego popatrzeć. Mały człowiek, który zarabia na życie, pomagając kraść takim jak Domenichini. Ale ta gra w pewnym momencie okazała się dla niego za wielka.

– A więc tak, Aimone. Czwartym graczem przy tamtym stole był Victor Bonocore. Pan wprowadził go do gry, a potem pomógł mu załatwić Carusa. To mi powiedział Sergio Domenichini. Nie uwierzyłbym mu, ale potwierdził to Franco Romero.

– Czyli wie pan już wszystko. Czego więc pan jeszcze, kurwa, chce ode mnie?

– Chcę wiedzieć, co się stało z tymi pięcioma miliardami lirów w torbie, którą miał pan zostawić na dworcu Termini. Powiedział pan Domenichiniemu, że to zrobił i że oddał kwit Bonocoremu osiemnastego maja po południu, parę godzin przed tym, jak go zabito.

Aimone się odwraca. Jest blady jak ściana.

– Pan jest szalony, Balistreri. Gdybym to zrobił, już dawno bym nie żył.

Alarmuje mnie to jego rozglądanie się wokół. Popełniłem błąd, że wyciągnąłem Aimonego z willi, dając mu czas na skonsultowanie się z kimś. I że nie zabrałem swojej beretty. Ale nie ma już czasu na myślenie. Jakiś cień zbliża się do mercedesa od strony kierowcy. Widzę przez deszcz tylko rękę, dłoń w rękawiczce i pistolet.

– A ty, kurwa, co robisz? Jego masz zastrzelić!

Tak kończy się życie Massima Aimonego. Tym zdaniem. Szyba boczna po jego stronie rozpada się na drobne kawałki, jego głowę odrzuca w moją stronę, a ciało przygniata mnie swoim ciężarem.

Dłoń w rękawiczce na chwilę nieruchomieje, broń zwraca się w moim

kierunku. Mija długa chwila, wszystko zamiera w nocnej ciszy. Potem cień znika w ulewie, a ja zostaję na miejscu nieruchomy, przygwożdżony do fotela strachem i natłokiem myśli.

Przed Lindą pewnie rzuciłbym się w pościg za tym cieniem.

Słyszę szybkie kroki, trzask drzwi samochodu, włączany silnik. Wszystko to trwało mniej niż dziesięć sekund. Ale wolałem nie ryzykować życia.

Nie mogę wezwać policji. Ezio Conti wykorzystałby to, by odebrać mi śledztwo, i narobiłbym dodatkowo kłopotów Corvu. Spycham z siebie ciało Aimonego, nie troszcząc się o nic więcej. I tak nikt nie będzie porównywał DNA zebranego z miejsca zbrodni z DNA naczelnika sekcji zabójstw. Wsiadam z mercedesa, zamykam drzwi, biegnę w strugach deszczu do swojego samochodu i wracam do centrum. Muszę zmyć z siebie krew i ten przeklęty strach.

Wtorek, 29 listopada 2011

Balistreri

Przestałem cierpieć na bezsenność, odkąd Linda zajęła stałe miejsce w moim życiu i rzuciłem palenie oraz drastycznie ograniczyłem kawę. Jednak kiedy telefon od Corvu odzywa się o szóstej rano, wciąż nie śpię. Mój zastępca mówi grobowym głosem:

– Sprzątacze ulic znaleźli o świcie ciało Aimonego. Leżał w swoim samochodzie przy mauzoleum Cecylii Metelli. Zastrzelony.

Corvu jak zawsze jest ostrożny. Wie, że linia może być na podsłuchu, toteż nie mówi ani jednego niepotrzebnego słowa.

– Gdzie jesteś, Corvu?

– Jadę na miejsce zbrodni. Dołączy tam pan?

– Nie ma po co, niech się tym zajmą lekarz sądowy i technicy.

Corvu chrząka.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli to pan zawiadomi prokuratora, *dottor* Balistreri.

Bardzo mi się podoba pomysł zatelefonowania do Contiego na komórkę o szóstej rano. Ot, taki sadystyczny geścik na dzień dobry.

– Halo – bełkoce po z górą dwudziestu sygnałach, ma niewyraźny głos człowieka wyrwanego z głębokiego snu.

– W nocy zamordowano Massima Aimonego.

Nie wiem, gdzie ani z kim jest teraz Conti. Sam albo z kochanką, skoro jest kawalerem. Bardziej prawdopodobne, że z dziwką, może transseksualną.

– Balistreri, ale jak to możliwe...

– Nie wiem, panie prokuratorze. Wczoraj wieczorem zatelefonowałem do Aimonego na komórkę i wezwałem go do nas na dzisiejsze popołudnie, tak jak pan sobie życzył. Pewnie powiedział o tym komuś i bardzo źle zrobił.

– Niech pan nie przeskakuje jak zwykle do konkluzji, Balistreri. To mógł być przypadek. Rabunek, który się źle skończył, czyjaś pomyłka. Coś, co nie ma nic wspólnego z pańskim telefonem. Porozmawiamy o tym u mnie za godzinę.

O siódmej wchodzimy z Corvu do gabinetu Contiego w prokuraturze. Conti pojawia się pięć minut po nas. Nie ogolił się i ma źle zawiązany krawat. Nawet się z nami nie wita.

– Balistreri, jeśli ta wiadomość dotrze do mediów, będziemy mieli poważne problemy z Amerykanami.

No przecież, on jest godnym spadkobiercą Carla Abbiatiego. Nigdy nie uprzykrzać życia możliwym tego świata.

– Dopóki będziemy trzymali w tajemnicy list pożegnalny Romera, media niczego się nie dowiedzą, panie prokuratorze. No i nie rozumiem, co z tym mają wspólnego Amerykanie.

– Doprawdy, Balistreri? Scarlett Steele odsiedziała niesłusznie cztery lata, zanim wróciła do Ameryki.

– Siedziała za składanie fałszywych zeznań i utrudnianie śledztwa.

Conti parska.

– Zostawmy to. Niemniej śmierć Aimonego nie potwierdza ani obecności Victora Bonocorego na tym pokerze, ani jego domniemych mafijnych powiązań.

Conti nie wie, że także Sergio Domenichini powiedział mi o udziale Bonocorego w tamtej grze i o tym, że profesor był łącznikiem między jego kliką a Sycylijczykami.

A może wie?

– Powinniśmy poprosić Amerykanów o informacje na temat przeszłości Bonocorego – proponuje Corvu.

Conti natychmiast sztywnieje.

– Musiałbym wówczas ponownie otworzyć śledztwo. Absolutnie nie ma mowy.

Znów przychodzi mi na myśl Donatella Caruso, jej udręczone ciało, oczy jej rodziców i siostry, moja obietnica złożona matce: „Ktokolwiek to był, znajdziemy go”. Sądziłem, że dotrzymałem obietnicy dziesięć lat temu, po śmierci Gianniego Tozziego. Ale Dziurkacz był tylko egzekutorem. Głuchoniemy powiedział mi, że polecenie zamordowania Donatelli Caruso wyszło od łącznika mafii, Victora Bonocorego.

Starzejesz się, Balistreri. Dawno temu nauczyłeś się, że współczucie mąci ostrość widzenia. A teraz co?

Teraz odnalazłem Lindę i wszystko się zmieniło. Wiem, co muszę zrobić: coś szalonego. Wstaję, Corvu mnie naśladuje. Wyciągam rękę do Contiego i

przywołuję na twarz swój najbardziej spolegliwy uśmiech.

– Dobrze, na tym się zatrzymamy. Dobrego dnia.

Conti mi się przygląda. Jest oślizgły, ale nie głupi.

– Nie myśl o tym więcej, Balistreri. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Z prokuratury wracamy pieszo. Poranek jest chłodny i wilgotny, a Corvu wyraźnie niezadowolony. Muszę zostawić go samego z tym rozczarowaniem. Nie mogę go wciągać w szaleństwo, którego mam zamiar się dopuścić. Lepiej, żeby myślał o czym innym.

– Jak ci się układa z Natalią?

Patrzy na mnie skonsternowany, rumieni się jak zawsze, kiedy próbuję rozmawiać z nim o kobietach.

– Przepraszam, *dottore*, ale nie rozumiem związku...

– Dokładnie naprzeciwko dworca Termini jest znakomita sycylijska restauracja. Należy do mojego przyjaciela i na obiad serwują tam taki makaron z jeżowcami, że wraca ci ochota do życia.

– Przepraszam, *dottore*, nie nadążam...

– Możesz wpisać rachunek do wydatków służbowych, jeśli pójdziesz tam z Natalią albo inną dziewczyną, jak tam wolisz...

Oburza się.

– Jestem w związku, *dottore*. A prywatnego obiadu nie można zapisywać do służbowych wydatków.

– Ale ty przy tej okazji wpadniesz do tej przechowalni bagażu. I zobaczysz, czy mają tam jedną z tych kamer monitoringu, które tak lubisz.

Rozluźnia się i kiwa głową.

– Dobrze, *dottore*. Z tym że to i tak nie usprawiedliwia zwrotu kosztów za obiad.

Tak, Corvu jest w tym kraju rzadkim okazem, powinien być pod ścisłą ochroną. Dużo pracuje i nie kradnie.

– Brawo, Corvu. A mnie dziś nie będzie, muszę iść na badania. Usłyszymy się po południu.

Spogląda na mnie zaniepokojony.

– Źle się pan czuje, *dottore*?

Klepię go po ramieniu.

– Tak, Corvu. Brakuje mi kawy i papierosów. Płuca i przełyk są w

lepszym stanie, ale głowa od tego choruje.

To szaleństwo, wiem. Gdybym się przyznał przed Corvu, zaklinałby mnie na wszystkie świętości, bym tego nie robił. Gdybym powiedział Contiemu, kazałby mnie aresztować. Ale gdybym zapytał o zdanie Lindę, powiedziałyby, że to jedyna właściwa rzecz, jaką należy zrobić. A ja już jako dziecko się nauczyłem – od mojej matki – że niekiedy szaleństwo jest jedyną siłą, która może oderwać nas od tego, co wygodne, i popchnąć ku temu, co słuszne.

Południowy samolot do Palermo jest prawie pusty. Lądujemy na lotnisku Punta Raisi zgodnie z rozkładem. Jest cieplej niż w Rzymie, niemal dziesięć stopni różnicy. Kierowca stryja Gaetana już na mnie czeka przed wyjściem z terminalu przy czarnym mercedesie z przyciemnianymi szybami. Jak w 1983 roku. Tylko że wtedy nie uprzedzałem o swoim przyjeździe i obecność kierowcy miała być dla mnie ostrzeżeniem.

Wiemy, co robisz i gdzie jesteś. W każdej chwili.

Tym razem to ja skontaktowałem się z najstarszym bratem mojego ojca. Kierowca wita mnie pełnym szacunku ukłonem.

– Pański stryj kazał mi pana zawieźć do domu na wsi.

Siadam z tyłu z plikiem gazet. Nie ma nic o śmierci Aimonego, ciało zostało znalezione, kiedy tytuły poszły już do druku. Ale stryj Tano z pewnością zdążył się dowiedzieć od Głuchoniemego.

Patrzę przez okno. Zjechaliśmy z autostrady i zagłębiamy się w coraz to węższe drogi, wokół nas coraz mniej samochodów i domów, coraz więcej drzewek oliwnych i kóz. Po śmierci mojego ojca Włochy nie stały się lepsze. Ciągłe jest tu mafia, silna i nowoczesna, wyrafinowana. Koniec z trotylem i seriami z kałasznikowa. Teraz wystarczą pieniądze, by odpowiednio nagiąć słabą wolę polityków i ludzi biznesu. Teraz gangi kontrolują banki, posiadają nieruchomości, prowadzą działalność gospodarczą, wpływają na zamówienia publiczne. I powstały nowe rynki, nowe niewyczerpane źródła zysku, choć nadal nielegalny hazard stanowi najmocniejszy punkt przestępczej ekonomii. Na szczycie wszystkiego stoją tacy ludzie jak bracia mojego ojca i ich koledzy. A kto wie, do kogo naprawdę należał położony nad rzymskim Tybrem klub Szlem, w którym rozegrała się ta absurdalna partia pokera.

Może do Głuchoniemego. Może do mojego stryja. A może do jednego i

drugiego.

Skręcamy w wiejską drogę. Tu już nie ma ani samochodów, ani pasterzy z kozami. Tylko drzewka oliwne ciągnące się jak okiem sięgnąć. Podjeżdżamy na szczyt wzgórza aż do wielkiej bramy w murze wysokim na ponad dwa metry. Dwaj mężczyźni rozpoznają samochód i dają nam wolny przejazd.

Kierowca parkuje przed budynkiem, który z zewnątrz przypomina zwyczajny duży wiejski dom po powściągliwej renowacji. Tylko liczne anteny na dachu nie są takie zwyczajne.

Prowadzą mnie do środka. Wszystko jest surowe i nowoczesne, niczym biura w korporacji. Każą mi wejść po schodach na obszerny taras, z którego rozciąga się widok na dolinę. Zasłony, kanapy, fotele, kaktusy.

Stryj Gaetano siedzi samotnie pod parasolem w wygodnym starym fotelu bujanym. Skończył już dziewięćdziesiąt lat, ale wciąż ma opaleniznę wieśniaka i gęste siwe włosy, jak wszyscy w rodzinie. Jedną nogę wyciąga na podnóżku. Spojrzenie kryje za ciemnymi okularami.

– Dzień dobry, stryju.

Odwraca się do mnie.

– Mike, witaj, wybacz, że nie wstaję, ale dręczy mnie cukrzyca. Będą musieli uciąć mi tę przekłętą nogę. Rozgość się, dopiero co zaparzyli kawę.

Naprzeciwko stryja ustawiono wiklinowy fotel. Obok niego stolik z kamiennym blatem, a na nim dymiącą kawiarkę, filizankę, cukiernicę i klasyczną szklaneczkę z wodą. Siadam i nalewam sobie kawy.

– Wyglądasz na zmęczonego, Mike. Masz dopiero niewiele ponad sześćdziesiątkę, nie dbasz o siebie. Ale nigdy nie przejmowałeś się swoim wyglądem i zdrowiem, Salvo mi mówił.

Salvo, Salvatore Balistreri. Człowiek odpowiedzialny za śmierć mojej matki, człowiek, który pomógł Kaddafiemu przejąć władzę i wygnać nas z Libii. Człowiek, którego prochy rozrzuciłem nad morzem kilka miesięcy temu. Mój ojciec.

Pierwsza przyczyna mojego gniewu.

Mimo że to ja prosiłem o spotkanie, mimo że jestem gościem, nie potrafię okazać nawet odrobiny kurtuazji.

To nie jest moja rodzina, nigdy nią nie była. I nigdy nie będzie.

– Mam samolot powrotny za dwie godziny, stryju.

Kiwa głową. Nie obraził się. Nie oczekiwał niczego innego. Ale zależy

mu, by od razu wyjaśnić jedno:

– Żaden policjant nie może tu wejść, Mike. A zwłaszcza po to, by zadawać mi pytania. Ale ty jesteś moim bratankiem.

Czy ci się to podoba, czy nie, Michele Balistreri. To twoja rodzina. Twoja krew.

Mówi dalej, patrząc na mnie zza swoich ciemnych szkielek:

– Więc odpowiem bratankowi, jeśli w ogóle odpowiem. To musi być dla ciebie jasne. Jeśli się nie zgadzasz, wypij kawę i wracaj na lotnisko.

Wiem, że jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, muszę zgodzić się na tę regułę.

– To, co mi powiesz, pozostanie między nami, stryju.

– Dobrze więc, Mike. Co chcesz wiedzieć?

– Chcę zapytać o Victora Bonocorego. To był wasz człowiek?

Odwraca się ku dolinie, ku drzewkom oliwnym. W dole pod nami panuje słońce i cisza.

– Był absolutnie zaufanym człowiekiem naszych wspólników w Ameryce. Powiedzieli, że będzie wiarygodny, musiał być im bardzo zobowiązany po tym, jak w jego studenckich czasach złapali go w jednym z ich kasyn w Atlantic City na liczeniu kart do black jacka. Pewnych rzeczy się nie robi. Ale nasi przyjaciele w Ameryce pomyśleli, że zamiast rzucać go rybom na obiad, lepiej będzie wykorzystać jego genialne matematyczne zdolności. Nawet pomogli mu w akademickiej karierze, by stał się bardziej szanowany.

– A dlaczego przyjechał z żoną do Włoch w dwutysięcznym?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, potrzebowaliśmy zaufanego człowieka, który będzie pośredniczył pomiędzy nami a wspólnikami w Rzymie. Po drugie, potrzebowaliśmy też nowego oprogramowania do naszych maszyn do gry. Bonocore rozwiązał oba problemy, ale okazał się człowiekiem niewiarygodnym.

– Co takiego zrobił?

– Miał wciąż za skórą demona hazardu, poza tym wszystko chciał robić po swojemu, chciał odgrywać pierwszą rolę. Dogadał się z Aimonem, tym kretynem, który był jego rzymskim kontaktem, żeby ograć Carusa w pokera. Myślał, że nam pokaże, jaki jest dobry, jeśli zrujnuje konkurenta firmy Greppiego, w której mieliśmy udziały.

– To nie wy zleciliście zrujnowanie Carusa?

– Kiedy ktoś naprawdę nam przeszkadza, Mike, stosujemy inne metody. A Pasquale Caruso nie był wart takiego zachodu. Tylko że Bonocore był szalony i kiedy Caruso nie zapłacił...

– Kazał zamordować mu córkę.

Stryj Tano raptownie wykonuje znak krzyża. Ten gest wykonany tymi rękoma jest obsceniczny. Ale dla niego to coś absolutnie normalnego.

– Bonocore powiedział Aimonemu, że to nasze polecenie: miał przekazać Sergiowi Domenichiniemu, że chcieliśmy śmierci córki Carusa. Domenichini kazał ją zabić, ale ja o tym nic nie wiedziałem. Jesteśmy chrześcijanami, nie zwierzętami, Mike.

– A wy zdemaskowaliście Bonocorego i zabiliście go.

Stryj Tano kręci głową.

– Nie, Mike. Nie dowiedzieliśmy się od razu, co wykombinował Bonocore. Umowa była taka, że miał przyjeżdżać do Palermo raz w miesiącu, a wtedy był u nas pod koniec kwietnia. Z ostrożności innych kontaktów między nim a nami miało nie być, chyba że działałoby się coś bardzo ważnego.

– W takim razie kiedy odkryliście, co zrobił Bonocore?

– W wieczór po jego śmierci Sergio Domenichini pojawił się tutaj, wyjaśnił, że z dworca Termini znikło pięć miliardów, i opowiedział, co Bonocore zrobił Carusowi, mówiąc, że działał z naszego upoważnienia.

– Cóż, kazaliście Domenichiniemu, by dawał Bonocoremu waszą doroczną dołę, więc oczywiście uwierzył, że także w kwestii Carusa mówi w waszym imieniu.

Stryj Tano wykrzywia się, jakby ktoś uderzył go w żołądek. Sprawy pięciu miliardów, które znikły, nie potrafi przeboleć nawet po dziesięciu latach.

– Ja też mam prośbę o przysługę, Mike. My tu wciąż pewne rzeczy robimy po swojemu.

Bezwzględnie należy wymierzyć karę temu, kto sobie przywłaszcza nasze pieniądze.

Wiem, o co mnie prosi.

– Nigdzie nie znaleźliśmy tego kwitu, stryju.

Kiwa głową.

– A więc zabrał go morderca Bonocorego, Mike. Nie ma innej możliwości, bo Domenichini powiedział nam, że Aimone zostawił torbę w przechowalni na dworcu i przekazał kwit profesorowi Bonocoremu, który

właśnie wrócił pociągiem z Florencji. Bonocore został zabity kilka godzin później i już następnego ranka torba z pieniędzmi znikła z przechowalni. A więc kwit miał Bonocore i zabrał mu go morderca. To znaczy żona, która niedługo potem przepadła bez śladu.

Nigdy nie umiałem rozdzielić prawdy od sprawiedliwości, choć moja praca ogranicza się do tej pierwszej. Stryj Tano przed chwilą mi zdradził, że to Sergio Domenichini zlecił zamordowanie Donatelli Caruso, niewinnej dwudziestojednoletniej dziewczyny. Ale ja nigdy nie znajdę dowodów, by wsadzić Głuchoniemego do więzienia.

Patrzę stryjowi prosto w oczy.

– Wiemy, gdzie była Nicole Steele dzień po śmierci Bonocorego. Nie mogła pójść na dworzec i odebrać tej torby.

Odpowiada spojrzeniem zza ciemnych okularów.

– Co chcesz mi powiedzieć, Mike?

Sprawiedliwość może przyjmować bardzo różne formy.

– Jest prostsze wyjaśnienie, stryju. Wczoraj wieczorem, kiedy rozmawiałem z Massimem Aimonem, ktoś go zastrzelił. Siedzieliśmy w samochodzie niedaleko willi Domenichiniego, bo akurat Aimone był u niego na przyjęciu. Ale zanim go zastrzelono, zdążył powiedzieć mi jedną rzecz.

Stryj Tano patrzy na mnie bez słowa. Nie pyta, czeka. Nie będę miał nawet cienia wyrzutów sumienia z powodu Sergia Domenichiniego. Głuchoniemy już trzydzieści lat temu zapracował sobie na dożywocie za bomby w pociągach, a dziesięć lat temu kazał zamordować Donatellę Caruso. I tak już zbyt długo żyje.

– Aimone powiedział mi, że nie było żadnego kwitu. Nic nie dali Bonocoremu, a tego samego wieczoru Sergio Domenichini zamordował go, żeby nie mógł was o tym zawiadomić.

Stryjowi nawet nie drży powieka. Patrzy na mnie przeciągle takim samym wzrokiem, jakim jego brat Salvatore, a mój ojciec patrzył na mnie, na Mike'a, wyrodnego syna, nie takiego, jakiego chciał.

– Jesteś pewny, Mike?

Wstaję.

– Stryju, zastanów się. Tylko tacy jak wy albo Domenichini mają w bankach odpowiednie kontakty, które pozwalają ukryć pięć miliardów w gotówce. A teraz *addio*.

To okrutne słowo, gdy mówi się je starcowi. Niemal wyrażenie

pragnienia, aby szybko uwolnił świat od swojej obecności i spotkał tego miłosiernego Boga, w którego wierzy. A na pewno życzenie, byśmy się już nigdy więcej nie zobaczyli.

W pracy pojawiaam się późnym popołudniem i zastaję czekającego na mnie Corvu. Wygląda na rozczarowanego.

– Corvu, czyżby restauracja nie była tak dobra, jak ci powiedziałem?

Chłopak kręci głową.

– Mieliśmy pecha.

– Makaron nie był *al dente*?

Corvu znów kręci głową.

– Monitoring jest. Ale wtedy sprawdzano jedynie nagrania z kamer przy kasach biletowych i na peronach, nigdzie nie było śladu Nicole Steele. Nie wiedzieliśmy nic o tych pieniądzach i nikt nie pomyślał o monitoringu z przechowalni.

– Nie możemy sprawdzić teraz?

– Minęło dziesięć lat. To termin graniczny. Skasowali nagrania parę miesięcy temu. A w przechowalni bagażu mają jasną procedurę: nieodebrany bagaż w ciągu miesiąca zostaje przewieziony do większej przechowalni pod Rzymem i skatalogowany zgodnie z datą przyjęcia. Pojechałem tam, ale nie było żadnego bagażu zdeponowanego osiemnastego maja i nieodebranego. Więc jeśli to, co panu powiedzieli, jest prawdą, ktoś rzeczywiście odebrał torbę.

– I zrobił to szybko, przed południem następnego dnia po śmierci Bonocorego.

– Ktokolwiek zabrał kwit, odebrał później torbę i przywłaszczył sobie pieniądze. Zresztą gdyby jeszcze tam były, niedługo staną się bezwartościowym papierem. Kończy się właśnie okres wymiany lirów na euro. Chociaż pięć miliardów lirów niełatwo wymienić tak od razu w banku. Chyba że ktoś robił to w małych sumach przez całe te dziesięć lat.

– Albo chyba że ten ktoś kontroluje jeden lub kilka banków, Corvu.

Tak jak mój stryj Tano i jego przyjaciele.

– Byłeś w restauracji, którą ci poleciłem?

– Tak, *dottore*, makaron z jeżowcami był nadzwyczajny. A Natalia oszalała na punkcie cassaty.

– Dobrze. Włóż rachunek do wydatków służbowych, podpiszę ci je.

– I kupiłem płaszcz i czapkę, *dottore*. Natalia mi doradziła. Chce pan zobaczyć?

Jest zbyt uczciwy, aby mnie okłamywać, i zbyt się boi, aby powiedzieć mi wprost, że nigdy nie wpisze tego obiadu do wydatków służbowych.

– Pójdziemy do Contiego pieszo, to zobaczę, jak na tobie leżą.

Płaszcz Corvu okazuje się kurtką z tkaniny w jodełkę w stylu syberyjskiej kufajki. Natalia musiała ją doradzić narzeczonemu tylko dlatego, że nie życzyła sobie, by zwróciła na niego uwagę jakakolwiek kobieta. Dla bezpieczeństwa dodała jeszcze czapkę uszatkę i szalik, którym mógłby się cały okutać. Ale nie odważam się skomentować, pozwalam więc, by Corvu włożył to wszystko na siebie, dumny ze zrobionych zakupów.

Ogrzewanie w gabinecie Contiego jest zbyt mocno podkreślone, tak jak zbyt drogie są jego meble. A moje myśli krążą zbyt daleko stąd. Mimo to Corvu drży i nie zdejmuje szalika. A Conti tym razem stara się być miły.

– Słuchaj, Balistreri. Ty i *dottor* Corvu jesteście inteligentnymi ludźmi. Wiem, że chcielibyście otworzyć ponownie sprawy Carusa i Bonocorego, ale naprawdę nie ma do tego podstaw. A moim zdaniem zamordowanie Massima Aimonego to bardziej sprawa sekcji pierwszej, do spraw zorganizowanej przestępczości, a nie sekcji zabójstw. Nie możemy tolerować atmosfery Dzikiego Zachodu na ulicach Rzymu, półświatek trzeba wyrwać z korzeniami...

Jasne jak słońce. Chce zabrać mi również śledztwo w sprawie śmierci Aimonego. Staram się mówić maksymalnie neutralnym tonem, bez ironii:

– Panie prokuratorze, nie dziwi pana ten zbieg okoliczności? My szukamy Aimonego w związku z partią pokera sprzed dziesięciu lat i dokładnie tego samego wieczora zabija go ktoś z półświatka. Chyba jest w tym jakiś związek?

– Matko Boska! – mruczy Corvu.

Te dwa słowa wypowiedziane z silnym sardyńskim akcentem natychmiast mnie alarmują. Spojrzenie mojego wice skierowane jest na telewizor włączony bez fonii. Na ekranie widać fotografie Scarlett i Nicole Steele.

Conti natychmiast włącza głos.

– ...i te nowe sensacyjne informacje prawdopodobnie spowodują ponowne otwarcie śledztwa w sprawie zamordowania profesora Bonocorego oraz śmierci Donatelli i Pasqualego Carusów. Ambasada amerykańska wydała krótkie oświadczenie...

Na ekranie pojawia się zdecydowana i wciąż młoda twarz. Podpis na dole podaje tożsamość.

Gregory Archer, radca ambasady amerykańskiej.

Przystojny mężczyzna pod czterdziestkę. Elegancki, włosy na jeża, dobrze ogolony, aura twardziela. Człowiek, który wyrzucił mnie za drzwi swojego gabinetu, kiedy przyszedłem pytać go o telefon Nicole Steele do ambasady zaraz po tym, jak odwiedził ją Pino Ingrassia. Jego włoszczyzna bardzo się poprawiła od tamtych czasów.

– ...z pewnością te nowe informacje potwierdzą, że aresztowanie Nicole i Scarlett Steele oraz wyrok skazujący na więzienie tę drugą nie były uzasadnione. Amerykańska administracja i opinia publiczna ufają jednak, że tym razem włoscy śledczy wykażą się profesjonalizmem i staną na wysokości zadania.

Tym razem. Nie jak wtedy.

Na ekranie pojawia się dziennikarz w studiu i przechodzi do innych doniesień. Conti jest wściekły.

– To był pan, Balistreri? Chce pan to na mnie wymusić?

Corvu wyciąga mnie, zanim zdążę odpowiedzieć, i wychodzimy na ulicę.

Kiedy wracamy do wydziału, chłód nie jest już tak dotkliwy, ale Corvu drży niczym osika, choć ma na sobie papachę i kufajkę.

– Ma tupet ten Amerykanin – burczy.

– Już wtedy z nim rozmawiałem. Według mnie to on odebrał w ambasadzie telefon od Nicole Steele.

Corvu mruczy coś pod nosem i wyciąga komórkę. Słyszę, jak rozmawia po sardyńsku z kimś, kto – na ile mogę zrozumieć – pracuje w telewizji. Kiedy kończy, patrzy na mnie z niepokojem.

– Do redakcji informacyjnej w telewizji ktoś anonimowy przysłał po południu kopertę z kopią listu pożegnalnego Franca Romera.

– A więc mamy kreta w prokuraturze albo w kryminalistyce.

– *Dottore*, prokurator nie może pana oskarżać bez dowodów. Ten list

widzieliśmy nie tylko my trzej, ale także technik, który robił fotokopie, i nie wiadomo kto jeszcze.

– Corvu, z pewnego punktu widzenia potrafię zrozumieć podejrzenia Contiego co do mnie. Ktoś, podobnie jak my, walczy o to, by ta stara historia nie została pogrzebana.

Kiwa głową, pogrążony w myślach.

– W redakcji powiedzieli mi coś jeszcze. Dwa dni temu do Rzymu przyleciała z Ameryki Scarlett Steele. Ma promować swoją książkę we Włoszech. Pojutrze wieczorem udzieli wywiadu w telewizji, zaraz po dzienniku, na żywo.

Dotąd natykałem się na twarze, których dziesięć lat temu nie wiązałem ze śmiercią Bonocorego: Romera, Aimonego, Domenichiniego, stryja Tana. Ale teraz pojawili się ponownie Amerykanie: najpierw Gregory Archer, a teraz Scarlett Steele. Gotowi roznieść nas na strzępy w telewizji.

– Brakuje tylko Nicole Steele – burczy Corvu. A potem zatacza się i zaczyna kaszleć.

– Można wiedzieć, co ci się dzieje, Corvu?

– Nic, *dottore*, nic takiego. Tylko trochę się przeziębilem.

Patrzę na niego, oczy ma szkliste i jeszcze bardziej podkrążone niż zwykle. Przy wtórze jego kaszlnięć i kichania dochodzimy do naszych biur.

– Według mnie masz gorączkę, Corvu. Idź do domu.

– Nie mam gorączki, *dottore*.

– Nie zamierzam dotykać ci czoła ustami, żeby się przekonać. I nie zamierzam dyskutować.

– Tylko pięć minut, *dottore*. Jest coś jeszcze, ale może się myłę. Sprawdź i idę do domu.

Wchodzimy na piętro naszej sekcji, Corvu idzie do siebie i włącza komputer. Ja w swoim gabinecie nalewam lagavulina do dwóch szklanek, w myślach proszę Lindę o wybaczenie, ale łamię obietnicę dla dobra sprawy.

Z dwiema szklankami przychodzę do pokoju mojego wice. Kaszle, kicha i wpatruje się w ekran komputera. Podaję mu szklankę.

– Pij.

Bierze, podejrzliwie patrzy na bursztynowy napitek, wacha.

– Ale to nie jest kawa. Wie pan, że nie piję tych rzeczy.

– Nie pijesz, kiedy nie masz gorączki.

Chwytam kabel zasilania.

– Pij albo go wyciągnę.

Blednie.

– Ale jeszcze nie zapisałem, niech pan czeka...

– Liczę do trzech. Raz, dwa...

Corvu upija łyk i odstawia szklanę.

– Wszystko, zobaczysz, że zaraz poczujesz się lepiej.

Wlewa w siebie wszystko duszkiem, aż go otrzepuje, i zaraz stara się pokazać mi coś na ekranie. Ciąg prostokątów, jakieś pięćdziesiąt miniatuerek fotografii. Przez chwilę nie rozumiem, myślę, że to jego stare zdjęcia z Natalią.

– Corvu, coś mi się widzi, że masz bardzo wysoką gorączkę.

Klika na jeden z prostokątów i na ekranie pojawia się śliczna naga blondynka na huśtawce, ma pewnie ze trzy lata. Corvu patrzy na mnie, oczy mu błyszczą z gorączki, a może i z pierwszych efektów wypicia whisky na pusty żołądek. Wygląda jak w ekstazie.

– Nie mogę mieć pedofili w zespole, Corvu.

Nawet mnie nie usłyszał.

– Dziś przeglądałem cały materiał z tamtych śledztw, ze sprawy Bonocorego i obu spraw Caruso.

– I?

– To są skany, które technicy zrobili ze zdjęć znalezionych podczas rewizji w mieszkaniu Scarlett Steele.

Drży jak osika i bełkoce, jakby język przykleił mu się do podniebienia.

– Corvu! I co dalej?

– Nie widział ich pan, *dottore*?

– Nie, Krasnal się tym zajmował.

– Ale to pan poszedł do ambasady amerykańskiej, nie on.

– A co ma z tym wspólnego ambasada?

Zaczyna gorączkowo otwierać fotografie, jedną, drugą, kolejną i jeszcze jedną. Burczy, bełkoce, klnie po sardyńsku. Przez chwile boję się, że gorączka połączona z whisky wprowadzi go w zapaść.

– O, jest, jest!

Sądząc po miejscu i ubraniach przedstawionych postaci, fotografię zrobiono w jasny letni dzień. Plaża, muskularny chłopak i młoda bogini, oboje w strojach kąpielowych. On leży na plecach, ona siedzi na nim okrakiem, ale nie twarzą do niego, tylko tyłem, bez górnej części kostiumu,

ma rozpuszczone jasne włosy, lekko wygięte plecy, ich okolice łonowe się stykają. Oboje piękni i opaleni.

Na brzegu odręczny napis:

Greg i Scarlett, Coney Island, lipiec 1996.

Scarlett ma zaledwie piętnaście lat, ale na tej fotografii gra już rolę *femme fatale*, którą spotkałem dziesięć lat temu.

– Widziałem to zdjęcie właśnie dziś przed południem. I wkrótce potem zobaczyłem tego gościa w telewizji. Przypomniałem sobie twarz i imię, Greg!

– Corvu, jesteś geniuszem. Ale teraz musisz odpocząć.

Próbuje wstać, traci równowagę, ja go podtrzymuję i kładę mu dłoń na rozpalonym czole.

– Dobrze. W takim razie zabiorę cię teraz do domu.

– Nie, jest za zimno. Nie ma pan jeszcze trochę whisky?

Zabieram go do siebie, każę mu położyć się na starej kanapie, nakrywam go tą jego gigantyczną kufajką, nalewam whisky, ale tylko na palec.

– Jeszcze, smakuje mi.

– Nie, Corvu. Teraz zejdę poszukać apteki, przyda ci się aspiryna.

Gaszę światło, zostawiam tylko lampkę na biurku. Corvu ciągnie mnie za rękaw marynarki.

– Źle się zachowałem, *dottore*.

Szepce, wzdycha, jakby wyjawiał spowiednikowi grzech śmiertelny.

– Cholera, Corvu, ale jaka w tym twoja wina? Nigdy nie widziałeś Gregory’ego Archera, tylko ja go spotkałem i...

– Nie o to chodzi. Wie pan, dlaczego pamiętałem tak dobrze tę fotografię?

– Bo masz fotograficzną pamięć, Corvu.

– Nie, *dottore*. Po tym, jak ją zobaczyłem, poszedłem z Natalią na obiad do tej restauracji.

– A co to ma, u diabła, do rzeczy?

Śmieje się rubasznie, z pewnością po raz pierwszy w życiu.

Whisky plus gorączka u abstynenta! Fantastycznie!

– I w czasie obiadu z Natalią przypomniałem ją sobie, tę pozycję z fotografii. Tam niedaleko jest mały hotelik. Pięknie było, robił pan tak kiedyś, *dottore*?

Podkładał mu tę cholerną papachę pod głowę, gaszę lampkę na biurku i

kiedy wychodzę, słyszę, jak chrapie. Bardzo mnie cieszą odkrycia Corvu w związku ze śledztwem, a jeśli chodzi o niedotyczącą sprawy resztę, to jestem wręcz entuzjastą.

Tylko że teraz i ja mam coś pilnego na głowie w związku z tymi zdjęciami.

Album z fotografiami Scarlett Steele jest wciąż na ekranie komputera Corvu. Technicy wszystko zeskanowali i ułożyli w porządku chronologicznym. Wracam do zdjęcia Gregory'ego Archera i Scarlett Steele na plaży i cofam aż do fotografii, którą zauważyłem, kiedy Corvu nerwowo przepatrywał album.

Jago i Desdemona.

To nie jest obraz ze sceny, to zaplecze teatru, prawdopodobnie garderoba. Jago namiętnie całuje Desdemonę, trzyma ją za pośladki obiema dłońmi, a ona z podniesioną suknią obejmuje go nogami. Za nimi jest lustro, widać w nim odbicie uśmiechniętej złośliwie dziewczyny, która robi zdjęcie.

Jagonem z brodą i w peruce jest Gregory Archer. Poznają go po budowie ciała i po tych ciemnych groźnych oczach. I po kostiumie, w którym już go widziałem dziesięć lat wcześniej na fotografii wiszącej na ścianie jego gabinetu. Tylko że Desdemoną nie jest Scarlett. Scarlett jest dziewczyną w lustrze robiącą zdjęcie. Desdemoną jest Nicole. Na brzegu widać napis wykonany tą samą ręką:

Czy Jago i Desdemona naprawdę się kochają? Rockefeller Theatre, Nowy Jork, styczeń 1996.

Greg pół roku przed tym, jak dał się sfotografować ze Scarlett na plaży Coney Island, namiętnie całował Nicole. Wieczny powrót mojego starego przyjaciela Nietzschego. Prędzej czy później wszystko się powtarza. Scarlett już raz ukradła mężczyznę swojej siostrze w 1996 roku i to był Gregory Archer. I zrobiła to po raz drugi z Victorem Bonocorem w 2001.

Sprawdzam godzinę. Za późno na budzenie kogoś takiego jak Ezio Conti, by przekazać mu tę piękną wiadomość? Może tak, może nie. Postanawiam napisać esemes.

Pilne wieści.

Odpowiedź dostaję w ciągu niecałej minuty:

Jutro 9 rano u mnie.

Maksimum pośpiechu w wykonaniu Ezia Contiego.

Środa, 30 listopada 2011

Balistreri

Ezio Conti jest bardzo spięty. On też dowiedział się o anonimowej kopercie z listem Romera przesłanej do redakcji telewizyjnych wiadomości i cały czas jest przekonany, że to ja za tym stoję, by zmusić go do ponownego otwarcia starych śledztw.

– Co to za pilne wieści, Balistreri?

Opowiadam o dwóch fotografiach, które dzięki Corvu znalazłem wczoraj wieczorem w materiałach z rewizji mieszkania Scarlett Steele dziesięć lat temu. Conti z wściekłości przechodzi do zatroskania.

– *Ten* Gregory Archer z ambasady amerykańskiej?

– Ten sam, panie prokuratorze. Ten, który wygłosił skierowane przeciwko nam oświadczenie w telewizji.

– Powiedział tylko, że pomyliliśmy się może. I że teraz będziemy lepsi. Może ma rację, Balistreri.

– Ale znał obie siostry Steele jeszcze jako chłopak. Prawdopodobnie Nicole Steele wykonała właśnie do niego ten słynny telefon, pytając, jak się ma zachować. A on cały czas to przed nami ukrywał.

Conti patrzy na mnie podejrzliwie.

– Co to znaczy, że cały czas to przed nami ukrywał? Czyżbyś go o to pytał?

Muszę uważać. Nigdy nie powiedziałem ani Contiemu, ani Abbiatiemu o mojej niełatwej pogawędce z Gregorym Archerem, na dodatek Abbiati wyraźnie mi zakazał ciągnięcia wątku ambasady amerykańskiej.

– Oczywiście, że nie.

– W każdym razie, Balistreri, to, czy Archer znał siostry Steele, czy nie, nie ma znaczenia dla sprawy. On nie był przesłuchiwany i nie ma z tym nic wspólnego.

– Zanim go wykluczymy, powinniśmy zapytać Scarlett, czy ona i Nicole widywały go także w Rzymie.

– Chcesz wybrać się w podróż do Stanów na koszt podatnika?

– Scarlett Steele jest tu od kilku dni. Przyjechała na promocję swojej książki. Chciałbym zapytać ją o Archera, zanim wyjedzie.

– I jak chcesz to zrobić? Znów ją aresztujemy, żeby wysłali nas obu do jakiejś zapadłej dziury aż do emerytury?

– Ja się zajmę przekonaniem jej.

Teraz Conti naprawdę jest wściekły.

– Oszalałeś, Balistreri?

Próbuję użyć całej cierpliwości, jaka mi została.

– Po wczorajszym dzienniku telewizyjnym chyba musimy coś zrobić?

Z niezdecydowaniem kręci głową.

– W takim razie postaraj się ustalić, czy Scarlett Steele zechce się z tobą spotkać u siebie, nieformalnie i nie tutaj. I daj mi znać, co mówi. I nie rób nic bez mojej wiedzy, Balistreri.

Wychodzę bez pożegnania.

Ze swojego gabinetu dzwonię do kancelarii adwokat Bellavisty, która dziesięć lat temu broniła Scarlett. Kiedy się przedstawiam, słyszę wahanie w głosie sekretarki.

– Spróbuję się zorientować, czy pani mecenas jest teraz wolna.

– Proszę jej powiedzieć, że to dotyczy Scarlett Steele.

Trzydzieści sekund później słyszę ciepły dobrze ustawiony głos kobiety, która ostatecznie doprowadziła do uniewinnienia Scarlett Steele od oskarżeń, które przeciwko niej wysunęliśmy z Biancą Benigni.

– Dzień dobry, pani mecenas. Słyszałem, że Scarlett Steele jest we Włoszech.

– To nie pana sprawa, *dottor* Balistreri. Scarlett promuje tu swoją książkę i wolno jej to robić.

– Chciałbym z nią porozmawiać. Nic formalnego.

– Oczywiście, nic formalnego, dokładnie tak samo jak dziesięć lat temu, kiedy razem z Biancą Benigni przesłuchiwaliście ją bez adwokata.

– Proszę jej powiedzieć, że wśród jej starych fotografii znalazłem jedną, Coney Island, lipiec dziewięćdziesiątego szóstego roku, z pewnym panem, który był tu w Rzymie w dwa tysiące pierwszym. Mogłaby trafić do redakcji jednego z tych skandalizujących pisemek, może to by pomogło w promocji książki.

W jej głosie słyszę oburzenie:

– Pan oczywiście wie, kto we Włoszech stosuje takie metody, *dottor* Balistreri.

– Oczywiście, pani mecenas. Ci, z którymi walczę, a których pani doprowadza do uniewinnienia w zamian za bajońskie honoraria.

Mecenas Bellavista wzdycha.

– Ona nie postawi więcej stopy ani w prokuraturze, ani w wydziale kryminalnym.

– Mogę do niej iść. Gdzie się zatrzymała?

Wychwytyuję nutę zażenowania w jej głosie:

– Amerykanie naprawdę są trochę dziwni, *dottor* Balistreri. Willa, którą posiadali Bonocore w dwa tysiące pierwszym, interesuje obecnie jedynie obcokrajowców, wynajmują ją na krótkie okresy. My, Włosi, jesteśmy nieco przesądni.

– Chce mi pani powiedzieć, że Scarlett zatrzymała się tam?

– Tylko na ten tydzień. Willę wynajął wydawca, chce tam zrobić konferencję prasową i promocję książki.

– Doprawdy, bardzo gustowne! Ale domyślałam się, że to się sprawdza w tym, co jedni nazywają marketingiem, a ja nabijaniem ludzi w butelkę.

– Mam spotkanie ze Scarlett za dwie godziny w tej willi, *dottor* Balistreri. Zadzwońię do niej i zapytam, czy może się z panem zobaczyć na parę minut. Proszę zostać na linii.

Wraca do mnie po minucie.

– Za dwie godziny w willi. Drogę pan zna.

Zamknąłem okna, podkręciłem ogrzewanie i wołam Corvu. Wygląda jak bezpański pies, głos ma wciąż niewyraźny, jeszcze się nie obudził, z pewnością gorączkuje.

– Dobrze spałeś, Corvu?

– Przepraszam, że użyłem pana kanapy, *dottore*. To się więcej nie zdarzy. Poza tym nie pamiętam, co mówiłem wczoraj wieczorem, nie chciałbym...

– Jesteś wielki, Corvu! Znalazłeś fotografię Scarlett z Gregorym Archerem na Coney Island. I dzięki tobie ja odnalazłem inną, równie interesującą, zrobioną pół roku wcześniej, z Nicole i Archerem.

– Super! Muszę szybko zrobić wyszukiwanie pod kątem Archera.

– Tak, ale zaraz potem pójdziesz do domu i zatroszczysz się o siebie.

– A pan co robi?

– Idę zamienić parę słów z piękną dziewczyną. Tą z twojego zdjęcia.

– Scarlett była tą na górze czy na dole?

Patrzę na niego i nie wierzę. Nie słyszałem tego określenia od pięciu lat, od śmierci Coppoli. Instynktownie rzucam okiem na butelkę lagavulina na moim biurku i odnoszę wrażenie, że poziom zawartości się nieco obniżył.

– Dziś rano też piłeś, Corvu?

– Tylko kropelkę, na kaszel, potem panu odkupię. Na górze czy na dole?

– Skąd wiesz, że Coppola tak określał kobiety?

Corvu się uśmiecha.

– Opowiedział mi o sprawie Bonocorego, kiedy tu przyszedłem. Wydaje mi się, że według niego Scarlett była na górze, a Nicole na dole. A według pana?

Rzucam okiem na fotografię na moim biurku. Na zdjęcie Krasnala kończącego dwutakt pod koszem.

– Nigdy nie sędzę po pozorach, Corvu. A z siostrami Steele nie miałem przyjemności bliżej się poznać.

– Ale co panu mówi intuicja? Ma pan przecież nosa i doświadczenie w tych sprawach!

Dzień jest szary i ponury. Całkiem inny od tamtych majowych dni sprzed dziesięciu lat. Kiedy jadę w stronę morza, zastanawiam się, kim się stała Scarlett Steele i jak zareaguje na te zdjęcia.

Zjeżdżam z via Cristoforo Colombo w aleję prowadzącą do dawnej willi Bonocorego i dojeżdżam do bramy, za którą wszystko jest dokładnie takie samo jak wtedy. Jak tamtego wieczora, kiedy zostaliśmy wezwani przez Nicole Steele, gdyż zamordowano jej męża. I kiedy od razu zaczęły się moje utarczki z Biancą Benigni.

Zbyt liczne, by uznać je za normalne, Balistreri. Coś cię w niej drażniło właśnie dlatego, że...

Odrzucam od siebie tę myśl i parkuję samochód. Wsiadam, podchodzę do drzwi, wciskam ten sam guzik dzwonka, na który Scarlett bezskutecznie, jak twierdzi, naciskała tamtego wieczoru.

Scarlett Steele sama otwiera mi drzwi. Zmieniła się bardzo przez te dziesięć lat, z których cztery spędziła w więzieniu. Jej ciało wciąż musi robić wrażenie, ale teraz stara się je ukrywać. Nie ma na sobie wydekoltowanej

sukienki, żółtej ani zielonej, lecz obszerną bluzę i luźne spodnie. Jasne włosy są obcięte na pazia, na nosie ma okulary krótkowidza. W jej spojrzeniu zostało coś ze zbuntowanej dziewczyny zdolnej do bezczelnego kłamstwa, ale pojawiła się też pewna dojrzałość.

– Niech pan wejdzie, *dottor* Balistreri.

Nie podaje mi ręki, nie uśmiecha się. W końcu byłem jej oprawcą. Wchodzimy do saloniku na parterze, tego samego, w którym razem z Biancą przesłuchiwałem Nicole w wieczór morderstwa. Siadamy przy okrągłym stoliku, na którym stoi już kawiarka, dwie filiżanki i cukiernica.

– Sądziłem, że wezwie pani również mecenas Bellavistę.

Odpowiada mi poważnym tonem:

– Jestem przyzwyczajona do rozmawiania z panem bez adwokata. I nie sądzę, by tym razem mógł mnie pan aresztować.

Podaje mi kawę, upijam łyk, jest znakomita.

– Gratulacje, panno Steele. Doskonała kawa.

Przytakuje bez uśmiechu.

– Nauczyłam się przez te cztery lata spędzone w więzieniu.

Nie dodaje: „Dzięki panu”, ale to przecież oczywiste.

– A więc jest tu pani z powodu promocji swojej książki?

Scarlett prostuje się na oparciu fotela i patrzy mi w oczy.

– Wie pan, dlaczego zgodziłam się na to spotkanie? Chciałam zobaczyć, czy wciąż napełnia mnie pan takim samym strachem jak wtedy. I żeby się dowiedzieć, czy naprawdę dojrzałam, czy jestem już uzdrowiona.

– Może ma pani rację, ale nie prosiłem o spotkanie, by wyzwać panią na pojedynek po dziesięciu latach. Jestem tu, żeby zadać kilka pytań. Może pani nie odpowiadać na nie i nic się nie stanie.

– Spróbujmy, niech mnie pan przesłuchuje, choć nie ma pan tu swoich ludzi i pomieszczenie jest przyzwoite.

Wiem, że ma rację. Musiałem odnaleźć córkę, by to zrozumieć. By rozumieć, że bez względu na ewentualną winę Scarlett Steele nie miałem prawa traktować jej w taki sposób dziesięć lat temu. Staram się mówić jak najgrzeczniej:

– Jest pani na bieżąco z wiadomościami?

Przytakuje.

– Anonimowy list. Partia pokera z Victorem i tym mężczyzną, co się potem zabił, nazywał się Caruso.

- Słyszała pani to nazwisko od Victora albo od swojej siostry?
- Nigdy.
- A słyszała pani o kwicie do przechowalni bagażu na dworcu Termini?
- Kwicie na co?
- Na torbę, panno Steele, z dużą sumą pieniędzy w środku.
- Czyich pieniędzy?

Patrzę na nią bez słowa. Kiedyś umiałem odczytywać jej kłamstwa z oczu, niemal widzieć, jak je tworzy. Teraz już nie. Postanawiam zmienić temat. Pokazuję jej zdjęcie zrobione na Coney Island.

- Kim jest ten młodzieniec, panno Steele?

Bierze fotografię w dwa palce, patrzy na nią długo. Nie wiem, może wymyśla kolejne kłamstwa. Potem mi ją oddaje.

– To Greg, mój dawny chłopak. Jeden z tych mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety.

Podaję jej drugie zdjęcie. Jago i Desdemona w uścisku i jej odbicie w lustrze. Scarlett patrzy na nie jeszcze dłużej, zanim mi je odda.

– Tu Greg jest jeszcze chłopakiem Nicole. Wielka miłość, jak mówiła moja siostra.

- A potem Greg wybrał panią, jak zawsze?

Ostatnie dwa słowa są prowokacją, ale Scarlett Steele nie jest już dziewczynką, którą mogę dowolnie manipulować. Patrzy mi w oczy z chłodem i spokojem, który musiał dojrzewać raczej w więzieniu niż w ciągu kolejnych sześciu lat.

– Widać nie byli dla siebie stworzeni. Ja nie mam z tym nic wspólnego, jak zawsze.

- Jak z profesorem Bonocorem.

Scarlett przecząco kręci głową i patrzy mi prosto w oczy.

– Wszyscy żonaci mężczyźni są nieszczęśliwi. A oni szukali takiej jak ja. Ale to nie ja byłam problemem, byłam tylko nieświadomą dziewczynką. Małżeństwo uczyniło ich nieszczęśliwymi.

- Dla pani siostry to była wielka miłość, sama mi to pani powiedziała.

– Tak, dla Nicole tak. Ale ewidentnie nie dla Grega. Ostatecznie pomogłam Nicole zobaczyć, jaki naprawdę był ten mężczyzna. To samo dotyczy Victora.

- Sądzi pani, że siostra była pani wdzięczna?

– Powinna być. Obaj byli niebezpiecznymi typami, manipulowali

kobietami i stosowali wobec nich przemoc. To najgorsze, co się może kobiecie przydarzyć.

– Gregory Archer aktualnie jest szefem biura prawnego amerykańskiej ambasady w Rzymie.

– Tak, widziałam wczoraj w telewizji jego oświadczenie.

Patrzę jej prosto w oczy. Teraz, tak jak dziesięć lat temu, musi mi się udać czytanie w jej wnętrzu.

– Ale Archer był w Rzymie, w tym samym biurze, także wtedy, kiedy zginął Victor Bonocore.

W jej spojrzeniu jest wszystko. Zaskoczenie, niedowierzanie. Może złość.

– Greg był w Rzymie? – pyta.

– Nie wiedziała pani?

– Nic nie wiedziałam. Nie miałam z nim później żadnego kontaktu.

Nie wiem, czy jest szczerą, czy może nauczyła się kłamać. Wiem, że nie mam już więcej pytań. Wstaję.

– Powodzenia z książką, panno Steele.

Ona też wstaje. Już na stojąco patrzy na mnie, wahając się, czy zadać pytanie. W końcu się decyduje:

– Czy Greg spotykał się z Nicole? Odnowili romans?

Mowa jej oczu zmieniła się. Malują się w nich same wątpliwości.

– Nie wiem. Miałem nadzieję, że pani mi to powie. Dlaczego mnie pani pyta?

– Bo Nicole go kochała, ale nie była wariatką. Nigdy nie zaufałyby mu do samego końca.

– Nie rozumiem. Uważa pani, że nigdy nie zostawiłaby Victora Bonocorego, by związać się ponownie z Gregorym Archerem?

Scarlett potrząsa głową, nic więcej nie chce powiedzieć. I nagle przychodzi mi na myśl pytanie, które zadałem jej dziesięć lat temu:

– Co naprawdę powiedziała Nicole, kiedy zadzwoniła do pani po odkryciu zwłok profesora Bonocorego?

Scarlett nie waha się ani przez chwilę:

– Że wie o mnie i Victorze we Florencji, ale mi wybacz. Że mam powiedzieć, że byłam z nią we Florencji, a potem we Fregene. Że mogę być absolutnie spokojna, bo będzie mnie chronić.

Taka jest prawda. I teraz mogę zadać jej to pytanie, którego dziesięć lat

temu nie zadałem:

– I nawet nie zapytała, czy to pani zabiła Victora?

Przecząco kręci głową.

– Nigdy mnie o to nie zapytała. Nicole wiedziała, że jeśli chodzi o mężczyzn, byłam zdolna do wszystkiego, ale na pewno nie do zabijania.

Odprowadza mnie do drzwi. W progu wyciąga rękę. Po raz pierwszy. Odwzajemniam uścisk dłoni.

– Bała się mnie pani dzisiaj?

Jest zadumana.

– Pana nie. Jedynie kilku rzeczy, które pan powiedział.

– Pani wie, gdzie przebywa Nicole, prawda?

Patrzy na mnie.

– *Addio, dottor* Balistreri.

Uśmiecha się i zamyka mi drzwi przed nosem.

Corvu czeka na mnie w biurze. Oczy mu błyszczą, ma wokół nich jeszcze ciemniejsze obwódki i policzki jeszcze bardziej zapadnięte. Drży z gorączki, ale ma zadowolony uśmiech wielkiego odkrywcy.

– Opowiadaj.

– Gregory Archer urodził się w siedemdziesiątym pierwszym roku. Wychował się w Brooklynie, niedaleko od rodziny Steele. Wie pan, co robił po liceum?

Muszę pamiętać, że jest zmęczony i ma gorączkę.

– Corvu, słuchaj, nie jestem wrózką...

– Wstąpił do marynarki i po kursie podstawowym okazał się jednym z lepszych. Był w Iraku w dziewięćdziesiątym drugim i podczas okupacji w dziewięćdziesiątym trzecim, należał do Navy Seals, samych twardzieli: dwa i pół roku twardego szkolenia, zanim się ich wyśle na misje, zazwyczaj te najtrudniejsze.

Przerywa, kaszle i kicha.

– Dowiedziałeś się czegoś jeszcze o Archerze?

Wzrusza ramionami.

– Nie, masę nieużytecznych informacji albo rzeczy, które już wiemy. Pod koniec dziewięćdziesiątego trzeciego wrócił z Iraku i zapisał się na prawo na Yale. Był kapitanem drużyny futbolowej i jednocześnie studiował aktorstwo

w Penn School na Manhattanie. Żeby się utrzymać, miał się różnych zajęć, grał drugoplanowe role na Broadwayu, a nawet zatrudniał się jako prestidigitator. Obronił się w dziewięćdziesiątym siódmym i dostał się do dyplomacji. Na początek wysłali go do dwóch hiszpańskojęzycznych krajów Ameryki Południowej, a na początku dwutysięcznego przenieśli go do Rzymu. Parę miesięcy później przyjechała Nicole z mężem.

Kolejne ataki kaszlu i kichanie.

– Corvu, musisz iść do domu.

Ale on kontynuuje, jakby mnie w ogóle nie słyszał:

– *Dottor Annibaldi* powiedział nam, że Victor Bonocore wyszedł od niego około ósmej dziesiątej. A więc Bonocore został zamordowany między ósmą trzydziestą, kiedy przyjechał do willi, a dziesiątą, godziną ustaloną przez lekarza sądowego jako najpóźniejszą możliwą. Gdzie był wtedy Archer?

– Właśnie idę go zapytać.

Spogląda na mnie przez chwilę i rozumie, że wcale nie żartuję.

– Ale Ezio Conti...

– Nie martw się, Corvu. Zobaczysz, że Archer przyjmie mnie bez problemów. A ty idź wreszcie do domu i wskakuj pod kołdrę.

Kręci głową.

– Chciałbym też pójść, *dottore*. Potem wrócę do domu, obiecuję.

Skutki lagavulina i gorączki.

Osobista asystentka Gregory'ego Archera konsultuje się z szefem po mojej prośbie.

– Pan Archer przyjmie panów za pół godziny.

Kiedy wchodzimy z Corvu do jego gabinetu, większego niż tamten sprzed dziesięciu lat, Archer nie wstaje ani się nie uśmiecha.

– Spodziewałem się pańskiej wizyty, *dottor Balistreri*. Nawet wcześniej niż po dziesięciu latach.

Rzuca okiem na kaszlącego i kichającego Corvu okutanego w swoją syberyjską kapotę, z papachą w ręku.

– Pan jest chory, *dottor Corvu*, powinien pan leżeć w łóżku.

Potem idzie otworzyć okno, by wywietrzyć pokój z wirusów, które rozsiewa mój wice. Wskazuje nam kanapę i siada naprzeciwko nas w fotelu.

Zakłada nogę na nogę, patrzy bez słowa swoimi ciemnymi oczami. Dopiero teraz, kiedy znam jego przeszłość, Navy Seals, Irak, lepiej rozumiem swoje uczucia z poprzedniego spotkania.

Lodowato zimny człowiek, niebezpieczny zarówno na poziomie fizycznym, jak i psychicznym.

– Wróciłbym szybciej, gdyby dziesięć lat temu powiedział mi pan prawdę.

– Czyżby? Okłamałem pana?

– Nie, nie okłamał mnie pan, tylko zwodził. Z którego roku jest ta fotografia w roli Jagona?

– Z dziewięćdziesiątego szóstego, wtedy debiutowałem na Broadwayu.

– W tym spektaklu Desdemoną była Nicole Steele.

Potakuje głową bez odrobiny wahania. Nie boi się mnie ani Corvu, może nikogo się nie boi.

– Nicole była stworzona do tej roli.

– Powinien pan powiedzieć, że znaliście się wcześniej. Może też powinien pan mi powiedzieć, że Nicole telefonowała do starego przyjaciela, a nie do zwykłego prawnika w ambasadzie.

– Nie mówiliśmy wtedy o żadnym telefonie, *dottor* Balistreri. Pan ograniczył się do obrażania Ameryki i Amerykanów, a ja wyrzuciłem pana za drzwi.

– Nie obrażałem Ameryki. Ale w tej kwestii nigdy się nie porozumiemy.

– W rzeczy samej. W innych też. Czego pan chce dziś?

Patrzę na Corvu, któremu błyszczą oczy, który drży i wciąż coś robi z rękami. Myśli, że nie powinno nas tu być, że nie możemy mu zadać tego pytania. Ale ja uważam, że tak.

– Chcę wiedzieć, gdzie się pan znajdował tamtego wieczoru przed dziesięciu laty, kiedy został zamordowany Bonocore.

Archer unosi brew.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że mnie to interesuje. Oczywiście jeśli pan nie chce, nie musi odpowiadać.

– Powiniennem to pamiętać po dziesięciu latach?

– To miało związek z osobami, które dobrze pan znał. Zazwyczaj takich chwil się nie zapomina.

Wzrusza ramionami, jakby rzecz była bez znaczenia.

– W ambasadzie odbywało się przyjęcie. Był sam ambasador i wielu ważnych gości. Siedziałem przy stole. Znajdzie pan fotografie w naszym archiwum cyfrowym, jeśli pan chce, dam upoważnienie panu Corvu, żeby jeszcze dziś mógł to zweryfikować.

– O której zaczęło się przyjęcie?

– Drinki podano o ósmej, a o dziewiątej wszyscy byliśmy przy stole. Siedziałem obok ówczesnego kwestora, pańskiego szefa. Na pewno będzie to pamiętał.

Corvu patrzy na mnie, kręci głową. Jeśli alibi Archera jest prawdziwe, to nie ma mowy, żeby to on zabił Victora Bonocorego między ósmą trzydzieści a dziesiątą.

– Nie wie pan nic o kwicie z przechowalni i torbie pełnej pieniędzy, panie Archer?

– Może.

– Co znaczy: „może”?

– Znaczy, że może Nicole zatelefonowała do mnie z hotelu i może powiedziała mi o kwicie i torbie. Jeśli będziecie bardziej precyzyjni, może lepiej sobie przypomnę.

Słyszę, jak Corvu chrząka, a potem mówi przez rozpalone gardło:

– Kwit z przechowalni bagażu na dworcu Termini miała Nicole Bonocore. Przekazała go komuś innemu, kto odebrał torbę następnego dnia rano po śmierci Victora Bonocorego.

Na te słowa ogarnia mnie przemożna chęć, by rzucić się na niego i udusić go gołymi rękami. Gorączka i whisky zamieniły mu mózg w papkę. Wyjawiał tajną informację, która może być niezwykle cenna dla podejrzanego.

Jednak reakcja Gregory’ego Archera jest jeszcze silniejsza. Lodowatymi ciemnymi oczyma wpatruje się w nas. Nie mówi nic. Kompletna cisza. Ale nie potrafi ukryć zaskoczenia, jest niemal w szoku po słowach Corvu.

Patrzę na fotografie wiszące na ścianie, te same co dziesięć lat temu. Dyplom z Yale, Archer jako kapitan drużyny futbolowej, Archer grający w *Otellu*. Dlaczego został tu przez całe dziesięć lat? To samo miasto, ta sama praca, te same fotografie. Niepodobne do kogoś takiego jak on. Dlaczego? Teraz, widząc jego oszołomienie, już wiem.

Żeby odnaleźć Nicole. I te pięć miliardów. Bo nie wie, co się z nimi stało, z nią i z pieniędzmi.

Wstaje.

– Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, *dottor* Balistreri.

Wstajemy i my.

– Do widzenia, panie Archer. Nie chciałbym, by ta rozmowa skończyła się tak źle jak nasze ostatnie spotkanie.

– Mogło się skończyć gorzej, *dottor* Balistreri. Znacznie gorzej. Niech pan o tym zawsze pamięta.

Kawałek pizzy i piwo. Ile już kolacji z takim właśnie menu zjadłem w swojej trzydziestoletniej karierze w policji? Patrę na gorączkującego Corvu, który połyka kawałek margherity przed komputerem. Nie ma sposobu, by wysłać go do domu.

– Czas najwyższy, żebyś się zorganizował, Corvu. Ja niedługo idę na emeryturę, ale ty masz przed sobą kolejne trzydzieści lat z pizzą i piwem, jeśli nie urządzisz się z Natalią.

– Przy mojej pensji nie mogę sobie pozwolić na kucharkę, *dottor* Balistreri.

Przez chwilę mam nadzieję, że to żart. A potem patrę na niego uważniej. Jest śmiertelnie poważny. Lepiej odpuścić.

– I co, skończyłeś sprawdzanie alibi Archera?

Wlewa w siebie porządny łyk piwa i kiwa głową.

– Na każdej fotografii jest data i godzina wykonania. O ósmej pięćdziesiąt Archer siedział przy stole z kwestorem. Żadnej możliwości, by był w willi Bonocorego między ósmą trzydzieści a dziesiątą, kiedy zabito profesora.

– A więc to nie był Archer. Ale o kwicie i torbie wiedział!

Znów kaszel i kolejny łyk piwa. Corvu, choć ledwo trzyma się na nogach, jest niebywale podekscytowany.

– Pewnie! To on mógł odebrać tę torbę w dzień po śmierci Bonocorego. Tylko że skoro Aimone dał kwit Bonocoremu poprzedniego dnia, znaczy, że Bonocore przekazał go Archerowi, jeszcze zanim został zabity.

– Ale Archer nie wiedział, że torbę ktoś odebrał następnego dnia. Sam mu to niechęć powiedziałeś, Corvu. I był kompletnie zaskoczony.

– Niechęć? *Dottore*, nie jestem ani głupi, ani pijany.

Patrę na niego i nie dowierzam. Corvu przechodzi przemianę. Z poczwarki przeobraża się w motyla.

Chłopak staje się mężczyzną.

– Zrobiłeś to specjalnie, Corvu?

– Oczywiście. Chciałem zobaczyć jego reakcję.

– I nie zobaczyłeś? On nie wiedział, że ktoś zabrał torbę!

– Nie wiem. Archer jest lodowato chłodny.

– Był kompletnie zaskoczony, Corvu!

Corvu nawet mnie nie słucha.

– Może Archer zabrał kwit z willi po tym, jak zabił Bonocorego?

– Corvu, wlałeś w siebie już dwie butelki piwa. Dopiero co powiedziałeś, że Archer nie mógł zabić Bonocorego. Victor Bonocore był w gabinecie Giovanniego Annibaldiego. Wrócił do swojej willi o ósmej trzydzieści. Same fakty mówią, że Archer jest poza podejrzeniem.

– No to komu Bonocore dał ten cholerny kwit?

Corvu zaczyna już bredzić. Kładę mu rękę na czole, wciąż jest rozpalone, i zabieram puszkę z piwem.

– Koniec pracy, Corvu. Teraz kładź się na kanapę i śpij.

Znów wygląda jak wyczerpane dziecko. I dopiero teraz sobie uświadamiam, że od kilku dni i nocy zmuszam go do pracy bez przerwy. Nieważne, czy ma gorączkę, czy nie. Każę mu się położyć na kanapie, nakrywam go kapotą i po pięciu minutach słyszę jego chrapanie. Ale pytanie, które zadał, wciąż dźwięczy mi w głowie.

No to gdzie się podział ten cholerny kwit?

Gregory Archer był zdumiony. Scarlett Steele – wymijająca. Pozostaje jeszcze jedna osoba. *Dottor* Giovanni Annibaldi.

Po chwili budzę mojego zastępcę.

– Idziemy, Corvu. Wysyłam cię do domu.

Po dziesiątej, wsadziwszy Corvu do radiowozu, wyjeżdżam swoim samochodem z garażu kvestury. Ruch jest niewielki, pada, zrobiło się zimno, ludzie wrócili już do domów. Może właśnie dlatego niemal natychmiast zauważam światła za plecami. W ostatniej chwili skręcam w boczną ulicę, ale samochód wciąż siedzi mi na tyłku. Skręcam ponownie i to samo. Teraz widzę, że to są dwa samochody.

Ulica jest ciemna i pusta. Jeden z samochodów wyprzedza mnie i zatrzymuje się przede mną, blokując mi drogę. Drugi staje zaraz za mną.

Widzę, że wysiadają, po dwóch z każdego wozu, z pistoletami w dłoni. Pierwszego dobrze znam, to Sergio Domenichini. Zbliża się do mnie, podczas gdy pozostali zostają z tyłu. Każe mi gestem opuścić szybę, robię to.

Patrzy na mnie.

– Uprzedzałem cię, żebyś się ode mnie odpierdolił, Michele. Że chęć zabicia ciebie nigdy mi nie przeszła. Coś mi się widzi, że powiedziałeś stryjowi coś, czego nie przełknę. A teraz wysiadaj.

Nie mam wiele możliwości. Za parę sekund wszystko się skończy. Otwieram drzwi i wysiadam, zamykając je za sobą. Czasy się zmieniły. Wcześniej nie bałem się śmierci. Teraz myślę o Lindzie, o dniach, których nie spędzę z moją dopiero co odnalezioną córką.

A potem słyszę coraz głośniejszy warkot silnika motocyklowego. Świetnie znam ten dźwięk, to kawasaki. Zapamiętałem go dobrze tamtego dnia przed wielu laty, kiedy stryj Tano na polecenie mojego ojca wysłał mi na pomoc ludzi z kałasznikowami na podobnych motocyklach. I wiem, że ostatnio dałem stryjowi doskonały powód, by znów zrobił to samo.

Na dwie sekundy przed Domenichinim i jego ludźmi wiem również, co się stanie. Rzucam się za samochód w tej samej chwili, kiedy dwa motocykle nadjeżdżają z przeciwnych stron. Potem słychać już tylko trzask strzałów i krzyki.

Po kilku sekundach – cisza. Za minutę w oknach pojawią się ludzie. Nie mogę być w to zamieszany, przynajmniej jeszcze nie teraz. Trzydzieści sekund i jestem już daleko.

Czwartek, 1 grudnia 2011

Balistreri

Strzelaninę, w której zginął Sergio Domenichini wraz z trzema innymi osobami, media uznały za kolejny epizod wojny gangów rywalizujących o kontrolę nad handlem narkotykami. W prokuraturze Ezio Conti natychmiast się zgadza, żeby sprawą zajęła się sekcja pierwsza, do spraw przestępczości zorganizowanej, a nie trzecia, do spraw zabójstw. I zdaje się, że nikt nie zauważył mojego samochodu na miejscu masakry. Nikt nawet hipotetycznie nie połączył tej strzelaniny ze sprawą Bonocorego czy sprawą Carusa, a w moim interesie jest, by tak zostało. Corvu też nic nie powiedziałem, w tej chwili nie ma potrzeby.

Muszę zacząć od odtworzenia drogi, którą przebył kwit z przechowalni. Aimone przekazał go Bonocoremu, a on prawdopodobnie swojej żonie. Dobrowolnie albo wbrew swojej woli. Ale skoro Nicole Steele nie mogła osobiście odebrać torby w sobotę rano, musiała przekazać kwit komuś, komu ufała i kto mógł odebrać torbę zamiast niej. Na mojej liście są tylko cztery nazwiska. Pino Ingrassia, lecz on nie żyje od dziesięciu lat. Scarlett Steele powiedziała, że nic o tym nie wie. Gregory Archer wiedział o kwicie, był jednak zdumiony, kiedy usłyszał, że torba została odebrana dzień po morderstwie. Pozostaje czwarte nazwisko. Mężczyzna, który uratował Nicole Steele przed dożywociem, dostarczając jej żelaznego alibi: Giovanni Annibaldi, mąż Bianki Benigni.

Nigdy nie szukałem informacji ani nawet nie słuchałem rzadkich plotek, które przez te dziesięć lat docierały do mnie, na temat Bianki Benigni i jej rodziny. W większości plotek roznoszonych przez jej dawnych kolegów z prokuratury. To, co wiem – czyli bardzo niewiele – powiedziała mi Linda parę dni temu. Nanni i Bianca nie rozwiedli się, choć mieszkają osobno. Ona w L'Aquili, gdzie ma kancelarię adwokacką i mieszka z synem, który studiuje architekturę, on w Rzymie, ta sama praca, ten sam gabinet, to samo mieszkanie.

Upewniłem się już wcześniej, że numer telefonu komórkowego

Annibaldiego się nie zmienił. Dzwonię z komórki. Po kilku sygnałach odbiera.

– Jestem Michele Balistreri. Muszę z panem porozmawiać.

Annibaldi natychmiast przyjmuje defensywną postawę. Moje nazwisko z pewnością nie wywołuje miłych wspomnień.

– Widziałem w telewizji, że sprawa wróciła. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Proszę się nie martwić. Muszę tylko raz jeszcze zadać kilka pytań wszystkim osobom, które w jakiś sposób były związane ze sprawą. Nie zajmę panu więcej niż pół godziny.

Annibaldi milczy. Zapewne rozważa wszystkie za i przeciw. W końcu decyduje:

– Dobrze, spotkajmy się w moim starym gabinecie o pierwszej, wtedy skończę przyjmować pacjentów.

Stoję przed niewielką willą na EUR. Wtedy było niemal lato, teraz już prawie zima. W ogrodzie za domem widzę szare volvo. Pierwszy sygnał, że także w życiu Giovanniego Annibaldiego zmieniła się pora roku. Otwiera mi bramę i daje znak, bym wjechał do środka. Włosy ma krótsze i posiwiałe, zgolił tamte zadbane wąsiki, nosi szary garnitur. Wydaje się starszy i może przez to prawdziwszy. Mniej upozowany i mądrzejszy.

– Proszę wejść, *dottor* Balistreri.

Biurko, fotel, kanapa. Dużo oprawionych w ramy zdjęć na ścianach. Fotografia monochromatyczna, zimowe pejzaże L'Aquili i okolicznych miejscowości dotkniętych trzęsieniem ziemi w 2009 roku. Annibaldi patrzy na nie z dumą.

– Zrobił je Luca.

I w tym zdaniu, w tych fotografiach dzięki mojej odnalezionej córce zaczynam rozumieć głęboki sens wyboru dokonanego przez Biancę przed dziesięciu laty.

Została z nim nie dla zachowania pozorów, ale dla Luki.

Siadamy, on na fotelu, ja na kanapie, kto wie, czy nie na tej samej, na której siadali Victor i Nicole Bonocorowie.

– Jak się ma pański syn?

Annibaldi przez moment wygląda na zaskoczonego pytaniem. Potem się

uśmiecha.

– Z czasem Luce się poprawiło. Ma teraz dwadzieścia jeden lat, jest nieśmiały, nie bardzo wie, jak postępować z dziewczynami, ale całkiem normalny. Zrobił licencjat z architektury, a teraz jest w Australii, robi specjalizację z fotografii.

Przyglądam się temu przeciętnemu słabemu mężczyźnie, którego uznałem za niegodnego takiej żony jak Bianca Benigni. Może się myliłem, może Giovanni Annibaldi ma w sobie taką siłę, jakiej ja nie posiadam.

Siłę ślepej wiary w kogoś.

Dzięki Biance udało mu się zwyciężyć własne słabości i przetrwać katastrofę, którą wywołał. Udało mu się wychować trudnego syna, a dziś, cały dumny i szczęśliwy, pokazuje mi rezultat. Udało mu się zostać z nią. Annibaldi wyczytuje mi z twarzy, co teraz myślę.

– Dziesięć lat temu Bianca była dla mnie wyrozumiała. Zamiast wyrzucić mnie z domu, zaproponowała układ: jej przebaczenie w zamian za całkowite posłuszeństwo. Obiecałem jej, że przynajmniej będę doskonałym ojcem dla Luki. Że zrezygnuję z przyjmowania pacjentów po południu i codziennie będę jeździł do L’Aquilii, pomagał mu w zadaniach domowych, spędzał z nim czas, jadł z nimi kolację i wracał do Rzymu po tym, jak położę go spać. Obiecałem jej też, że nie będę więcej myślał o innych kobietach, choć stwierdziła, że to nie jest konieczne.

Patrzę na niego i już nie wiem, co naprawdę czuję do tego mężczyzny. Wtedy to była pogarda.

A dzisiaj to zazdrość?

– To się nazywa małżeństwo czy więzienie?

Już kiedy formułuję to pytanie, wiem, że jest pozbawione sensu. Odpowiedź jest ewidentna, mam ją przed oczyma. Annibaldi spogląda na mnie. Jest najzupełniej pogodny.

– To się nazywa miłość, *dottor* Balistreri. Tylko że aby żyć nią naprawdę, trzeba umieć cierpieć. Dziesięć lat temu musiałem przekonać Biancę, że zawsze będę przy jej boku, i zgodziłem się na wszystko. Nigdy tego nie żałowałem. Ona jak zawsze zajęła się wszystkim. Nie wiem, jak jej się to udało po tym, co się wydarzyło. Pomogła mi dobrze wychować syna i stopniowo radzić sobie z życiem w separacji. W końcu Luca się usamodzielniał i wyjechał, a wtedy i ja byłem już gotowy, by żyć bez Bianki. Teraz ja mam swoje życie, ona swoje. Finał pozbawiony traumatycznych

doświadczeń. Dzięki Biance.

– Pańska żona została w L’Aquila także później?

– Zrezygnowała z wynajmowania mieszkania w mieście i przeniosła się w góry, niedaleko, do domu, który odziedziczyła po rodzicach. Tam mieszka.

– Sama?

Natychmiast żałuję, że zadałem to pytanie. Annibaldi uśmiecha się do mnie.

– Teraz, kiedy jestem w związku z inną i pozostaliśmy jedynie bliskimi przyjaciółmi, Bianca wyznała mi, że dla mnie i dla Luki wyrzekła się wiele lat temu wielkiej miłości. Nie chciała mi powiedzieć, kto to był. A dla mnie to już nieistotne.

Gardzę Giovannim Annibaldim i zazdrozczę mu jednocześnie. Spętał Biancę własną słabością i Lucą. Udało mu się nawet z lekkością przejść do porządku dziennego nad jej wielką miłością do innego mężczyzny. Wszystko, byle z nią zostać. Najwyższy czas, żebym zmienił temat.

– Słyszał pan w telewizji o liście Franca Romera?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Tak. Ale co ja mam z tym wspólnego?

– Zna pan Gregory’ego Archera?

Odpowiada bez najmniejszego wahania:

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Wie pan coś o kwicie bagażowym do przechowalni na dworcu Termini?

Chwila wahania.

– Nie sędzę...

– Może mówiła o nim Nicole Steele podczas kłótni z Bonocorem w pańskim gabinecie?

– To nie była kłótnia. Dostał ode mnie w twarz i upadł. A Nicole nie mówiła o żadnym kwicie bagażowym.

Mam takie wrażenie, że Annibaldi jest jednocześnie szczery i kłamie. Że teraz potrafi zrobić to, czego nie byłby w stanie zrobić dziesięć lat temu. Ukryć przede mną prawdę, nie uciekając się do kłamstwa. Wówczas był zdezorientowanym biedakiem, który wszystko tracił. Dziś jest spokojnym mężczyzną, który zyskał wszystko.

Zostaje mi tylko jedna możliwość. Strzelać na ślepo. Zadać pytanie z zawartą w nim odpowiedzią.

– Gdzie jest Nicole Steele?

Nawet jeśli był przygotowany także na to pytanie, Annibaldi odwraca wzrok. Przenosi go na jedną z fotografii wykonanych przez Lucę. Łąka za domem pokryta śniegiem. Wpatruje się w nią, jakby myślał o czymś bardzo odległym. Potem odwraca się do mnie.

– Gdybym wiedział, nie powiedziałbym tego panu, *dottor* Balistreri.

Patrzę na Giovanniego Annibaldiego, mężczyznę, do którego nigdy nie chciałem być podobny. Ale to on żył z kobietą, z którą może i mógłbym dzielić życie, kto to wie? Dziesięć lat temu Bianca postanowiła z nim zostać. By nie zniszczyć jego i nie zniszczyć ich syna. Dla mnie kompletny absurd. Ale nie dla niego i nie dla Bianki.

Żegnamy się i kiedy wracam do kwestury, myślę o Biance Benigni. Popełniliśmy błąd? Kto popełnił błąd? Ona, okłamując mnie, by uratować swoją rodzinę od nieszczęścia? Czy ja, nie potrafiąc się zgodzić na to, że miłość składa się także z kompromisów, nie tylko z prawd absolutnych?

Zaraz po wejściu do kwestury wzywam do siebie Corvu. Wciąż ma gorączkę, ale stara się to ukryć.

– *Dottor* Balistreri, zabójstwo Sergia Domenichiniego...

Piorunuję go wzrokiem.

– Nie wiem, kim jest Sergio Domenichini, ani ty tego nie wiesz, Corvu. Nigdy o nim nie słyszałeś, nigdy go nie widziałeś, nigdy nie był przedmiotem śledztwa. Zrozumieliśmy się?

Kaszle i kiwa głową. Potem wysłuchuje streszczenia mojego spotkania z Giovannim Annibaldim i wykręca sobie palce, jakby mógł z nich wycisnąć prawdę.

– A więc coś wie. Ale nie chce powiedzieć.

– Corvu, ty teraz idź do domu. Jesteś chory, rozumiesz?

– Już prawie ósma. Obejrzymy razem wywiad ze Scarlett Steele i idę.

Z niejakimi problemami włączam telewizor, do którego mam prawo z racji stanowiska, lecz niemal wcale go nie używam. Wywiad ze Scarlett Steele jest na trzecim miejscu, zaraz po polityce i ekonomii.

Dziennikarka zwraca się do niej z szacunkiem:

– *Ma pani żal do Włoch po tym bardzo przykrym doświadczeniu?*

Scarlett wygląda pięknie. To już nie jest uroda młodej dziewczyny, ale

dorosłej kobiety, jak Nicole dziesięć lat temu.

– *Nie, nie mam żalu ani do Włoch, ani do Włochów. Jedyne do osób prowadzących śledztwo, które skupiły się na mnie nie na podstawie dowodów, lecz na podstawie tego, jaka wówczas byłam.*

– *Wie pani, że ówczesna prokurator, dottoressa Bianca Benigni, odeszła z prokuratury?*

Scarlett nie uśmiecha się, nie bawi się włosami, nie zdejmuje okularów.

– *To nie była wyłącznie jej wina. Obie z siostrą prowokowałyśmy ją kłamstwami.*

– *Pani siostra Nicole znikła dziesięć lat temu, tego samego dnia, kiedy została zwolniona z aresztu. Według pani żyje, gdziekolwiek jest?*

Scarlett się zamyśla. Przez krótką chwilę wpatruje się w kamerę, wygląda to jednak tak, jakby patrzyła na kogoś konkretnego.

– *Dotąd zawsze myślałam, że Nicole żyje. Ale właśnie wczoraj się dowiedziałam, że dziesięć lat temu przebywała w Rzymie pewna osoba. I teraz już nie wiem, co mam myśleć.*

Dziennikarka oczywiście chciałaby wiedzieć więcej, lecz Scarlett już nic nie mówi na ten temat. Kiedy wywiad się kończy, Corvu kręci głową.

– *Ona jest kompletnie szalona, tak samo jak wtedy.*

– *Albo odważniejsza od nas wszystkich, Corvu. Scarlett Steele wciąż nosi brzemień osoby podejrzanej o zabójstwo i nie chce go dźwigać przez całe życie. Chce prawdy i użyła telewizji, by przekazać wiadomość. Bardzo niebezpieczna metoda.*

– *Wiadomość dla kogo?*

– *Powiedziałem jej, że dziesięć lat temu w Rzymie był Gregory Archer, i zrobiło to na niej silne wrażenie.*

– *Ale przecież kiedy zabito Bonocorego, Archer był na przyjęciu w ambasadzie.*

– *Corvu, dosyć. Teraz marsz do domu, wypij mleko z miodem, weź aspirynę i kładź się do łóżka.*

Czuję, że czas nagli, ale nie mogę biec, skoro nie wiem dokąd. Mogę jednak położyć się na starej kanapie w swoim gabinecie i myśleć. Nalewam sobie lagavulina i puszczam CD z muzyką Leonarda Cohena. Marząc o zaciągnięciu się gitane'em, układam się tam, gdzie wylegiwałem się przez

wiele lat. Na ulicy krzyżują się światła aut, samochody mijają się i jadą dalej w ciemności i deszczu. Whisky spływa do żołądka, muzyka Cohena wślizguje się prosto do serca.

Już mi się to przydarzyło w przeszłości. Wiem, że patrzyłem na prawdę, ale jej nie widziałem. Była w słowach podejrzanych, w raportach Corvu.

Dotąd zawsze myślałam, że Nicole żyje. Ale właśnie wczoraj się dowiedziałam, że dziesięć lat temu przebywała w Rzymie pewna osoba. I teraz już nie wiem, co mam myśleć.

Osobą, o której mówiła Scarlett, jest oczywiście Gregory Archer.

Ale przecież kiedy zabito Bonocorego, Archer był na przyjęciu w ambasadzie.

Corvu dopiero co mi o tym przypomniał. Według pierwszego lekarza sądowego Bonocore mógł nie żyć już o siódmej. Tylko że aż do ósmej dziesięć, kiedy wyszedł z gabinetu Annibaldiego po kłótni, był cały i zdrowy.

To nie była kłótnia. Dostał ode mnie w twarz i upadł.

Porządny cios w twarz, taki, który zwala z nóg, zostawia jakiś ślad, co najmniej siniec. Nie potrzebuję sprawdzać raportu z sekcji zwłok Victora Bonocorego. Na jego twarzy nie było nawet zadrapania.

Grał drugoplanowe role.

Jagona na Broadwayu. Victora Bonocorego w Rzymie. W peruce, z doprawioną brodą, w soczewkach zmieniających kolor oczu.

A nawet zatrudniał się jako prestidigitator.

Ktoś taki może być też świetnym szulerem. To on był czwartym graczem przy stole, przebranym za Bonocorego. To on był wielką miłością Nicole Steele, a później zdradził ją ze Scarlett. I z jego powodu Nicole nigdy nie zadała Scarlett tego pytania.

I nawet nie zapytała, czy to pani zabiła Victora?

Nigdy mnie o to nie zapytała.

Oczywiście. Ponieważ Nicole Steele doskonale wiedziała, kto zabił jej męża.

Mogło się skończyć gorzej, dottor Balistreri. Znacznie gorzej. Niech pan o tym zawsze pamięta.

Obaj mówiliśmy o naszym ostatnim spotkaniu. Ale ja o tym sprzed dziesięciu lat w ambasadzie, Archer natomiast o tym sprzed dwóch dni przed mauzoleum Cecylii Metelli.

Już wiem, że czas się skończył. Wyciągam z szuflady berettę i parę minut

później jestem na ulicy.

Zostawiam samochód trzysta metrów od dawnej willi Bonocorego. Idę w deszczu, wsadzona za pasek beretta uwiera mnie w plecy.

Gdzie ty idziesz? Co robisz?

Wszystkie światła w willi są wygaszone. Otwieram wytrychem i wchodzę, najciszej jak potrafię, do pustego przedpokoju oświetlanego jedynie pełnią księżyca. Idę po schodach na piętro, bardzo powoli, po jednym stopniu. Drzwi sypialni są półotwarte. Wyciągam berettę i bezszelestnie wślizguję się do pokoju. W słabej poświacie księżyca punkcik laserowego celownika mówi mi, że nie doceniłem młodszego ode mnie mężczyzny nauczonego polować na terrorystów w ciemności.

Mam jedynie tyle czasu, by się odwrócić, tak że kula wycelowana w brzuch trafia mnie pod prawą łopatką. Nawet gdybym był wciąż tak sprawny fizycznie jak trzydzieści lat temu, nic by to nie dało. Kolana same uginają się pode mną i padam twarzą na wykładzinę. Czuję, jak rośnie pode mną kałuża lepkiej cieczy.

– Zostań tu, Balistreri. Upłynie trochę czasu, zanim umrzesz z upływu krwi, może nawet pożyjesz wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak zabiję tę kurewkę, kiedy przyjedzie.

Głos Gregory'ego Archera dociera do mnie jak z oddali, nie potrafię go zlokalizować przez mgłę, która zasnuwa mi oczy. Ale mam świadomość, że te otwarcie wypowiedziane słowa są moim wyrokiem śmierci. I równie dobrze jak Archer wiem, że nie będę w stanie ruszyć palcem. Próbuję powoli obrócić oczy bez poruszania głową. W półmroku widzę zbliżającą się parę nóg obutych w churchsy, Archer zabiera mi pistolet, później jego churchsy oddalają się w stronę łóżka.

A potem słyszę głos Scarlett, nie wiem, skąd dobiega, ale jest gdzieś za plecami Archera:

– Kurewka już tu jest, Greg.

Churchsy odwracają się błyskawicznie w jej stronę.

Wystrzał. Jeden, drugi, trzeci.

Krok w tył, potem jeszcze jeden. Upadek. Teraz widzę podeszwy churchsów Gregory'ego Archera, pięta na podłodze, czubki w górze. Słyszę głos Scarlett Steele wzywającej pogotowie. Potem czuję, jak tamuje mi krew

ręcznikiem.

Scarlett Steele, dawna amerykańska kurewka, jedyny prawdziwy bohater tej historii.

– Tlen!

– Będziecie operować od razu?

– Można wiedzieć, co się, u diabła, stało?

Głosy przedzierają się przez gęstą mgłę. Różne głosy. Lekarzy, Corvu, Ezia Contiego. Nie do rozróżnienia. Ale wiem, do kogo należy dłoń, która ściska moją, kiedy wiozą mnie na salę operacyjną.

Minęło dziesięć lat. Dużo, mało, jakie to ma znaczenie? Minęło. Dzięki nałożonej masce tlen zaczyna płynąć do zalanego krwią płuca.

Ta dłoń puszcza moją, wjeżdżam do chłodniejszego pomieszczenia, nade mną mnóstwo świateł. Czuję wkłucie, środek usypiający zaczyna krążyć w żyłach, a myśli wreszcie przestają biec.

Niedziela, 25 grudnia 2011

Balistreri

– Balistreri, ty cholerniku, zrujnowałeś mi święta. Pozwoliłeś do siebie strzelać tylko po to, żeby nie pojechać do Kenii i nie poznać mojego chłopaka.

Linda siedzi naprzeciwko mnie między Corvu a Natalią. Przystroiła nawet małą choinkę – tego w moim domu nigdy dotąd nie było.

– Nie masz żadnego chłopaka, Linda.

Niepoczyszona rozkłada ręce, Corvu już ma coś powiedzieć, lecz Natalia go uprzedza:

– Nie wtrącaj się, Graziano. To nie twoja sprawa.

Będę musiał powiedzieć Corvu parę słów o jego relacjach z Natalią. Ale z pewnością nie w obecności Lindy.

– Jak się czujesz, Michele? – pyta Linda.

Minął prawie miesiąc od strzelaniny. Dziesięć dni temu wypisali mnie ze szpitala.

– Przyzwyczailem się. Nie pierwszy raz mnie podziurawili.

Cała trójka dobrze to pamięta. Tylko że tym razem naprawdę ryzykowałem życie. Gdybym nie przesunął się o te parę centymetrów i gdyby Scarlett nie ukryła się w garderobie z nabitym pistoletem, nie byłoby mnie tutaj.

– Skąd Scarlett miała broń? – pytam Corvu.

– Była w tym domu od dziesięciu lat, leżała w piwnicy ukryta pod kafelkami, nawet technicy jej nie znaleźli. Należała do Bonocorego, miała spiłowany numer seryjny. Pokazał ją Scarlett, a ona to zapamiętała.

– Archer musiał traktować mnie jak szansę na odnalezienie pieniędzy i Nicole, inaczej załatwiłby mnie razem z Aimonem.

Corvu potwierdza.

– Odnależliśmy ślad telefonu Aimoniego na komórce Archera, dzwonił z przyjęcia u Domenichiniego. Prawdopodobnie przez te dziesięć lat Archer nawiązał z nim kontakt, chcąc, by pomógł mu odnaleźć torbę z pięcioma

miliardami. Ale teraz, kiedy pan zaczął mu deptać po piętach, Aimone stał się zbyt dużym zagrożeniem dla Archera.

Słyszę, jak Corvu tłumaczy Lindzie i Natalii rzeczy, które już wiem.

– Tamtego ranka we Florencji ten biedak Pino Ingrassia dostrzegł kogoś, kto bardzo przypominał profesora Bonocorego, lecz odniósł wrażenie, że to jednak nie on. Ale nie powiedział nam o tym, a później popełnił jeszcze większy błąd: zwierzył się z tego Nicole Steele. Ona musiała go przekonać, by nikomu o tym nie mówił, skoro nie był pewny, bo to mogłoby zaszkodzić Scarlett. Potem zadzwoniła do ambasady amerykańskiej i powiadomiła o komplikacjach swojego współnika, który później zajął się wyeliminowaniem Ingrassii. Gdyby nie ta jedna mała wpadka, nazwisko Gregory'ego Archera nawet by się nie pojawiło w śledztwie. Ale od początku: o świcie Nicole zaproponowała prawdziwemu Bonocoremu erotyczną grę. Przykuła go kajdankami do łóżka i tak zostawiła. Potem pojechała do Florencji razem z Annibaldim, żeby ten osioł zobaczył tam jej współnika Gregory'ego Archera ucharakteryzowanego i przebranego za profesora. Po zakończeniu aktu pierwszego Archer wrócił pociągiem do Rzymu, odebrał od Aimonego kwit na bagaż, na krótko przed spotkaniem o siódmej trzydzieści u Annibaldiego wyciął korkociągiem słowo PIG na brzuchu Bonocorego i udusił go. Następnie pojechał do gabinetu Annibaldiego, żeby odegrać scenę główną, a potem popędził na przyjęcie do ambasady. Później, używając kluczy Nicole, zaniósł korkociąg do mieszkania Scarlett. Nie wiadomo, co zrobił Archer z kwitem, skoro jest jasne, że nie on odebrał torbę następnego dnia.

Nie obchodzi mnie już Bonocore, Aimone, Domenichini, Archer. Obchodzą mnie tylko ci, którzy są tu teraz ze mną, i jeszcze dwie inne kobiety.

– Gdzie Scarlett? – pytam.

Corvu się uśmiecha.

– W areszcie domowym. Conti był rozważny, po pańskim zeznaniu nie może być mowy o obronie koniecznej.

Wiem, że to łatwe nie będzie, skoro Scarlett ukryła się w garderobie z bronią. Ale już powiedziałem Contiemu, że nie wesprę w najmniejszym stopniu sprawy przeciwko Scarlett i pomogę obronie uwolnić ją od każdego oskarżenia.

Pozostaje *ta druga kobieta*.

– Muszę się położyć na pół godzinki, zjedzcie spokojnie beze mnie.

Kiedy idę do sypialni, spoglądają za mną z pewną dozą niepokoju.

Wyciągam się na łóżku, przez okiennice wpada nieco światła, zza zamkniętych drzwi słyszę głosy Lindy, Corvu i Natalii. Zamykam oczy, dobrze mi robi ta domowa atmosfera. Pomaga pomyśleć nad jedynym ważnym zdaniem, jakie wypowiedział przed chwilą Corvu.

Nie wiadomo, co zrobił Archer z tym kwitem, skoro jest jasne, że nie on odebrał torbę następnego dnia.

Kwit wędruje od Aimonego do Archera. A później? Właściwie już to wiem. Powiedziała mi Scarlett.

Nicole go kochała, ale nie była wariatką. Nigdy nie zaufała mu do samego końca.

Nicole Steele była kobietą bardzo inteligentną, wyrachowaną, zimną. *Na dole i na górze*, zależnie od okoliczności. Wiedziała, że parę godzin po odkryciu zwłok męża, znajdzie się pod lupą policji. Dała więc kwit jedynej osobie, której wierzyła, tej samej, która zapewniła jej decydujące alibi.

Wie pan coś o kwicie bagażowym do przechowalni na dworcu Termini?

Nie sądzę...

Tak to było. Nicole dała kwit Giovanniemu Annibaldiemu, który następnego dnia poszedł na dworzec i odebrał torbę z pieniędzmi. A później te przekłete pięć miliardów lirów znikło, tak jak Nicole Steele.

Tak jak Nicole Steele czy razem z Nicole Steele?

Gdyby po z górą dziesięciu latach Franco Romero nie spotkał się ze mną, by powiedzieć mi o tej partii pokera tylko dlatego, że umierał i nie chciał tajemnicy zabrać ze sobą do grobu...

W takim razie czemu mi nie powiedział od razu, że w czwartym graczu rozpoznał Bonocorego?

Co robiłem po spotkaniu z Romerem, a przed jego samobójstwem i listem pożegnalnym?

Szukałem informacji na temat firmy Greppiego, poszedłem do Aimonego, kazałem, żeby Corvu wyciągnął akta starego śledztwa Bianki Benigni w sprawie zamówień...

Niemal zapomniałem, że ta stara teczka była punktem wyjścia. Pamiętam, że pytałem Corvu, czy ktoś pociągnął to dochodzenie dalej. Przypominam sobie jego odpowiedź i to, jak był strasznie zakłopotany.

Ukręcili sprawie łeb.

Dochodzenie mogło zostać zwyczajnie zapomniane, jak wiele rzeczy we

Włoszech. Ale termin „ukręcić łeb” oznacza czyjąś wyraźną wolę. A Corvu waży słowa.

W jaki sposób doszedł do takiego wniosku?

– Chodźcie tu!

W momencie cała trójka znalazła się przy moim łóżku.

– Źle się czujesz, Michele?

– Proszę się nie ruszać, *dottore*!

– Graziano, dzwoń na pogotowie!

– Dajcie spokój, dobrze się czuję. Kto mnie trzymał za rękę, kiedy wieźli mnie na salę operacyjną po postrzale?

Patrzą po sobie.

– Ja byłam w Kenii – mówi Linda.

– Ja w pracy – mówi Natalia.

Corvu, czerwony jak burak, mamrocze pod nosem:

– Zawiadomiłem *dottore*ssę Benigni. A ona chciała odprowadzić pana aż do wejścia na salę operacyjną.

– Kiedy z nią rozmawiałeś po raz ostatni, Corvu?

Pąs nabiera zielonkawego odcienia.

– Nie widziałem jej od ponad dziesięciu lat...

– Powiedziałem: „rozmawiałeś”, a nie kurwa: „widziałeś”! Głuchy jesteś?

– Michele, to ci szkodzi – mówi Linda.

Podnoszę się na łóżku.

– Przestańcież, nie jestem inwalidą, a tym bardziej świrem! A więc, Corvu, jak myślisz, Natalii spodoba się przyjeżdżanie w weekendy na komisariat w jakiejś górskiej wiosce na twojej Sardynii?

– *Dottore*, ja zadzwoniłem do niej tylko po wyjaśnienia w sprawie tego starego dochodzenia!

– I to ona ci powiedziała, że ukręcono mu łeb.

Corvu z trudem przełyka ślinę, jabłko Adama chodzi mu w górę i w dół.

– Tak.

– I nie powiedziała ci, kto to zrobił?

– Nie, powiedziała tylko, że jest pewna, że ktoś w prokuraturze wszystko zablokował.

Linda próbuje załagodzić sytuację. Po swojemu:

– Michele, Graziano musiał ją o to zapytać. Ciebie to wścieka, bo...

Bo byłeś w niej zakochany. I może jesteś zakochany nadal, choć zrobiłeś wszystko, by wymazać ją z pamięci i serca.

Nasze spojrzenia się spotykają i Linda nie kończy. Zwraca się natomiast do Corvu i Natalii:

– Może byście pokroili panettone i otworzyli spumante⁷, a my tu chwilę porozmawiamy?

Corvu natychmiast wykorzystuje sytuację, Natalia idzie za nim i zamyka drzwi.

Linda siada na brzegu łóżka.

– Niekiedy wychodzi z ciebie zwierzę, które trzymasz w środku, Michele. Gdybym nie znała cię dobrze...

– Nie znasz mnie dobrze. Straciliśmy czterdzieści lat...

– Poznamy się lepiej przez kolejne czterdzieści. Ale nie możesz wściekać się na Corvu z przyczyn osobistych.

– Nie osobistych, tylko zawodowych. Nie miał prawa dzwonić do tej kobiety, a jeszcze bardziej nie miał prawa tego przede mną zataić.

– Mówisz o niej „ta kobieta”. A więc to osobiste. Rozmawialiśmy o tym, zanim pojechałam do Kenii, pamiętasz?

– Nic nie pamiętam.

Linda kręci głową.

– A pamiętasz, że obiecałam coś ci powiedzieć o Biance Benigni, jak przyjedziesz do Kenii na święta?

– Nie przyjechałem do Kenii i powiedziałem ci wtedy, że mnie to nie interesuje.

– Ale teraz już cię interesuje. Jeśli nie z jej powodu, to z powodu śledztwa, żeby zrozumieć pewne rzeczy sprzed dziesięciu lat i teraz.

– O czym ty mówisz?

– Dziesięć lat temu mnóstwo razy przeczytałam ten artykuł Romera o sprawie Carusa. Ten, za który kazała go aresztować. Był prowokacyjny. Na granicy prawa.

– A więc Bianca Benigni miała rację, że go aresztowała?

– Nie. To także był mało roztropny gest. Co najmniej impulsywny. Oskarżenie zbudowane na piasku, absurdalne, jak na tak doświadczoną prokurator. I niespodzianka nad niespodziankami: kiedy Romero został zwolniony, zamiast zniszczyć Benigni, nie chciał już napisać ani jednej linijki na ten temat i wymusił na mnie, żebym też się tym przestała zajmować.

- Jak cię znam, zapytałaś go o powody.
- Oczywiście. Powiedział, że dostał poważne groźby, dotyczące także jego syna. Ale nie chciał o tym ze mną rozmawiać.
- A ty wydedukowałaś, że to Bianca Benigni mu groziła. I dlatego na konferencjach prasowych w sprawie Bonocorego wychodziłaś z tymi mało profesjonalnymi spekulacjami pod adresem Bianki i moim.
- Patrzy na mnie. Dziś nareszcie potrafimy się spierać z uśmiechem.
- Taki był powód. Ale ani to nie były spekulacje, ani mało profesjonalne. Oboje zachowaliście się jak bestie wobec Scarlett w tym śledztwie.
- Powinienem jej powiedzieć, że dziś to wiem, że już bym tego nie zrobił. Ale na to jeszcze za wcześnie.
- Co według ciebie spowodowało, że Romero odpuścił temat?
- Po śmierci Donatelli Caruso Romero zaczął pisać. Bianca Benigni zażądała, by przestał, nie dając żadnego wyjaśnienia. On to zlekceważył i napisał kolejny artykuł, poważniejszy, opublikowany w piątek jedenastego maja.
- Został zatrzymany, a potem wypuszczony. I nie napisał już o tej sprawie ani linijki więcej.
- Bianca Benigni rozmawiała z nim tego dnia, kiedy został zwolniony. Wyjawiała mu, że ktoś jej powiedział, że jeśli nie rzuci śledztwa w sprawie zamówień i nie zablokuje Romera, zabiją jej syna, a także syna Romera, tak samo jak zrobili z córką Carusa.
- To najlogiczniejsze wytłumaczenie tego bałaganu. Z ludźmi takimi jak Gregory Archer, Głuchoniemy czy stryj Tano nie można żartować.
- Kto jej groził?
- Gregory Archer, ucharakteryzowany i przebrany za Victora Bonocorego.
- A po tym, jak ci to wyznał Romero, nie mogłaś mi nic powiedzieć?
- Kazał mi przysiąc i zapewnił, że sam to zrobi. I zrobił, w liście pożegnającym. Naturalnie ani ja, ani Romero nie przypuszczaliśmy wtedy, że to nie Bonorore, a przebrany za niego Archer.
- A ta kobieta myślała, że szantażystą był Archer czy Bonocore?
- O to już musisz ją sam zapytać. – Linda wstaje i podaje mi rękę. – Chodź, pójdziemy do Graziana i Natalii.
- Kiedy otwieram drzwi, widzę plecy Corvu, który w jednej ręce trzyma kieliszek, w drugiej panettone z czekoladą, a język ma złączony z językiem

Natalii.

– Wesołych świąt, Corvu!

Padają na ziemię zarówno kieliszek, jak i panettone, a przerażony Corvu odwraca się do mnie.

– *Dottore*, nie wiem, co mnie napadło.

Uśmiecham się do Natalii, puszczam do niej oko.

– Od czasu do czasu napada cię to, że robisz coś właściwego.

Jest wieczór, wszyscy sobie poszli, mój brat Alberto zadzwonił z życzeniami z Karaibów, jestem sam.

Siła pomaga być samemu. A samotność pozwala uniknąć cierpienia.

Skąd się wzięły te myśli?

Myślę o Biance Benigni. Pewnie jest u swoich teściów w Ostii, z Nannim i Lucą, który wrócił na święta do domu. Choinka, prezenty, spumante, panettone, gra w bingo.

Daj spokój, Balistreri. Chciałbyś być na miejscu Nanniego? A teraz już wiesz, czego cię nauczyła Bianca Benigni dziesięć lat temu: czasem kompromis nie jest tchórzostwem, ale aktem odwagi.

Bianca

Wspaniale było dziś w nocy złożyć sobie życzenia z Lucą na Skypie, kiedy on już jadł świąteczny obiad w Australii ze swoimi przyjaciółmi z uczelni. Mieszkam teraz sama, ale nie czuję się samotna, praktycznie cały czas jestem z nim, w jego strefie czasowej. Wieczorami czytam Kunderę dopóty, dopóki po drugiej stronie globu Luca się nie obudzi. Razem jemy śniadanie, jadę z nim na rowerze na uczelnię. Tam go zostawiam i zasypiam. A kiedy się budzę, przygotowuję się do kolacji razem z nim.

Co to jest? Miłość, samotność, szaleństwo? Dziesięć lat temu nie potrafiłabym odpowiedzieć. Ale teraz już wiem. Miłość, samotność, szaleństwo to synonimy. Bo miłość, ta prawdziwa, dana jest tylko tym, którzy mają w sobie siłę, by być samotni, i odwagę, by nie patrzeć w przeszłość, kiedy wyobrażają sobie przyszłość.

A dziś poszłam jeszcze na długi spacer po śniegu, hen, w ciszę. W porze

obiadowej zatelefonowałam do Nanniego spędzającego święta z rodzicami wraz ze swoją nową partnerką, którą sama mu przedstawiłam, by pomóc mu uwolnić się ode mnie. On też rozmawiał z Lucą, złożyliśmy sobie życzenia. Biedny Nanni. Nigdy nie czułam prawdziwej niechęci do niego, nawet w tamtym złym czasie dziesięć lat temu. W czasie, kiedy mówiłam sobie: „Gdyby nie był taki słaby, to wszystko by się nie wydarzyło”. Ale on zawsze był taki, co sama bym zobaczyła, gdybym nie pospieszyła się z wychodzeniem za niego. Nanni był życiowo słaby, dziesięć lat temu nie potrafiłby żyć beze mnie. Umarłby. A Luca z nim.

Nanni zgodził się na wszystko, absolutnie na wszystko, byle tylko zostać ze mną, z nami. I natychmiast mi to okazał. A czas leczy rany. Odnaleźliśmy nowy sposób zachowania równowagi przy dystansie fizycznym. Z wolna Nanni stał się dojrzały, silniejszy, mniej ode mnie zależny. Takie jest życie, trzeba cierpliwości, zdolności do znoszenia cierpienia i zgody na kompromisy.

Na bożonarodzeniowy obiad ukroiłam trochę sera. Przez tyle lat gotowałam, prałam, prasowałam dla Nanniego i Luki. Teraz już nie mam ochoty. Po południu pracowałam. Przeglądałam notatki z różnych spraw, w których występuję przed sądem.

Na kolację wypijałam rumianek. A potem złapałam się na myślach o Michele Balistrerim. Zdarzało mi się to wiele razy przez ostatnie dziesięć lat. Czasem ze złością, że nie zostałam przez niego zrozumiana, czasem z czułością, że rozumiałam jego.

Jednej rzeczy z pewnością nauczył mnie Michele, a właściwie nie Michele, tylko Balistreri.

Że samotność jest etapem koniecznym, by nie pozostać przez całe życie samotnym w związku.

Michele Balistreri nie rozumiał prawdziwego życia. Brakowało mu wytrwałości, nie chciał cierpieć, nie zdawał sobie sprawy, że kompromisy nie zawsze są tchórzostwem, że niekiedy to jedynie zgoda na rzeczywistość. Niczego by nie zaakceptował i nie pomógłby mi z Lucą.

Dzwoni moja komórka. Nigdy nie skasowałam tego numeru.

Poniedziałek, 26 grudnia 2011

Śnieg leży wszędzie, na łące wokół domu, na drzewach, na górskich wzniesieniach. W kominku pali się ogień. Widzi, jak podjeżdża samochód, wciąż ten sam co dziesięć lat temu. Widzi, jak ostrożnie wysiada, może żebro złamane kulą Gregory'ego Archera jeszcze mu dolega. Kiedy wychodzi mu naprzeciw po śniegu, zastanawia się, co wyczyta z jego oczu.

A on wysiada z samochodu, starając się nie myśleć, o co powinien ją zapytać. Myśli o tym, co było dziesięć lat temu, o papierosie wypalonym wspólnie przy oknie w tym domku, o tamtych pocałunkach, o tych słowach, kiedy był w niej. *Jaka szkoda, Balistreri.*

Ale wyrzekli się, oboje. Kiedy miliony mężczyzn i kobiet marnowało sobie życie, kurczowo trzymając się czegoś, choć doskonale wiedzieli, że to już przestało istnieć, oni wyrzekli się tego, co istniało naprawdę.

Miłości. Albo tylko jej zapowiedzi.

Widzi, jak wychodzi mu naprzeciw po śniegu. Rozpuszczone włosy, okulary. Nałożyła szminkę. I się uśmiecha.

– Cześć, Bianca.

– Cześć, Balistreri.

Idą obok siebie w stronę domu. Obok siebie, bliscy, ale wciąż jeszcze dalecy. Ona podtrzymuje go pod łokieć, jakby się bała, że nawet ten niewielki wysiłek doprowadzi go do upadku. A on pozwala się podtrzymywać, choć sądzi, że nigdy nie upadnie. Słowa z lekkością wychodzą mu z ust wraz z oddechem, tworzą niewielkie obłoki w przejrzystym mroźnym powietrzu.

– Wiem, że Bonocore groził ci dziesięć lat temu.

– Podszedł do mnie kilka dni po zamordowaniu Donatelli Caruso i samobójstwie jej ojca. Powiedział, że jeśli nie zrezygnuję z dochodzenia w sprawie zamówień i nie zablokuję Romera, naszych synów spotka ten sam los co Donatellę. Tylko że tym, który mi groził, nie był Victor Bonocore.

– Wtedy jeszcze nie mogłaś tego wiedzieć. I kazałaś zaaresztować Romera?

– Byłam bardzo niespokojna. Próbowalam w ten sposób, ale to nie

zadziałało. Wtedy poszłam do niego i powiedziałam, co się stało.

– Podałaś mu nazwisko szantażysty?

– Domagał się go ode mnie, bo mi nie wierzył. Potem wyszukał zdjęcie Bonocorego w Internecie i zrobił się blady jak ściana.

– W końcu już kiedyś widział tego człowieka. Widział, jak przy pokerowym stoliku rujnuje Carusa, więc rozumiał, że groźba jest wiarygodna, i nie napisał ani słowa więcej.

– Dziesięć lat temu nie powiedział mi nic o pokerze. Ale od tamtego czasu byliśmy w kontakcie. W zeszłym miesiącu pojechałam go odwiedzić, wiedziałem, że umiera. Wtedy opowiedział mi o pokerze, a ja kazałam mu powiadomić ciebie.

– Nie baliście się już o waszych synów?

– Luca od niedawna jest w Australii, żona i syn Romera od lat w Argentynie. Poprosiłam go, by nie mówił od razu o Bonocorem, chciałam, żebyś zaczął od Carusa i mojego dawnego dochodzenia. Ale on był już zmęczony życiem i chorobą, chciał zostawić ten świat.

– I kiedy Corvu zatelefonował do ciebie po informacje w sprawie tamtego dochodzenia, powiedziałaś Romerowi, że może napisać ten list.

– Pojechałam do niego, byłam z nim aż do chwili, kiedy połknął pigułki i zasnął. Potem wysłałam kopię listu do redakcji telewizyjnej. Przepraszam, że oszukałam cię dziesięć lat temu, Michele, ale...

– Zrobiłbym to samo co ty, Bianca. Dziecko to dziecko.

Dopiero teraz Bianca uświadamia sobie, że wzięli się za rękę. Nie wie, które z nich wykonało pierwszy ruch, przy nim nigdy nie wiedziała, gdzie rzeczy się zaczynają, a gdzie się kończą.

– Balistreri, a skąd ty wiesz, że dziecko to dziecko?

Czuje, że mocniej ściska jej rękę, jakby się bał, że znów go zostawi.

– Mam córkę. Ma czterdzieści lat, ale dowiedziałem się o niej dopiero kilka miesięcy temu.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie wierzysz mi?

Kładzie mu dłoń na policzku.

– Wierzę ci, Michele, jak zawsze. Jak się nazywa twoja córka?

Przez moment opiera policzek o jej dłoń. Jakby nareszcie odpoczął. Potem prostuje głowę.

– Powiem ci w swoim czasie, jeśli to będzie konieczne. Przyniosłem

czerwone wino.

– Ja mam tylko dużo sera.

– Wystarczy.

Wewnątrz domu pachnie dymem i drewnem. Stół jest ten sam, tak jak krzesła, wino i ludzie przy stole. Bianca i Michele. Po dziesięciu latach. Co się zmieniło?

– Jesteś inny, wiesz? Pewnie przez córkę. Jeśli także jej matka była do ciebie podobna, to biedna dziewczyna.

Spogląda na kobietę siedzącą po drugiej stronie stołu. Pytał siebie o to całymi latami. Dlaczego wtedy odszedł? Dlaczego wciąż nie umiał wymazać jej do końca ze swojego serca?

– Laura była taka jak ty. Zbyt poważna, zbyt uparta i zbyt zarozumiała. Bianca upija łyk wina i przytakuje.

– Rozpoznaję się w opisie. Ale czy Laura kiedykolwiek cię okłamała?

– Tak. I miała słuszne powody. Podobnie jak ty.

Balistreri ponownie napełnia kieliszki.

– Chcesz wiedzieć o naszej umowie, Michele?

– O umowie z Nicole Steele? To nie jest konieczne, Bianca. Sądzę, że wiem wszystko. Kiedy redakcja w telewizji dostała anonimowo list pożegnalny Romera, zrozumiałem, że ktoś chce, żebyśmy ponownie otworzyli sprawę. Więc zadałem sobie pytanie: kto? A wczoraj się dowiedziałem.

Bianca jednak potrzebuje opowiedzieć mu wszystko, choć Michele już to wie. Jakby chciała zrekompensować mu to, czego nie mogła powiedzieć wtedy.

– Dziesięć lat temu szesnastego maja po południu Nicole przyszła do mojego biura. Była prawdziwą aktorką, wydawała się śmiertelnie przerażona. Poszłyśmy do herbaciarni i rozmawiałyśmy przez dwie godziny. Powiedziała, że dopiero po ślubie odkryła, że jej mąż jest łącznikiem amerykańskiej mafii we Włoszech, że kazał zamordować Donatellę Caruso, a teraz postanowił zlecić morderstwo Luki za to, że nie zablokowałam Romera ani mojego dochodzenia w sprawie przetargów. Pokazała mi zdjęcia Luki wychodzącego ze szkoły, powiedziała, że znalazła je w szufladzie męża. Przeraziła mnie do reszty, nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć.

Chciałby, żeby przestała mówić. Po co odgrzebywać całe to cierpienie? Ale ona czuje, że musi wypełnić te dziesięć lat próżni.

– Nicole zaproponowała mi układ. Ona chciała uciec, tyle że nie mogła, bo Bonocore znalazłby ją wszędzie. Ja nie wiedziałam, jak uratować Lucę od tej bestii. Miałyśmy ten sam problem i szukałyśmy rozwiązania. No i jeszcze były te pieniądze, o których wiedziała, dla niej bilet do wolności. Powiedziała, że Aimone ma przekazać kwit bagażowy Bonocoremu w piątek osiemnastego maja. A więc Bonocore musiał zginąć tego samego wieczoru. Tym miała się zająć ona, a ja miałam być dyżurną prokurator i tak poprowadzić śledztwo, żeby Nicole nie została skazana. Dlatego wzięłam dwa dni wolnego i zamieniłam się z Contim na dyżury.

Biance lekko kręci się w głowie. To przez ciepło kominka, wino, Balistreriego. Spogląda na niego i kręci głową.

– Ale nie przewidziałam jednego. Że jest ktoś taki jak Michele Balistreri. Człowiek, który żyje wyłącznie polowaniem na morderców. Zrobiłam wszystko, by ją obronić, praktycznie jednak zmusiłeś mnie do aresztowania jej.

Przez wiele lat rozpoznawał się w tej definicji. Wiedział, że zawiera się w niej krytyka, lecz przyjmował ją z zadowoleniem. Teraz już nie. Teraz wiedział, że tamten sposób życia był ucieczką od cierpienia. A więc i od miłości.

– Miałem rację co do Nicole. Ale nie co do metody. W każdym razie była kobietą wyjątkowo przebiegłą i przewidującą i nie ufała ani tobie, ani nikomu. Nie ona zabiła Bonocorego, miała współnika, był nim Archer, miała też genialne alibi: twojego męża.

– Nanni nigdy niczego nie podejrzewał. Nicole pokazała mu prawdziwego Bonocorego wyłącznie na odległość w auli uniwersyteckiej. Z bliska widział tylko tego fałszywego. W wieczór zabójstwa Archer musiał wyłączyć korki, żeby Nanni nie widział za dobrze głowy w worku.

– I dla bezpieczeństwa Archer zrobił Scarlett, udając Bonocorego. Ściągnął ją do Florencji i zostawił jej włos na łóżku. Potem ściągnął ją do willi w czasie morderstwa i wreszcie podrzucił korkociąg do jej mieszkania. Ryzykowała dożywocie.

– Nie pozwoliłabym na to. Gdyby została skazana w pierwszej instancji, przekonałabym Abbiatego, żeby przegrał w apelacji.

– A w jaki sposób byś go przekonała?

– Nicole dostarczyła mi interesującą fotografię z willi Sergia Domenichiniego, wykonaną przez teleobiektyw. Był na niej Abbiati z

Domenichinim i Aimonem.

Balistreri kiwa głową. Głuchoniemy już mu to wytłumaczył. *Jeśli musisz kogoś przekupić, najlepiej idź na samą górę.*

– Chcesz wiedzieć, co się stało z kwitem i torbą, Michele?

– Już wszystko wiem, Bianca.

– No to powiedz, zobaczymy, czy faktycznie wiesz wszystko.

– Nicole nie ufała Archerowi. On miał jej przekazać kwit. Zaś ona miała się zająć odebraniem torby, kiedy już będzie po wszystkim. Archer przekazał jej kwit w gabinecie Nanniego. Musiał dać jej prawdziwy, inaczej zrzuciłaby na niego odpowiedzialność za śmierć Bonocorego.

– A potem?

Wolałby nie mówić dalej. Nie obchodzi go już żaden kwit ani żadna torba.

– Potem Nicole przekazała kwit osobie, której ufała znacznie bardziej. Tobie. Tamtego wieczoru w willi, kiedy zostawiłem was na chwilę same i poszedłem powstrzymać Scarlett i Pina przed wtargnięciem do środka. Ty miałaś natychmiast odebrać torbę i przekazać jej, kiedy już będzie po wszystkim. Więc następnego dnia rano wysłałaś męża po torbę na dworzec.

– Skąd wiesz, że nie ja ją odebrałam?

– Bo tego dnia byliśmy razem aż do zamknięcia przechowalni. Bo twój mąż zawsze był bardzo powierzchowny. W pośpiechu postawił mercedesa na zakazie parkowania koło dworca i dostał mandat.

Bianca kręci głową i się uśmiecha.

– Biedny Nanni, był wtedy kompletnie zdołowany. Zostawiłam mu kwit na stoliku, kiedy spał, wraz z karteczką, na której prosiłam go o tę prostą przysługę. Nie miał najmniejszego pojęcia, co było w torbie. Jednak z czasem odkryłam, że Nicole mnie oszukała. Nie wierzyła mi wystarczająco, więc skonstruowała sobie alibi, używając do tego mojego męża. Potem jeszcze nastąpiły podejrzana śmierć Pina Ingrassii i wrobienie Scarlett. Wiedziałam, że ona stoi za tym wszystkim. Nasza umowa przestała obowiązywać.

– Gdzie jest te pięć miliardów?

Bianca wskazuje głową kominiek.

– Spaliłam je tamtego dnia, kiedy się kochaliśmy. Jest jeszcze wino?

Balistreri napełnia oba kieliszki. Butelka jest pusta. Bianca ma zaczerwienione policzki, za okularami błyszczą jej oczy. Michele przygląda

się jej, wygląda, jakby zobaczył coś, czego nigdy sobie nie wyobrażał.

- Dziesięć lat temu nic z tego nie rozumiałem.
- To nie twoja wina. Nicole Steele i Gregory Archer byli geniuszami zła.
- Nie chodziło mi o sprawę Bonocorego. Przejdziemy się?

Wychodzą na śnieg. Słońce zaczyna się chować za górami. Bianca bierze go pod rękę.

- Nie palisz już, Michele?
- Nie. Obiecałem córce. Chciałbym, ale nie mogę.

Bianca się uśmiecha.

– Tak brzmiała moja odpowiedź. Ale w końcu zapaliłam z tobą, pamiętasz?

- To było jedynie czasowe odstępstwo.

Okrutne zdanie. Ale Bianca już go zna. Wie, o co chodzi. *Nie potrafi uwierzyć, że istnieje przyszłość.* I wie, jak uleczyć tego mężczyznę. Z zimowej kurtki wyciąga otwartą paczkę gitanes'ów. To stara paczka sprzed dziesięciu lat, w środku jest jeszcze zapalniczka.

– Zapomniałeś jej stąd zabrać dziesięć lat temu. Ja nie wypaliłam ani jednego.

Bo chciałam to zrobić z tobą.

Patrzy na nią. Jak długo? Sekundę, minutę, godzinę? Potem bierze paczkę. Ma zziębnięte dłonie, palce z trudnością wygrzebują papierosa, na dodatek nie potrafi go zapalić.

– Daj, Michele, ja się tym zajmę. A ty trzymaj ręce w kieszeni, inaczej do reszty zmarzną.

Zawsze nienawidził tej myśli, prostej idei, że może być od kogoś zależny. Na dodatek od kobiety. Od tej kobiety, która wolała fałszywe życie od prawdziwego. A ona zapala papierosa, podaje mu go do ust, zaciąga się najpierw on, potem ona, potem on, potem ona.

- Jest jeszcze jedna rzecz, Michele.

Balistreri zaciąga się dymem, wie także o tej ostatniej rzeczy i nie chciałby już niczego słyszeć. Chciałby nie słuchać, uciec stamtąd, wrócić do swojego świata. Ale jego życie raptownie się zmieniło, kiedy odkrył, że ma córkę, i zrozumiał, że przeszłość to tylko doświadczenie, które wysyła nas w przyszłość. I wie, że ta przyszłość musi się zacząć od prawdy.

Bianca się uśmiecha. Nareszcie doszli do sedna. Wie, że z tym mężczyzną to jedyny sposób. Wszystko albo nic. Całkowite zaufanie albo żadne.

– Dziesięć lat temu nie mogłam ci tego powiedzieć, Michele. Za bardzo się ciebie bałam.

Kiwa głową. Myśli, że miała rację, dziesięć lat temu był kimś innym, nie zrozumiałby, że miłość do syna jest poza dobrem i złem.

Spogląda na łąkę za domem. Niedawno widział ją na fotografii jej syna, tej, na którą patrzył Giovanni Annibaldi, kiedy zapytał go, gdzie jest Nicole.

– Nicole leży tam, prawda?

Bianca kiwa głową.

– Już na początku byłyśmy umówione, że po zwolnieniu z aresztu pojedzie na dworzec Termini i będzie na mnie czekać przy kasach biletowych. Pojechałam po nią i przywiozłam ją tu, mówiąc, że dam jej torbę z pieniędzmi. Kiedy odkryła, że spaliłam wszystko i zamierzam ją aresztować, wpadła w furję i chwyciła za siekierę do rąbania drewna. – Przerywa. Wskazuje na białe pole. – Nanni schował się w sypialni. Chciałam jedynie, by ją usłyszał i sam się przekonał, kim naprawdę jest Nicole. Wyskoczył i uderzył ją w twarz. Upadła i walnęła głową o kant kominka. Zaciągnęliśmy ją do piwnicy w samą porę. Byliśmy tam, kiedy ty się pojawiłeś.

Balistreri przypomina sobie słowa mężczyzny, którym tak gardził i któremu jednocześnie tak bardzo zazdrościł.

To się nazywa miłość, dottor Balistreri. Tylko że aby żyć nią naprawdę, trzeba umieć cierpieć. Dziesięć lat temu musiałem przekonać Biancę, że zawsze będę przy jej boku, i zgodziłem się na wszystko. Nigdy tego nie żałowałem.

Raz jeszcze doświadcza tamtego starego nieugaszonego bólu. Pragnienia, by nie czuć już niczego, by nie cierpieć. Wykonuje ostatnią próbę, aby wrócić do swojego milczenia.

– Mężowi powiedziałaś, że dla niego wyrzekłaś się wielkiej miłości. Cóż, albo to nie była prawda, albo to nie byłem ja.

Bianca patrzy na niego. Dziesięć lat temu pozwoliła mu odejść, mężczyźnie silnemu, lecz zbyt twardemu dla siebie i innych, by mógł ją zrozumieć i by pomógł jej wychować Lucę. Teraz widzi mężczyznę znacznie silniejszego, bo życie go nauczyło, że przebaczenie nie jest słabością.

Mężczyznę, do którego dopiero dziś czuje coś, czego nigdy nie czuła, coś, co dotąd nie istniało w jej świecie. Pragnienie, aby pójść razem w przyszłość.

Teraz już go zna i wie, że istnieje tylko jeden sposób. Bierze go za rękę. Prowadzi z powrotem do ciepłego wnętrza. Do przyszłości.

– Chodźmy, Balistreri.

Nie stawia oporu, już nie.

– Dokąd?

– Nie wiem. Ale chodźmy razem.

Dziękuję ekipie Marsilio, jednocześnie wydawnictwu i rodzinie tworzącej idealną przestrzeń do wspólnej pracy. Szczególne podziękowania niech przyjmą Marco Di Marco i Jacopo De Michelis, ale moja wdzięczność kieruje się naprawdę do wszystkich.

Przy tej książce pomagali mi: Maurizio Bellacosa, Francesco Maresca, Alfredo Rapetti Mogol, Gino Saladini. Im także pragnę w tym miejscu podziękować.

-
- 1 Scirocco – południowy wiatr znad Sahary przynoszący do Rzymu drobinki pustynnego piasku i złe samopoczucie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
 - 2 Północne zakole Stadionu Olimpijskiego w Rzymie zajmują fanatyczni kibice S.S. Lazio, południowe – A.S. Roma.
 - 3 Balistreri nawiązuje do głośnej katastrofy w północnowłoskim kurorcie górskim Cavalese: 3 lutego 1998 roku amerykański samolot wojskowy, który wystartował z bazy w Aviano, zerwał linę nośną kolejki linowej na szczyt Alpe Cermis, w wyniku czego wagonik kolejki z 20 osobami spadł z wysokości około 100 metrów. Wszyscy pasażerowie kolejki zginęli na miejscu. Zarówno śledztwo, jak i późniejszy proces prowadził wojskowy wymiar sprawiedliwości USA, zapadły rażąco niskie wyroki.
 - 4 Miliard lirów w 2001 roku to odpowiednik dzisiejszych 660 tysięcy euro.
 - 5 Teresina (lub tenesina) – włoska odmiana pokera typu Five Card Stud.
 - 6 Na starożytnym wzgórzu Kapitol (wł. Campidoglio) mieści się obecnie siedziba burmistrza i władz miejskich Rzymu.
 - 7 Panettone – rodzaj babki drożdżowej; spumante – słodkie musujące wino. We Włoszech to typowe elementy bożonarodzeniowego jadłospisu.